

Czarny Faraon

Christian Jacq



calibre 0.9.27

CHRISTIAN

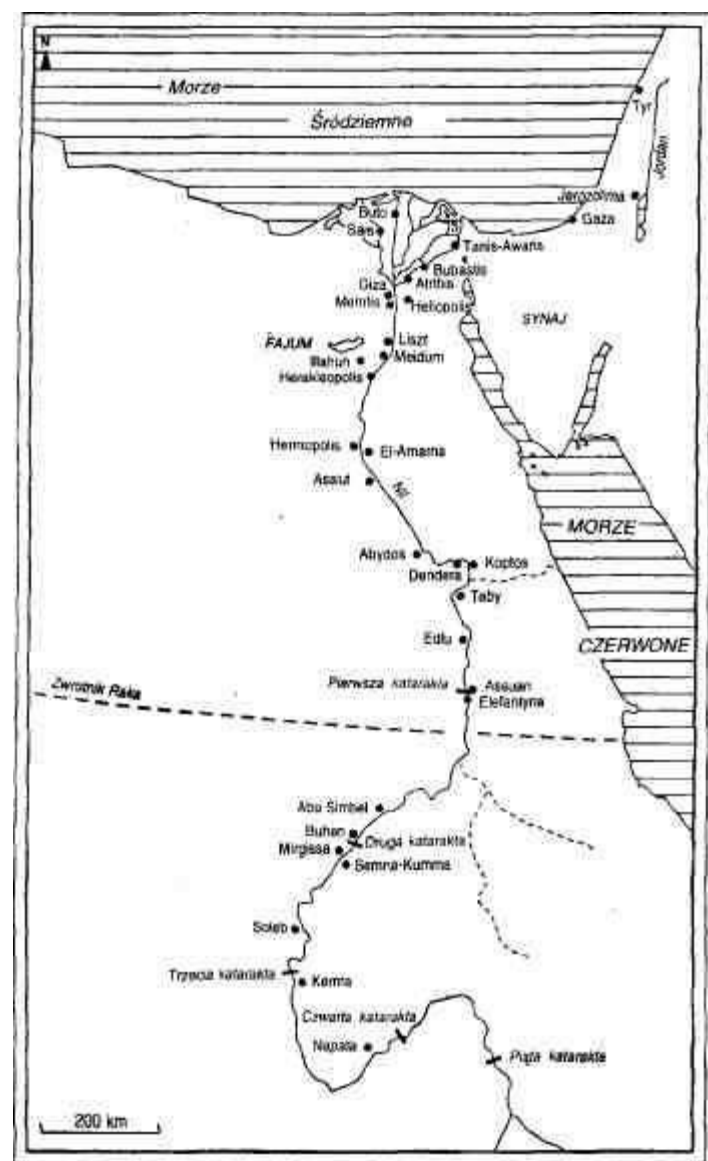
JACQ

CZARNY

FARAON

I ziemia zajaśniała zwiastując nowy dzień...

Stela Pianchiego



EGIPT, NUBIA I SUDAN

Na widok męża wracającego ze świątyni wójtowa zaczęła sobie wmawiać, że niesie on na plecach worek ze zbożem. Poprzedniego dnia obchodzili wspólnie urodziny córeczki i dziewczynka bardzo się cieszyła z prezentu — gałganowej laleczki, własnoręcznie zrobionej przez ojca. Teraz bawiła się z rówieśnicami na środku drogi biegnącej przez Ptasia Górkę, wioskę leżącą w środkowym Egipcie, w regionie Herakloepolis.

Mężczyzna cisnął na ziemię pusty worek.

— Nie ma już nic! Śmierć głodowa grozi nawet kapłanom, a bogowie wrócą niebawem do siebie, do nieba, bo tu nikt już nie przestrzega praw naszych przodków. Nasi nowi panowie to kłamstwo, przekupstwo i egoizm!

— Zwróć się do wezyra, a potem w razie potrzeby do faraona.

— Nie ma już i faraona, są tylko przywódcy plemienni.

Żrą się między sobą i wydaje im się, że sprawują najwyższą władzę. Północ kraju jęczy pod jarzmem libijskich książąt, którzy wodzą się za łby i kochają anarchię*.

— A Czarny Faraon?

— Faraon? Teby, gdzie rządzi Boska Adoratorka, jego

siostra, obsadził wojskiem, żeby broniło świętego

grodu

* Akcja powieści toczy się około 730 roku p.n.e.

Amona, a sam nie rusza się ze swojej stolicy Napaty w głębi

Nubii, tak daleko stąd, że już dawno zapomniał o Egipcie.

— Jestem pewna, że nam pomoże!

— Nic z tego, nie łudź się! Ma wprawdzie tytuł króla

Górnego i Dolnego Egiptu, ale jego władza nie sięga

poza tę głuchą prowincję i południowy bieg Nilu.

Resztę kraju zostawił na łasce losu.

— Należałoby mu donieść, że cierpimy tu straszną biedę,

że...

— Nie warto — stwierdził wójt. — Faraon myśli, że

rządzi, i to mu wystarcza. My dla niego nie

istniejemy.

— Mam jeszcze trochę suszonej ryby, ale tylko na kilka

dni.

— Ludzie powiedzą, że ten głód to przeze mnie. Jeśli nie

znajdę jakiegoś wyjścia, wszyscy pomrzemy. Jedyne,

co mogę uczynić, to zwrócić się o pomoc do księcia

Herak-loepolis.

— Przecież jest wierny Czarnemu Faraonowi!

— Jeśli i on odmówi, pójdę dalej na północ.

Wójtowa kurczowo wczepiła się w męża.

— Drogi nie są bezpieczne, wpadniesz w ręce libijskiej milicji, mogą ci poderznąć gardło! Nie, nie powinieneś się stąd ruszać! Tu, w Ptasiej Górcie, nic nam nie grozi. Ci z Północy nie odważą się zapuścić tak daleko.

— No, to umierajmy z głodu.

— Nie. Przestań ściągać podatki, gospodarujmy oszczędnie i podzielmy się tym, co jeszcze mamy, z innymi wioskami. W ten sposób wytrzymamy jakoś do wylewu.

— Jeśli będzie niewielki, czeka nas zguba.

— Nie trać nadziei, módlmy się dniem i nocą do bogini żniw.

Wójt zapatrzył się w dal.

— Jakaż czeka nas przyszłość? Szczęśliwe czasy minęły, życie zaczyna ciążyć. Jak wierzyć w obietnice ludzi władzy?

Każdy myśli tylko o tym, żeby samemu się wzbogacić, a ich piękne słówka zwiodą najwyżej ich samych.

Dziewczynki bawiły się lalkami w czarodziejskim świecie, do którego tylko one miały klucze. Bez przerwy karcili wstrętne lale za nieposłuszeństwo.

Wójtowa uśmiechnęła się.

Tak, jest jeszcze nadzieja. Tkwi w uśmiechach tych dzieci, które instynktownie nie przyjmują nieszczęścia do wia-

domości.

Podniósł się wiatr z północy i przyniósł chmurę pyłu, który pokrył próg chaty. Wójt z zafrasowaną miną siadł na kamiennej ławce pod ścianą.

W chwili gdy jego żona wzięła do ręki miotłę, ziemia się zatrzęsła.

Od strony drogi z Memfisu — najludniejszego miasta i głównego ośrodka gospodarczego kraju — dochodziło głucho, jeszcze odległe dudnienie. Memfis nie liczył się ze słabą władzą Czarnego Faraona i z dnia na dzień coraz lepiej dostosowywał się do życia pod okupacją libijską.

Dziewczynki stały kółkiem i tłumaczyły lalom, że jeśli chcą urosnąć i nosić piękne stroje, powinny być bardzo posłuszne.

Nowa chmura pyłu wzbiła się aż do nieba, a głucho dudnienie przeszło w łoskot podobny do tego, jaki wydaje szarżujące stado rozjuszonych byków.

Wójtowa wysunęła się do przodu i spojrzała na północ, ale poraziło ją jaskrawe światło. Odbite od metalu promienie słońca zlewały się w biały, oślepiający błysk.

— Wozy bojowe — wójt ocknął się z odrętwienia. —

Wozy, żołnierze w hełmach i pancerzach, tarcze, włócznie...

Nadciągające z Delti wojska Północy waliły prosto na Ptasią Górkę.

Wieśniaczka zaczęła krzyczeć, ale dziewczynki nie słyszały

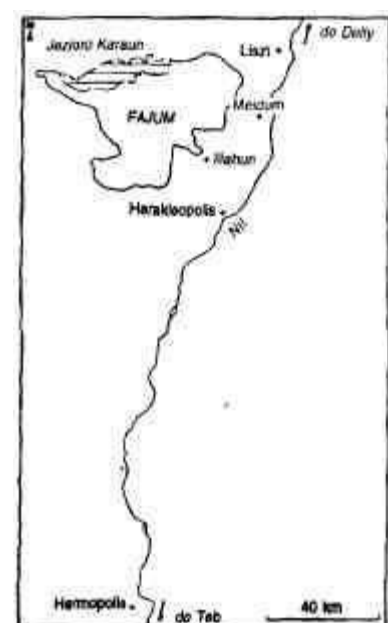
jej — tętent koni i skrzypienia kół głużyły wszystko.

Zaciekawione, odwróciły się wreszcie w stronę napastników, nie widząc wójta ani wójtowej, którzy biegli do nich i krzyczeli, żeby uciekały do lasu palmowego.

Urzeczone widokiem tej rozszalałej, nierealnej fali, tuliły tylko lalki do piersi.

A fala przeszła tratując kopytami i miażdżąc kołami wozów dzieci i dorosłych — pierwsze ofiary Tefnacha, wodza libijskiej koalicji z Północy. Jego żołnierze wyrznęli resztę mieszkańców wioski i spalili białe domki.

Cóż znaczyło kilka trupów dla tego, kto szykował się zostać władcą Dwóch Krajów — Dolnego i Górnego Egiptu? Tefnacht uznał, że przyszła jego godzina i pora rozprawić się z Czarnym Faraonem.



Tefnacht, uznawany za pierwszego przywódcę Libijczyków władca zachodniej Deltę i administrator ziem Dolnego Egiptu, rozwinął przed sobą sporządzoną na najlepszym papirusie mapę Środkowego Egiptu.

— Memfis jest nasz — oświadczył zgromadzeniu sprzymierzonych z Północy. — Zajęliśmy Liszt i zbliżamy się do Herakleopolis. Przyjaciele, uderzyliśmy jak piorun! Czyż nie zapowiedziałem wam takiej serii zwycięstw? Przed dalszym marszem musimy silniej zewrzeć przymierze. To dlatego proszę was o uznanie mnie za władcę całego kraju.

Tefnacht, mężczyzna potężnej postury, o czarnych, bardzo żywych i głęboko osadzonych oczach, pochodził z Deltę, z miasta Sais. Nieprzyjemna, koścista twarz zdradzała jego nieokiełznany charakter. Czoło przecinała mu głęboka szrama, pamiątka pewnego zacieklego starcia wręcz.

Już jako chłopiec budził strach. Przywykły do rozkazowania, nie znosił ani mięczaków, ani tchórzy, z czasem musiał się jednak nauczyć, że sprzymierzeńców — nawet tych, którzy się tylko nimi mienili — trzeba traktować mniej ostro. Mimo to źle ukrywał niecierpliwość i chcąc nakłonić księżęta z Północy do wspólnej wojny o zawładnięcie Południem, musiał uciec się do grózb.

Przed Tefnachtem stanął Akanosz, rzecznik libijskich

przywódców plemiennych, którzy w przeszłości zawładnęli
Deltą, a teraz nią rządzą. Podobnie jak jego rodacy, w dość
długie, splecione w warkoczyki włosy miał wetknięte strusie
pióro. Jego twarz zdobiła cienka, spiczasta bródka, ramiona i
piersi pokrywały tatuaże wojownika, przedstawiające
sztylety i łuki. Na nadgarstkach nosił bransolety. Okryty był
długim czerwonym płaszczem w kwiaty, zawiązanym na
lewym ramieniu — bardzo dbał o elegancję. Przekroczył już
sześćdziesiątkę i władza, jaką sprawował nad podległym
sobie obszarem Sebennytos, całkowicie by mu wystarczała,
dał się jednak namówić do wzięcia udziału w rozpętanej
przez Tefnachta awanturze wojennej.

— Winszujemy ci, żeś doprowadził nas aż tutaj — rzekł
uroczyście — ale miasto Herakleopolis jest wierne naszemu
wrogowi Nubijczykowi Pianchiemu, który nadal głosi, że
jest rzeczywistym władcą Egiptu. Dotychczas nie zareago-
wał, bo nasza wyprawa całkiem go zaskoczyła.

— Czarny Faraon siedzi w swoim dalekim Sudanie o set-
ki kilometrów stąd!

— Tak, ale jego oddziały stojące w Tebach zareagują
natychmiast.

Tefnacht uśmiechnął się.

— Przyjacielu, czy masz mnie za głupka? Wcześniej czy
później otrzymają oczywiście rozkaz, do kontrataku, ale

przecież jesteśmy gotowi ich odeprzeć.

Akanosz skrzywił się.

— Niektórzy tutaj są zdania, że ten nasz sojusz jest dość kruchy... Ty, Tefnachcie, jesteś wojownikiem z krwi i kości, ale wśród nas jest wielu takich, którym zależy na zachowaniu niezależnej władzy. Dalszy marsz mógłby doprowadzić nas do ruiny.

— Do ruiny doprowadzi nas bezczynność i to ona pozbawi was wszelkiej władzy! Czy muszę ci tłumaczyć, w jakim żyłście bezhołowiu, dopóki nie stanąłem na czele koalicji? W samej tylko Delcie było czterech niby to faraonów, a do tego przynajmniej tuzin pretendentów do tronu! Naj-nędzniejsze plemienne książątko miało się za absolutnego władcę i taka anarchia, przerywana tylko krwawymi starciami, każdemu była na rękę.

— To prawda — przyznał Akanosz. — Dopiero ty przywróciłeś nam poczucie honoru... Trzeba jednak zachować umiar. Już teraz władamy połową kraju, czyż więc nie warto zająć się raczej podziałem zdobytych obszarów niż wystawiać na bezsensowne niebezpieczeństwo?

Tefnacht chętnie udusiłby tego tchórza, zdołał jednak stłumić w sobie gniew. Nie rozporządzał jeszcze wystar-

czającą siłą zbrojną i musiał iść na układy z tą hordą barbarzyńców, widzących tylko czubek własnego nosa.

— Rozumiem twoją ostrożność, Akanoszu. Dotychczas trzymaliśmy się Północy, Południe pozostawialiśmy Pianchiemu, a środek kraju uznawaliśmy za ziemię niczyją.

Egipt jednak, jeśli chce żyć w szczęściu i zaznać pomyślności, musi być zjednoczony i mieć za władcę prawdziwego faraona. Myśleć, że nadal możemy żyć każdy sobie, to fatalny błąd. Stracimy wszystko, co posiadamy! Mamy tylko jedno wyjście, a mianowicie zdobyć Południe i rozbić wojska Czarnego Faraona.

— To ty tak twierdzisz, Tefnachie, i szanuję twoje zdanie. Masz jednak przed sobą wielu niezależnych władców, a każdy z nich rządzi u siebie po swojemu.

— Po co podważać moją władzę, jeśli czeka nas wielkie zwycięstwo?

— Zjednoczyłeś nas — przyznał Akanosz — ale nikt przecież nie dał ci najwyższej władzy. My chcieliśmy tylko podjąć pewną próbę, wyjść poza Deltę, zająć Memfis, a ten już wpadł nam w ręce jak dojrzały owoc, i zająć kilka prowincji Środkowego Egiptu. Te plany już zrealizowaliśmy, czyż więc nie należy na tym poprzestać?

Tefnacht polecił podczasemu podać książętom libijskim

mocnego piwa. Większość z radością przywitała chwilę odprężenia, ale Akanosz pić nie chciał.

— Zwyciężyliśmy bez walki — przypomniał. — Wioski, przez które przechodziliśmy, nie były w stanie stawić nam choćby najmniejszego oporu. Herakleopolis to miasto ufortyfikowane, ma zahartowaną w bojach załogę. Ilu ludzi stracimy i czy zgadzamy się wszyscy na takie poświęcenia?

— Podbój kosztuje — stwierdził Tefnacht. —

Zaprzeczać temu byłoby kłamstwem. Ale odwrót równałby się klęsce.

— Chcemy zastanowić się i wszystko rozważyć.

Tefnacht nie pokazał po sobie zawodu. Narady libijskich książąt niezmiennie sprowadzały się do przelewania z pustego w próżne i nigdy nie kończyły się konkretną decyzją.

— Skoro tak, to odpowiedzcie jasno na moje pytanie: dajecie mi pełnię władzy czy nie, abym zdobył cały Egipt?

Akanosz wstał i wyszedł z namiotu, za nim ruszyli pozostali książęta libijscy. Dla Tefnacha zaczynało się długie czekanie.

Z wściekłością połamał nisko zwisającą gałąź tamaryszku, kawałki odrzucił daleko od siebie. Potem spiesznym krokiem udał się do swego namiotu, gdzie czekali już jego nieodłączni doradcy, Jegeb i Nartreb, dwaj Semici,

tworzący

przedziwną parę. Jegeb był wysoki, miał przeraźliwie długie ramiona, bardzo pociągłą twarz i opuchnięte kostki u nóg.

Nartreb, niski grubasek, miał palce u rąk i nóg pulchniutkie jak u niemowlęcia, okrągłą twarz i grubą szyję.

Sprytny i wyrachowany, starszy od Nartreba, Jegeb udzielał współpracownikowi potrzebnych w działaniu rad, ten bowiem miał niespożytą energię i dla wzbogacenia się gotów był na wszystko. Choć zdeprawowany tak samo jak Nartreb, Jegeb ustawicznie zapewniał o swojej uczciwości. Nosił sfatygowaną odzież i twierdził, że sprawy materialne go nie dotyczą. Ożywiała go tylko jedna namiętność: chciał manipulować i rządzić z ukrycia. Przy poparciu Nartreba popychał Tefnachta na stanowisko niekwestionowanego władcy Dwóch Krajów, w przeświadczeniu że po powrocie z wyprawy obu ich czeka sowite wynagrodzenie.

— Wszystko w porządku? — zapytał Nartreb, zajęty żuciem łądygi papirusu.

— Ci głupcy postanowili się naradzić — oznajmił Tefnacht.

— Nic gorszego nie mogło się wydarzyć. — Jegeb drapał się po nosie. — Wynik tych narad może być tylko jeden. Kończyć marsz i wracać na Północ.

— Co proponujecie?

— Od wielu lat rozgryzamy te miernoty i mamy już na nich pewne sposoby.

— No to zastosujcie je — rozkazał Tefnacht.

Skoczył do Nilu za bawołami, które brykając w nurcie rzeki, mogły się potopić. Tak przynajmniej powiedział młody Nubijczyk Puarma trzem wspaniałym, miedzianoskórym dziewczynom, chcąc je olśnić. Dziewczyny były już nagie i wchodziły właśnie do zalewiska między dwiema skałami, gdy zmęczone upałem bawoły popędziły do rzeki. Bawoły te były własnością jednego z krewnych Puarmy, on zaś rzucił się za nimi, by się pokazać zachwyconym panienkom. Był dobrze umięśniony, znakomicie pływał i miał zamiar zdobyć je wszystkie trzy. Czyż, skoro nie uciekły, nie dały mu na to milczącego przyzwolenia?

A przecież surowe okolice czwartej katarakty nilowej nie skłaniały do miłosnych uniesień. Rzeka, kapryśnie płynąca z północnego wschodu na południowy zachód, okazywała tu całą swą dzikość, z trudem przebijając się między granitowo-bazaltowymi skałami i opływając niegościnnie wysepki, które próbowały powstrzymać jej bieg. Na wrogich brzegach piachy i kamieniska niewiele pozostawiały miejsca pod nędzne uprawy, a wcinające się w pustynię odnogi łożyska były suche przez prawie cały rok. Potężne palmy daktyłowe wczepiały się w strome zbocza, tu i ówdzie przechodzące w czarniawe urwiska.

Podróżnym mijającym czwartą kataraktę okolica wyda-

wała się przedsiódkiem piekła. Puarma spędził jednak na tym odludziu cudowne dzieciństwo i znał każdy zakątek w tym labiryncie skalnym.

Bardzo zręcznie nakierował bawoły do niewielkiego kanału, gdzie zwierzęta mogły całkowicie bezpiecznie się ochłodzić.

— Chodźcie! — zawołał w stronę trzech piękności. —

Nic wam nie grozi.

Spojrzały na siebie porozumiewawczo, śmiejąc się zamieniły między sobą kilka zdań i zręcznie zaczęły skakać ze skały na skałę w stronę chłopaka.

Najodważniejsza wskoczyła na grzbiet jednego z bawołów i wyciągnęła ręce w stronę Puarmy. Gdy usiłował schwytać zwierzę, przywarła do chłopaka i sama runęła tyłem do wody. Jej dwie płynące pod wodą towarzyszki złapały go za nogi i pociągnęły ku sobie, nim zdążył się wynurzyć.

Paurma, zachwycony taką niewolą, jął głaskać wspaniałą pierś, a ustami wpił się w gorące wargi. Nigdy nie zdoła wyrazić wdzięczności bawołom krewniaka, że zachciało im się uciekać.

Już same miłosne igraszki z młodą i smukłą jak liana

Nubijką były nie lada przyjemnością, ale stać się zabawką trzech nienasyconych a znających się na rzeczy dziewcząt to był niewyobrażalny wręcz raj... W wodzie Puarma po-

zorował jeszcze walkę o zachowanie resztek niezależności, gdy jednak wyciągnęły go na brzeg, zaprzestał wszelkiego oporu i poddał się ich zuchwałym pocałunkom.

Nagle leżąca na nim dziewczyna krzyknęła trwoźnie i poderwała się. Obie jej towarzyszki zrobiły to samo i wszystkie trzy umknęły jak gazy.

— Co wam się stało?... Wracajcie!

Puarma, pełen zawodu, sam wstał i odwrócił się.

Na cyplu skalnym, wznoszącym się powyżej miłosnego gniazdka, stał wysoki na prawie dwa metry olbrzym o czarnej jak heban i połyskującej w promieniach prażącego słońca skórze. Biodra okrywał mu nieskazitelnie biały fartuszek, a szyję opasywał cienki złoty naszyjnik. Skrzyżował ręce i patrzył przenikającym wszystko wzrokiem.

Puarma ukląkł i dotknął czołem ziemi.

— Wasza Królewska Wysokość... nie wiedziałem, że już wróciłeś.

— Wstawaj, kapitanie łuczników!

Puarma był odważny i nie bałby się stanąć w pojedynkę do walki z dziesięcioma, ale wytrzymać na sobie wzrok faraona... To przekraczało jego siły. Tak jak wszyscy poddani Pianchiego wiedział, że władca rozporządza jakąś nadprzyrodzoną siłą i tylko dzięki niej może władać.

— Wasza Królewska Wysokość... Czyżby zanosilo się na

jakąś walkę?

— Nie, uspokój się. Łowy udały się wspaniale i postanowiłem wrócić nieco wcześniej, niż planowałem.

Pianchi miał zwyczaj zjawiać się na tym skałowisku i rozmyślać tu, wpatrując się w swój zagubiony, a tak ukochany kraj. Tu, w sercu Nubii, surowej, nieprzyjaznej, tajemniczej, na pozór biednej i tak odległej od Egiptu, kształtowały się silne charaktery i potężne ciała. Tutaj słońce codziennie zaślubiało wodę, tu dał potężny wichur, to lodowato zimny, to rozpalony, hartował wolę i dawał siły do pokonywania codziennych trudności.

Pianchi był wprawdzie tytułarnym królem Górnego i Dolnego Egiptu, nigdy jednak nie opuszczał swej stolicy Napaty. Koronę założył na głowę, mając dwadzieścia pięć lat, panował już od lat dwudziestu, świadom, że Egipt, rozdarty politycznie i społecznie, jest słaby jak dziecko. Północ opanowali wojownicy libijscy, tocząc między sobą nieustanne walki o poszerzenie swej władzy. Na Południu, w świętym mieście Tebach, stały oddziały nubijskie, broniące posiadłości boga Amona przed wszelką napaścią. Środkowym Egiptem, leżącym między Północą a Południem władali dwaj wierni sprzymierzeńcy Czarnego Faraona, książęta Herakleopolis i Herakleopolis. Już sama ich obecność powstrzymywała tych z Północy przed wychodzeniem poza obszar swoich wpływów.

Ta sytuacja nie zadowalała oczywiście Pianchiego. Ograniczał się jednak do dbałości o dobrobyt Teb i do upiększania swojej stolicy, gdzie ku chwale Amona kazał wybudować wspaniałą świątynię, replikę sanktuarium tego boga w Karnaku. Jedyłą ambicją faraona było zostać budowniczym na wzór wielkich monarchów minionych czasów.

Skoro bogowie oddali mu we władanie czarodziejską krainę, gdzie wciąż jeszcze można usłyszeć głos Maat, bogini sprawiedliwości i prawdy, będzie walczył do upadłego o utrzymanie tego skarbu.

— Prowadziłeś ostatnio ćwiczenia ze swymi ludźmi?

— Tak jest, Wasza Królewska Wysokość! Moi łucznicy są zawsze gotowi do walki. Inaczej straciliby sprawność. Rozkazuj, a będziemy walczyli!

Pianchi wysoko cenił odwagę Puarmy, który doszedł do wniosku, że to spotkanie nie jest bynajmniej przypadkowe.

— Wasza Królewska Wysokość... czy mamy szykować się do boju?

— Nic. A przynajmniej nic takiego, jak myślisz. Nieprzyjaciel nie zawsze atakuje tam, gdzie na niego czekamy. Nawet w mojej stolicy niektórzy chcieliby, żebym mniej zajmował się bogami, a więcej dbał o ich przywileje. Zbierz ludzi, Puarmo, i ogłoś stan

pogotowia bojowego.

Kapitan łuczników skłonił się królowi i ruszył biegiem do Napaty, Pianchi zaś dalej wpatrywał się w poszarpany krajobraz. Patrząc na rozszalały prąd rzeki i niezłomne, wieczne skały, Czarny Faraon nabierał energii, niezbędnej do wykonywania monarszej pracy.

Szczęście... Tak, on, Pianchi miał bezcenną szansę zaznać szczęścia. Szczęśliwa jest jego rodzina, lud najada się do syta i korzysta ze spokojnych dni, upływających w rytmie świąt i obchodów. On zaś — Czarny Faraon — ma obowiązek utrzymać ten spokój.

W przejrzystym powietrzu słyhać byłoajsłabszy nawet szmerek. A te odgłosy Pianchi doskonale znał — stukot kopyt osła o skalną drózkę. Osioł, który niesie na grzbiecie Zimną Głowę, pierwszego pisarza i doradcę królewskiego. Osioł, który się cieszy, że ma tak lekkiego pana, bo Zimna Głowa to karzeł o surowej twarzy i zdumiewająco małym tułowiu.

Pisarz nie oddalał się zwykle od swego biura w stolicy.

Jeśli zdecydował się teraz na taką wyprawę, musiał mieć ważny powód.

— No, wreszcie widzę cię, panie!

— Co się stało?

— Wypadek na budowie, Wasza Królewska Wysokość.

Poważny wypadek.

Górująca nad Napatą tysiącmetrowa „Czysta Góra” —

Dżebel Barkal była siedzibą niewidzialnej potęgi boga Amona „Ukrytego”, początku wszelkiego stworzenia.

Oddalona o piętnaście kilometrów w dół rzeki od

czwartej katarakty i otoczona pustyniami Napata leżała

jednak w samym środku urodzajnej równiny i była punktem,

gdzie schodziło się wiele szlaków karawan. Poddanym

Pianchiego nie brakowało więc ani dóbr pierwszej potrzeby,

ani wyszukanych smakołyków, ani nawet przedmiotów

zbytku.

Przewodnikom karawany i jego ludziom nie wolno było

jednak osiedlać się w Napacie, chyba że zmienili zawód.

Przebywać tu mogli tylko przez krótki czas, dopóki nie

sprzedali towarów i nie wypoczęli. Każdemu było wiadomo,

że Pianchi posiada ogromne bogactwa, przeznacza je jednak

na upiększanie świątyń i na zapewnienie ludności dobroby-

tu. Sporadyczne przypadki nadużyć karane były surowo,

nawet śmiercią. Czarny Faraon nie tolerował żadnego po-

ważniejszego naruszenia Reguły bogini Maat i niewielu

było tak nierozważnych, by narażać się na jego gniew.

Wznosząca się samotnie na pustyni Czysta Góra fas-

cynowała Pianchiego od dzieciństwa. Ileż to godzin spędził

u jej stromych zboczy na prawym brzegu Nilu! Z biegiem

lat powstał w jego głowie szalony projekt: zmusi górę do mówienia, obrobi jedną ze ścian samotnego szczytu i uczyni z niego symbol monarchii faraona.

Zadanie było niebezpieczne, Pianchi wspomagany przez ochotników zajmował się nim jednak już od dwóch lat.

Wierzchołek góry odcięty był od jej masywu jarem szerokim na dwanaście i głębokim na sześćdziesiąt metrów, trzeba więc było wiercić otwory w skale, wciskać w nie belki i wznosić ogromne rusztowania przy użyciu prymitywnych, ale całkiem niezłe działających dźwigów. Usadowieni na wąziutkich platformach kamieniarze ociosali wierzchołek góry zgodnie ze wskazówkami budowniczego i faraona w jednej osobie. Patrzącemu na szczyt od wschodu wydawało się, że ma przed sobą ureusa — samicę kobry, wyprostowanego i w białej koronie na głowie. Od zachodu widać było koronę czerwoną i tarczę słoneczną.

W górnej części skalnego słupa wyryto hieroglifami napis na cześć Amona. Złotnik umocował tu płytę pokrytą cienką złotą blachą, żeby odbijała blask świtu i co rano objawiała tryumf światłości nad ciemnościami. We wgłębieniu pod płytą umieszczony był złoty ureus.

Prace dobiegały końca, wniesiono już ostatnie kosze z kamieniami i zaprawą. Trzeba było nadać skale pożądany kształt.

— Więc jak to było? — zwrócił się Pianchi do Zimnej

Głowy.

— Jeden z kamieniarzy chciał przyjrzeć się z bliska swojej pracy. Zapomniał o zasadach bezpieczeństwa i w połowie wysokości pośliznął się na belce.

— Chcesz powiedzieć, że...?

— Zginął, Wasza Królewska Wysokość. Jego pomocnik wcale nie okazał się mądrzejszy. Ratował majstra tak głupio, że dostał zawrotów głowy i nie może się już nawet ruszyć.

Pianchi podniósł oczy w górę i ujrzał młodego człowieka, który przywarłszy do ściany, wczepił się rękami w występ skalny, a nogi wsparł o kruchą skałę. Chłopak, idąc na pomoc kamieniarzowi, uznał, że szybciej wdrapie się na ścianę, nie korzystając z drabin i olinowań. Gdy ujrzał, że majster spada, ogarnęła go panika.

Jego towarzysze wymachiwali bezradnie rękami i czekali na tragiczny upadek kolegi.

— Ile lat ma ten chłopak? — zapytał Pianchi.

— Siedemnaście.

— Ile waży?

— Tego dokładnie nie wiem — odparł Zimna Głowa — ale to chuchro.

— Wyznacz dwóch ludzi, pójdą ze mną!

— Wasza Królewska Wysokość nie zechce...

— Trochę wyżej skały prawie się stykają. Jeśli uda mi się mocno stanąć i złapać go za rękę, może go uratuję.

Zimna Głowa cały się trząsł.

— Wasza Królewska Wysokość... dla dobra królestwa...

nie narażaj się tak, błagam.

— Myślę, że jestem odpowiedzialny za życie tego chłopca. Naprzód, nie traćmy ani chwili!

Dwaj kamieniarze o potężnych ramionach i bardzo pewnych stopach ruszyli przodem po wąskiej drabinie wiodącej na pierwszą wąską platformę, zbitą z grubych akacjowych belek.

— Trzymaj się! — zawołał Pianchi potężnym głosem, który rozniósł się echem po całej świętej górze. — Idziemy!

Lewa noga chłopca obsunęła się i przez chwilę wisiała w powietrzu. Ogromnym wysiłkiem, który zdawał się ponad jego siły, chłopak zdołał jednak złapać równowagę i znowu przywarł do skały.

— Muszę wejść wyżej! — zawołał król.

— Po tej linie z węzłami, Wasza Królewska Wysokość!

— odkrzyknął jeden z kamieniarzy.

Pianchi bez trudu wspiął się po linie i stanął na półce skalnej powyżej nieszczęsnego chłopca, któremu palce aż zsiniały, tak kurczowo wpijał je w skałę.

Monarcha wyciągnął prawą rękę. Od chłopca, którego chciał uratować od straszliwej śmierci, dzielił go jeszcze ponad metr.

— Drabina! — rozkazał.

Kamieniarze podali mu ją. Była tak ciężka, że nabrzmiały im mięśnie. To, czego chciał Pianchi, wymagało herkulesowej siły. Należało wcisnąć drabinę poziomo między dwie skały.

Król w najwyższym skupieniu zacisnął dłoń na środkowym szczelbu i powolutku obrócił drabinę. Gdy jednym końcem dotknęła ściany, sypiące się odłamki skalne prawie musnęły głowę chłopca, który wydał z siebie stłumiony krzyk.

— Trzymaj się, mały!

Drabina była już na miejscu.

Pianchi wszedł na tę prowizoryczną kładkę. Drewno zakrzypiało, zatrzeszczał jeden szczebel, ale wytrzymał ciężar czarnego atlety. Faraon zręcznie ułożył się na szczablach.

— Jestem tuż przy tobie, chłopcze. Podam ci rękę, złap mnie za przegub, a wciągnę cię tutaj, do siebie.

— Nie, nie... mogę!

— Musisz się obrócić. Wtedy zobaczysz moją rękę.

— Nie dam rady... nie dam!

— Oddychaj spokojnie, uważaj na oddech, tylko na od-

dech, i zrób obrót.

— Rozbiję się o ziemię, zginę!

— Nie patrz w dół, tylko do góry, na moją wyciągniętą rękę. Jest już nad twoją głową.

Drabina znowu zaczęła skrzypieć.

— Obróć się i spójrz tutaj — zawołał rozkazująco Pianchi. Czeladnik wstrzymał oddech i jak zahipnotyzowany wykonał polecenie. Jego stopy poruszyły się, niezręcznie i niepewnie.

W chwili gdy był już odwrócony, pośliznął się i z szeroko otwartymi oczyma pochylił ku przepaści.

Pianchi, tak naprężony, że prawie rozrywał sobie ramię, zdołał złapać spadającego za lewą rękę i jakoś wciągnął go na drabinę.

— Wasza Królewska Wysokość... — wybełkotał chłopak, wybuchając płaczem.

— Gdybyś był cięższy, mój chłopcze, zginęlibyśmy obaj.

Za naruszenie zasad bezpieczeństwa skazuję cię na miesiąc pracy z pracami.

U stóp kamiennego słupa towarzysze czeladnika najpierw oklaskali króla, a potem powinszowali koledze. Zimna Głowa nadal wyglądał na zmartwionego.

— Czeladnik żyje, czyż to nie najważniejsze?

— Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego, panie.

— Mów!

— Spełniły się moje obawy. Niektórzy urzędnicy dworu,
i to wcale nie ci pomniejsi, podważają prawowitość
twojej władzy.

Faraon spojrział na wierzchołek góry Dżebel Barkal.

— Spójrz, Zimna Głowo, to dzieło mnie przetrwa. Wie kom opiera się tylko to, co wyryte w żywej skale.

Pisarz, pewien, że król nie zrozumiał wagi jego słów, uznał, że musi je powtórzyć.

— To nie są zwyczajne narzekania, Wasza Królewska Wysokość, to prawdziwy bunt przeciwko tobie.

Szczerze mówiąc, wydaje mi się nawet, że w sprawę wmieszana jest jedna z twoich pobocznych małżonek.

— Czy muszę się przejmować takimi drobiazgami?

— To poważna sprawa, Wasza Królewska Wysokość.

Zimna Głowa nie przypadkiem tak się nazywał. Nacisk

w tonie jego głosu świadczył, że śledztwa nie przeprowadził powierzchownie.

— Stracić tron... Czy to laka katastrofa?

— Dla twojego ludu i kraju to katastrofa. Ten, kto chce zająć twoje miejsce, nie zamierza troszczyć się o to, o co troszczysz się ty i o co troszczył się twój ojciec. Myśli tylko o zagarnięciu nubijskiego złota i o korzystaniu z bogactw.

Argument ten przemówił do Pianchiego. Niewiele zależało mu na utrzymaniu tronu, ale nie mógł pogodzić się z myślą, że zniszczona zostanie praca wielu pokoleń.

— Idę do świątyni, mój ojciec Amon wskaże mi drogę.

Zimna Głowa wolałby, żeby faraon jak najszybciej zwołał cały dwór i zwyczajnie wykorzystując swą władzę, dokonał radykalnych cięć. Wiedział jednak, że władca raz podjąwszy decyzję, już jej nie cofnie.

Świątynia Amona wzniesiona u stóp i pod osłoną Czystej Góry była przedmiotem dumy Czarnego Faraona. Tak daleko od Teb wiernie odtworzył posiadłość ojca bogów: aleję baranów — wcielenie Amona, pierwszy pylon, którego dwie wieże symbolizowały Zachód i Wschód, ogromny pierwszy dziedziniec z kolumnadą, gdzie w dni świąt faraon przyjmował dostojników, drugi pylon, drugi dziedziniec z kolumnadą, a za nim krytą świątynię, wokół której pobudowano mnóstwo kaplic i w której głębi mieściło się sanktuarium. Prawo wstępu do niego miał tylko faraon, a wstępował tam o świcie, by otworzyć wejście do naosu kryjącego posąg boga — konkretny wyraz jego niematerialnej potęgi. Pianchi pozdrawiał posąg, skrapiał go wonnościami, poprawiał okrywające go tkaniny, ofiarował mu pokarm i umieszczał go we wnętrzu pierwotnego kamienia, w samym sercu tajemnicy prapoczątku.

W porze popołudniowej świątynia pogrążała się w ciszy.

Kapłani czyścili przedmioty kultu w specjalnie do tego przeznaczonych pracowniach, a postaci wyrzeźbionych na ścianach bogów wiodły ze sobą rozmowy.

Kapłan z Karnaku, który znalazłby się w tej świątyni, cierpliwie wzniesionej i wciąż przez Pianchiego upiększanej dla uczczenia pamięci wielkich faraonów, którzy tu w Napa- cie tyle zrobili, by posłanie Amona promieniowało na wszyst- kie strony, czułby się jak u siebie w domu. Wewnątrz świątyni stały stele Totmesa Trzeciego, posągi Czarnego Faraona i dwóch innych, czczonych przez niego władców Egiptu, Setiego Pierwszego i Ramzesa Drugiego. Według Pianchiego ci właśnie monarchowie byli wcieleniem wielkości Dwóch Krajów, w harmonii z wolą bogów, a najwyższą władzę sprawowali z wielkim poczuciem obowiązku i miłością. Pie- czołowicie zachowano tu również małe sanktuarium Tutan- chamona oraz posągi bogów, których obecność była ręko- jmią transmisji ducha.

Im dalej w głąb świątyni, tym bardziej zwężała się prze- strzeń, słabło światło, skupiając się dopiero w naosie, któ- rego skrytą jasność ujrzeć można było już tylko oczyma duszy. Tajemnica życia pozostanie na zawsze niezgłębiona, można ją jednak przeżywać i w niej uczestniczyć.

Pianchi stanął przed ogromnym, wykutym z wapienia lwem o niezwykle łagodnych rysach. W Nubii nierzadko przedstawiano Amona pod postacią tego drapieżnika, w piś- mie hieroglificznym bowiem nazwa lwa brzmi *mai*, czyli „ten, który widzi”. Nawet człowiek kryjący się w zakątku ciemnego

pomieszczenia nie mógł ujść spojrzeniu Stwórcy. Na postumencie widniał napis: „Bóg, który poznaje swego wiernego. Ten, co zbliża się spokojnie i idzie ku temu, kto go wzywa”. Płaskorzeźba nad kamiennym lwem przedstawiała ofiarowanie łuku.

Boski mistrz otworzył już drogę, trzeba będzie walczyć dalej. Schyłek wieczoru był pełen niewysłowionego czaru. O tej porze pasterze grali na fletach, pisarze odkładali pędzelki, a gospodynie domowe mogły wreszcie popatrzeć na zachodzące słońce i odpocząć. Zamierała wszelka praca i zapomniano o trudach dnia w tych magicznych chwilach, które dawni mędracy uważali za wyraz pełni.

Gdy Pianchi wszedł do pogrążonego w mroku pokoju swej pierwszej żony, wydało mu się zrazu, że jej tu nie ma. Potem zauważył ją na tarasie — wpatrywała się w ten jedyne, a wciąż odnawiający się widok, jaki dawały jej ostatnie błyski gwiazdy życia.

Abilea miała trzydzieści pięć lat i była w pełni rozkwitu.

Wysoka, smukła, o twarzy pociągłej, przypominającej twarz królowej Nefretete, skórę miała miedzianą, a postawę iście królewską. Swego czasu Pianchi odsunął wszystkie oficjalne kandydatki i poślubił tę córkę kapłana, który — choć nie majątny — znał egipskie obrzędy i umiał przekazać swą wiedzę zięciowi.

Czas zdawał się nie tykać wspianiałej Nubijki. Przeciwnie, z upływem lat coraz bardziej piękniała i smukłała, tak że nawet najbardziej uwodzicielskie piękności napackie zrezygnowały już z konkurowania z nią.

Abilea miała na sobie tylko długą koszulę z przezroczystej tkaniny lnianej. Wychodząc na taras, rozpuściła długie pachnące włosy i wystawiła swe ciało boginki na igraszki ostatnich błysków zachodzącego słońca. Gdy nad królestwem Pianchiego zaległa noc, zawróciła, by ciepłej się ubrać.

Wtedy właśnie zauważył ją król.

— Od dawna tu jesteś?

— Nie śmiałam przerywać ci rozmyślań i...

Chwycił ją miłośnie w ramiona, jak gdyby nie widzieli się od wielu miesięcy. Abilea nawet w chwilach gniewu na męża nie potrafiła oprzeć się jego urokowi. Świadomość, że ten król, silny i czuły zarazem, chroni ją i kocha, napępiała ją niewypowiedzianą radością.

— Polowanie się udało?

— Nie zabraknie dworowi mięsa... Chociaż drwin i tak się nie uniknie.

— Czyżbyś się bał dworu?

— Kto lekceważy spisek, nie zasługuje na tron.

Przywarła policzkiem do ramienia męża.

— Spisek?... Coś poważnego?

— Czyżby królowa Egiptu o niczym nie wiedziała?

— Myślałam, że to tylko bezpodstawne pogłoski.

— Zimna Głowa jest innego zdania.

— Zimna Głowa?... Nadal słuchasz rad tego pisarza?

— Masz mi to za złe? Abilea

odsunęła się od męża.

— Masz rację, kochany. Zimna Głowa nie zdradzi cię.

Jedna z twoich pobocznych żon, kilku zawistnych kapłanów, kilkunastu głupich dworaków, jeden zbyt ambitny minister... Jakże traktować ich poważnie, skoro panujesz już od dwudziestu lat i nawet najniższy z twoich poddanych dałby się za ciebie zabić!

— Próżność to trucizna, na którą nie ma odtrutki, Abileo. Prowadzi do najgorszego rodzaju śmierci, bo zabija świadomość.

— Co zamierzasz przedsięwziąć?

— Prosiłem Amona, by oświecił mi drogę, i odpowiedział mi.

Noc była spokojna i Tranan, podskarbi faraona, napawał się swym szczęściem. Siedzi sobie oto pod najwyższą w ogrodzie palmą i jest bliski tryumfu. Ma pięćdziesiąt cztery lata, zajmuje jedno z najwyższych stanowisk na dworze Pianchiego, mieszka w centrum miasta, we wspaniałej willi, jakiej nie powstydziliby się żaden bogaty dostojnik tebański. Jest szczęśliwym mężem, ojcem pięciorga dzieci, w służbie faraona zrobił karierę i powinien być zadowolony ze swojej znakomitej pozycji.

Zna jednak — jako jeden z niewielu dygnitarzy — rzeczywiste zasoby królestwa Pianchiego, które tylko na pozór jest biedne. Nędzne pola uprawne wzdłuż Nilu, trochę ryb i zwierzyny łownej, daktyle... Listę naturalnych bogactw ustalił szybko i można było na jej podstawie wnosić, że Napata jest stolicą ubogiej krainy.

Nie należało jednak zapominać o wielkim skarbie, jakim rozporządza władca Nubii: o złocie. Jest go wiele, i to najwyższej jakości. Zajmując niegdyś Nubię, władcy Egiptu mieli na widoku właśnie dostęp do tego cennego kruszcu.

Obecnie całkowity nadzór nad kopalniami złota i nad całością produkcji sprawuje Czarny Faraon, nikt więc nie rywalizuje o złoto i nikt go nie pożąda. Jak jednak Pianchi wykorzystuje to ogromne bogactwo? Przekazuje je świątyni

Amona i używa go, żeby podnieść dobrobyt ludności.

Podskarbi ma już dość takiej polityki. Władca, który nie dba o bogacenie się, jest słabeuszem i wcześniej czy później powinien być usunięty. Tranan na jego miejscu oddawałby ludowi tylko niezbędne minimum, on sam zaś oraz najbliższe jego otoczenie żyłoby pełnią życia. Żona zaczyna się już starzeć, więc Tranan sprawiłby sobie młode nałożnice i wiele by podróżował, tak by cudzoziemscy książęta mogli podziwiać go na wystawnych bankietach.

Przy boku Pianchiego nie ma widoków na przyszłość.

Czarny Faraon, przykuty do Czystej Góry, wzniesionej przez siebie świątyni Amona i do swojej stolicy, nie przejawia ani przedsiębiorczości, ani zmysłu handlowego. Nadeszła pora, by dokonać zasadniczego zwrotu w polityce.

Majordomus podał Trananowi kubek chłodnego wina i ciasteczka na miodzie.

— Żona czeka na ciebie z obiadem, panie.

— Niech zje obiad z dziećmi i nie zawraca mi głowy.

Gdy tylko zjawi się mój gość, zaprowadzisz go do sali masażu i żeby nikt nam nie przeszkadzał!

Tranan nie mógł działać w pojedynkę. Miał oczywiście poparcie niektórych dworzan, ci jednak padali na twarz przed faraonem, ledwie podniósł on głos. Za to jedna z żon faraona, zanedbywana przez swego królewskiego małżon-

ka, dyszała zemstą i z pewnością miała w sobie dość nienawiści, by chcieć zaspokoić żądzę zniszczenia monarchy. No i Tranan liczył na jeszcze jedno cenne wsparcie: na wsparcie tłuściocha, który wszedł właśnie do sali masażu.

Obwieszony naszyjnikami i pierścieniami z grubego złota Otoku ważył sto sześćdziesiąt kilogramów, a może i więcej. Był to skutek obżerania się wołowym mięsem, zawieszonymi sosami i tłustym ciastem. Przetykanej złotem szaty Otoku nikt nie miał prawa dotknąć pod groźbą wystawienia się na potężny cios jego złotej maczugi. Bo Otoku był wodzem zamieszkałego na najdalszym krańcu Nubii plemienia i większość jego poddanych trudniła się dobywaniem najwyższej próby złota z ogromnej kopalni.

Kiedyś, bardzo dawno temu, Otoku złożył przysięgę na wierność Czarnemu Faraonowi, ale z czasem ta przysięga musiała stracić na znaczeniu.

Ze względu na podejrzliwy charakter gościa podskarbi podchodził dotychczas do niego drobnymi kroczkami, jak najostrożniej, tak by jego zaufanie pozyskiwać stopniowo.

Grubas lubił na szczęście podarki, a zwłaszcza kufierki z hebanu i wełniane chusty, którymi obwiązywał sobie byczą szyję, gdy nocą robiło się chłodno.

Otoku kochał masaże i swoje opasłe ciało na wiele godzin dziennie powierzał zręcznym rękom, które wywoływały w

nim dreszcze rozkoszy. Gdy Tranan powiedział mu, że znalazł wreszcie niezwykle utalentowaną masażystkę, grubas natychmiast chciał się z nią spotkać.

Zgodnie ze zwyczajami swego plemienia Otoku w obecności człowieka niższego stanu nie dotykał stopą ziemi. Jedy- nym jego zwierchnikiem był Czarny Faraon, toteż grubasa wniesiono do posiadłości Tranana w lektyce z pozłacanego drewna. Czterech tęgich osiłek z trudem ją dźwigało.

— Twoja obecność w moim domu to dla mnie wielki zaszczyt, panie — przywitał go Tranan, który dobrze wiedział, jak bardzo gościowi miłe są wszelkie oznaki poważania.

— Doskonale, doskonale... Bolą mnie plecy. Niech ta masażystka natychmiast się mną zajmie.

Trzeba było pokonać trzy schodki i dla tragarzy był to nie lada wysiłek. Ich pan z pewnym wdziękiem, trochę jak przyklękający słoń, usiłował położyć się na brzuchu, pod- czas gdy jeden ze służących podkładał mu złożoną podu- szeczkę pod żołądek.

— Gdzież ta masażystka, którą mi obiecałeś?

— Już jest, panie.

Drobna Syryjka o krótkich, dość jasnych włosach wlała mu na dolną część grzbietu i zręczną ręką wylała na jego potężne cielsko flakonik ciepłego i wonnego olejku.

— Co to za specjał? — zapytał mile zaskoczony Otoku.

— Olejek świąteczny prosto z Teb, panie. Podobno uśmierzał on cierpienia samego Ramzesa Wielkiego.

Drobne dłonie masażystki rozprężyły jeden pod drugim napięte mięśnie grubasa, który z zadowolenia zaczął pomrukiwać.

Tranan ani myślał przerywać tych zabiegów. Czyż Otoku nie stawał się jego dłużnikiem?

— Świetnie, mała, świetnie. Dostaniesz woreczek złotego piasku.

Syryjka wyszła, a naczelnik plemienia znów zasiadł na swym krześle.

— Więc cóż, mój drogi Trananie, po co wezwałeś mnie do stolicy?

— Ta mała masażystka...

— Bardzo zręczna jest ta twoja Syryjka, pomówmy jednak o sprawach poważnych. Wiesz, że nie znoszę podróży i nienawidzę oddalać się poza moją wioskę.

Tranan nerwowo przechadzał się tam i z powrotem.

— Panie, sprawa jest poważna. Ty jesteś głównym dostarczycielem złota dla królestwa, a ja jestem podskarbinem. Tylko Pianchi i my dwaj wiemy, jak wielkie bogactwa ma Nubia. Winienem ci szczerość. Moim zdaniem Pianchi nie korzysta z nich właściwie.

— Oskarżasz faraona o nieuczciwość?

— Nie, ale o konformizm! Bogactwo usypia naszą stolicę, bo Pianchi wciąż trzyma się uparcie przebrzmiałych tradycji. Wielu dostojników myśli tak samo jak ja... Rządzi już od dwudziestu lat i zapomina, że trzeba myśleć i o przyszłości. Jeśli ty i ja nie będziemy interweniować, Napacie grozi ruina.

Otoku zmrużył oczy.

— A w jaki sposób mamy interweniować?

— Część dworzan jest gotowa zakwestionować prawo- witość władzy Pianchiego. Nawet ci, co go wybierali, myślą już o następcy.

— A następca będzie się nazywał... Tranan?

— Tylko wtedy, gdy książe Otoku zgodzi się zostać pod- skarbim i przyjmie zaszczyty, na które zasługuje.

— Będę więc zatrzymywał dla siebie większą część złota, które moi ludzie wydobywają z wnętrza ziemi?

— Oczywiście!

Grubas zaczął pomrukiwać. Oznaczało to u niego głębo- kie zadowolenie.

Tranan wiedział, że mu się uda. Stawka na chciwość nigdy nie zawodziła. Od tej chwili dni Pianchiego są poli- czone.

Otoku wyprężył się nagle jak tygrys i złapał Tranana za

kark.

— Już od dawna mam cię za podłą gadzinę, niegodną
urzędu, którym obdarzył cię faraon. Zapomniałeś o jednym
szczególe, Trananie. Pianchi i ja od ponad dwudziestu lat
jesteśmy przyjaciółmi, a prawdziwi przyjaciele nigdy się nie
zdradzają.

Tranan już nie wyjdzie z kopalni złota i pracować tam będzie aż do końca swych dni. A mimo to Otoku nie czuł się uspokojony — rozgniółł oto osę, która apetyt miała większy niż żądło, ale nad faraonem wciąż wisi poważna groźba.

Wielka Rada, złożona z Przyjaciół i Towarzyszy Faraona, ze Starców i Kapłanów, Rada, która przed dwudziestu laty jednogłośnie powołała Pianchiego na tron, gotowa była wysunąć poważne zastrzeżenia co do postępowania władcy. Zastrzeżenia te oparte były na nierzetelnych sprawozdaniach Tranana, na plotkach rozsiewanych przez jedną z żon faraona, na zaprawionych jadem słowach kapłanów, niesłusznie oskarżających władcę o brak pobożności. Gdyby Otoku w porę uświadomił sobie kiedyś to niebezpieczeństwo, własnoręcznie i ochoczo zadusiłby wszystkich potwar-ców. Wielka Rada jednak, jak zwykle bezwzględna, zdołała uruchomić już mechanizm, którego nikt nie potrafiłby zatrzymać.

Pianchi oczywiście mógłby bez trudu odeprzeć te haniebne zarzuty, ale ucierpiałby na tym jego autorytet, a co ważniejsze, nie zależało mu na tronie i gotów był zamieszkać w świątyni Amona. Otoku dobrze znał przyjaciela i wiedział, że nie będzie on trzymał się kurczowo władzy, jeśli tylko okoliczności pozwolą mu z niej zrezygnować. Wiedział jed-

nak również, że nikt nie jest w stanie zastąpić Pianchiego i że jego abdykacja byłaby katastrofą dla Napaty, Nubii i całego Egiptu.

Król tymczasem, zamiast szykować się do obrony, galopował przez pustynię. Śmiałek, jego ukochany koń, lubił wielkie przestrzenie, na których mógł się wybiegać. Ani władca, ani jego rumak nie zdążą chyba wrócić przed zebraniem Wielkiej Rady.

Najmłodsza z pobocznych żon Pianchiego, siedemnastolatka, nie przestawała płonąć gniewem, choć ojciec, odwożąc ją swego czasu na dwór faraona, wyraźnie jej powiedział, że faraona nie ujrzy nigdy, a jedynym celem tego dyplomatycznego małżeństwa jest przypieczętowanie sojuszu zawartego między monarchą a szczepem z okolic czwartej katarakty, którego ona jest spadkobierczynią.

Dziewczyna nie mogła jednak tego zrozumieć. Czyż nie była najpiękniejszą kobietą na dworze i czyż nie zasługiwała na to, by dzielić z faraonem łożo, usunąwszy z niego wszystkie rywalki?

W szale usiłowała nawet otworzyć siłą drzwi, które prowadziły do Pianchiego, ale wszystkie te nieumiarkowane działania spełzły na niczym. Otoczenie króla, a w szczególności ten przeklęty skryba-karzeł, nie pozwalało, by jakkolwiek intruz zakłócał spokój władcy.

Ją, córkę przywódcy szczepu, małżonkę tego władcy traktuje się jako intruza! Wściekła, że spotyka ją taki afront, postanowiła się zemścić na tyranie, który nie potrafił docenić jej urody. Powie Wielkiej Radzie, że Pianchi dopuszcza się przeniwierstwa, wykorzystując bogactwa wyłącznie na swój użytek.

Gdy na tron wstąpi nowy faraon, z pewnością zauważy ją i przywróci jej należyte miejsce.

Teraz przymierzała naszyjnik z czerwonego jaspisu i karnaliny oraz z niebieskich pereł, poprzedzielanych blaszkami złota.

— Zapnij mi go! — zwróciła się do służki.

— Ten naszyjnik może nosić tylko królowa... A ty królową nie jesteś.

Odwróciła się, urażona do żywego. Za nią stała Abilea, pierwsza małżonka Pianchiego.

— Przygarnięto cię tu, smarkulo, a ty zawiodłaś zaufanie.

Co gorsza, szkalowałaś faraona i próbowałaś zostać duszą spisku.

Przerażona córka przywódcy szczepu ledwie zdołała wybełkotać jakieś słabe zaprzeczenie.

— Taki grzech karze się długoletnim więzieniem, ty jednak jesteś jeszcze dzieckiem, choć serce już masz zgorzkniałe... Jeśli poważysz się kłaść imię faraona oszczerstwami, nie masz co liczyć na moją

wyrozumiałość. Stanę się okrutniejsza od tygryscy.

— Co... Co ze mną zrobisz, pani?

— Wrócisz do swojego plemienia. Tam matrony nauczą cię pracować i prowadzić dom. Uważaj się za szczęściarę.

Kapa, senior Wielkiej Rady, mimo swych dziewięćdziesięciu siedmiu lat zachował bystre oko i trzeźwy umysł. Był bardzo szczupły i przez całe życie poprzestawał na jednym tylko skromnym posiłku dziennie. Nie pił alkoholu z daktyli i zmuszał się do codziennych przechadzek, Otoczenie bało się jego zrzędlivosti, która pogłębiała się wraz z wiekiem. Z Otoku, miłośnikiem dobrego stołu, tworzył zaskakujący kontrast. Grubas nie wiedział, jak podejść do tego zgryźliwego starca, który odmawiał nawet kubka chłodnego piwa.

— Twoje zdrowie...

— Nie martw się o moje zdrowie, Otoku, tak samo jak ja nie troszczę się o twoje. Gdzie podziewa się teraz król, twój przyjaciel?

— Wsiadł na konia i dokądś daleko wyjechał.

— Członkowie Wielkiej Rady przekazali mi swoje wnioski i starannie je przemyślałem.

— Stwierdziłeś zatem, że to brednie!

— Czyżbyś ośmielał się krytykować pracę tak poważnych

mężów?

— Informacje, które otrzymali, to bzdury i kłamstwa!

Sprawa jest całkowicie jasna. Kilku zawistnych usiłowało zaszkodzić Pianchiemu i należy ukarać ich tak, jak na to zasłużyli!

— Według tego, co mi powiedziano, Trananem, byłym podskarbisem, zająłeś się osobiście.

— Posłałem go do roboty... Pianchi bywa niekiedy zbyt wyrozumiały i przyjaciele powinni uwolnić go od parszywych owiec.

— Stoję na czele Wielkiej Rady i nie pozwolę nikomu wpływać na moje decyzje. Król powinien stanąć przed nami jak najszybciej, czy mu się to podoba, czy nie.

Śmiałek, pięciolatek w pełni sił, który mimo swoich pięciuset kilogramów wagi potrafił pędzić bez zmęczenia przez wiele godzin, był najlepszym koniem, jakiego Pianchi kiedykolwiek dosiadał. Człowieka i zwierzę łączyła przyjaźń od pierwszego wejrzenia i król nie musiał zbytnio się natrudzić, by pozyskać całkowite zrozumienie ze strony rumaka, który choć dumny i wręcz dziki, pragnął zadowolić tego, kto całkowicie mu zaufał.

Śmiałek był gniadoszem o lśniącej i jedwabistej płowej grzywie, długich nogach, bystrych oczach i władczej postawie. Jeźdźcy z armii królewskiej spoglądali na niego z

podziwem i zazdrością, starali się jednak nie podchodzić doń zbyt blisko. Wszyscy wiedzieli, że Śmiałek słucha tylko Pianchiego i że odzyska całą swoją dzikość, gdy tylko ktoś inny spróbuje go dosiąść.

Król odkrył przed nim mnóstwo ścieżek wychodzących z Napaty i koń zapamiętał je nad podziw dobrze i nigdy się nie wahał. Wracając do przeznaczonej tylko dla niego stajni, gdzie Pianchi osobiście go czyścił, Śmiałek zawsze wybierał najkrótszą drogę. Był nie tylko silny i wytrzymały, był także bardzo inteligentny.

Ze szczytu wysokiej wydmy król wpatrywał się w bezkres pustyni.

— Spójrz, Śmiałku, żaden władca nie chciałby takiego kraju. Ty i ja kochamy go jednak, bo nigdy nie kłamie, każe nam nie litować się nad sobą i oddawać cześć wszechmocy światła. Pustynia i uprawna ziemia to dwa różne światy, nigdy ze sobą się nie wiążą, a przecież każdy z nich rozumie, że ten drugi jest konieczny.

Nad jeźdźcem i wierzchowcem unosiły się żurawie królewskie. Z oddali spoglądał na nich nieruchomo ze szczytu innej wydmy długorogi oryks. Gdyby Pianchi szukał teraz wody, wystarczyłoby iść za nim.

— Czekają na mnie w stolicy, Śmiałku, a ci, co chcą mnie ujrzeć, to moi wrogowie. Jeśli wszystko stracę, dwie istoty

pójdą za mną nawet w przepaść: moja żona i ty. Czyż nie

jestem najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem?

Koń skierował nozdrza ku Napacie i ruszył pełnym ga-

lopem. Nie bał się walki tak samo jak jego pan.

Tefnacht wiedział, że drogę do; najwyższej władzy utorować mu może tylko wojna, nie lubił jednak ani samemu się bić, ani nawet trzymać broni w ręku. Niech inni ćwiczą się w strzelaniu z łuku i rzucaniu włócznią. Przywódcy plemion libijskich dumni byli ze swojej siły fizycznej, on zupełnie o to nie dbał.

Żeby oszukać swoje lęki, Tefnacht setki razy poprawiał plan walki o zjednoczenie Dwóch Krajów. Sprowadzono mu młode panienki — odepchnął je. Nie zaglądał do dzbana — obojętnie z winem czy z piwem. Te kojące przyjemności oddalały go od głównego i jedyne go celu: być wodzem koalicji libijskiej, całkowicie rozgromić wojska Pianchiego i włożyć na głowę koronę faraona — najpierw na Południu, w Tebach, a potem na Północy, w Memfisie.

Zwycięstwo było w zasięgu ręki, pod warunkiem że będzie działać szybko, zanim Czarny Faraon zdąży sobie uświadomić jego determinację i prawdziwe jego ambicje. Dotychczas bowiem widział w nim tylko zwykłego libijskiego księcia, z pewnością silniejszego od pozostałych, ale taką samą jak oni miernotę i tak samo przekupnego.

Pianchi był w błędzie.

Tefnacht — syn Libijczyka, ale i Egipcjanki — studiował w przeszłości sławne dzieje Egiptu i doszedł do niezbitego

przekonania, że kraj ten dopiero wtedy odzyska wielkość, gdy nastąpi znów połączenie Dwóch Krajów: Górnego i Dolnego Egiptu. Ogromny to był zamiar, Pianclii nie był w stanie go zrealizować, a libijskim kacykom wydawał się on śmieszny. Tefnacht czuł się na siłach iść po tej trudnej drodze aż do końca i podjąć żagiew, której następcy Ramzesa Wielkiego pozwolili zagasnąć.

Niestety, wszystko zależało od widzimi się gromadki drobnych tyranów, krótkowzrocznych i ślepo przywiązanych do swych nędznych przywilejów. Niech no tylko Tefnacht przejmie najwyższą władzę, a położy kres tej zgubnej dla kraju anarchii. Wszystkie prowincje — i północne, i południowe — powrócą pod władzę jednego faraona.

Tefnacht nie myślał o swojej osobistej sławie, chciał tylko przywrócić Egiptowi dawną świetność, uczynić z niego centrum nowego świata śródziemnomorskiego, który rodził się właśnie pod wpływem Grecji i Azji Mniejszej.

Nikt nie był w stanie ogarnąć tej wizji i Tefnachtowi ciężko było znosić ciężar osamotnienia. W dodatku, żeby dopiąć swego, musiał korzystać z usług Jegeba i Nartreba, łajdaków bez czci i wiary. Jeśli jednak osiągnie swój cel, czas zwątpienia i cierpień szybko pójdzie w niepamięć.

Tefnacht rozwinął przed sobą spisy rachunkowe, pocho-

dzące z okresu XIX dynastii, z czasów Ramzesa, i przypominające, jak bogaty był wówczas Memfis. Rolnictwo w rozkwicie, kanały pełne ryb, składy pękające od nadmiaru towarów, bezustanne wizyty posłów z wielu krajów... Dziś to wielkie miasto tkwi w letargu i czeka na prawdziwego władcę, który przywróci mu siły, by znów mogło pełnić funkcję „Wagi Dwóch Krajów”, czyli bieguna równowagi między otwartą na świat Północą a pogrążonym w tradycjonalizmie Południem.

— Czy mógłbym z tobą pomówić, panie? — zapytał

Nartreb głosem, w którym przebijało wyraźne podniecenie.

— Dobre nowiny?

— Znakomite... Ale konam z pragnienia.

Pulchnymi rączkami Semita nalał sobie z gąsiora kubek białego wina. Takie gąsiorzy utrzymywały chłód, a potrafili je wyrabiać tylko garncarze ze Środkowego Egiptu.

— Czy naczelnicy prowincji opowiedzieli się wreszcie za mną?

— Sytuacja jest trochę złożona, panie... Prawdę mówiąc w ostatnich dniach zmieniała się raczej na twoją niekorzyść, przewagi nad oponentami nie miałeś. Bez pomocy Jegeba i mojej wynik głosowania byłby niepomysłny i musiałbyś wracać do swojego księstwa,

do Sais.

— Jak na nich wpłynęliście, że zmienili zdanie?

— Nie poszło łatwo... Udało nam się jednak znaleźć właściwe argumenty.

— Chciałbym je poznać, Nartrebie.

— Czy to konieczne, książę? Płacisz nam za pracę, więc pracujemy, a szczegóły to przecież rzecz bez znaczenia.

— Wcale tak nie sędzę.

Czując, że w Tefnachcie wzbiera gniew, Nartreb się skłonił.

— Pracując od wielu lat, zebraliśmy tysiące poufnych informacji o naczelnikach północnych prowincji, a to dzięki pomocy tamtejszych wysokich urzędników, którzy chętnie je sprzedają, byleby tylko nie padło przy tym ich imię. Dziś ta mrówcza praca przynosi nam korzyści. Żaden z tych kacyków nie jest bez winy, każdy ma na sumieniu jakieś mniejsze lub większe oszukaństwo lub nielojalność wobec swoich sprzymierzeńców i każdemu zależy, by nikt o tym nie pamiętał. Nie było nam więc specjalnie trudno nakłonić ich do ugody. Pozostaje tylko jedna trudność...

— Akanosz?

— Nie. On boi się własnego cienia... Przyłączył się do zdania większości. Mam na myśli starego naczelnika, - który panuje na bagnach Delty i sprawuje kontrolę nad rybakami. Głupiec i uparciuch... Nie chce słyszeć o żadnym konflikcie z Czarnym Faraonem. Niestety, jego zdanie wciąż poważnie się liczy, więc końca tej mitręgi nie widać. Może nam to nawet pokrzyżować szyki.

Zgłodniały Nartreb przełknął kilka daktyli.

— Jak zamierzasz rozwiązać ten problem?

— Tym zajął się już Jegeb... O, właśnie idzie.

Pociągła twarz Jegeba zdawała się wyrażać głębokie zadowolenie.

— Czy mogę usiąść, książę? Nogi mi ciążyą.

— Udało ci się?

— Los ci sprzyja, książę. Stary naczelnik z bagien właśnie wyzionął ducha.

Tefnacht zbladł.

— Czyżbyś...

— Twój nieprzejednany przeciwnik, książę, zmarł w czasie sjesty... śmiercią całkowicie naturalną. Dowód, że los ci sprzyja.

— Chcę znać prawdę, Jegebie.

— Prawda jest taka, że będziemy obchodzili żałobę, a po-

tem libijski naczelnicy przekażą ci, książę, pełnię władzy.

Gdy Akanosz wrócił do swego namiotu, jego małżonka, kobieta już dobrze po pięćdziesiątce, natychmiast dostrzegła, że jest wzburzony. Po trzydziestu kilku latach małżeństwa poznawała nastroje męża, nie musiał ust otwierać.

— Czy to... wojna?

— Wszyscy zmienili zdanie i nikt nie jest już w stanie ich przekonać, że wybierając Tefnacha na naczelnego wodza, popełniają fatalny błąd. Tak, to wojna.

Szykujemy się do ataku na Herakleopolis.

— Boisz się o mnie, prawda?

Akanosz ścisnął ręce małżonki.

— Tylko my wiemy, że jesteś z pochodzenia Nubijką...

A mojej małżonki nikt nie ośmieli się zaatakować.

Żona Akanosza, choć miała jasną, ogorzałą od słońca cerę Egipcjanki z północy kraju, była córką Nubijczyka.

Libijski książę marzył niegdyś o skoligaceniu się z Pianchim, który mógł go uczynić bardzo pożądanym partnerem w rozmowach z ziomkami z Deltą.

— Niepokoi mnie Tefnacht — przyznał Akanosz. — To człowiek inteligentny, sprytny i zawzięty... Dla urzeczywistnienia swych marzeń gotów jest utopić cały Egipt w ogniu i krwi.

— Musisz go jednak słuchać, tak samo jak inni, a i żół-
nierzom musisz nakazać posłuszeństwo.

— Istotnie nie mam wyboru. Sumienie nakazuje mi jed-
nak uprzedzić Pianchiego.

— Bądź ostrożny, kochany! Jeśli oskarżą cię o zdradę...

— Tefnacht zabije mnie własnoręcznie, wiem. Uspokój
się, potrafię to przeprowadzić, pozostając w cieniu.

Przed pierwszym pylonem świątyni Amona w Napacie, w miejscu gdzie „głoszono Maat”, prawdę i sprawiedliwość, zebrała się Wielka Rada pod przewodnictwem Kapy. Miejsca po obu jego stronach zajęli Przyjaciele i Towarzysze króla, Starcy i Kapłani. Na wszystkich twarzach malowała się powaga.

Czarny Faraon zeskoczył z konia na kilka kroków przed nieporuszonym Kapą. Miał na głowie charakterystyczną koronę królów nubijskich, coś w rodzaju czepka ściśle przylegającego do skóry i wciśniętego w złoty diadem, z którego wznosiły się dwie kobry w postawie atakującej. Na nadgarstkach i wokół bicepsów lśniły złote bransolety z jego imieniem. Na połączanym puklerzu widniała malutka główka pantery, od której rozchodziły się promienie światła. Na widok władcy, którego siła fizyczna mogła przerażać, większość członków Wielkiej Rady miała ochotę uciekać. Za przykładem starego Kapy złożyli jednak tylko pokorny ukłon, Kapa zaś natychmiast zabrał głos, by nie dopuścić do rozprężenia.

— Wasza Królewska Wysokość, dwadzieścia lat temu Wielka Rada wybrała cię na faraona Górnego i Dolnego Egiptu. Nikt z nas nie miał powodu do uskarżania się na twoje rządy, ostatnio jednak pewne niemiłe wydarzenia

zamąciły spokój dworu. Zbadaliśmy skargi, które dotarły do nas mniej lub bardziej określnymi drogami i...

— Dlaczego ci, co mnie oskarżają, nie staną tu z odkrytymi twarzami?

— Aprobujemy skazanie podskarbiego Waszej Królewskiej Wysokości i odesłanie żony, która usiłowała knuć spiski. Osobiście sędzę nawet, że kroki te były zbyt łagodne.

— W takim razie co jeszcze macie mi do zarzucenia?

Większość członków Wielkiej Rady spodziewała się, że Kapa zadowolony się tą małą konfrontacją, ale stary Nubijczyk miał znakomite wyczucie magii, ludzi, miejsca i chwili. Jemu chodziło o sposób sprawowania rządów, czyli o rzecz ważniejszą niż wybór ministrów i linii politycznej. Kto nie działał zgodnie z tajemną harmonią świata, ten w żaden sposób nie był zdolny do właściwego kierowania krajem.

— W ciągu tych dwudziestu lat — przypomniał senior — twoja potęga trwała nienaruszona. Skoro teraz kilku niegodziwców ośmieliło się rzucić na ciebie potwarz, to czyż nie dlatego, że mieli podstawy sądzić, iż słabnie twoja zdolność do sprawowania rządów?

Wielu członków Wielkiej Rady uznało, że stary Kapa posunął się za daleko, i obawiali się wybuchu gniewu faraona. On nie stracił jednak swego zwykłego spokoju.

— Boska Światłość ustanowiła króla nad światem ludz-
kim, by sądził śmiertelnych i zadowalał bogów — powie-
dział poważnie, cytując tekst przysięgi koronacyjnej — by
w miejsce nieporządków, kłamstw i niesprawiedliwości usta-
nowił harmonię bogini Maat, by chronił słabego przed
silnym, by składał ofiary niewidzialnemu i oddawał cześć
duszom przodków. Do tego właśnie zadania powołał mnie
Amon. „Włóż na głowę koronę” nakazał mi, gdyż to właś-
nie Amon rozstrzygnął o moim losie. Króla powołuje bóg,
a lud go ogłasza. Na koronacji przyjąłem imiona mego
sławnego przodka Totmesa Trzeciego *: „Budowniczy po-
koju w obu krainach”, „Zjednoczyciel obojga Krajów”,
„Potęga i Harmonia boskiej światłości”. Tak jak on, syn

* Totmes III, faraon z XVIII dynastii rządził Egiptem w latach
1504-1450 p.n.c, na siedem wieków przed Pianchim.

Tota, szukam mądrości i poznania. Czyż bowiem nie napi-
sano w „Księdze wyjścia na światłość”, że poznanie jest
tym, co usuwa zło, rozprasza ciemności, pozwala widzieć
przyszłość i organizuje kraj? Masz jednak rację, Kapo, być
może słabnie moja zdolność rządzenia. Może przyszedł na
mnie czas i powinienem się wycofać. Nie ja jednak na to
pytanie odpowiem, ale Amon. Odpowie nam znakiem.

Z wysokości tarasu swego pałacu otoczonego palmami,
hibiskusami i oleandrami Pianchi spoglądał na miasto i na

ciągnącą się hen, w dali, pustynię. Jak bardzo wydawała się spokojna w nocnej ciszy! A przecież krążyło po niej mnóstwo demonów gotowych pożreć nieostrożnego wędrowca! Wielokrotnie już Czarny Faraon stykał się z niebezpieczeństwami pustyni, z jej błędnymi ognikami, z jej drózkami, które donikąd nie wiodły, z jej kuszącymi wydmami, którymi oko nie mogło się nasycić.

Abilea leżała koło męża i głaskała go po policzku. Jakże kochał tę kobietę, która — ona jedyna — była wcieleniem piękna i szlachetności Nubii. W sukni podobnej do rybackiej sieci, tkanej w drobne oczka i odsłaniającej większą część ciała, w złotym, wysadzonym turkusami naszyjniku, wyglądała wręcz uwodzicielsko. Dała Pianchiemu syna i córkę, a te dwa macierzyństwa jeszcze bardziej podniosły blask jej kobiecości.

— Czy to już ostatnie nasze noce w tym pałacu? — za pytała jasnym głosem, wolnym od wszelkiego niepokoju.

— Tak, jeśli bóg Amon cofnie mi zaufanie.

Abilea objęła męża.

— Gdybym słuchała tylko głosu swej miłości do ciebie, błagałabym Amona, by nic nie powiedział.

Moglibyśmy wtedy zamieszkać gdzieś w palmowym gaju i żyć spokojnie wraz z dziećmi. Nie będę się jednak o to modliła, jesteś bowiem jedynym

gwarantem szczęścia dla całego ludu. Byłoby

niewybaczalną zdradą poświęcić je dla własnego

szczęścia.

— Czy nie przydajesz mi zbyt wielkiego znaczenia?

— Ty możesz wątpić o swojej potędze, ja muszę ją uzna-

wać. Czyż nie jest to pierwszy obowiązek królowej

Egiptu?

— Amon ukazał mi w świątyni łuk.

— Przecież Nubia to „Ziemia Łuku”. Oznajmia ci w ten

sposób, że powinieneś nadal sprawować władzę.

— Łuk to także symbol wojny... Chociaż żadnego kon-

fliktu nie widać.

— Czy nie obawiasz się jakichś kłopotów od Północy?

— Północ za bardzo zajęta jest wewnętrznymi waśniami

i żaden libijski książę nie potrafi wysunąć się przed

innymi.

Od bardzo już dawna stary Kapa sypiał ledwie po dwie,

trzy godziny na dobę. Życie upłynęło mu przyjemnie, ale

zbyt szybko i chciał korzystać z każdej chwili, póki nie

stanie przed obliczem bogini Pięknego Zachodu, która uwo-

dzicielskim uśmiechem sprowadza śmierć.

Kapa nigdy nie opuszczał swego ojczystego kraju, tej

spękanej i spalonej słońcem ziemi, której uroki znał lepiej

niż ktokolwiek inny. Oddawała się ona tylko tym, którzy

bardzo gorąco ją kochali i właśnie dlatego Pianchi był tu doskonałym władcą. Starzec zawsze jednak działał zgodnie ze swoim sumieniem i nie żałował tego. Pozbawiony magii nawet tytan stawał się łatwym łupem dla sił ciemności.

Jeśli bogowie odwrócą się od Pianchiego, Nubii i całemu Południu grozi kryzys, a jego skutki trudno przewidzieć. Do spadku po Pianchim aspirują tylko miernoty, które sytuację trudną przekształcą w rozpaczliwą.

Na lazurowym nocnym niebie wspaniale błyszczały gwiazdy. Były jak wrota, które uchylają się, by przepuścić rozdające się wciąż w zakątkach wszechświata światło, i pokazują człowiekowi, że wzrok twórczy to ten, co się wznosi, a nie ten, co kieruje się w dół.

Jedna z gwiazd oderwała się nagle od gwiazdnej społeczności i przemknęła przez niebo z prędkością rozpędzonego charta. Pędziła ku ziemi jakby nieodparcie przez nią przyciągana, ciągnąc za sobą ognisty warkocz.

Nie, Kapa nie padł ofiarą złudzenia! Gwiazda ta kierowała się nad Nubię, w stronę stolicy, wprost na pałac królewski, który zniknął w pożodze.

Cierpiący na bezsenność widzieli, jak na taras pałacu królewskiego zwała się ognista kula, i pomyśleli, że gniew bogów unicestwił Czarnego Faraona. Odpowiedź Amona była straszliwa.

Kapa z szybkością, na jaką pozwalały mu jego stare nogi, popędził na miejsce tragedii. Wokół zaczynał się już gromadzić tłum mieszkańców, obudzonych przez krzyki świadków katastrofy.

Kapitan łuczników Puarma wydał osobistej gwardii królewskiej rozkaz: nie wpuszczać nikogo do apartamentów monarchy.

— Może Jego Królewska Wysokość potrzebuje pomocy?

— zaniepokoił się Kapa.

— Nie wiem — odparł oficer, roztrzęsiony do tego stopnia, że nie był w stanie podjąć żadnej decyzji.

— Idę tam — oświadczył Zimna Głowa z oczyma wciąż jeszcze pełnymi snu.

— Ja z tobą — rzekł senior Wielkiej Rady.

Na znak Puarmy łucznicy przepuścili karła i starca, którzy ruszyli w górę rzeźbionymi w kwiaty schodami. Weszli do prywatnych apartamentów Pianchiego.

— Wasza Królewska Wysokość... to ja, Zimna Głowa...

Czy możesz mówić, panie?

Nikt nie odpowiedział.

Sypialnia, wielka sala kąpielowa, sala masażu, sala przyjęć dla co ważniejszych gości, biblioteka... Wszędzie pusto.

— Został jeszcze taras — zauważył Kapa.

Zimnej Głowie zbierało się na płacz. Wewnątrz pałacu

Pianchi może i zdołałby się uratować przed niszczącym działaniem spadającej z nieba gwiazdy, na tarasie jednak...

— Stare nogi nie chcą mi już służyć — wyznał dziekan Wielkiej Rady.

— Odpocznij, sam pójdę.

Powoli i ze ściśniętym sercem karzeł zaczął wstępować na długie schody wiodące na taras. W świetle księżyca ujrzał ich.

Pianchi i jego małżonka leżeli obok siebie, Abilea z głową złożoną na piersi męża.

Tak więc zginęli jednocześnie, złączeni miłością.

— Co tu robisz, Zimna Głowo?

Karzeł podskoczył, dygocąc na całym ciele. Czyżby to surowy głos Amona karmił go za zuchwałość?

— Coś poważnego wydarzyło się w stolicy? — zapytał unosząc się Pianchi.

Zimnej Głowie wydało się, że ma przed sobą ducha.

— To Wasza Królewska Wysokość... Wasza Król...

— Czyżbym aż tak się zmienił?

— Z nieba spadła gwiazda... ognista kula...

— Widzisz gdzieś ślady pożaru?

Obudziła się i królowa.

— Śnił mi się ogień z nieba... Otoczył nas jak ochronna zorza. Byliśmy w środku słońca świecącego wśród nocy.

— To cud! — wykrzyknął Zimna Głowa, zbiegając ze schodów. — To cud! Bóg Amon zamienił królewską parę w światło!

Orzeczenie Wielkiej Rady, zdanie kapłanów i głosy ludu

— wszystko to brzmiało jednakowo: Amon pod postacią ognia zstąpił z nieba na ziemię, Amon mieszkający na Czystej Górze uznawał Pianchiego za swego syna i prawowitego władcę.

Gdy słońce zaczęło się wznosić nad górę Dzebel Barkal i jej wierzchołek przybierał kształt korony, Przyjaciele i Towarzysze Króla, Starcy i Kapłani ustami swego seniora zatwierdzili Pianchiego na stanowisku głowy państwa.

— Wszyscy jesteśmy twymi sługami — przemówił stary Kapa. — Rozkazuj, a będziemy cię słuchali, gdyż twoimi krokami kieruje myśl Stwórcy.

Na obliczu Otoka rozlał się szeroki uśmiech. Tłuscioch marzył już o wspaniałej uczcie, jaką wyda dla uczczenia drugiej koronacji Czarnego Faraona. Ze względu na obfitość

i jakość potraw będzie ona stanowiła przełom w dziejach nubijskiej gastronomii.

— Najpilniejsza w tej chwili sprawa to złożenie hołdu przodkom — zarządził Pianchi. — Bez nich już by nas nie było. A są oni nie za nami, lecz przed nami, gdyż znają i życie, i śmierć.

Pianchi wkroczył do królewskiej łodzi, której dziób obrobiony był w kształt głowy barana, świętego zwierzęcia Amona. Zasiadł na tronie, Abilea zajęła miejsce obok niego. Dał znak, by ruszyć w dół rzeki, w stronę Kurru. Wspaniałą flota — na pokładach nie brakowało ani jednego dostojnika — płynęła z tyłu.

Kurru był to cmentarz władców nubijskich. Spoczywał na nim ojciec Pianchiego. Skromne nagrobki z niszą ofiarną sąsiadowały tu szybami grobowymi i grobowcami przypominającymi domy wieczności Starego Państwa — ich ściany zbudowane były z pięknego lśniącego wapienia, a przez wnękę od strony wschodniej żywi mogli kontaktować się ze zmarłymi za pośrednictwem ofiar.

Pianchi, którego imię znaczy tyle co „Żyjący”, stwierdził, że przeznaczony dla niego grobowiec jest już prawie gotów.

Nadano mu kształt piramidy z wykutą we wnętrzu pochylnią prowadzącą do komory grobowej, z rzeźbionym sklepieniem. Tuż obok znajdowało się ostatnie mieszkanie jego

małżonki, która towarzyszyć mu będzie i w zaświatach.

W piramidzie Pianchiego spoczywali już dwaj wierni przyjaciele faraona — jego dwa pierwsze konie. Przeszły obrzęd otwarcia ust, uszu i oczu oraz zastąpienia serca śmiertelnego niezniszczalnym i teraz, zmumifikowane, stały w głębokich rowach.

Pianchi złożył przodkom w ofierze kwiaty, pachnidła, świeży chleb, wino, mleko, piwo, świąteczną oliwę, tkaniny i złote naszyjniki.

— Imiona wasze wyryte są w kamieniu i nigdy nie pójdą w zapomnienie — rzekł. — Zwracam im życie i to samo czynić będzie syn mojego syna. Naprawdę godnym swego imienia jest człowiek, który uwiecznia pamięć swoich przodków i zastawia ich stoły ofiarami.

Abilea stała rozpromieniona. Podzielała zdanie małżonka, że Egipcjanie z Dwóch Krajów z każdym dniem coraz bardziej zapominają o tradycjach i odchodzą od prawa bogini Maat. Wkrótce nawet święty gród, Teby, lekceważyć będzie swoje święte obowiązki i da się omotać mirażem zysku i osobistych ambicji.

To właśnie tu, w Napacie, na tej dalekiej a dzikiej ziemi, Czarny Faraon pielęgnuje dawne obrzędy, każe czytać stare teksty, kultywuje mądrość z epoki piramid i kontynuuje dzieło Totmesa Trzeciego, Setiego Pierwszego i Ramzesa

Drugiego.

Uczestniczący w tej uroczystości Zimna Głowa odczuwał szczególną dumę. To on jako skrupulatny skryba nawoływał, zgodnie ze wzorami pierwszych wieków, do stosowania pisma hieroglificznego, żądał posługiwania się językiem klasycznym, wolnym od barbaryzmów i wszelkich obcych wtrętów, od których roiło się w zwyrodniałej mowie ludzi Północy. Wskreszenie kształtu piramidy i widok wrytego na kamieniu promienia świetlnego przywodziły na pamięć złoty wiek faraonów.

W ogródku przed grobem swego ojca Pianchi zasadził krzak tamaryszku. W chwili gdy łączył się z niewidzialnym, wydawało mu się, że znów widzi, jak Amon podaje mu łuk.

Jaką groźbę zwiastowała ta zapowiedź?

Na Herakleopolis, „gród królewskiego dziecka”, miasto stare i wierne Czarnemu Faraonowi, Tefnacht rzucił wszystkie swoje siły. Nowy generał zaskoczony był posłuszeństwem libijskich naczelników plemiennych, którzy bez protestu wykonywali jego rozkazy.

Libijczycy zaatakowali jednocześnie w czterech punktach, czym zaskoczyli obrońców i wywołali wśród nich panikę. Książę Peftau, sześćdziesięcioletni skryba, potomek możnego miejscowego rodu i wielki właściciel ziemski nic nie mógł przeciwstawić takiej gwałtowności. Jego żołnierze, choć zaprawieni w bojach, nie zwykli byli prowadzić walki na taką skalę.

Pół godziny wystarczyło wojsku z Północy, żeby opanować jedną z baszt, wyłamać umocnioną bramę i wdrzeć się do miasta. Z wysokości murów obronnych łucznicy księcia Peftau próbowali powstrzymać falę nacierających, ale procarze libijscy szybko ich wybili.

Niektórzy cywile odważnie włączyli się do walki, ale upojeni powodzeniem żołnierze z Północy szybko roznieśli ich na mieczach.

Peftau w obawie że dalszy opór skończy się rzezią ludności miasta, wyszedł w otoczeniu swej przybocznej gwardii z pałacu i kazał swoim ludziom rzucić na ziemię

miecze i tarcze.

Tefnacht podszedł do zwyciężonego.

— Zgadzasz się na bezwarunkową kapitulację?

— Jesteśmy twoimi jeńcami, oszczędź jednak mieszkańców miasta.

— Zgoda, pod warunkiem że wszystką broń złożycie na głównym placu miejskim, bez wyjątku.

— Masz moje słowo.

Podniecenie stopniowo opadało. Herakleopolis posłuchało swego księcia, kobiety i dzieci tuliły się do siebie, wystraszone okrutnymi spojrzeniami zwycięzców. Jeden z żołnierzy próbował uciekać, ale czterech piechurów libijskich dogoniło go, wbili mu włócznię w plecy i zdeptali nieszczęsnego.

Ta straszliwa scena do reszty odebrała mieszkańcom miasta wszelką chęć oporu. We wszystkich dzielnicach złożono broń.

— To chyba ty jesteś księciem Sais? — zapytał przygnębiony Peftau.

— Obecnie jestem naczelnym wodzem koalicji północnej, a jutro zjednoczę Dwa Kraje — odparł Tefnacht.

— To nie wiesz, że jedynym prawowitym faraonem jest Pianchi i że to miasto należy do niego?

— Daję ci wybór, Peftau. Albo zostaniesz moim wasa-

lem, albo zginiesz.

Księżę Herakleopolis zrozumiał, że Tefnacht nie żartuje.

Jego wzrok był wzrokiem bezlitosnego zdobywcy. Skłonił się.— Uznaję cię za swojego zwierzchnika.

— Występujesz ze służby u Pianchiego? -

— Występuję... A ty jakie masz plany?

— Herakleopolis to był tylko etap.

— Tylko etap?... Nie planujesz chyba dalszego marszu na południe?

Tefnacht rozejrzał się.

— Jedna trzecia twoich żołnierzy zginęła lub odniosła rany. Ale pozostałe dwie trzecie to doświadczeni wojacy.

Wejdą w skład moich wojsk, razem zaatakujemy i zdobędziemy inne miasta, pozostające jeszcze pod władzą Pianchiego.

— Herakleopolis to wspaniała zdobycz, a rozgłos o twoich czynach wystarczająco przerazi Nubijczyków... Po co chcieć więcej?

— Nie masz w sobie wielkości, Peftau, i nie sięgasz wzrokiem poza obręb tego miasta. Bądź mi ślepo posłuszny, a zachowasz swe przywileje.

Tefnacht zostawił pokonanego i w pałacowej sali posłuchań zwołał wodzów plemiennych. Niektórzy byli już pijani, inni pokryci jeszcze krwią ofiar, ale wszyscy wy-

krzykiwali imię generała, który poprowadził ich do wspaniałego i szybkiego zwycięstwa, choć przedtem większość z nich obawiała się zażartego oporu ze strony załogi i ludności miasta. Tefnacht udowodnił im jednak, jak znakomitym jest wodzem, i ukazał niespodziane perspektywy na przyszłość.

Wzbudził w nich pragnienie walki i zniszczenia Egipcjan, odwiecznych wrogów, którzy przez całe wieki upokarzali Libię.

Tefnacht miał zamiar omówić wnioski z pierwszej zbrojnej wyprawy, ale stan podwładnych zmusił go do zmiany planów.

Pełen obrzydzenia do tych miernot zostawił ich samych; niech sobie piją! Wychodząc z pałacu, natknął się na Aka-nosza, ubranego w długą czerwoną szatę w pasy.

— Dlaczego nie wzięłeś udziału w szturmie? — zapytał.

— Jestem rzecznikiem plemion, a nie żołnierzem, i nie mam obowiązku rzucać się w wir walki.

— Czyż nie podobał ci się mój sukces?

— Odniosłeś wspaniałe zwycięstwo, Tefnachcie, i twojej władzy nie sposób już podważać. Będę więc jak najdokładniej przekazywał wszystkie twoje rozkazy.

— Zatem wydaję ci rozkaz. Każesz wzmocnić mury obronne Herakleopolis i zorganizujesz patrole porządkowe.

Tefnacht ruszył na poszukiwanie Nartreba i Jegeba. Tego drugiego znalazł wśród rabusiów plądrujących domostwo kapitana łuczników z Herakleopolis, który zginął podczas szturmu. Mimo opuchniętych nóg i trudności z chodzeniem Semita wykazywał ogromną aktywność i napełniał właśnie wielki worek złotymi pucharami.

Na widok Tefnacha stanął na baczność.

— Panie... Niczego się nie obawiaj, pilnuję tych ludzi.

Wezmą tylko to, co im się należy.

— Ufam ci. Gdzie jest Nartreb?

— Na piętrze — odparł Jegeb z dziwnym uśmiechem.

— Ale zdaje mi się, że jest raczej zajęty.

Tefnacht wstąpił na schody. Z piętra dochodziły krzyki kobiety, którą Nartreb okrutnie gwałcił i policzkował.

— Dość tego, Nartrebie!

Brutał nie przerwał.

— To tylko córka oficera, który był na żołdzie u Pianchiego. Jestem pewien, że nigdy jeszcze nie miała do czynienia z takim mężczyzną jak ja.

Tefnacht kopnął Nartreba w bok.

— To boli, panie.

— Idź do Jegeba i zajmijcie się osobą księcia Herakleopolis, Peftau.

Nartreb włożył spódniczkę, z całkowitą obojętnością wo-

bec dziewczyny, która patrzyła nań z nienawiścią.

— Czyżbyś, książę, nie był pewien jego wierności?

— Chcę wszystko o nim wiedzieć, i to szybko. Przed odejściem gwałciciel zwrócił się do swej ofiary.

— Zobaczymy się jeszcze, malutka.

Egipcjanka zakryła sobie brzuch i piersi kawałkiem podartej szaty.

— Jak się nazywasz? — zwrócił się do niej Tefnacht.

— Jutrzenka. Czy to ty jesteś naczelnym wodzem Libijczyków?

— Jestem nowym panem tego miasta.

— Zabiłeś mojego ojca, więc ja zabiję ciebie.

W pobliżu świątyni Amona, na dwumetrowej platformie, wznosił się otoczony murem pałac Czarnego Faraona. Żeby przepuścić wszystkich mieszkańców Napaty, zaproszonych na wielką ucztę wydawaną na cześć Pianchiego, rozwarto oba skrzydła głównej bramy. Mistrzem ceremonii był sam Otok, smakosz i obzartuch, toteż spodziewano się niezwykłego wieczoru.

Kapitanowi łuczników Puarmie największej trudności sprawił wybór towarzyszkę spośród tuzina pięknych dziewcząt, bo każda błagała go, by zabrał właśnie ją. Dopiero losowanie i długie, mętne wymówki poparte podarkami, które zwiększyły długi kapitana, pozwoliły mu wybrnąć jakoś z kłopotów.

Na szczęście wybór padł na najmniej gadatliwą. Zwisała teraz u jego ramienia i pożerała oczyma nie znany sobie widok. W ogrodach płonęły wbite w ziemię pochodnie, oświetlając palmy, sykomory, krzewy tamaryszku, sadzawki, w których wodach kwitły białoniebieskie kwiaty lotosów i migotały odblaski światła. Goście podziwiali pałacowe kolumny w kształcie łądyg papirusu, a służba podawała każdemu pachnącą chustę i kubek chłodnego białego wina.

Puarma i jego towarzyszkę pokonali główne schody z ró-

żowego granitu, których boki zdobione były rzeźbami powalonych, zwyciężonych wrogów. Wielka kolumnowa sala przyjęć, gdzie rojno było od dworzan, olśniła ich: posadzki z emaliowanych żółtych, zielonych, błękitnych i fioletowych płytek, gzymsy z połączanego stiuku, płaskorzeźby przedstawiające dzikie byki, pantery i słonie.

W głębi sali, między dwoma wyciosanymi z wapienia lwami, wznosił się baldachim osłaniający dwa trony, na których podczas oficjalnych przyjęć zasiadali Pianchi i Abilea. Towarzyszka Puarmy wprost osłupiała na widok tylu wspaniałości, więc kapitan łuczników wołał już nie mówić jej, że pod centrum pałacu leży wmurowana ogromna bryła rodzimego złota — symbol ukrytej w ciemnościach światłości.

Ktoś potrafił Puarmę.

— Kto to?... Ach, to ty, Zimna Głowa. Nie włożyłeś odświętnej szaty.

— Za dużo mam zmartwień — odparł pisarz, wyraźnie u kresu wytrzymałości nerwowej.

— Co się stało?

— Chodzi o odprowadzanie brudnej wody. Dałem robotnikom ściśle wskazówki, a oni i tak wszystko spartaczyli! A przecież to proste... Kamienne zbiorniki trzeba obramować miedzianą blachą. Wybić dostatecznie szeroki otwór, zatyka się go metalowym

korkiem, wyliczyć właściwie średnicę rur... Robi się te rury z klepanej blachy miedzianej. Na próżno pokazywałem im plany i podawałem prawidłowe wymiary, sieć w lewym skrzydle pałacu znów się zapchała. Wynik jest taki, że dla mnie nie ma święta i znowu muszę iść i potrząsnąć tą zgrają partaczy!

Tak narzekając karzeł oddalił się. Do sali weszli tymczasem muzykanci. Dwie harfistki zagrały cudną melodię, a wkrótce wtórować im zaczęły flet, obój i klarnet.

Po zakończeniu koncertu mistrz ceremonii poprosił gości o przejście do sali bankietowej. Towarzyszka kapitana łucz-
ników omal nie zemdląca na widok wspaniałych niskich stolików z hebanowego drewna, przybranych bławatkami i kwiatami mandragory, lamp oliwnych rozstawionych na wysokich słupach z pozłacanego drewna, a zwłaszcza na widok zastawy stołowej. Tace, kubki, talerze, czarki, wycieraczki do palców — wszystko było ze złota!

Wokół unosił się delikatny zapach, a służba machając wachlarzami — jedne były trzciniowe i miały kształt lotosu, inne sporządzono z piór strusich — chłodziła biesiadników, którzy rozsiedli się wygodnie w przestronnej komnacie.

Piękne damy, obwieszane naszyjnikami z sześciu sznurów półszlachetnych kamieni i złota, prześcigały się w elegancji. Towarzyszka Puarmy nigdy dotychczas nie widziała takiego

mnóstwa krwawników, jaspisów, turkusów i lapis-lazuli, nie mówiąc już o złotych zausznicach, którym złotnicy ponadawali najprzeróżniejsze kształty.

— Czy jestem dość elegancka? — niepokoila się.

— Jesteś wspaniała — zapewnił ją kapitan łuczników, któremu brakło środków, by tę towarzyszkę jednego wieczoru pokryć klejnotami.

Gdy do sali weszli Pianchi i Abilea, biesiadnicy wstrzymali oddech z zachwytu. Monarsza para, połączenie potęgi z pięknoscia, zaćmiła wszystkich, którzy mieli nadzieję jej dorównać. Mieniające się blaskiem złote naszyjniki i bransolety, czarna skóra Pianchiego i miedziana Abilei tworzyły nadziemską prawie harmonię. Klejnoty, które miała na sobie królewska para, były tak wspaniałe, że można by je ofiarować nawet bogom. Wszystkich raz jeszcze uderzyła ogromna siła bijąca z postaci Pianchiego i wrodzona szlachetność jego małżonki. Ona również musiała mieć wiele sił, by utrzymywać swą pozycję u boku tak dostojnego władcy!

Pianchi podniósł w górę ogromną perłę, na którą skierowały się oczy zebranych.

— Spójrzcie na to arcydzieło natury. Czyż nie jest to widomy symbol sfery stwarzania, przezroczystego łona niebiańskiej matki, w którym co rano rodzi się nowe

słońce? Złóżcie hołd temu światłu, które tak obficie na was spływa, temu szczodremu życiu, które przybiera niekiedy postać śmierci, by tym lepiej obudzić nas w wieczności.

Ujął w ręce złoty puchar, któremu rzeźbiarz nadał kształt lotosu zwieńczonego okrągłymi płatkami. Tak właśnie wyobrażano sobie proces zmartwychwstania, odrodzenia się duszy wpisanej w wyłaniający się z praoceanu lotos. A wino w pucharze — czyż nie był to hołd na cześć Hathor, bogini twórczej miłości i gwiazd, tej, która ciągnęła do radosnego tańca gwiazdozbiory, gdy boskie upojenie napełniało serce bytu?

Pianchi wypił łyk, po nim to samo zrobiła królowa.

Uroczystość mogła się rozpocząć.

Mieć w taki wieczór służbę to bardzo wątpliwa przyjemność. Faraon nie zapominał jednak ani o oficerze, ani o żołnierzach czuwających tej nocy nad bezpieczeństwem stolicy.

Podwoił im żołd, a następnego dnia każdy otrzyma dzban czerwonego wina.

Wprawdzie jeśli się chciało otrzymać awans i nie pracowały się, należało od czasu do czasu się poskarżyć, trzeba było jednak przyznać, że zawód żołnierza w Napacie nie był specjalnie uciążliwy. Miasto było bogate i dobrze zarządzane, ludność szczęśliwa i spokojna, żadnych kon-

fliktów wewnętrznych, żadnej wojny na horyzoncie... Niedługo, gdy do wojsk faraona werbowano Nubijczyków do wojny z Libią i Syrią, dobrze było mieć przy sobie w czasie niebezpiecznych wypraw wiele amuletów ochronnych i być dobrze przygotowanym do walki.

Oficer, gdyby to od niego zależało, pozwoliłby sobie na chwilę ożywczego snu pod rozgwieżdżonym sklepieniem nieba, gdzie lśniły dusze faraonów uznanych na całą wieczność za ludzi „prawego słowa”. Z pewnością jednak zauważyłby to któryś z wartowników i doniósł zwierzchnikowi.

Zwilżył więc sobie wargi i czoło ciepłą wodą i wrócił na stanowisko. Wzrok skierował na dróżkę od północy, gdzie wznosił się pierwszy fort osłaniający stolicę. Podróżnych udających się do Napaty poddawano tu ścisłej kontroli.

Miał w pałacu krewniaka-kucharza, więc pewnie spróbuje jutro specjałów, których goście Pianchiego nie dojedzą.

Mówiło się między innymi o „przysmaku Ramzesa”, marynacie według przepisu, który przetrwał wieki.

Na pustyni zabłysło światło.

Oficerowi wydawało się początkowo, że to mrugająca gwiazda, szybko jednak poddał się oczywistości — sygnał alarmu przesyłał strażnik stojący na czatach.

Sygnał powtórzył wielokrotnie, co wskazywało na blis-

kość niebezpieczeństwa.

Oficer wahał się.

Budzić króla czy poczekać do rana? Wyrwanie Pianchiego ze snu mogło oznaczać wybuch jego gniewu, ale zwłoka mogła okazać się czymś jeszcze gorszym. Nie wiedząc, co robić, oficer postanowił porozumieć się z Zimną Głową. Pisarz, który zdążył wreszcie doprowadzić do naprawienia układu odprowadzającego zużytą wodę i który dopiero co zasnął, najpierw wydał z siebie długi ciąg jęków, a potem uniósł się na łóżku.

— Czego chcesz?

— Poważna sprawa... Należałoby może zawiadomić Jego Królewską Wysokość.

— Przecież chyba nikt nie próbuje atakować Napaty!

— Tak, ale...

Tym razem Zimna Głowa obudził się na dobre.

— Czy kontrolujesz sytuację?

— Tak, zatrzymano jakiegoś człowieka.

Karzeł zmarszczył brwi.

— Człowieka?... I chcesz mi tu wmawiać, że jeden człowiek zaatakował Napatę?

— Kto wędruje nocą, jest zawsze podejrzany! Nasze służby bezpieczeństwa okazały się bardzo sprawne i mam nadzieję, że moje zasługi...

— Pomówię o tym z królem.

Pianchi nie spał.

Przez długie godziny wytrzymywał pochlebstwa dworaków, którzy prześcigali się w żarliwości, piejąc pochwały pod jego adresem. Wszyscy wychwalali smak potraw i win, a Otoku w nagrodę za swe talenty organizatorskie otrzymał tyle mocnego piwa, ile sam ważył.

Czarnego Faraona ani przez chwilę nie cieszyły wspaniałości tego wieczoru. Dręczył go jakiś niepokój, nie pozwalał mu rozkoszować się ucztą, którą dwór będzie wspominał przez wiele jeszcze miesięcy. Abilea dostrzegła, że mąż jest zafrasowany, wołała jednak nie przeszkadzać mu w rozmyślaniach.

Z tarasu pałacowego Pianchi wpatrywał się w niebo.

Tylko gwiazdy posiadały najwyższą mądrość, znały bowiem prawdziwą potęgę — potęgę pochodzenia życia.

Na tarasie rozległy się lekkie kroki.

— Ach, to znowu ty, Zimna Głowo.

— Przepraszam, że niepokoję Waszą Królewską Wysockość, skoro jednak nie śpisz...

— O tej porze zwykle śpisz jak suseł.

— Jakiś człowiek usiłował wśliznąć się do miasta, zatrzymali go łucznicy. Oficer pełniący służbę prosi o uznanie jego zasług i o łaskawy awans.

— Niech pełni nocną służbę jeszcze przez ten miesiąc, a potem zobaczymy. Czy ten zatrzymany podał swoje imię?

— Oficer twierdzi, że coś tam bełładnie bełkoce. Utrzymuje, że jest sługą Amona i ma poufne wiadomości dla prawowitego faraona.

— Przesłuchałeś go?

— Nie, panie. Uznałem, że sam wołałbyś jak najszybciej ujrzeć tego dziwnego przybysza.

— Wprowadź go do sali posłuchań.

Pierwszego dnia pierwszego miesiąca pory przyboru, dwudziestego pierwszego roku panowania Pianchiego, poranna zorza zaśniła wyjątkowo wspaniale. Zza Wschodniej Góry wytrysnęło światło pod postacią słonecznej tarczy — widomy obraz Stwórcy, którego ziemskim przedstawicielem był faraon.

Salę posłuchań pałacu w Napacie zalewało już światło wstającego dnia, gdy przybysz stanął przed Pianchim. Ręce miał skute drewnianymi kajdankami, pilnowało go dwóch żołnierzy.

— Oswobodzić go i zostawić nas samych! — rozkazał faraon.

Na widok olbrzyma o lśniącej czarnej skórze przybysz oniemiał. Przez dłuższy czas nie był w stanie wykrztusić

słowa.

— Wasza Królewska...

— Kim jesteś?

— Kapłanem Amona.

— Jaki masz stopień w świątyni?

— Jestem rytualistą, zajmuję się czyszczeniem naczyń do wieczornych obrzędów.

— Z jakiej jesteś świątyni?

— Z Karnaku, ze świątyni Amona-Re, ojca bogów.

— Jak tu dotarłeś?

— Zabrałem ze sobą mapę, kilka razy przesiadałem się ze statku na statek, a, ostatni etap przebyłem piechotą.

— Wędrowanie nocą jest niebezpieczne... mógł cię ukąsić wąż.

— Musiałem podjąć to ryzyko, bo trzeba zapobiec ukąszeniu przez gada niebezpieczniejszego niż wszystkie nubijskie kobry razem wzięte, gada, który owija się wokół Egiptu, odbiera dech wszystkim jego mieszkańcom, a wkrótce odbierze im życie.

— Wyrażasz się bardzo zagadkowo.

— Czy Wasza Królewska Wysokość zna człowieka o imieniu Akanosz?

— Księżę libijski z Delt.

— Akanosz, ryzykując życie, przesłał wiadomość do

Karnaku. Mnie kazano przekazać ją tobie.

— Daj mi papirus, który przyniosłeś.

— Wiadomość jest ustna.

— No to mów.

— Tefnacht, księżę Sais, został naczelnym wodzem koalicji plemion libijskich. Opanował najpierw zachodnią część Deltę, a potem całą Deltę. Mając liczną armię zajął Memfis i ruszył na południe. Miejscowi książęta i naczelnicy miast i okręgów łaszą się do niego jak psy i nikt nie kwestionuje jego rozkazów. Wszystkie miasta aż po Merakleopolis otworzyły przed nim bramy i teraz on tam rządzi.

— Jednakże wierny mi księżę Peftau stawiał mu opór i zatrzymał go. Pewny siebie Tefnacht zawrócił, a jego koalicja się rozpadła.

— Przykro mi, ale muszę cię, Wasza Królewska Wysockość, wyprowadzić z błędu. Tefnacht wziął Herakleopolis szturmem i Peftau nie był w stanie mu się oprzeć.

— Zabito go?

— Nie, poddał się.

— A co z mieszkańcami?

— Oszczędzono ich, ale żołnierze księcia Peftau przeszli pod rozkazy Tefnacha.

— Nic nie wskazuje na jakiś bunt z ich strony?

— Albo słuchają, albo już nie żyją. Obecnie wszyscy są w szeregach twoich wrogów, panie.

— Twierdzisz, że Tefnacht włada w Herakleopolis?

— Tak jest, Wasza Królewska Wysokość. I musisz przyjąć za pewnik, że stoi on na czele silnej armii, która kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa.

— Czy wiesz coś na temat jego planów?

— W każdej chwili gotów jest walczyć i iść coraz dalej na południe.

— Aż do Teb?

— To pewne, panie.

Przez kilka chwil Czarny Faraon stał w milczeniu, jakby przywalony ciężarem tych wieści. A potem wybuchnął śmiechem.

Reakcja Pianchiego zbiła kapłana Amona z tropu.

— Wasza Królewska Wysokość... Nie wierzysz mi?

— Jesteś człowiekiem modłów i rozmyślań, o wojnie nie masz pojęcia.

— Akanosz osobiście...

— Czy on jest w stanie obiektywnie ocenić sytuację?

Akanosz to libijski wojownik i musi podporządkować się temu pyszałkowi Tefnachlowi. Te wydarzenia to nic poważnego.

— Ależ, Wasza Królewska Wysokość, wkrótce cały Środkowy Egipt znajdzie się pod władzą Tefnacha!

— Hermopolis, miasto boga Tota, dochowa mi wierności. Tefnacht nie odważy się go zaatakować.

Kapłan Amona nic z tego nie rozumiał.

— Nie podejmiesz żadnych kroków, panie?

— Zwołuję radę wojenną. Uspokój się, dostaniesz kwaterę i dobry wikt. Przyjmie cię świątynia Amona, będziesz mógł w niej wykonywać swoje święte obowiązki.

— Mam prośbę do Waszej Królewskiej Wysokości.

— Słucham cię.

— Mogę zamieszkać w stolicy? Mówi się, że można w niej odnaleźć najstarsze tradycje.

— Niech się stanie wedle twojego życzenia.

Rada Wojenna Czarnego Faraona składała się z jego pierwszej małżonki Abilei, pisarza Zimnej Głowy, kapitana łuczników Puarmy i zarządzającego kopalniami złota Otoku. Pianchi darzył ich zaufaniem, wiedział, że nie oszukują go i nie kłamią.

Ministrowie i dworacy dbali tylko o swoje osobiste interesy i potrafili jedynie gadać bez końca. Ważne decyzje należało więc podejmować w ścisłym gronie, a dwór tylko z nimi zapoznawać.

Pianchi zebrał swoich doradców w najbardziej ocienionej części ogrodu, z sadzawką na środku. Faraon często się tu kąpał. Upały ostatnich dni lipca, uciążliwe nawet dla Nubijczyków, cieszyły Pianchiego. Czyż nie wyzwalały one siły ziemi, poddając żywe istoty ciężkiej próbie? Zadaniem człowieka było oswoić się z tą siłą.

Otoku nie podzielał upodobań faraona. Trzymał nogi w miednicy z zimną wodą, głowę owinał sobie wilgotną chustą skropioną wonną mirrą. Zimna Głowa, walcząc z upałem, pił kwartami lekkie piwo. Gorąco nie dokuczało natomiast królowej Abilei — siedziała pod parasolem, w ażurowej sukni, która bardzo słabo okrywała jej wspaniałe kształty. Kapitan łuczników Puarma paradował nago, wcale nie kwapiąc się do założenia żołnierskiego rynsztunku.

— Rozprosz moje wątpliwości, Wasza Królewska Wysokość — odezwał się Otoku, nacierając sobie ciało maścią olibanową z dodatkiem wonnej cibory. —

Spotykamy się z przyczyn czysto towarzyskich, prawda?

— Mylisz się. Tak jak się domyślałeś, będzie to rada wojenna.

Tłuścioch wytarł sobie czoło.

— Czyżby zbuntowało się jakieś plemię?

— Zapowiada się coś poważniejszego. Libijski książę Tefnacht zdołał podobno zjednoczyć swoich sprzymierzeńców i utworzył armię.

— To śmieszne — stwierdził Puarma. — Dla Libijczyka największym wrogiem jest drugi Libijczyk. Nigdy nie zgodzą się na jednego przywódcę.

— Tefnacht potrafił jednak przemówić im do rozsądku i prowincje północne obwołały go naczelnym wodzeni. Od tej pory podlegają jego władzy.

— Musiało do tego dojść — zauważył Zimna Głowa. —

Życie na Północy staje się coraz cięższe, tysiące ludzi nie znajdują już pracy, ceny żywności bez ustanku rosną, nikt nie oddaje czci bogom, a niesprawiedliwość i przekupstwo rozpanoszyły się i rządzą niepodzielnie. Skutek mógł być tylko jeden:

nadejście tyra, dość inteligentnego, by oprzeć się na dobrze wyposażonej armii.

— Dobrze wyposażonej? Niemożliwe! — sprzeciwił się kapitan łuczników. — Północ jest za biedna, by mogła wystawić zdolną do boju armię.

— Tefnacht jest panem Memfis — oznajmił Pianchi — i zajął Herakleopolis.

Słowa Czarnego Faraona wprowadziły obecnych w głębokie przygnębienie.

— Skąd masz takie wieści, Wasza Królewska Wysokość?

— zapytał Otok.

— Przyniósł mi je pewien kapłan Amona. Odbył w tym celu długą podróż.

— Nie potraktowałaś tego poważnie — zauważyła królowa Abilea.

— To prawda — przyznał Pianchi. — Na moje wyczucie ten Tefnacht chciał rozciągnąć swą władzę nad libijskimi przywódcami z Północy, więc sukces był mu potrzebny. Zdobył Herakleopolis i to rzeczywiście jest osiągnięcie, ale dalej nie odważy się pójść, nie ma na to sił. Nie awansuje się z dnia na dzień z herszta na stratega.

Kapitan łuczników skinął potakująco głową.

— Mimo wszystko trzeba podjąć jakieś kroki odwetowe

— zaznaczył Otoku. — Nie ukarać tego warchoła to zachęcać go.

— Ja widzę to w ciemniejszych kolorach — oświadczył Zimna Głowa.

Uwaga karła przejęła chłodem wszystkich zebranych.

Wszyscy wysoko cenili jego inteligencję i poważnie liczyli się z jego zdaniem.

— Czego się obawiasz? — zaniepokoił się Otoku.

— Zasadniczej zmiany w postawie ludzi Północy. Dotychczas żarli się między sobą, nie byli więc niebezpieczni. Czyż i my nie przeżyliśmy takiej anarchii w Nubii? Od chwili gdy uznali nad sobą zwierzchnictwo jednego władcy i przyjęli jego strategię, sumują się już nie ich wady, lecz zalety.

Wódz sprawdza się w działaniu. W Memfisie, choć nie jest to byle miścina, od dawna nie było nikogo z głową na karku, więc miasto nie mogło stawić oporu nawet słabemu napastnikowi. Herakleopolis natomiast było miastem warownym, twierdzą, miało doświadczoną załogę dowodzoną przez Peftau, księcia wiernego Pianchiemu. Zdobycie takiego miasta to nie byle co i Tefnacht może czuć się dumny, bo odniósł rzeczywisty sukces, wzmacniający jego prestiż.

— Chcesz nas przestraszyć czy sprowokować? —

zapytał Pianchi.

— Ani jedno, ani drugie, Wasza Królewska Wysokość.

Powiedziałem po prostu to, co myślę.

— Trudno mi uwierzyć, żeby ten Tefnacht ośmielił się

rzucić nam wyzwanie — oburzył się Puarma. — To

jego zwycięstwo, o ile rzeczywiście je odniósł, nie

będzie miało następstw. Jak pospolity herszt

odważyłby się narazić na gniew faraona?

— Gdy usłyszałem relację o jego sukcesach, wybuch-

nąłem śmiechem — stwierdził władca — ale uwagi

Zimnej Głowy nasuwają mi myśl, że być może się

pomyliłem.

— Awanturnik, który potrafi wykorzystać nędzę ludu,

może skłonić ten lud do każdego szaleństwa —

oświadczyła królowa. — Jeśli Tefnacht upoi się swym

sukcesem, straci wszelką kontrolę nad samym sobą i

nie będzie się już przejmował, że zostawia na swojej

drodze stosy trupów. Zgadzam się z Zimną Głową, że

groźby najazdu na Południe nie należy lekceważyć.

— Atak na Hermopolis jest nie do pomyślenia — upierał

się Puarma. — Książę Nemrod przysięgał na wierność

Pianchiemu, a jego wojska potrafią odeprzeć każdy

szturm.

— To samo myśleliśmy i o Herakleopolis — przypomniał

karzeł. — Jeśli Tefnacht opanuje Środkowy Egipt,

droga do Teb stanie przed nim otworem. A potem...

kto wie...

— Nieprawdopodobne — rzekł Otok. — Przecież wiesz,

że nasze oddziały stojące w Tebach stanowią wielką

siłę odstrasżającą.

— Miejmy nadzieję.

Dowódca łuczników ze spuszczonego wzrokiem zwrócił

się do Pianchiego.

— Co postanowiłeś, panie?

— Muszę się zastanowić.

Małżonka libijskiego księcia Akanosza była tak wzburzona, że nawet się nie umalowała.

— Chodź — rzekła do męża. — Chodź natychmiast!

— Nie zjadłem jeszcze śniadania, jestem nie ogolony i...

— Chodź!

Akanosz wsunął w zaplecione włosy pióro wojownika, pośpiesznie przewiązał na lewym ramieniu długi płaszcz.

Nie mógł przecież pokazać się na ulicach Herakleopolis bez oznak swej potęgi.

— Dokąd mnie prowadzisz?

— Do szpitala, gdzie leżą cywile ranni w czasie szturm.

— Miejsce ani nie dla ciebie, ani nie dla mnie.

— Czy należysz do koalicji dowodzonej przez

Tefnachta? Tak czy nie?

— Tak, ale...

— No to wejdź do tego szpitala!

Wejścia do budynku z nie wypalanej cegły strzegło dwóch piechurów. Skrzyżowali włócznie i zatrzymali wchodzących.

— Jestem księżę Akanosz. Wpuście nas!

— Jegeb zabronił wszelkich wizyt.

— Jak śmiesz sprzeciwiać się mojej woli, żołnierzu! Twój

Jegeb to wesz! Jeśli będziesz się upierał, przeniosę was do służby w Delcie na bagnach!

Wartownicy opuścili broń.

Zaraz za progiem Akanosz poczuł straszliwy smród.

Krew, gangrena, śmierć... Na gołej ziemi ułożono tu dziesiątki kobiet i mężczyzn. Leżący bliżej jęczeli, w głębi leżały trupy. Jednego ze zmarłych żołnierze wyciągali właśnie za nogi.

— Dokąd go bierzecie? — zapytał Akanosz.

— Wrzucimy go do rowu, który Jegeb kazał nam wykopać. Będzie o jedno miejsce więcej... Gdy wyrzucimy wszystkie trupy, przywieziemy nowych rannych. I tak dalej, póki ranni jeszcze będą.

— Jaką opiekę mają tutaj ci biedacy?

— Żadnej. Najlepsza dla nich rzecz to szybko umrzeć.

Księżę Peftau odstąpił Tefnachtowi pierwsze piętro swego herakleopolitanskiego pałacu. Zwycięski generał spotykał się tu kolejno ze swymi sojusznikami, przekonując ich o słuszności swego postępowania i o konieczności podjęcia wielkiej ofensywy.

Przed salą posłuchań urzędował Jegeb i sprawdzał listę gości.

— Chciałbym natychmiast spotkać się z Tefnachtem — oświadczył Akanosz.

Jegeb spojrzał na stary kawałek papirusu, na którym wypisane były imiona i daty.

— Nie wzywano cię! Złóż prośbę o posłuchanie i czekaj na odpowiedź generała.

Akanosza ogarnęła wściekłość. Złapał Semitę za gardło i choć niższy, uniósł go w powietrze.

— Nie stawaj mi na drodze, ty pluskwo! Jesteś zbrodniarzem i oprawcą i muszę powiadomić twego pana, jak się sprawujesz. I sam, osobiście wymierzę ci karę, na jaką cię skarże.

Puścił Jegeba. Zanim ten z trudem odzyskał oddech, libijski książę wszedł już do sali posłuchań.

Generał Tefnacht pisał właśnie na tabliczce oficjalny komunikat o swym pierwszym wielkim zwycięstwie nad Czarnym Faraonem. Komunikat ten po przepisaniu go w wielu egzemplarzach, będzie rozesłany do wyższych oficerów, którzy głośno i wyraźnie odczytają go żołnierzom. Wiadomość rozejdzie się na cały Środkowy Egipt i dotrze aż do Teb. Posieje trwogę wśród zwolenników Pianchiego i skłoni ich do poddania się. Czarne oczy Tefnacha wpiły się w intruza.

— Wydaje mi się, że cię nie wzywałem.

— Muszę cię powiadomić o tym, co dzieje się w mieście.

— Wszędzie jest spokój, nasze oddziały panują nad sytuacją, książę Peftau mi się podporządkował, więc na cóż mielibyśmy się skarżyć?

— Czy wiesz, że szpital przeznaczony dla ludności cywilnej to trupiarnia i że o rannych nikt nie dba?

Mumifikatorzy czekają tylko na zgon, potem wyrzucają trupy do wspólnego dołu bez żadnych obrzędów! A okropności te popełnia się na rozkaz tak oddanego ci Jegeba! Żądam, żeby dobrze obchodzono się z tymi biedakami i ukarano tego zbrodniarza!

Tefnacht cisnął tabliczką skryby o ścianę.

— Ty, Akanoszu, nie możesz niczego żądać. Zapomnij, że winien mi jesteś całkowite posłuszeństwo.

— Ależ ci ludzie...

— Libijski wódz żali się jak osamotniona wdowa...

Wiesz, że Północ jest biedna, a naszym wojskom brakuje leków i maści. Wszystko to, co znaleźliśmy w mieście, muszę zająć na potrzeby wojska. Wydałem odpowiednie rozkazy i kto im się sprzeciwi, będzie potraktowany jak zdrajca.

— Więc pozwolimy umrzeć tym biedakom?

— To wojna, Akanoszu. Na coś musimy się zdecydować.

Dobrym sercem nie pokonamy żołnierzy Pianchiego.

— Przyrzekałeś oszczędzać ludność miasta!

— Czyżbyś nie zgadzał się z moim postępowaniem?

Akanosz rad by protestować dalej, ale słowa uwięzły mu w gardle.

— Weź się w garść, przyjacielu, zapomnij o tych drobiazgach. Tak jak my, myśl tylko o jednym: o zjednoczeniu Egiptu. Nasze zwycięstwo oznaczać będzie pomyślność dla ludu, możesz być tego pewien.

— Ten Jegeb...

— Jest mi oddany i nie dyskutuje moich rozkazów. Idź w jego ślady, Akanoszu, a doczekasz się szczęśliwej starości.

Księżę Akanosz wyszedł z sali, a mijając Jegeba, nie spojrzał na niego.

— Kiedy przyjdą lekarze i zajmą się tymi chorymi i rannymi? — spytała Akanosza żona, gdy wrócił do domu.

Księżę zwałił się na poduszki.

— Nie przyjdą.

— Więc... więc nie rozmawiałeś z Tefnachtem?

— Rozmawiałem.

— Odmówił?

— Trzeba to zrozumieć, kochana... To jest wojna. Ani ty, ani ja, ani nawet sam Tefnacht nic tu nie poradzimy.

— Tefnacht jest naczelnym wodzem naszych wojsk i kłamie twierdząc, że oszczędza ludność!

— Nie mylisz się, ale...

Nubijka smutno popatrzyła na męża.

— Odeszła ci ochota do walki, Akanoszu?

— Czuję się stary i niezdolny opierać się Tefnachtowi.

Jeśli mu się sprzeciwię, pozbędzie się mnie, a ty zginiesz w tej zawierusze. I ja, i wszyscy pozostali przywódcy jesteśmy marionetkami w jego rękach, choć tylko ja zdaję sobie z tego sprawę. Tefnacht dla zawojowania Egiptu nie cofnie się przed niczym, a jest to znakomity dowódca... Jeśli Pian-chi nie zareaguje bardzo szybko, Tefnacht przeprowadzi swoje plany i narzuci taką dyktaturę, że kraj już się nie podniesie.

Odziany w szatę z najlepszego białego lnu, bosy, kapłan przybyły z Teb wszedł powoli po schodkach do świętego jeziora koło wielkiej świątyni i nabrał świętej wody do złotego naczynia.

Woda ta pochodziła z *Nun*, oceanu praenergii, gdzie zrodziło się i nadal kąpało to, co zostało stworzone. Ziemia była tylko wyspą, która wynurzyła się z „pierwszego razu”, w chwili gdy boska myśl objawiła się i oblekła w kształt. I gdy faraon, zaniedbując obrzędy, przestanie wskrzeszać ten pierwszy raz, ziemską wyspę pochłoną pierwotne fale. Tak jak to niegdyś zapisano, dopełni się wtedy los ludzkości.

Zrodziła się ona z łez boga i kiedyś zniknie pod ciężarem swych nieprawości.

Zadanie sług bożych polegało na odsuwaniu tej chwili.

Ofiarowywali w tym celu domy bogom i składali hołdy ich obecności, tak aby oświecała serca ludzi, jeśli wstępowali na drogę bogini Maat i przedkładali prawdę nad kłamstwo, a sprawiedliwość nad bezprawie.

Napata przejęła zachwytem tebańskiego kapłana. Obrzędy sprawowano tu z żarliwością, jakiej nie spodziewał się już nigdzie ujrzeć, i z rygoryzmem, o który w wielu świątyniach Karnaku zupełnie już nie dbano. Tu, w pobliżu czwartej katarakty, Amonowi oddawano należną mu cześć.

Trzymając w rękach cenne naczynie z czystą wodą, podążał do sali ofiar. Drogę zastąpił mu jakiś olbrzym.

— Zadowolony jesteś z pobytu wśród nas?

— Wasza Królewska Wysokość... przeżyłem cudowne dni.

— Zdziwiasz mnie... Nie żal ci Karnaku?

— Jak mam wyrazić ci mój podziw?

— Kończ służbę i przyjdź do mnie do biblioteki świątynnej.

„Teksty piramid”, „Księga zmarłych”, „Obrzędy otwarcia ust”, „Obchody Nowego Roku”, „Spis dni pomyślnych i niepomyślnych”... i wszelkie inne pisma, opracowane i przekazywane od czasów powstania piramid... Tebański kapłan zaskoczony był bogactwem zasobów biblioteki w Napacie. Czarny Faraon dysponował wszystkim, co składało się na świętą wiedzę.

— Gdy zrozumiałem, że Północ coraz bardziej odchodzi od naszych tradycji — rzekł Pianchi — postanowiłem zgromadzić tu pisma, które doprowadziły do rozkwitu naszą cywilizację.

Tebański kapłan przechodził od półki do półki, wzurzoną ręką gładził skrzynie ze starannie poukładanymi papirusami.

— Czyżby w Karnaku nie oddawano już Amonowi na-

leżnej czci? — zapytał król.

— Kapłani, którzy pełnią stałą służbę, trochę przysypiają, a czasowi do swoich obowiązków podchodzą niekiedy dość lekko... A Boska Adoratorka, której, panie, powierzyłeś rządy nad świątyniami tebańskimi i czuwanie nad ich właściwym funkcjonowaniem, nie ma już sił i jest schorowana. Potworzyły się stronnictwa i niektórzy kapłani więcej myślą o wzbogaceniu się niż o rytuałach.

— Czy twoje słowa wiernie oddają prawdę?

Oczy Czarnego Faraona wwierciły się w duszę Tebańczyka, któremu pozostawał już tylko jeden sposób, żeby przekonać władcę: przysięga.

— Na życie faraona — oświadczył uroczyście — przy sięgam, że mówię prawdę. Jeśli kłamię, niech zginie moja dusza i niech zamkną się przede mną bramy żywota wiecznego.

Teby, święte miasto... Teby, stolica Amona... Stubramne Teby, pełne wspaniałych świątyń, sanktuariów i kapliczek... Teby, gdzie objawiła się tajemnica stworzenia... Głęboki smutek ogarnął serce Czarnego Faraona. Przyszedł tu, do świątyni, na rozmyślania i na modlitwę. Chciał prosić Amona, by pokierował jego krokami, a stwierdzał, że jego wzorzec odchodzi już w niepamięć.

— Kto pisał na tej tabliczce? — zapytał gniewnie Zimna Głowa, zwracając się do gromadki uczniów siedzących w pozycji skryby — jedna noga ugięta, druga podwinięta.

Wszyscy mieli na sobie krótkie spódniczki, za uchem wetknięte pędzelki. Wszyscy pochylili głowy, przerażeni gniewem nauczyciela.

Karzeł raz w tygodniu prowadził wyższy kurs nauki dla tych, którzy wkrótce mieli objąć kluczowe stanowiska w administracji. Wśród szczęśliwców dopuszczonych do tego szkolenia były cztery dziewczęta.

— Powtarzam pytanie. Kto to pisał?

I Zimna Głowa machnął tabliczką. Studenci i studentki wciąż siedzieli ze spuszczoneymi oczyma.

— Nie ma wśród was donosicieli... Bardzo dobrze. Gdyby ktokolwiek wydał kolegę, natychmiast bym go stąd usunął. A co do tej tabliczki, to sam dojdę, czyja to ręka.

Karzeł stanął przed chłopcem, który zamykał oczy.

Wyrwał mu z rąk i połamał pędzelek.

— Wstań, nicponiu!

Uczeń ten był synem ministra, który miał w stolicy kilka domów i dwie plantacje palm. Ale Zimna Głowa nie przejmował się tym.

— Przyjąłem cię do szkoły, bo wydawało mi się, że za-

powiadasz się na dobrego skrybę, teraz jednak widzę,

że się ciężko pomyliłem.

-> .• .

— Panie, przecież uważałem, żeby... ;,,y*!«1:;

— Cicho bądź, zarozumiałcze! Hieroglify kreślisz bez

błądnie, nie popełniasz żadnych błędów gramatycznych,

a każdy wyraz starannie dobierasz... Sporządziłeś jednak

wycenę majątku, nie pomyślałszy nawet na chwilę o tym,

żeby go obejrzeć, spotkać się z właścicielem i zapytać go,

czy ma jakieś kłopoty rodzinne lub zawodowe. Rób tak

dalej, mój chłopcze, a będziesz najgorszym pisarzem w Egip

cie, bezduszną maszynką, zwracającą uwagę jedynie na

przepisy w całkowitym oderwaniu się od ludzi. Jeszcze

jeden taki błąd, a skreślę cię ostatecznie z listy moich

uczniów. Od dnia, kiedy pisarze zamkną się w swych urzę

dach i zrzucą z siebie wszelką odpowiedzialność, krajem

nie da się już rządzić.

Nagle gniew opadł z karła, nastrój się zmienił.

Nikt nie zauważył wejścia Pianchiego, ale samą jego

obecność można było wyczuć. Zimna Głowa podniósł

głowę i zobaczył Czarnego Faraona, który stał ze

skrzyżowanymi rękoma.

— Na dzisiaj to koniec — oznajmił pisarz. — Na na

stępne zajęcia przygotujcie wzór pisma do naczelnika mias

ta. Tylko nie marnotrawić mi papirusu, piszcie na kawałku wapienia i starym tuszem.

Uczniowie wyszli w milczeniu.

— Zadowolony jesteś ze swoich uczniów, Zimna Głowo?

— Będą z nich ministrowie nie gorsi od tych, którzy obecnie wchodzi w skład twojego rządu.

Pisarz obmył pędzelki i wydrapał znaki z tabliczki; na jej znowu gładkiej powierzchni można będzie pisać. Zimna Głowa miał bzika na punkcie marnotrawstwa. Skoro powierzono mu dobro państwowe, musiał jak najstaranniej o nie dbać.

— Masz jakieś świeże wiadomości z Teb?

— Sprawozdania pisarza z Urzędu Miejskiego.

— Czego się z nich dowiedziałeś?

— Nic nowego, Wasza Królewska Wysokość. Teby to spokojne miasto, żyje nadal w rytmie świąt.

— Nic się nie wydarzyło?

— Jeśli wierzyć tym sprawozdaniom, nic.

— Czy temu pisarzowi z urzędu miasta można ufać?

— Zastanawia mnie, że bez przerwy powtarza te same zwroty... Właśnie chciałem o tym z tobą, panie, pomówić, ale ostatnie sprawozdanie było po prostu kopią poprzedniego.

— Ktoś chce nas uspokoić i uspić naszą czujność, nie

sądziysz?

— To całkiem możliwe.

Nartreb pracował kiedyś jako rachmistrz w gospodarstwie rolnym w Delcie i wyciągnął z tej pracy jeden podstawowy wniosek: dobry fachowiec dowiedzie na podstawie liczb wszystkiego, co zechce. Oczywiście, prymitywne przeróbki debiutanta lub dzierżawcy, który chciałby zbyt szybko się wzbogacić, nie zwiodą zwierzchników. Ale takich błędów Nartreb nie popełniał.

Bardzo prędko po przybyciu do Herakleopolis zauważył, że miasto jest bogate, a zwłaszcza że mieszka tu sporo właścicieli ziemskich, którzy dorobili się nielicznych majątków. Miasto przechodziło pod władzę Tefnacha, trzeba więc było wprowadzić zmiany w podatkach ustanowionych jeszcze przez Pianchiego. Nartreb, któremu powierzono to delikatne zadanie, zaprosił na obiad podskarbiego Herakleopolis, dostojnika siedemdziesięcioletniego, wdowca cieszącego się opinią człowieka o nieposzlakowanej uczciwości.

— Pieczone jagnię, duszone figi, fasolka w śmietanie i czerwone wino z Imau. Myślę, że taki obiad będzie ci odpowiadał, kolego?

— Kolego? — zdziwił się Egipcjanin, któremu nie podobła się okrągła gęba Semity.

— Tefnacht polecił mi zorganizować finansowanie swo-

jej kampanii. Wraz z moim przyjacielem Jegebem, znakomitym specjalistą od rachunkowości, zdejmujemy mu z głowy wszystkie kłopoty materialne, tak żeby mógł się skupić na zjednoczeniu Egiptu.

— Jakie masz plany wobec mojego miasta?

— Chciałbym poznać zasady opodatkowania ustanowione przez Pianchiego, niech będzie przeklęty.

— Są zgodne z tradycjami. Rolnicy, na przykład, oddają miastu połowę zbiorów, z czego część spożywa się w ciągu roku, reszta zostaje w spichrzach na wypadek słabego przyboru Nilu. W zamian władze przydzielają im materiały niezbędne do nawadniania i uprawy ziemi. Poza tym jeśli rolnik przekracza ustanowioną wydajność, ma prawo dokupić sobie ziemi i zwiększyć obszar swoich gruntów.

Nartreb skrzywił się.

— To bardzo archaiczne... W ten sposób państwo rezygnuje z wielu korzyści.

Podskarbi zaprotestował.

— Chłopi są zadowoleni i...

— Ekonomia wojny wymaga, żeby kontrolować całość produkcji. Nasi żołnierze, jeśli mają zwyciężać, muszą być dobrze odżywieni i mieć zapewnione jak

najlepsze warunki bytu. Requiruję więc wszystkie gospodarstwa rolne.

— Ależ to bezprawie nie do przyjęcia!

— Uważaj na słowa, drogi kolego! To jest decyzja Tefnachta.

— A co zostanie wieśniakom?

— Określimy ilość żywności, jaka ma wystarczać tej niższej kaście ludzi i swoje przydziały odbierać będą w centralnych koszarach.

— Większość nie będzie chciała dla was pracować.

— W takim razie natychmiast posypią się wyroki za zbrodnię zdrady głównej. Gdy niektórych spali się żywcem na oczach ludności, oporni szybko zrobią się potulni. Również rzemieślnicy będą musieli pracować dla wojska, bo nasi żołnierze muszą mieć odpowiedni sprzęt. Nie masz zastrzeżeń, drogi kolego?

— A na co się one zdadzą?

Nartreb uśmiechnął się szeroko i zatarł swoje pulchne dłonie. Stary dostojnik zaczynał schylać kark.

— Pomówmy teraz o sprawie wielkich majątków w Herakleopolis. Dostojnicy, a wśród nich i ty, posiadają rozległe dobra, i trzeba je jak najlepiej wykorzystać.

Tefnacht powinien być bogaty, a... ja także.

— Jesteś złodziejem...

— Dobrze, dobrze, drogi kolego, nie gorączkuj się. Mam propozycję, która powinna bardzo ci się spodobać.

Dobrze znasz wszystkie ważne osobistości tego miasta, więc będziesz z nimi rozmawiał w moim imieniu.

Przekażesz im moje polecenia, upaństwowisz ich dobra i dostaniesz w zamian... powiedzmy dziesięć procent. W służbie u Tefnachta staniesz się bogaty.

Przez cały czas Nartreb obżerał się, a starzec odstawiał potrawy, nawet ich nie próbując.

— Za kogo mnie bierzesz? Sam załatwiaj swoje brudne sprawy. Nie będę ograbiał swoich ziomków i w żaden sposób ci nie pomogę. Wręcz przeciwnie, wszystkim rozpowiem, jaki z ciebie bandyta.

Nartreb wstał.

— Źle się rozumiemy... Pragnę tylko twojego dobra przy całkowitym przestrzeganiu wytycznych, jakie otrzymałem. Człowiek tak doświadczony jak ty powinien zrozumieć, jak trudne mam zadanie.

— Twoje wargi skalane są kłamstwem.

— Nie zamierzasz zmienić zdania?

— Będę ci się stanowczo sprzeciwiał, bez względu na wszystko.

— Przepraszam cię na chwilę.

Nartreb udał, że wychodzi do kuchni. Zawrócił jednak,

zaszedł podskarbiego od tyłu, trzęsącymi się z nienawiści

rękoma złapał starca za gardło i złamał mu kręgi szyjne.

— Zapłacisz za to życiem, głupcze, a ja obędę się bez ciebie.

— Pokonaliśmy już wszystkie przeszkody — Nartreb skłonił się z namaszczeniem przed Tefnachtem.

— A więc dostojnicy przyjęli nowy system podatkowy?

— Jednomyślnie, bez kwasów i z radością, że mogą służyć twojej sprawie.

Ci dostojnicy zostali najpierw na rozkaz Nartreba przesłuchani przez wojskowych, a potem musieli przemaszerować przed trupem podskarbiego, oskarżonego o nieposłuszeństwo i kolaborację z wrogiem. Semita nie musiał niczego długo tłumaczyć i stwierdził, że jego ulubiona metoda, przemoc poparta szantażem, daje znakomite wyniki.

— A co u ciebie, Jegebie?

— Miasto wyczyściłem, książę! Nie ma już ani zbędnych gąb, ani niepożądanych elementów.

— Czy Herakleopolis jest rzeczywiście tak bogate, jak przypuszczałeś?

— Zapasów żywności jest dużo, broni mniej, niż przewidywaliśmy.

Tefnacht rozgniewał się.

— Przeprowadzić tu córkę kapitana łuczników.

Jegeb wyglądał na trochę zakłopotanego.

— Nie wiem, czy jeszcze żyje...

— Przeprowadź ją tu!

Jutrzenka, choć włosy miała zmierzwione, a na jej brudnym ciele znać było jeszcze ślady uderzeń, nie straciła nic ze swojej dumy.

— Moi żołnierze skrzywdzili cię?

— A czego innego mogłam się spodziewać?

— Zawsze uzyskuję to, czego chcę. A chcę wiedzieć, gdzie twój ojciec ukrył broń.

— Skąd mam wiedzieć?

— Znam się na ludziach... Jesteś niepokorna i odważna.

Jestem pewien, że byłaś jego powiernicą.

— Mylisz się.

— Potrzebuję tej broni, Jutrzenko. Albo zaczniesz mówić, albo każę co godzina ścinać po jednym dziecku.

Była młoda, piękna i gorąca. Miała osiemnaście lat. W sztuce miłosnej zachowywała się jak doświadczona kobieta, ze wzruszającą prostotą.

Lamerskeni spojrział na śpiącą dziewczynę. Miała dwadzieścia lat mniej niż on, a próbowała uwodzić go z takim przekonaniem, że w końcu uległ. Brodacz Lamerskeni głowę miał ogoloną, a ciało pokryte bliznami. Kobiet nie szukał. To one go szukały, on zaś nie potrafił im się opierać.

Lewą ręką pogłaskał ją po rowku poniżej pleców. Na wszystkie bogi nieba i ziemi — pomyślał — ależ z niej samica!

Jego szorstka dłoń sunęła niżej, aż stała się natrętna.

Młoda piękność obudziła się.

— Czego chcesz, kochanie? — szepnęła jeszcze w półśnie.

— Nie powinniśmy na tym zakończyć... Jestem pewien, że nie pokazałaś mi wszystkiego.

Owinęła się wokół niego jak liana, mocno ściskając, potem przycisnęła wargi do prawej ręki kochanka. Ta drewniana ręka bardzo ją ciekawiła.

— Jakim sposobem straciłeś swoją własną?

— Siekiera. Nie zdążyłem się uchylić, bo miałem chwilę zawahania, czy rozciąć gardło przeciwnikowi. Od tej pory już się nie waham.

— To z akacji?

— Kawałek bardzo starej akacji najwyższej jakości, nie do złamania i nie próchnieje, bardzo drogo za niego zapłaciłem... Muszę jednak przyznać, że jest to majstersztyk sztuki ciesielskiej. Przeguby działają doskonale i przynajmniej reumatyzm nie będzie mnie w tę rękę łupał.

Kochanka zerwała się nagle i zasłoniła sobie dłońmi piersi.

— Ktoś patrzy na nas... Olbrzym!

Lamerskeni podniósł się i złapał za swój krótki mieczyk.

— Ty... tutaj...

Odłożył

broń.

— Ubierał się, mała, i zmykaj!

— Ten olbrzym...

— Faraon Egiptu nie skrzywdzi cię. A teraz zostaw nas samych.

Wystraszona dziewczyna zniknęła, nie zabrawszy nawet odzieży.

— Nowa zdobycz? Jest wspaniała! — zauważył faraon.

— Raczej nowa klęska — westchnął Lamerskeni, wychylając kubek piwa. — Nie jestem w stanie oprzeć się takim kusicielkom, choć bronię się rozpaczliwie.

Mam przynajmniej nadzieję, że to nie mężatka. Chce

ci się pić, panie?

— Potrzebuję rady.

— Ty, panie? Wolne żarty! Sam zwykle decydujesz i nie wiem, jakim sposobem mógłbym ci pomóc w rządzeniu.

— Przecież na wojnie się znasz.

Bładoniebieskie oczy kapitana piechoty pociemniały.

— Wojna... Chyba nie mówisz, Wasza Królewska Wysokość, o prawdziwej wojnie z prawdziwymi żołnierzami, prawdziwymi bitwami i prawdziwą górą zabitych i rannych.

— Tego jeszcze nie wiem.

— Ach, domyślam się! Nic poważnego, oczywiście. W królestwie nadal panuje spokój, poczuły się tylko jakieś dwa plemiona. Mogę iść spać.

Pianchi pchnął drewniane okiennice i do pomieszczenia wdarło się światło.

— Wasza Królewska Wysokość. Dobrze wiesz, że wolę półmrok.

— Wiem, że nawet zamknięty w tej klitce z piękną kobietą, jesteś na bieżąco. Wiem również, że jesteś jedynym godnym zaufania specjalistą od spraw wojskowych.

— To prawda i powinieneś, panie, dawno już mianować

mnie generałem.

— Władzom nie podoba się twój nieumiarkowany pociąg do mocnych trunków, twoja namiętność do kobiet, a nawet twój sposób dowodzenia. Od wyższego oficera można wymagać, by się dobrze prowadził.

— Wojownik wtedy się dobrze prowadzi, gdy zwycięża.

Zamiłowanie do ładu z całą jednak pewnością nie było mocną stroną kapitana Lamerskeniego. Jego spódniczki leżały porozrzucone byle jak, w bałaganie, który wykluczał wszelką próbę wprowadzenia porządku.

— Sądzisz, że koalicja książąt z Północy jest możliwa?

— spytał faraon.

— Nieuchronna.

— Skąd ta pewność?

— Nawet w gnieździe szerszeni pojawia się w końcu jakiś przywódca.

— Kto twoim zdaniem odegra tę rolę?

— Widzę tylko Tefnacha, księcia Sais. Ma najwięcej ziemi i najlepszą armię. Wcześniej czy później opanuje całą Deltę i Memfis szybko mu się podda.

— A potem?

— Potem Tefnacht, upojony łatwym sukcesem, dojdzie do wniosku, że jest wielkim wodzem, może iść dalej i staczać prawdziwe bitwy. Umocni więc swoje

przywództwo, pozbędzie się przeciwników i ruszy na

Środkowy Egipt.

— Masz dar widzenia, kapitanie Lamerskeni.

— Czyż jednak nie tak właśnie jest?

— Niestety, jest. I jak myślisz, dokąd dojdzie Tefnacht?

Lamerskeni podrapał się niepewnie po drewnianej ręce.

— Jeśli będzie chciał iść dalej, będzie musiał wyłamać

wiele rygli... Najpierw zaatakuje Herakleopolis.

— Dlaczego właśnie Herakleopolis?

— Dlatego że ksiązę Paftau przekroczył sześćdziesiątkę i

nie ma dawnej energii. Z całą pewnością nie zdoła już

odeprzeć gwałtownego i zmasowanego ataku.

— Mury obronne Herakleopolis są bardzo mocne.

— Tylko na pozór... Czujność obrońców osłabła i są

przeświadczeni, że samo imię faraona ich obroni. Za

pozwoleniem, panie, jesteś bardzo daleko od teatru

wydarzeń, ale wojownik z krwi i kości nie

poprzestanie na rozważaniach.

— Sądysz więc, że Tefnacht jest w stanie zająć Herak-

leopolis?

— Jeśli mu się to uda, jego marzenia o podboju nabiorą

realnych kształtów. Tefnacht zdobywca... oto kim

spodziewa się zostać i dla osiągnięcia swoich celów

użyje wszystkich, nawet najbardziej barbarzyńskich

sposobów.

— Herakleopolis wpadło już w ręce Tefnachta — potwierdził Pianchi.

Lamerskeni odstawił kubek z piwem na stolik.

— Panie, kpisz sobie ze mnie?

— Nie. Tefnachtowi powiodło się, tak jak przewidywałeś.

— Czy ruszył dalej?

— Chyba umacnia pozycje. Nie mogę jednak w pełni ufać informacjom, które otrzymuję.

— Tak, umacnia się... Mając dobrą bazę na zapleczu, podejmie dalsze ataki. Najbliższym etapem będzie Hermo-polis.

— Księżę Nemrod odeprze go.

— Istotnie, Nemrod to potrafi. Znosi się jednak na ciężką walkę. Jeśli zaś Tefnacht z rozpędu odniesie nowe zwycięstwo, to drogę do Teb będzie miał wolną.

— Co byś radził?

— Trzeba zawiadomić oddziały stojące w Tebach i stosownie do rozwoju wypadków posłać posiłki.

— Wyruszysz do Teb z dowódcą łuczników Puarumą i obejmiecie dowództwo nad załogą. Cel: zatrzymać Tefnachta.

— Wasza Królewska Wysokość... Nie cierpię tego Puarumy, a jestem tylko kapitanem... Wyżsi oficerowie

tebanscy nie podporządkują mi się.

— Dostaniesz odpowiednie pismo, Lamerskeni. Czyżbyś się bał wojaczki?

Przegubowa drewniana ręka trzasnęła nagle w stół, aż rozpadł się na części.

— Jutro wyruszam, Wasza Królewska Wysokość.

Nartreb wyrwał dziecko z rąk matki. Chłopczyk wybuchnął płaczem i próbował się opierać. Semita uderzył go w twarz, a matkę odtrącił kułakiem. Dwaj mężczyźni, którzy próbowali mu przeszkodzić, zostali pobici przez towarzyszących Jegebowi policjantów.

Nartreb zmusił chłopca, żeby położył głowę na pieńku, i wydobyl nóż z pochwy.

— Jeśli nie będziesz mówić — rzekł Tefnacht do Jutrzenki — każę temu dziecku uciąć głowę. A potem innym.

— Jesteś potworem.

— Mylisz się. Pragnę szczęścia Egiptu. Żeby mu je zapewnić, muszę pobić Pianchiego. A do tego potrzebna jest broń. Mów, Jutrzenko, bo inaczej ten chłopiec zginie z twojej winy.

Dziewczyna jakoś dziwnie spojrzała na Tefnacha.

— A jeśli kłamiesz?

— Co masz na myśli?

— Ja powiem, a ty zabijesz to dziecko, a potem mnie.

Tefnacht uśmiechnął się.

— Źle mnie rozumiesz, Jutrzenko. A w dodatku nie masz wyboru. Pomyśl o przyszłości.

— A ty jaką przyszłość chcesz budować?

— Kraj jest podzielony, bezsilny i coraz biedniejszy, a to

wszystko przez Czarnego Faraona, który twierdzi, że
nim rządzi, choć zaszył się w odległym zakątku
swojej Nubii.

Jak ty i twoje otoczenie możecie znosić taką tyranię? Zająłem
już Deltę i wielkie miasto Memfis... Jutro będę panem Połu-
dnia. Zjednoczę Dwa Kraje i lud obwoła mnie faraonem. W
zielonych oczach dziewczyny gniew ustąpił zwątpieniu.

— Szczerze to mówisz?

— Teraz już wiesz, do czego zmierzam.

— Chodź ze mną, ale sam.

— Nie słuchaj, księżę, tej dziewczki! — wtrącił się Je-geb.

— Zastawia na ciebie pułapkę.

— Sądzisz, że nie potrafię się obronić?

Jutrzenka zaprowadziła Tefnacha do domu ojca, minęła
kuchnię i zeszła po kamiennych schodkach do piwnicy.
Przyklękła i zaczęła rękami rozgarniać ziemię, aż doko-
pała się do opieczętowanego kamienia.

— Broń jest pod spodem.

Tefnacht oczyścił sztyletem kamień, potem uniósł go.

Ukazały się drugie schody, prowadzące w dół.

Zapalił pochodnię i wszedł do podziemia, pełnego łuków,
strzał i włóczni. Wszystko to było nowe i w doskonałym
stanie. Dzięki tej zdobyczy zdolność bojowa jego wojsk
wydatnie wzrośnie.

Na jego bok napařło ostrze.

— Zabięś mi ojca — gęos Jutrzenki był lodowaty —

więc i ja cię zabije.

— Twój ojciec zginął śmiercią żołnierza, sądził, że ratuje

swe miasto i traktował mnie jak wroga. Mylił się, ja

jednak jestem pełen uznania dla jego odwagi i każe

wyryć stelę poświęconą jego pamięci. Szkoda...

Gdyby umiał lepiej przewidywać, przeszedłby pod

moje zwierzchnictwo, ja zaś powierzyłbym mu ważne

stanowisko w nowym Egipcie, który właśnie buduję.

To nie ja zabięm ci ojca, Jutrzenko, to wojna go

zabiła. Ta wojna jest konieczna i trzeba ją prowadzić

aż do końca.

Ostrze noża wbiło się głębiej, popłynęło trochę krwi.

— Jeśli zabijesz mnie, Jutrzenko, będziesz tego żałowała

przez całe życie, bo unieszczęśliwisz swój lud. W głębi duszy

czujesz, że tylko ja mogę ocalić ten kraj przed ruiną i spra

wić, że śmierć twojego ojca nie okaże się daremna.

— Jak śmiesz!

— To prawda, Jutrzenko, miej odwagę to przyznać.

Ostrze przestało napierać, potem odsunęło się

łagodnie,

milimetr po milimetrze.

Tefnacht odwrócił się do dziewczyny.

— Zgadzasz się mi pomagać, Jutrzenko?

— Pomagać ci? Ależ ja...

— Znasz dobrze te strony, wiesz, kto tu się liczy. Dzięki tobie uda się nam może uniknąć krwawych bojów. Co wolisz? Gnić w więzieniu czy być użyteczna i ocalić życie wielu ludziom?

— Ja... pomagać tobie?

— Hermopolis zaatakuję bez względu na twoją decyzję.

Jeśli uda ci się przekonać księcia Nemroda, by zrezygnował ze służby u Pianchiego i został moim sprzymierzeńcem, oszczędzisz ludności tego miasta wielu cierpień.

Jutrzenka zagryzła wargi. Każdy argument Tefnacha był celny. Nienawidziła go, ale zarazem odzyskiwała dzięki niemu nadzieję... Nie zniesie siebie dłużej w takim stanie...

Umyć się, wytrzeć ślady siniaków i brudu, podjąć na nowo walkę, nie dopuścić do rzezi...

Tefnacht nie mógł zdradzić Jutrzence, jak wielkie wywarła na nim wrażenie. Dotychczas książę Sais był otoczony gromadą kurtyzan, dbających tylko o to, by go zadowolić.

Opętany planami podbojów, nie zwracał na nie żadnej uwagi. Jakże różniła się od nich Jutrzenka! Była dzika, niepokorna i gotowa stawić czoło największym przeciwnościom. Dotychczas Tefnacht nie chciał obarczać się ko-

bieta, gdy jednak włoży na głowę koronę faraona, będzie musiał również posadzić na tronie dostojną małżonkę króla.

Jutrzenka była godna tej roli.

Libijscy wodzowie nie przestawali świętować. Któż z **nich** mógłby sobie kiedyś wyobrazić, że całymi nocami będzie ucztował w pałacu księcia Herakleopolis, który był poddanym Czarnego Faraona? W tych biesiadach uczestniczył również Peftau, zmuszony do pogodzenia się z losem. Swoim oficerom i żołnierzom nakazał bezwzględne posłuszeństwo Tefnachtowi. Najwyższa władza zmieniła się, więc opór byłby daremny.

Jegeb bacznie śledził biesiadników. Już on będzie wiedział, gdyby któryś z nich miał ochotę zdradzić Tefnacha!

Co do Nartreba, to żarłocznie zajadał i wypróżniał kubki białego wina, nie mieszając go z wodą.

— Co sądzisz, Jegebie, o księciu Peftau?

— W jego wieku myśli się już tylko o tym, żeby nie mieć kłopotów i wygodnie żyć. Tefnacht jest silniejszy, więc Peftau ślepo za nim idzie.

— Generał nie powinien był zawracać sobie głowy tą Jutrzenką. Przy kobiecie wojownik niewieścieje. A ona nigdy nie przestanie go nienawidzić.

— Wcale nie jestem tego pewien, Nartrebie. Jest zafascynowana Tefnachtem. To dla niej jedyna przyszłość.

— Trzeba będzie jednak przyjrzeć się jej z bliska.

— Bardziej niepokoi mnie ktoś inny.

— Kto taki?

— Księżę Akanosz. Sprawia wrażenie człowieka zaniepokojonego i zawiedzionego i nie przejawia ani krzty entuzjazmu dla naszych podbojów.

— Akanosz nie kwestionuje władzy Tefnacha.

— Lepiej się maskuje... Jemu też trzeba będzie przyjrzeć się z bliska.

Do sali wszedł w żołnierskim kaftanie Tefnacht. Nie potrzebował wiele czasu, by uciszyć zgromadzenie. Jego oświadczenia wysłuchali nawet najbardziej pijani.

— Uzupełniliśmy uzbrojenie i nasze oddziały zdążyły już wypocząć. Czas ruszać do boju. Przed uderzeniem na Południe musimy opanować cały Środkowy Egipt i zdobyć miasto Hermopolis z jego bogactwami i zapasami broni. Księcia Nemroda spróbujemy skłonić do poddania się. Jeśli odmówi, przystąpimy do oblężenia.

Kapitan Lamerskeni ciskał gromy. Zorganizowanie wyprawy do Teb jawiło mu się jako zadanie nie do urzeczywistnienia. Służby zaopatrzenia hamowały wszelką jego inicjatywę, każdy pisarz odsyłał do swego zwierzchnika, ten zaś oświadczał, że sprawa nie leży w jego kompetencjach. Kapitanowi pozostawało już tylko jedno, a mianowicie dotrzeć do Zimnej Głowy i otrzymać jasną deklarację: król życzy sobie zbrojnej wyprawy przeciwko Tefnachtowi czy nie?

W urzędzie królewskiego pisarza czekała Lamerskeniego niemiła niespodzianka — zastał tu kapitana łuczników Puarmę. Puarma napinał mięśnie, jakby chciał dowieść rywalowi, że to po jego stronie jest siła.

— Przykro mi, że znów cię widzę, Puarmo.

— Po coś wylazł ze swojej gawry? Podobno już nie trzeźwiejesz.

— Lepszy pijak niż pewny siebie dureń.

— Chodźmy na dwór i spróbujmy się na pięści!

— Dość tego! — przerwał Zimna Głowa. — Bić się będziecie, ale z nieprzyjacielem, i to ramię w ramię.

— Ja jestem gotów — oświadczył wyniośle Lamerskeni.

— Tylko dlaczego ten dureń wsadza mi kij w szprychy?

Puarma z osłupieniem spojrział na kapitana piechoty.

— Co ty wygadujesz? Otrzymałem przecież rozkaz i mam wyruszyć na Teby.

Grymas wykrzywił twarz Lamerskeniego.

— Wiem, mamy współpracować.

— Nie zgadzam się!

— Oficer nie może odmówić wykonania rozkazu Jego Królewskiej Wysokości — przerwał Zimna Głowa, oburzony zachowaniem kapitana łuczników. —

Jeszcze jeden taki wybryk, a będziesz miał do czynienia z sądem polowym!

Puarma stropił się, co bardzo ucieszyło Lamerskeniego.

— Który z nas będzie dowodził?

— Stopniem jesteście równi, jeden służy w piechocie, drugi w korpusie łuczników. Podczas marszu macie ze sobą współpracować. W Tebach okażecie swoje dokumenty dowódcy naszych oddziałów.

— Dlaczego nie wyruszamy natychmiast?

— Bo otrzymaliśmy właśnie nową wiadomość — oznajmił Zimna Głowa. — Tefnacht, jak się wydaje, nie jest aż tak ambitny, jak sądziliśmy. Wycofał się z Herakleopolis i odchodzi na północ.

Lamerskeni był straszliwie zawiedziony.

— No i proszę! Wojna jeszcze się nie zaczęła, a już się skończyła. Ten Tefnacht to mniej niż nic.

— Tak czy owak pozostajemy w pogotowiu — dodał
Zimna Głowa. —c W jakim stanie nieprzyjaciel
zostawił Herakleopolis? Jeśli księżę Peftau nie zdoła
przywrócić w mieście porządku i ogłosić, że miasto
znowu jest pod władzą Pianchiego, będziemy
interweniować. Faraon nie dopuści, by Środkowy
Egipt pogrążył się w anarchii.

— Inaczej mówiąc, musimy jeszcze poczekać — pozałił
się Lamerskeni.

— Moi łucznicy wznowią ćwiczenia — zapewnił Puarma.

— Z pewnością bardzo tego potrzebują. Moja piechota
już stoi, gotowa do wymarszu.

Szepena *, córka Czarnego Faraona, była wspaniałą dwu-
dziestoletnią dziewczyną. Tak jak jej matka miała
miedziany

* Pełne imię brzmi Szep-cn-Upct, czyli Dar bogini Upct (duchowa
płodność).

odcień skóry, była wysmukła i nadzwyczaj elegancka. Już
jako małą dziewczynkę wprowadzono ją w misteria bogini
Mut, małżonki Amona. W przeciwieństwie do swych rów-
wieśniczek nie spędzała większości czasu na pływaniu, tań-
cach, muzykowaniu i flirtach z chłopakami. Najpierw pra-
cowała w świątyni jako asystentka kapłana-rytualisty, potem
odkryła w sobie zamiłowanie do wyrobu wonnych olejków.

Musiała zdać bardzo ciężki egzamin u starego kapłana —
znawcy wonności, który najpierw surowo ją skrytykował, a
dopiero potem uznał jej talenty. Staruszek pragnął już
odpocząć i przenieść się do swego przyświątynnego
mieszkanka w cieniu góry Dzebel Barkal, zgodził się więc
przekazać asystentce wszystkie arkana zawodu, dzięki cze-
mu oszczędzał jej wielu lat poszukiwań i błędzenia po
omacku.

Szepena podziękowała kapłanowi i bogom za obdarzenie
jej taką łaską i poczuła się ich dłużniczką. Od tej pory całe
życie poświęciła na sporządzanie coraz to lepszych olejków
dla świątyni i dla boskich posągów. Każdy wchodzący do
świętego miejsca poczuje, jak rozkoszne wonie przenikają
mu duszę i nadają jej lekkość ptaka.

Królestwo Napaty było bogate, Pianchi kazał wypełniać
jak najstaranniej obowiązki wobec bogów, Szepena rozpo-
rządzała więc zestawem najrzadszych i najkosztowniejszych
specyfików, takich jak mirra jemeńska, zwana też łzami
Horusa, kadzidło z krainy Punt, oliwa ze słodkiej *morin-gi*
— bezbarwna i nie jełczejąca. Otrzymała właśnie spory
transport syryjskiego styraksu — wonnej żywicy, stosowanej
jako utrwalacz zapachów. Miała obfite zapasy różnych
olejów, tłuszczu wołowego, gumożywicy, balsamów, pers-
kiego galbanum, esencji różanej i liliowej, a wreszcie soli do

suszenia wyrobów.

Na najbliższe święto Amona Szepena postanowiła przygotować kilka ampulek przecudnie pachnącego, a bardzo trudnego do otrzymania olejku *kyfi*. Porywali się na to tylko mistrzowie, a i oni bardzo rzadko osiągali rezultaty. Według najdawniejszych przepisów olejek ten zawierał dzieść do dwunastu składników, a niektórzy specjaliści zwiększali ich liczbę aż do szesnastu. Szepena wzięła jagody jałowca, wonną ciborę, suszoną mirrę, lentyszek, aromatyczną korę, żywicę, trzcinę fenicką, styraks, czerwieniec bawierski, kozieradkę i pistację. Dokładnie odważyła potrzebną ilość każdego składnika, całość długo i starannie rozcierała w moździerz, potem przesiała, tak by z masy początkowej zostało nie więcej niż trzy piąte. Sprawdziła, czy proszek jest już dość drobny, dołała do niego najpierw trochę najlepszego wina, a potem zagotowanego miodu, żywicy i serpentynitu.

— Wyszło coś? — zapytał Pianchi.

— Wasza Królewska Wysokość zaszczyca mnie tą wizytą.

— O twoich wyrobach bardzo dobrze się mówi. Chciałem to osobiście sprawdzić.

Szepena odkorkowała ampulkę.

Król natychmiast poczuł się przeniesiony do nierzeczywis-

tego świata, gdzie nie ma ani trudów, ani cierpienia. *Kyfi* jego córki przewyższało wszystko, z czym się dotychczas spotykał.

— Jesteś czarodziejką, Szepeno.

— Czy może istnieć coś bardziej wzniosłego niż praca w służbie bogów?

Pianchi postarał się zapomnieć o kuszącym zapachu olejków.

— A czy nie mogłabyś im służyć pełniej i w sposób bardziej godny uwagi?

Twarz dziewczyny wykrzywiła się w proteście.

— Miałabym zrezygnować z tego, co robię?

— Ależ nie... Będziesz jednak musiała podjąć się innych zadań, tak samo trudnych.

— Nie rozumiem cię, ojcze.

— Twoja ciotka, Boska Adoratorka z Teb, jest stara i schorowana. Na to, żeby należycie zarządzać tebańskim zespołem świątynnym, nie ma już sił.

Nadszedł czas, bym wyznaczył jej następczynię.

Przysposobi ją i przekaze jej sekrety i obowiązki związane z tym stanowiskiem.

Szepena pobladła.

— Ojcze... Boska Adoratorka to królowa, rządzi całym zespołem świątyni i ma pod sobą tysiące ludzi. A ja kocham

samotność, rządę tylko w swojej pracowni i obce mi są
codzienne troski.

Pianchi wziął Szepenę w swe potężne ramiona.

— Wybrałem cię, kochana córeczko.

Zbliżając się do pięćdziesiątki, książe Nemrod dumny był z siebie i swoich osiągnięć. Jego życie było długim pasmem przyjemności, od szczęśliwego dzieciństwa w cudownym pałacu, gdzie rozpieszczała go oddana mu służba, aż do dnia, kiedy to odziedziczył po ojcu upragnione bogate miasto Hermopolis.

Szkołę skrybów ukończył jako prymus, był doskonałym łucznikiem i znakomitym jeźdźcem, a zdrowie miał żelazne. Zawsze z łatwością uwodził najpiękniejsze kobiety. Z żadną kochanką nie wytrzymywał dłużej niż sześć miesięcy, a i to pod warunkiem, że była małomówna i nie przeszkadzała mu. Nie chcąc naruszyć ogólnie przyjętych zasad moralnych, ożenił się swego czasu z pewną arystokratyczną panną. Żona żyła zamknięta w swoich apartamentach, zadowolona, że może nic nie robić i żyć w luksusie.

Prawdę mówiąc, książe nudził się. Wolałby rządzić w Memfisie. Życie płynęło tam wesoło, wpływy Północy były coraz większe i łatwo było rzucić się w mniej czy bardziej mętne przygody, niekoniecznie zgodne z prawami bogini Maat. Tu, w Hermopolis, świętym mieście boga Tota, który objawił ludziom sekrety hieroglifów i świętych nauk, tradycja dusiła wszystko.

W wielkiej świątyni Tota, prawie tak ogromnej jak san-

ktuarium Amona-Ra w Karnaku, przebywali uczeni najwyższej rangi. Kapłani-rytualisci badający stare teksty, astronomowie i astrologowie, lekarze i chirurdzy, specjaliści od magii i wonnych olejków, architekci — wszyscy coraz to głębiej wnikali w przedmiot swoich badań, do czego

Nemrod odnosił się z całkowitą obojętnością.

Niekiedy musiał przyjmować przedstawicieli tych erudy-tów. Udawał wtedy, że uważnie słucha ich gładzenia, w rzeczywistości zaś myślał o jakiejś wspaniałej samiczce, którą wieczorem po wystawnej wieczerzy sprowadzi sobie do łóżka. A nazajutrz przejedzie się wozem po piętnastej prowincji Egiptu, pozostającej pod jego zarządem, albo siedząc na pokładzie statku będzie popijał lekkie piwo.

Swoje ciało powierzał Nemrod codziennie masażystce, golibrodzie, manikiurzystce i pedikiurzystce. Sam dobierał sobie peruki, odzież i wonności i tropił najmniejsze oznaki starzenia się. Dzięki maściom, które delikatnie wcierała mu w skórę jedna ze służących, nie miał jeszcze ani jednej zmarszczki.

Pisarze księcia byli dobrymi fachowcami, toteż zdejmowali mu z głowy wszystkie kłopoty związane z jego urzędem.

Prowincja była żyzna, zbiory pod ścisłą kontrolą, podatki napływały regularnie. Księżę ograniczał się więc do pobieżnego przeglądania zaszyfrowanych sprawozdań, które mu

wręczano i w których nie było żadnych błędów.

Naprawdę zajmować się musiał tylko tym, żeby pułk,

który Pianchi oddał pod jego rozkazy, zachował sprawność

bojową. Pułk ten, złożony z wyborowych łuczników i pie-

choty, gotów był do odparcia każdego ataku. Nemrod

regularnie co pewien czas nakazywał służbom inżynieryjnym

wzmacniać mury obronne miasta.

Spokojne, zbyt spokojne życie... Egipt w zastoju. Na

Północy libijscy książęta i anarchia. Na Południu święte

miasto Teby, tak samo zakrzepłe w swoich tradycjach jak

Hermopolis. A w nubijskiej głuszy, z dala od cywilizacji,

Pianchi, którego sława wystarczała do odstraszenia wrogów.

W wiadomość o ataku na Herakleopolis Nemrod nie

uwierzył. Jeszcze jedna z tych charakterystycznych dla Libij-

czyków przechwałek! A potem potwierdzenie... Peftau nie

potrafił jednak stawić oporu Tefnachtowi.

Tefnacht... Nemrod nigdy nie wyobrażał sobie, żeby ten

krewny księżę z Sais mógł stanąć na czele koalicji i okazać

się doskonałym strategiem. I miał rację, Tefnacht bowiem

nie odważył się zaatakować Hermopolis. Wojska libijskie po

wypoczynku i pijatykach w Herak-leopolis nie ruszyły na

Teby, gdzie w starciu z siłami Pianchiego czekałaby je

sromotna klęska, lecz rozpoczęły odwrót w kierunku Delt.

A więc niewiele znaczący epizod. Herakleopolis wróci

pod rządy księcia Peftau, który znów się ogłosi poddanym Czarnego Faraona i znowu zapanuje wszędzie zastój.

Nemrod w dalszym ciągu będzie musiał wysłuchiwać biadolenia wieśniaków i rzemieślników, skarżących się na wzrost podatków i na coraz trudniejsze warunki pracy. W odpowiedzi zaostrzy przepisy i przy najmniejszej próbie nieposłuszeństwa będzie wysyłał policję, żeby przywróciła porządek. Krótko mówiąc — nuda.

Wybierał sobie właśnie wino do obiadu, gdy o posłuchanie poprosił go jego szef sztabu. Oficer ten znany był z zimnej krwi, nie naruszał więc protokołu bez poważnych przyczyn.

— Książę Nemrodzie, jesteśmy okrążeni!

— Niemożliwe... To wojska Pianchiego... To Pianchi przychodzi nam na odsiecz.

— To nie są żołnierze nubijscy.

— Więc...

— Wojska Tefnachta. Zarządziłem alarm bojowy.

— Czy rzeczywiście jesteśmy w stanie się opierać?

— Mają liczebną przewagę, ale możemy się bronić. Cysterny są pełne, żywności w bród. Gdy stracą wielu ludzi, pewnie się cofną.

— Wszyscy na stanowiska!

Gdy do głównej baszty warownej Hermopolis podeszła

samotna dziewczyna w długiej zielonej sukni na szeleczkach i w skromnej czarnej peruczce, zbici z tropu łucznicy nie wiedząc, co począć, zaczęli na rozkazy.

Pod silną eskortą zaprowadzono Jutrzenkę do pałacu Nemroda.

— Kim jesteś?

— Córką zabitego przez Tefnachta oficera z Herakleopolis.

— I Tefnacht... cię uwolnił?

— Jestem jego wysłanniczką.

— Kpisz sobie ze mnie?

— Załoga Herakleopolis jest teraz pod rozkazami Tefnachta, który postanowił zająć i twoje miasto.

— Czy nie jest zbyt pewny siebie?

— Księżę Nemrodzie, może tak sądzisz, lecz celem mojej misji jest przekonać cię, że źle go oceniasz.

Zrozumiałam, że Tefnacht pragnie uchronić Egipt przed upadkiem i przywrócić mu dawną świetność.

Jeśli nadal będziesz służył Pianchiemu, twoje miasto czeka zagłada, a ty znikniesz wraz z nim.

— Jakie wyjście proponuje mi Tefnacht?

— Otwórz bramy i zostań jego sprzymierzeńcem. Twój żołnierz przejdą pod jego rozkazy, a wojna o zjednoczenie kraju przesunie się na południe, w stronę

Teb.

— Zabawna jest ta próba zastraszenia mnie, dziewczyno... Ale Hermopolis wytrzyma szturm.

— Tefnacht gotów jest na wszystko. Osiągnie cel bez względu na straty. Hermopolis musi paść i Hermopolis padnie.

— Jeśli oddam Tefnachtowi miasto, usunie mnie.

— Księżę Peftau wciąż żyje i włada w Herakleopolis. Po cóż mamy nadal znosić jarzmo tego Pianchiego, który nosa nie wychyla poza swoją Nubię, nie dba o przyszłość Egiptu i zmienia go w kraj niewolników. Przecież to właśnie przez niego skończył się okres pomyślności i pogłębia się marazm. Pod rządami Tefnacha Oba Kraje znów się połączą, a ci, co pomogą Tefnachtowi w osiągnięciu zwycięstwa, zostaną wynagrodzeni.

Nemrod zamyślił się. Czarny Faraon był w rzeczy samej dalekim tyranem i w końcu on, książę Hermopolis, nie miał wobec niego żadnych zobowiązań. Oczywiście, przysięgał kiedyś wierność Pianchiemu na wsze czasy i we wszystkich okolicznościach... Nagła zmiana sytuacji zwalnia go jednak od tej lekkomyślnie złożonej przysięgi... Tefnacht stoi przed bramami Hermopolis i ma wielkie plany. On, Nemrod, będzie mógł dzięki niemu wyrwać się z nudy i

zaplanować inne, o wiele ciekawsze życie.

— Jako wysłanniczka jesteś bardzo przekonująca —
powiedział do Jutrzenki. — Krew nie popłynie. Otwieram
bramy Hermopolis wojskom Tefnachta i przechodzę pod
jego rozkazy.

Tefnacht wkroczył do Hermopolis na czele swoich wojsk, gorąco witany przez ludność, której Nemrod godzinę wcześniej obwieścił, że udało mu się nie dopuścić do zbrojnego starcia i że przyszłość zapowiada się jak najpomyślniej.

Codzienne trudności, wzrost podatków, inflacja, słabe przybory wód Nilu, choroby dzieci... sprawcą wszystkich tych nieszczęść był jeden tylko człowiek: Czarny Faraon Pianchi. On, Nemrod, przez wiele lat na próżno walczył, żeby wyrwać się spod jego tyranii. Dzięki Tefnachtowi, przyszłemu faraonowi Egiptu, przed ludem otwiera się era dobrobytu.

— Dlaczego ci biedacy są tacy łatwowierni? — zastanawiał się Akanosz, którego koń biegł truchtem obok koni innych książąt libijskich. Wszyscy zachwyceni byli tym łatwym sukcesem, osiągniętym dzięki geniuszowi wojennemu Tefnacha, którego władzy nikt już nie zamierzał kwestionować. Zajmując Hermopolis, stawał się Tefnacht panem Środkowego Egiptu, przejmował znakomicie działającą administrację i bardzo znacznie zwiększał siłę swych wojsk. Tym razem nie można już było mówić o zwykłej wyprawie zbrojnej ani o sukcesie bez znaczenia. Tefnacht rzeczywiście wyrastał na wielkiego zdobywcę. Inne jednak pytanie dręczyło Akanosza. Dlaczego Pianchi nie reaguje?

Czyżby nie otrzymał wiadomości? A może nie docenia powagi sytuacji?

Nowego pana Nemrod przyjął tak, jak przyjmuje się głowy państwa. Daszek na zgrabnych kolumienkach z połączanego drewna dla ochrony przez słońcem, przybrany palemkami tron na lwich łapach, podnózek pod stopy w kształcie powalonego Nubijczyka... Aluzja była przejrzysta.

Księżę Hermopolis uznaje swego zwycięzcę za nowego faraona Egiptu, któremu brakuje już tylko oficjalnej koronacji.

Nemrod — ufryzowany, wypachniony olejkiem różanym, w szerokim turkusowym naszyjniku zwieszającym się na szatę z cienkiego lnu, w wytwornych sandałach — złożył ukłon przed Tefnachtem.

— Panie — rzekł — od tej pory to miasto jest twoje.

Rozkazuj, a będę ci posłuszny, o ile raczysz zaszczyć mnie tym wielkim przywilejem i nadal pozwolisz mi zarządzać miastem.

— Jesteś, Nemrodzie, człowiekiem rozsądnym, a w tych wojennych czasach jest to cnota rzadka i cenna. Któż lepiej od ciebie zna ten stary i sławny gród?

Nemrod przyklęknął i ucałował w nagolennice siedzącego w zbroi i hełmie Tefnachta.

— Dzięki ci, panie, możesz liczyć na moją całkowitą

wierność.

— Wstań, mój wierny sprzymierzeńcze!

Książę Hermopolis spojrział ukradkiem na stojącą za Tefnachtem Jutrzenkę.

— Inteligencja i uroda twojej wysłanniczki...

— Jest ona jeszcze kimś więcej, Nemrodzie. Jest przyszłą królową Egiptu.

Na twarzy dziewczyny pojawił się uśmiech zdziwienia, ale i zachwytu. Rana spowodowana śmiercią ojca nadal jątrzyła, ale Jutrzenka uległa już urokowi tego zdobywcy, tak przeświadczonego o słuszności swojej sprawy. Przekazał jej swój żar i choć w jej sercu nienawiść wciąż wiodła walkę z podziwem bliskim miłości, gotowa była mu pomagać.

Tefnacht nie oszukał jej. Dzięki jej interwencji oszczędzono wiele istnień ludzkich. Jutro, w Tebach, Jutrzenka podejmie te same działania dyplomatyczne. Może Boska Adoratorka zrozumie, że Czarny Faraon jest złym władcą, a kto sprzeciwia się Tefnachtowi, ten zdradza Egipt.

Zostać królową... Myśl ta spłynęła na Jutrzenkę jak balsam. Nie miała doświadczenia, o przyszłości nie myślała nigdy i oto nagle traciła dziecięcą beztroskę. To prawda, odczuwała strach, ale i chęć życia, chciała być użyteczna i tak samo zdecydowana jak Tefnacht.

Na pierwszej uczcie wydanej z okazji wyzwolenia Her-

mopolis siedziała po lewej ręce Tefnachta. W oczach wszystkich to on określał wysoką rangę dziewczyny. Nemrod, choć ciągnęło go do Jutrzenki, wstrzymał się od umizgów.

— Wybacz, że przystępuję tak od razu do spraw poważnych i nudnych — szepnął Tefnachtowi do ucha —

ale chodzi mi o system podatkowy ustanowiony przez Pian-chiego. Czy chcesz coś w nim zmienić?

— Chwilowo rozstrzyga o wszystkim ekonomia wojny.

Moi doradcy, Jegeb i Nartreb, powiadomią cię o tym, co uznają za konieczne, i ustalą szczegóły.

— A jeśli chodzi o moje osobiste wpływy? Czy chciałbyś coś w nich zmienić?

— Dobrze się starałeś, więc możesz je sobie zwiększyć.

Co z uzbrojeniem?

— Starannie zabezpieczone.

— Twój żołnierz gotowy do walki?

— Wyborowi łucznicy i piechota, sami zawodowcy. Znają się na rzeczy i zadadzą Nubijczykom ciężkie straty.

— Korzystaj z fortuny, Nemrodzie, i nie martw się o nic więcej.

Nubijska małżonka Akanosza płakała.

— Jegeb i Nartreb stosują tu takie same metody jak w Herakleopolis. Systematycznie eliminuje się chorych i starców, a także tych, którzy ośmielają się wyrażać wątpliwości

co do planów Tefnacha. Dlaczego jednak Pianchi wciąż milczy? Powinien przysłać tu swoje oddziały tebańskie i unicestwić te potwory! Akanosz był przybity.

— Kapłan tebański, który miał przekazać mu wieści ode mnie, nie dotarł pewnie do Napaty. Sam będę musiał to załatwić.

Żona objęła go.

— Nie, Akanoszu! Nie pozwolę ci wyjść z miasta, zaczną cię podejrzewać, aresztują cię i będą torturowali!

Libijski książę zwiesił głowę.

— Masz rację, to byłoby szaleństwo. Zostaje jeszcze jedna możliwość: kapłani Tota nie mogą pogodzić się z taką sytuacją.

— Znasz kogoś?

— Nie, ale musimy podjąć to ryzyko. Idź do laboratorium świątynnego, powiedz, że w domu, który nam przydzielono, roi się od pcheł i że do ich wytępienia potrzebujemy esencji ozankowej i dzikiej mięty. Ze względu na moją pozycję świątynia wyśle do nas specjalistę.

Specjalistą był kapłan w dojrzałym wieku. Ampułkę z esencją ozankową niósł bardzo uważnie. Nie śpiesząc się, obszedł wszystkie pokoje willi Akanosza.

— Książę, jestem zdziwiony... Na moje oko willa jest

w doskonałym stanie i nigdzie nie zauważyłem pcheł.

Akanosz rzucił się na głęboką wodę.

— Czy jesteś nadal wierny Pianchiemu?

— Odpowiedź mógłbym przypłacić życiem.

— Nie bój się mnie. Jestem oczywiście przywódcą libij-

skiego plemienia, słucham Tefnachta i w razie potrzeby

stanę u jego boku. Nie mogę jednak pogodzić się z

tym, że jego zbiry postępują jak oprawcy i męczą

ludność. Sądzę więc, że trzeba zawiadomić Pianchiego.

Być może będziemy mieli straszliwą wojnę. Być

może, i tego się spodziewam, znowu zrobi się zastój.

Ale przynajmniej cywilna ludność zostanie

oszczędzona, a tyrania Tefnachta nie rozszerzy się.

— Nie czujesz się winny zdrady stanu?

— Słucham głosu swego sumienia. Czy świątynia Tota

może wysłać posłańca do Pianchiego z

zawiadomieniem, że Hermopolis wpadło w ręce

Tefnachta?

— Weź, Książę Nemrodzie, tę ampułkę z esencją ożan-

kową i rozpyl zawartość w całym domu. Czyż nie

wezwałeś mnie do wytępienia szkodników?

Pianchi otworzył flakonik, który podarowała mu córka.

Był ze szkła, materiału niezwykle cennego. *Kyfi* Szepeny było naprawdę wyjątkowe! Czyż takiego zapachu nie wdychają bogowie w rajskim świecie, gdzie ciernie nie kłują, a krokodyle nie gryzą?

Abilea ostrożnie wzięła do rąk flakonik i natarła potężny tors męża.

— Czarujący zapach...

Nagim ciałem przytuliła się do Pianchiego. Była jak wszystkie kwiaty i wszystkie olejki, jak urok brzegów Nilu, jak magia ziemi — żyznej, zniewalającej i skąpanej w słońcu.

— Kochałem w życiu tylko jedną kobietę i tylko jedną będę kochał.

— Wierzę w ciebie, bo wiem, że twoje słowo jest prawdą.

Długimi, cienkimi jak u boginki palcami rozwiązała Pianchiemu spódniczkę. Czarny Faraon ze wzruszeniem, jak przy pierwszym ich miłosnym uścisku, wdychał niepowtarzalny zapach jej pełnego miłości ciała.

Zimna Głowa nie wiedział, co robić. Miał wprawdzie prawo wstępu do prywatnych apartamentów monarchy, czy jednak wypada budzić parę królewską, nagą i splecioną w miłosnym uścisku, żeby oznajmić złą nowinę?

Jako pisarz w służbie króla nie mógł jednak uwzględnić
niczyich przywilejów. Dotknął więc lekko czoła monarchy.

— Obudź się, Wasza Królewska Wysokość.

Pianchi otworzył jedno oko.

— Ach, to ty, Zimna Głowo... Co tu robisz?

— Przykro mi, ale sprawa jest pilna.

Faraon popatrzył na wspaniałe ciało swej małżonki. Czyż
w obecności ukochanej kobiety nie ma, tak jak wszyscy,
prawa zapomnieć o troskach tego świata?

Abilea obudziła się i wstała. Dostojna w swej postawie i
wzniosła w nagości, lekkim krokiem przeszła do łazienki.

— Zimna Głowo... jeśli przeszkodziłeś mi z błahego po-
wodu, zapomnę o naszej przyjaźni.

— Twoja przyjaźń, panie, to rzecz bezcenna, ale oddał-
bym ją za pokój, o ile w ogóle można go jeszcze
uratować.

— Jakież wieści ze Środkowego Egiptu?

— Niestety, tak.

Wysłannik świątyni Tota był młody, spojrzenie miał
szczerze, a nogi muskularne.

— Skąd przybywasz? — zapytał Pianchi.

— Z Hermopolis.

— Kto cię wysłał?

— Arcykapłan świątyni Tota.

— Jak nazywa się dolina, w której wznosi się świątynia?

— Dolina tamaryszków.

— Co wyrabia się w pracowni przy wejściu do świątyni?

— Paletki dla pisarzy.

— Jak brzmi święta nazwa miasta?

— Ogdoady, gród ośmiu bogów, którzy stwarzają świat, a wypoczywają teraz w Tebach.

Pianchi uspokoił się. Wysłannik nie był oszustem.

— Dlaczego w rozmowie z Zimną Głową mówiłeś o katastrofie?

— Bo księżę Nemrod zdradził cię, panie, i otworzył Tefnachtowi bramy miasta.

— Trudno uwierzyć... Nemrod przysiągł mi wierność, a opierać się mógł.

— To jednak prawda, Wasza Królewska Wysokość! Nemrod zrównał już z ziemią mury miasta, zapomniał o danym ci słowie i przeszedł pod zwierzchnictwo Tefnacha. Bez skrupułów przekazał mu również miejski skarbiec i oddał swoich żołnierzy. Wybacz mi, panie, że się tak buntuję, ale jak długo jeszcze będziesz milczał, gdy tymczasem Tefnacht wciąż rozszerza swoje zdobycze i nie trafia na nikogo, kto by mu się przeciwstawił? Potęgę zawdzięczasz swojej sławie i tylko zwyciężając nie pozwolisz przeciwnikowi na

zniszczenie Egiptu.

Płowogrzywy rumak niósł Pianchiego daleko na pustynię.

Czarny Faraon pożerał przestrzeń, wdychał czyste powietrze i jednoczył się z nieskazitelnym błękitem nieba. Czując, że pana dręczy niepokój, Śmiałek sam, bez rozkazów zmieniał krok i kierunek. Człowiek i koń tworzyli jedność w tym wspólnym wysiłku, na który z góry spoglądały białe ibisy i żurawie.

Pianchi zatrzymał się wreszcie przy studni.

Napoił konia, zanim sam się napił i jął podziwiać pustynię. Nic nie kalało tego otwartego na słońce i wiatr ogromu. Najprzewrotniejsza istota nie potrafiłaby zakłócić tej harmonii, stworzonej przez ukrytego boga, którego obecność przekraczała granice ludzkiego pojmowania.

Pianchi rozmyślał przez wiele godzin.

Jego usta szeptały starą modlitwę, którą jego przodkowie wznosili kiedyś do Amona:

— Boże doskonały, ty, co dajesz życie każdej istocie.

Cześć ci, o Jedyny, panie Maat, ty, co w pokoju przemierzasz dalekie niebo. Z ciebie rodzi się światłość, a twoja mowa to Słowo. Ciebie, któryś jest jeden, a tworzysz mnogość, chciałbym ugościć w moim sercu. Jak słodko jest wymawiać twoje imię, ma bowiem smak życia. Jesteś wola-
rzem prowadzącym woły na soczystą trawę, bramą z brązu

strzegącą dostępu do miasta, sternikiem znajdującym rzeczne zakola. Tyś jest Amon, pan milczenia, ty ukazujesz się maluczkim. Ty, który dajesz oddech każdemu, kto go potrzebuje, ocal mnie, pogrążonego w smutku i niepewności.

Gdy słońce schyliło się ku zachodowi, Czarny Faraon ruszył z powrotem do stolicy.

Na rozkaz Pianchiego kapłan Tota powtórzył w obecności całego dworu to, co przedtem oznajmił królowi.

Miny wydłużyły się. Tylko kapitan Lamerskeni widział już w wyobraźni wesołe a bliskie dni, kiedy to będzie mógł całkiem legalnie siec Libijczyków. Jego obecność raziła wielu dostojników niemile zaskoczonych względami, jakimi Czarnym Faraon obdarzał tego żołdaka bez czci i wiary.

—°Wasza Królewska Wysokość, co zamierzasz uczynić?

— zapytał Otoku, który nagle stracił apetyt.

— Trzeba uznać oczywiste fakty. Herakleopolis nie padło

przez czysty przypadek, a Nemrod to nikczemny zdrajca.

Oddając miasto Tefnachtowi, uczynił z niego groźnego przeciwnika i teraz walka z nim będzie wymagała najwyższych wysiłków.

Tych właśnie słów obawiał się tłuścioch.

— Mam nadzieję, panie, że nie zamierzasz opuścić Napaty na czele wojsk! Twoja obecność tutaj jest

konieczna i nie masz prawa narażać życia.

— Jestem tego samego zdania co Otoku — rzekła królowa. — Zamieszki, które wydarzyły się w Środkowym Egipcie, przybrały niepokojące rozmiary w wyniku zdrady Nemroda, ale szybkie wejście do akcji naszych oddziałów tebańskich powinno wystarczyć, żeby przywrócić porządek.

— Wyślę im jeszcze korpus ekspedycyjny pod dowództwem kapitanów Puarmy i Lamerskeniego — postanowił Pianchi. — Otrzymają zadania: oswobodzić miasta Herakleopolis i Hermopolis, rozbić wojska wrogiej nam koalicji, a ich resztki przepędzić ostatecznie na północ.

Otoku odetchnął. Poskromienie tego bezmyślnego buntu król powierza więc swoim wyborowym żołnierzom, a sam zostanie w stolicy.

Nemrod był zachwycony. Nie tylko zachował wszystkie swoje uprawnienia, ale jeszcze uwolniono go od kłopotów materialnych. Dwaj doradcy Tefnacha, Jegeb i Nartreb, niezwykle sprawnie zajęli się sprawami miasta, systematycznie i z zapalem wyciskając z niego, ile się dało. Nie umykała im żadna dziedzina życia publicznego, a nawet zaostrzyli metody stosowane wcześniej w Herakleopolis.

Te dwa złe duchy, działając zgodnie ze wskazówkami Tefnacha, przekształciły Hermopolis w olbrzymie koszary, gdzie wszyscy mieszkańcy — od dziecka do staruszka — pracowali na potrzeby armii. Żołnierzy wyzwolicielskich wojsk trzeba było hołubić i zaspokajać najdrobniejsze ich potrzeby. Ani Jegebowi, ani Nartrebowi nie przeszkadzało, że matki rodzin zmuszano do prostytucji, a dziesięcioletnich chłopców do dźwigania ciężkich koszy z żywnością. Nie kwestionuje się nakazów gospodarki wojennej. Pozbyto się zbędnych gąb i całe Hermopolis było gotowe do walki.

W jadalni pałacowej zebrała się rada wojenna Tefnacha. Uczestniczyli w niej książę Nemrod i wodzowie plemion libijskich, Jegeb i Nartreb, książę Peftau z Herakleopolis oraz Jutrzenka, której obecność nie podobała się większości zebranych. Nikt nie krytykował jednak decyzji generała.

— Czy mamy jakieś wieści z Teb?

— Tak, panie — odpowiedział skwapliwie Jegeb. — Ma-

my tam coraz więcej stronników. Po zdobyciu

Hermopolis

zrozumieli oni, że walka o zjednoczenie rzeczywiście się

zaczęła i że połączenie się obydwu krajów to już nie utopia.

— Poutykałeś tam jakichś szpiegów?

— Owszem, mamy kilku godnych zaufania informato-

rów. Muszą działać niezwykle ostrożnie, bo Teby

wciąż głośno i dobitnie deklarują swą wierność

Pianchiemu.

— Co ci przekazali?

— Czarny Faraon zaczął reagować i wysłał tam korpus

ekspedycyjny.

Twarze spochmurniały.

Wszystkie dotychczasowe zwycięstwa przychodziły łatwo

i szybko. Zetknięcie się oko w oko z groźnymi i słynnymi z

okrucieństwa wojownikami nubijskimi nikogo nie cieszyło.

— Może by spróbować pertraktacji? — powiedział drżą-

cym głosem książę Peftau.

— Co proponujesz?

— Zdobyłeś, książę, dwa wielkie miasta i jesteś teraz

panem Środkowego Egiptu. Jeśli Pianchi się z tym

pogodzi, to po co nam więcej? A nową sytuację

zatwierdzi wymiana ambasadorów.

— Nie pojąłeś sensu mojej walki, Peftau. Zdobyć te-
rytorialne mnie nie interesują. To, czego chcę, to
Egiptu zjednoczonego jak dawniej, Egiptu, który
znów się stanie pierwszym państwem świata
śródziemnomorskiego. Pianchi będzie ze mną
pertraktował dopiero wtedy, gdy straci całe wojsko, i
osamotniony będzie musiał wieść nędzny żywot w
Nubii, która znów podlegać będzie Egipcjom i będzie
mu użyczała swoich bogactw. Ja jednak nie popełnię
błędu, i nie daruję temu uzurpatorowi życia. Nubijski
buntownik nie zasługuje na żadną litość!
Książę Peftau nie nalegał.

Ku ogólnemu zaskoczeniu głos zabrała Jutrzenka.

— Skoro Pianchi wysłała korpus ekspedycyjny — rzekła
— to nie po to, żeby z nami pertraktować, i nie po to,
żeby zawierać pokój. Na czele oddziałów stojących w
Te-bach postawił z pewnością najlepszych swoich
oficerów.

— Chyba jednak baba nie będzie nas pouczała o strategii

— zaprotestował jeden z libijskich wodzów.

— A dlaczego nie? Jej uwagi wydają mi się całkiem
trafne — uznał Tefnacht.

— No, to ruszamy na Teby i zajmujemy je.

— Głupota! — stwierdziła krótko Jutrzenka. — Natknie-

my się na wojska Pianchiego i wynik spotkania będzie niepewny. Lepiej poczekajmy tutaj. Oni będą musieli się rozdzielić, Hermopolis zaatakują tylko częścią sił, żeby nie ogołacać Teb i nie zostawiać miasta bez obrony. My tymczasem zbierzemy armię, która zapewni nam zwycięstwo. Potem dopiero ruszymy na Teby. Wtedy ich zdolność oporu będzie znacznie słabsza.

Wodzowie libijscy zaczęli sarkać, niektórzy wzruszali ramionami, większość musiała jednak przyznać, że analiza dziewczyny jest trafna.

— Dlaczego kazałeś zburzyć część murów obronnych miasta? — zwrócił się Akanosz do Tefnachta.

— Żeby zmylić przeciwnika. Pomyśli, że miasto leży w gruzach i łatwo je zająć. I tuż po wkroczeniu do niego żołnierze Pianchiego wpadną w sidła.

Tefnacht rozwinął zwój z bardzo dokładną mapą okolicy.

— Resztę ich korpusu ekspedycyjnego weźmiemy w kleszcze na równinie, a wzdłuż łańcucha wzgórz zbudujemy szereg pułapek, żeby odciąć przeciwnikowi wszelką możliwość odwrotu. Pianchi nie ma pojęcia o sztuce wojennej i myśli, że brutalna siła wystarczy do zwycięstwa w każdej bitwie. Przyszła chwila, żeby dać mu nauczkę.

— Czy nie ma groźby, że ludność zbuntuje się przeciwko nam? — zapytał Akanosz.

— Skąd ten niepokój? — zdziwił się Tefnacht.

— Obchodzimy się z nią tak surowo...

— Wojna jest wojną, Akanoszu. Każda oznaka słabości byłaby zachętą do nieposłuszeństwa^ Obaj moi doradcy spisują się tu doskonale.

Jegeb lekko się uśmiechnął.

— Dzięki nam — rzekł — ludzie czują, że ktoś nimi rządzi i otacza ich opieką. Czego żądamy od ludności?

Żeby słuchała Tefnacha, ufała mu. To wszystko. I każdy wie, że działamy dla jego dobra, choćby nawet doraźnie nie rozumiał, dlaczego domagamy się od niego poświęceń.

Akanosz spojrział wyzywająco na obłudnika, nie odważył się go jednak zaatakować.

— Ktoś proponuje inną strategię? — zapytał Tefnacht.

Nikt się nie odezwał.

— Rozpoczynamy zatem intensywne ćwiczenia z korpusami. Zajmą pozycje, na których przyjdzie im walczyć.

Z planami wkrótce was zapoznam. W czasie bitwy nie będę tolerował żadnego wahania. Do roboty!

Nartreb żuł łądygę papirusu, Jegeb coś liczył.

— Powoli stajemy się bogaci, przyjacielu. Tefnacht dał nam takie pełnomocnictwa, że legalnie i dyskretnie

zgarbiamy całkiem sporo dobra. Domy, place, partie odzieży, sandałów, naczyń. Gdy dobierzemy się do wsi, wpadną nam w ręce całe stada bydła. Piękna wojna!

— Byleby tylko trwała — dodał Nartreb — i byle los sprzyjał naszemu orężowi!

— Suto opłaciłem oficerów z Herakleopolis i z Hermopolis, żeby ślepo słuchali Tefnacha. Dopóki będzie zwyciężał, o nic nie zapytają. Żołnierz pragnie tylko dwóch rzeczy: jasnych rozkazów i dobrego żołdu.

Jeśli ma jedno i drugie, zabija bez skrępowań.

— Czy rzeczywiście wszyscy nasi sprzymierzeńcy pragną tego zwycięstwa?

— Masz na myśli Akanosza?

— Odnoszę wrażenie, że chętnie powitałby zakończenie działań wojennych i że nie podoba mu się nasz sposób zarządzania miastem.

— Masz rację, Nartrebie. Ten Akanosz może przysporzyć nam kłopotów.

— Chcesz, żebym zadziałał... tak jak zwykle?

— Nie, nagła śmierć spowoduje, że pozostali wodzowie stracą zaufanie do Tefnacha i w koalicji zrobi się wyłom. Mam lepszy pomysł. Zastawimy na niego pułapkę.

Nartreb nasmarował sobie pulchne stopy maścią z liści akacji, głożyny, ziemi nubijskiej i wewnątrz małży słodkowodnych. Nie lubił chodzić, bo piekły go palce u nóg.

— Jutrzenka robi się zbyt ważna — poskarżył się. — Jeśli damy jej wolną rękę, zejdziemy na drugi plan i

Tefnacht w końcu o nas zapomni, może nas nawet wyrzucić.

— Nienawidzę bab. Tylko wyjdą poza sypialnię albo kuchnię, a od razu judzą. Gdy Tefnacht będzie już królem, doradzimy mu, żeby wydał ustawę zakazującą kobietom pracować, a nakazującą im okrywać się od stóp po czubek głowy i siedzieć w domu.

— Doskonała myśl, Jegebie! A tymczasem nie wolno nam dopuścić, żeby ta ambitna dziewczucha została królową... i trzeba to zrobić tak, żeby nie zrazić do siebie Tefnacha.

— Nie pójdzie to łatwo, przyjacielu, ale poradzimy sobie.

Sprzyjająca pora roku, silny prąd, szybkie statki i znakomici sternicy — wszystko to bardzo ułatwiało żeglugę. Już po trzech tygodniach dowodzony przez kapitanów Lamerskeniego i Puarmę korpus ekspedycyjny dobijał do miejsca przeznaczenia, czyli do potężnego grodu Amona, Teb. Obaj oficerowie, nie chcąc się do siebie odzywać, płynęli na dwóch różnych statkach. A przecież otrzymali wspólny rozkaz i Czarny Faraon zlecił im działać wedle ściśle określonego planu strategicznego mającego położyć kres ofensywie Tefnachta. Lamerskeni ostrzegł, że warunki terenowe najprawdopodobniej zmuszą ich do modyfikacji planu. Puarma przyrzekł władcy, że będzie jego zbrojnym ramieniem i powstrzyma się od wszelkiego działania w pojedynkę. Gdyby nie perspektywa wspaniałych walk, Lamerskeni zatłukłby już Puarmę swą akacyjową ręką. Jakoś jednak panował nad sobą, a między Napatą i Tebami całkiem się uspokoił, a to dzięki gorącym afektom dwóch młodych Nubijek, które z naruszeniem regulaminu wziął po kryjomu na pokład statku. Ślicznotki były tak szczęśliwe na myśl o zostaniu tancerkami w domu piwa w wielkim mieście Południa, że z entuzjazmem zaspokajały wszelkie fantazje bohatera. W pobliżu miasta natknięto się na przeszkodę — w poprzek rzeki stały statki wojenne. Nubijska flotylla zatrzy-

mała się.

Przez chwilę Lamerskeni sądził, że Tefnacht zajął już miasto i czeka go bitwa z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem. Uspokoił się jednak, ujrawszy oficera nubijskiego, stojącego na dziobie jednego ze statków. Puarma, nie chcąc ustąpić kapitanowi piechoty pierwszeństwa w tym spotkaniu, dogonił go przeskakując z pokładu na pokład.

— Przyjęcie raczej dziwne, co?

— Twoi łucznicy na stanowiskach?

— Jesteśmy w Tebach i...

— Niech będą w pogotowiu, głupku! Przede wszystkim mamy wojnę i w każdej chwili może się coś zdarzyć.

Puarma, choć obrażony, wydał stosowny rozkaz.

Oficer marynarki mierzył wzrokiem przybyłych.

— Kim jesteście?

— Lamerskeni, kapitan piechoty. A to mój towarzysz

Puarma, kapitan łuczników.

— Mam rozkaz zaprowadzić was do świątyni w Karnaku.

— A cóż to za historia — zaprotestował Lamerskeni. —

Jesteśmy żołnierzami, a nie kapłanami! Chcemy

natychmiast spotkać się z dowódcą twierdzy.

— Tutaj wszystkim rządzi Boska Adoratorka. Wydała mi rozkaz i wykonam go.

Puarma złapał za rękę Lamerskeniego, który sięgał już po miecz.

— Dobra, idziemy z tobą.

Dwaj kapitanowie weszli na pokład ciężkiego okrętu wojennego. Było na nim już około stu marynarzy.

— Jak jeszcze raz zrobisz coś takiego — rzekł Lamerskeni do Puarmy — to ci łapę przetrączę.

— To dla twojego dobra, głupku. Pamiętaj, że masz się bić z wrogami, a nie z przyjaciółmi.

Karnak było już widać. Zamilkli.

Zdumieni patrzyli na olbrzymią siedzibę króla bogów, Amona-Ra, opasaną wysokim murem, znad którego widać było złożone wierzchołki obelisków. Świątynia w Napacie też była wspaniała, oczywiście, ta jednak przewyższała wszystko, co wyobraźnia mogła pojąć. Faraonowie przez całe wieki powiększali i upiększali to sanktuarium, noszące imię „Tego, co wyznacza miejsce wszystkim świątyniom”. To tutaj po raz pierwszy pojawiło się życie, przybierając postać wysepki wylaniającej się z praocceanu, i od tej pory tchnienie Amona nigdy nie przestało dawać znać o sobie, wydymając żagle statków.

— Do kaduka! — zawołał Lamerskeni — ależ znakomita byłaby to twierdza!

Puarma wpatrywał się w pylon przy wejściu, symbolizujący

zarazem góry Wschodu i Zachodu oraz boginie Izydę i Neftydę. Między nimi i dzięki nim co rano odradzało się słońce.

— To bogowie zbudowali Karnak, nie ludzie — szepnął kapitan łuczników.

Kapłan z ogoloną głową zaprowadził wysłanników Pianchiego do bocznej bramy w murach, gdzie inny kapłan zapytał ich z surową miną o imiona.

— Czy w ciągu ostatnich trzech dni którykolwiek z was zbliżał się do kobiety?

— Skądże znowu — skłamał Lamerskeni. — Z Napaty przy płynęliśmy tu statkami i na pokładach byli tylko żołnierze.

— W takim razie możecie przestąpić tę bramę.

— Faraon wysłał nas, żebyśmy walczyli z Libijczykami, i nie mamy czasu do stracenia.

— Chodźcie za mną!

Człowiek o drewnianej ręce rozpaczliwie westchnął. Byli jednak w Karnaku i trzeba było znosić kaprysy kapłanów.

Krokiem, którego powolność też drażniła Lamerskeniego, kapłan poprowadził ich do świętego jeziora. Puarmę zafascynowała wspaniałość wielobarwnych świątyń, które wyglądały jak włożone jedna w drugą. Lamerskeni natomiast był pod urokiem słodkich zapachów; kojarzyły mu się z kwintnymi kochankami.

Wielkość jeziora zadziwiła oficerów. Nad błękitną taflą wody, po której w okresach świąt pływały łódeczki kapłanów, szybowały setki jaskółek.

— Zrzućcie ubrania! — nakazał kapłan.

— Pozwolisz nam tu się wykąpać? — zapytał Lamerskeni.

— Musicie się oczyścić.

— Nie zamierzamy zostawać kapłanami.

— Reguła wymaga, by oczyścił się każdy, kto choćby na chwilę wchodzi do świątyni. Rozbierzcie się, wejdźcie powoli do jeziora po tych kamiennych schodkach, wyjdźcie z wody, a potem stójcie nieruchomo przez kilka chwil i skupcie się, kierując umysły ku światłości.

— Miecz zabieram — rzekł Lamerskeni.

•— Nie ma mowy, broń trzeba zostawić na progu świątyni.

— Wchodzimy — zakomenderował Puarma.

Gdy Lamerskeni zrzucił z siebie zgrzebną koszulę, kapłan nie mógł ukryć swego zdziwienia.

— Zabawna ręka, co? Przed wyjazdem z Napaty kazałem wzmocnić drewno metalem, a wojskowy kołodziej nasycił jeszcze to wszystko żywicą.

Nadzy oczyścili się w jeziorze. Potem ubrano ich w lniane, olśniewająco białe spódniczki, ogolono i okadzono.

— Nie chwalcie się swoją potęgą w obliczu boga — przez strzegł kapłan. — Bóg słabego czyni silnym, bóg pozwala w pojedynkę zwyciężać tysiące.

Gdy stali się „czystymi kapłanami”, czyli osiągnęli pierwszy stopień świątynnej hierarchii, poproszono ich, by wylali odrobinę świętej wody na złożoną na ołtarzach żywność i zmówili modlitwę do Amona: „Ukaż nam drogę, pozwól nam walczyć w cieniu twej potęgi”.

— A teraz — rzekł kapłan — możecie wejść do wielkiej sali kolumnowej.

Oficerowie wstrzymali oddech.

Sala ta, zbudowana przez Setiego Pierwszego i Ramzesa Drugiego, była niby las ogromnych kamiennych papirusów, na których wryto barwne sceny ukazujące faraona składającego ofiarę bogom. Przez niewielkie otwory w ogromnych płytach sufitowych przechodziły wiązki promieni słonecznych.

W świetle jednej z takich wiązek ujrzał Lamerskeni zjawę: dziewczynę ubraną w długą białą suknię na szeleczkach, piersi zakrywała jej bladożółta chusta.

— Bogini — wyszeptał — to bogini!

— Kapitanowie Lamerskeni i Puarma? — zapytała zjawa.

— Lamerskeni to ja. Zawsze czciłem bogów, a zwłaszcza boginie. Puarma to niedowiarek, niegodzien cię słuchać.

Zjawa uśmiechnęła się. Rysy twarzy miała tak delikatne, że Lamerskeni poczuł się onieśmielony.

— Gzy to ty jesteś Boską Adoratorką? — zapytał Puarma.

— Nie, tylko jej intendentką. Jej Wysokość jest ciężko chora i nie opuszcza swojego pokoju. Właśnie dlatego poprosiła mnie, bym przyjęła was i przekazała wam wiadomość, nim jeszcze spotkacie się z kolegami.

— Wiadomość?... Jaką?

— Chodźcie, proszę.

Piękna kapłanka zaprowadziła oficerów do doczesnych pomieszczeń Boskiej Adoratorki, które składały się z kaplicy, prywatnych apartamentów i pokojów dla pisarzy. Właśnie do jednego z tych pokojów wprowadziła przybyłych.

Lamerskeni wodził za nią oczyma, oczarowany.

— Jak masz na imię?

— Macierzanka.

— Jesteś zamężna?

— Ani Boska Adoratorką, ani kapłanki na jej służbie nie wychodzą za mąż. Interesują cię zagadnienia religijne, kapitanie Lamerskeni?

— Pasjonują mnie.

— Mam dla was smutną wiadomość. Cztery dni temu zmarł dowódca tebańskiego garnizonu.

— Przykre to dla niego. Kto go zastępuje?

— Tego właśnie pragnie jak najszybciej dowiedzieć się Boska Adoratorka, zatroskana o bezpieczeństwo kraju. O waszym przybyciu wiedzieliśmy i całe miasto oczekuje na wiadomość, który z was przejmie dowództwo tutejszych oddziałów.

Lamerskeni i Puarma spojrzeli na siebie, zbici z tropu.

— Mamy ten sam stopień...

— Piechota to broń najstarsza i najbardziej tradycyjna — zauważył Lamerskeni. — Tak więc...

— Korpus łuczników składa się wyłącznie z wyborowych żołnierzy — odparował Puarma — a zatem...

Ten spór rozgniewał kapłankę.

— Boska Adoratorka pragnie poznać rozkazy, jakie wydał wam faraon.

— Mieliśmy współdziałać pod rozkazami tutejszego dowódcy.

Lamerskeni i Puarma spierali się przez bitą godzinę, rzu-

cając sobie wzajemnie w twarz wiązanki pseudoargumentów.

— A może po prostu postąpimy zgodnie z rozkazem

Pianchiego? — zaproponował kapitan łuczników. —

Chciał, żebyśmy podzielili się dowództwem, więc

zrobmy to.

— Niemożliwe!

— Nie mamy wyboru.

Lamerskeni lubił działać, nie gadać.

— Dobra, ale przed żołnierzami będziemy występowali

jako równi i nie będziesz się nade mną wywyższał pod

pretekstem, że władasz łukiem.

— Skoro Teby nie mają chwilowo dowódcy, to róbmy,

co nam kazano. Faraon odwdzięczy się nam. W

przeciwnym razie jego gniew będzie straszny.

— No, nareszcie coś rozsądnego... W gruncie rzeczy

masz rację, Puarmo. Połączmy nasze wysiłki, a sukces

przyjdzie. Zostaw mi tylko inicjatywę, bo ty jej nie

masz.

Żołnierzy z tebańskich koszar niełatwo było przekonać.

Po pierwsze, żalowali swojego dowódcy i domagali się wie-

lodniowej żałoby z gratyfikacją, gdy żałoba się zakończy.

Po drugie, Puarmę i Lamerskeniego znali tylko ze słyszenia

i nie ufali im. Na koniec wreszcie, przyzwyczaili się już do

wygód czasu pokojowego i raczej nie płonęli chęcią walki,

zwłaszcza że Tefnacht Tebom nie zagrażał. Tak więc najlepszym wyjściem było czekać na nowe rozkazy z Napaty.

W charakterze rzecznika załogi tebanskiej wystąpił pewien podoficer i przedstawił nawet listę skarg. Dotyczyły złego wiktu, niewłaściwego umundurowania i liczby wolnych dni.

Puarma obawiał się, że Lamerskeni rozwali mu łeb swoją akacyjową ręką, ale kapitan piechoty zachował spokój.

Tefnacht powolutku głaskał Jutrzenkę po piersiach.

— Jesteś czarodziejką... Coś zrobiła, żeby mnie tak omotać?

— To ty mnie omotałeś, gdyż dzielam twoje ideały.

Czyż istnieje jakiś wznioślejszy cel niż zjednoczenie kraju i przywrócenie mu potęgi?

Tefnacht zakochał się w tym dziewczęcym ciele, takim kształtnym i takim naiwnym w uniesieniu, i bez ustanku wodził po nim dłońmi. Jutrzenka odwzajemniała jego pieśczoć, nie przestawała jednak mówić o jego wielkich planach, które uznała za swoje z namiętną żarliwością.

— Masz dzieci? — spytała.

— W Sais miałem wiele kobiet, ale żadnej nie kochałem.

Dały mi kilkoro dzieci... Córki zostały na Północy, dwaj synowie już dorośli do służby wojskowej i są u mnie oficerami. Żaden nie nadaje się na mojego następcę. Po mnie na tron wstąpi nasz syn.

Jutrzenka ujęła jego twarz w dłonie.

— Kocham cię, Tefnachie. Kocham cię, gdyż nosisz w sercu wielką wizję. Nie chcę jednak mieć dzieci, dopóki nie będziesz faraonem i dopóki oba kraje nie schylą przed tobą głowy.

Ta niezłomność wywierała wrażenie na Tefnachie. Jutrzenka nie była wyciosana z takiego samego drewna co inne znane mu kobiety i chwilami prawie go przerażała.

— Będzie, jak zechcesz.

W podziękę za zgodę zaczęła okrywać go pocałunkami z zapalem lwicy przystępującej do pożerania ofiary. Tefnacht, niezbyt skłonny do odgrywania takiej roli, przewrócił dziewczynę na plecy i sam przejął inicjatywę.

Zapukano do drzwi.

— Kto śmie? — zagrzemiał Tefnacht.

— Jegeb, panie. Ważna wiadomość, bardzo ważna.

— Nie może poczekać?

— Nie wydaje mi się.

Wódz otworzył drzwi. Jegeb skłonił się.

— Nasza sieć wywiadowcza doniosła nam właśnie, że zmarł dowódca twierdzy tebańskiej. Korpus ekspedycyjny faraona dotarł do miasta, ale z powodu zamieszania nie może się ruszyć. Oficerowie Pianchiego zrą się między sobą i żaden nie potrafi wydać stanowczego rozkazu. O wymar

szu nie ma mowy, dopóki nie przyjdą nowe rozkazy z Napaty. Czyż to nie świetna okazja?

Oczy Tefnachta rozbłysły.

— Uderzyć na Teby od strony Nilu i zadać załodze ciężkie straty... Tak, to jest właściwa chwila!

— Przyjęliśmy już inną strategię — przypomniała Jutrzenka, nie zwracając uwagi na obecność Jegeba, który wpatrywał się w jej dziewczęce ciało z zainteresowaniem, ale i z niesmakiem.

— Trzeba umieć korzystać z okazji, możemy uzyskać rozstrzygającą przewagę. Niech pierwszy rzut pod dowództwem któregoś z wodzów plemiennych natychmiast ładuje się na statki!

Wojsko pogrążone było w głębokim śnie. Od śmierci dowódcy zawieszono ćwiczenia i wszyscy wylegiwali się do południa.

Szeregowiec Ricyn w odróżnieniu od towarzyszy nie cenił sobie tego przedłużonego wypoczynku. Cierpiał na bezsenność od dnia, gdy najlepszy jego przyjaciel zginął na jego oczach z rąk Beduinów, tych zbójów pustyni, których zwano „włóczęgami pisków”. Lubił ćwiczenia. Wysiłek fizyczny odpędzał od niego złe wspomnienia.

Teraz z oczyma szeroko rozwartymi wpatrywał się w sufit. Nagle trzasnęła jedna z belek stropowych i jak rozcięta na pół zwała się na salę sypialną. Zaraz potem runęły dwie podpory palmowe, siejąc panikę wśród wyrwanych ze snu żołnierzy.

— Słuchać tam! — wrzasnął Lamerskeni, stojąc na dachu w asyście Puarmy i dwudziestu łuczników. — Oporządzać się natychmiast i wyłazić z nory! Zbiórka na placu ćwiczeń! Kto się nie podporządkuje, będzie stracony za nieposłuszeństwo.

Taka sama scena rozegrała się w pozostałych kwaterach i pod koniec ranka wszystkie oddziały tebańskie były już w stanie pogotowia bojowego.

— Widzisz — rzekł Lamerskeni do Puarmy — wystarczy

umieć do nich przemówić. Tymi chłoptysiami trzeba było potrząsnąć, to wszystko. Teraz to ty weźmiesz ich w obroty.

Ja ruszam na północ z paroma dobrze uzbrojonymi statkami.

— Ryzyko...

— A jak inaczej zlokalizować ewentualne pułapki, zastawione przez szpice wojsk Tefnachta?

Puarma pluł sobie w brodę.

Żałował, że przystał na propozycję Lamerskeniego. Nie powinien był wypuszczać go samego na czele wielu setek marynarzy. Kapitan piechoty dowodzi flotą! Łatwo przewidzieć katastrofę.

Coś jednak trzeba było zrobić, Pianchi wydał im przecież rozkaz. Mieli posuwać się naprzód, nawiązać walkę z Tefnachtem, otoczyć go, wziąć do niewoli, a w pierwszej kolejności zniszczyć jego statki. I zapewnić bezpieczeństwo Tebom.

Pod opieką Puarmy świętemu miastu boga Amona nic nie groziło. A co do reszty... Wszystko zależeć będzie od tego, jak powiedzie się Lamerskeniemu.

Zgłosił się oficer łączności.

— Melduję się na rozkaz, kapitanie.

— Czy goniec do Napaty już wyruszył?

— Dziś rano, z eskortą łuczników. Możesz być pewien, że dotrze do celu.

Ten posłaniec wiózł długi raport Puarmy, w którym kapitan nie pominął żadnego szczegółu. Decyzję, stosownie do rozwoju wydarzeń, podejmie Pianchi i jak najprędzej prześle kapitanowi odpowiednie rozkazy.

— Niech następny goniec będzie gotowy do drogi. Od dzisiaj będziemy utrzymywali stałą łączność z Napatą.

— Tak jest, kapitanie.

Boska Adoratorka dogorywała, Puarma stawał się pierwszą osobą w mieście i ta nieoczekiwana odpowiedzialność przerażała go. Będzie jednak bronił świętego miejsca do ostatniej kropli krwi.

— Szybciej! — darł się libijski dowódca, osobiście przynaglając wioślarzy. — Drzemkę sobie urządźcie, lenie śmie rdzące! Już niedługo będziemy w Tebach, dostaniecie tam najładniejsze panienki egipskie i wina, ile dusza zapragnie!

Ta kusząca perspektywa zupełnie nie wpływała na postawę wioślarzy. Byli to spokojni mieszkańcy Herakleopolis i Hermopolis, do szeregów wcielono ich siłą, nie spieszo im było iść na wojska Pianchiego i ginąć w walce, do której nikt się nie rwał.

Gotowe do szturmu okręty Tefnacha posuwały się więc znacznie wolniej, niż planowano. Zabijanie egipskich wioślarzy na nic by się nie zdało, gdyż żaden żołnierz libijski nie zgodziłby się ich zastąpić.

Zerwał się wiatr północny, można więc było postawić wreszcie żagle i płynąć szybciej. W libijskim wodzu, byłym włóczędze pustyni, zwabionym tu przez dobry stół i kosze ziemi egipskiej, odżywały krwiożercze instynkty. Widział się już, jak podpala świątynię Amona, gwałci Boską Adoratorkę i jej kapłanki oraz łupi miasto z jego skarbów. Tefnacht znalazł się na wojnie. Ten niespodziewany atak zdeorganizuje obronę przeciwnika, potem osłabionego zaatakują siły główne, dobiją go i w kilka tygodni wojna będzie wygrana.

W nowej sytuacji Lamerskeni czuł się doskonale.

Ma komfortową kabinę, leży na solidnym łóżku, zajada kiść po kiści winogrona i łyżek po łyżku popija łagodne piwo, lekko bąblujące i jak należy schłodzone.

Służba we flocie ma swoje zalety, a mężczyzna jest stworzony do wojaczki. Biedny Puarma organizuje teraz obronę Teb i przeżywa ciężkie chwile, a tymczasem on, wojownik--akacyjowa ręka płynie sobie po Nilu.

Gdy się zbliżą do Hermopolis, będzie czas na zajęcie się i Tefnachtem, tym libijskim tchórzem, który nigdy nie odważy się wypuścić poza Środkowy Egipt.

Do kabiny wszedł Ricyn, żołnierz, którego Lamerskeni wziął sobie na ordynansa.

— Kapitanie, podobno... statki.

— Towarowe?

— Nie... wojenne. Płyną ku nam.

— Musisz się mylić, Ricynie.

— Wachtowy mówi, że przynajmniej dwadzieścia.

Lamerskeni w podnieceniu wybiegł z kabiny i

przeszedł

na dziób statku. Ricyn nie kłamał. Nie były to ani promy,

ani barki, lecz statki libijskie. Płynęły w górę Nilu, w stronę

Teb.

— Ten Tefnacht jest groźniejszy, niż sądziłem.

— Będzie odwrót, kapitanie?

Lamerskeni spojrział na Ricyna wzrokiem pełnym poli-

towania.

— Kiedy ostatnio się biłeś, żołnierzu?

— Kilka lat temu. W Tebach było raczej spokojnie.

— Czy wiesz, jaką sławą cieszy się Pianchi?

— Podobno na sam dźwięk jego imienia nieprzyjaciele

rzucają się do ucieczki.

— Znakomicie! Wiesz również, że Pianchi kazał mi od-

rzucić Tefnacha i jego buntowników na północ.

— Tak, kapitanie, ale tych buntowników jest wielu,

znacznie więcej niż nas.

— Będziemy walczyli jeden przeciwko dziesięciu, ale w

imię Pianchiego. Libijczycy nie mają żadnych szans.

— Naprawdę tak sądzisz?

— Lamerskeni nie kłamie nigdy, żołnierzu. Alarm bojowy! Przekaż to na wszystkie okręty!

— Taktyka?

— Bardzo prosta. Uderzamy.

Libijski dowódca nie wierzył własnym oczom.

Statki egipskie rozwinęły szyk na całą szerokość Nilu i płynęły prosto na niego. Ich dzioby Lamerskeni kazał osłonić prawdziwym murem z tarcz, więc łuki libijskie były bezradne. Libijczycy natomiast padali gęsto pod gradem krągłych i kanciastych kamieni, miotanych przez egipskich procarzy.

Kamienie te spłoszyły również woły i konie zabrane na rozkaz Tefnachta — pierwsze na rzeź, drugie do ciągnięcia wozów bojowych, które miały być zmontowane natychmiast po przybiciu do brzegu. Rozszalałe zwierzęta pozrywały się z uwięzi, stratowały mnóstwo żołnierzy, statki przechylały się niebezpiecznie.

Libijski dowódca stracił głowę. Niektórzy jego oficerowie chcieli się bić, inni krzyczeli o odwrocie.

Wioślarze zrywali się z ławek i wskakiwali do rzeki.

Nim jeszcze dziób statku, którym płynął Lamerskeni, wbił się w burtę Libijczyka, drewnianoręki kapitan z głośnym okrzykiem wskoczył na pokład przeciwnika i z mie-

czem w ręku rozpruwał gardła wszystkim, którzy stawali
mu na drodze. Porwani jego przykładem żołnierze korpusu
nubijskiego posuwali się drogą utorowaną przez dowódcę.

— Pierwszy cel osiągnęliśmy — oświadczył z dumą Lamerskeni. — Zniszczyliśmy wszystkie libijskie statki płynące na Teby. Nikt z wrogów nie ocalał, a nasze straty są nieznaczne. Północ poniosła pierwszą klęskę.

— Zuch z ciebie — przyznał Puarma, gdy się przywitali

— ale to była ledwie drobna potyczka. Są jakieś łupy?

— Trochę broni, żywności, dzbany...

— Wyślemy wszystko do Teb.

— A co dla nas?

— Pianchi nie pozwolił niczego brać.

Spotkanie dwóch kapitanów nastąpiło w południowej części powiatu Zająca, w sporej odległości od stolicy regionu, Hermopolis. Puarma, gdy tylko otrzymał wieści od Lamerskeniego, zgodnie z rozkazami Czarnego Faraona ruszył w drogę z resztą korpusu.

— Tak, tak, kolego — odezwał się Lamerskeni słodziutkim, zupełnie nie pasującym do niego głosem — mógłbym teraz podjąć nową inicjatywę.

— Jaką?

— Uderzyć na Hermopolis i zająć miasto. Nagły atak całością sił przełamie linie obronne.

— Twoje wyskoki na Nilu jeszcze ujdą... Ale w przypadku Hermopolis nie może być mowy o żadnej

improwizacji. Mamy rozkazy faraona i będziemy je wykonywać.

Lamerskeni zrozumiał, że nic nie wskóra. Jakże jednak nudna będzie taka regularna wojna!

W sali posłuchań pałacu w Hermopolis członkowie rady wojennej Tefnachta nie ukrywali swego zawodu.

— Czy można wierzyć tym wiadomościom? — zapytał księżę Akanosz.

— Nasze statki zatopiono — potwierdził Tefnacht. — Z floty uderzeniowej nie uratował się ani jeden marynarz.

— Nikt nie był w stanie przewidzieć, że natkniemy się na okręty przeciwnika — zachnął się Jegeb.

— Uprzedzałam was, że taka taktyka jest niebezpieczna — przypomniała Jutrzenka.

Jegeb i Nartreb spojrzeli na nią wzrokiem pełnym nienawiści.

— Nie mówmy o tym, co minęło — uciął Tefnacht. —

To była tylko drobna potyczka. Dowiodła determinacji przeciwnika, o ile taki dowód był w ogóle potrzebny.

— Być może nie za późno jeszcze na układy — zaproponował księżę Peftau.

— Układów nie będę prowadził nigdy! Mamy się łamać przy pierwszym drobnym niepowodzeniu? Doskonale

wiedzieliśmy, że zdobycie Teb nie pójdzie łatwo i będzie wymagało długiej walki. Pianchi teraz doszedł do wniosku, że jesteśmy słabsi, niż naprawdę jesteśmy, i zacznie popełniać błędy nie do naprawienia. Na początek wpadnie w pułapkę w Hermopolis.

— Pod jednym warunkiem — dodała Jutrzenka. — Niech ta rada wojenna przeniesie się nieco dalej na północ, do Herakleopolis. Gdy oddziały nubijskie wkroczą do miasta, w mniemaniu że jest bezbronne, dojdzie do bardzo ostrych walk. Tefnacht winien włączyć się dopiero wtedy, gdy ich korpus ekspedycyjny przestanie istnieć, i dopiero wtedy podjąć marsz na południe.

Nemrod pobladł.

— Czy jako księżę Hermopolis będę musiał zostać w mieście?

— Nie ma potrzeby — odparł Tefnacht — zwłaszcza że jesteś członkiem mojego sztabu. Wrócisz tu dopiero po zwycięstwie.

Nemrod z uczuciem ulgi zaaprobował plan naczelnego wodza.

— Na przyszłość — zwróciła się Jutrzenka do Jegeba — powstrzymaj się od wszelkich uwag natury wojskowej

i ogranicz się do nadzorowania naszych miast.

Słowa te wypowiedziała władczo, niby królowa. Jegeb rozdziawił gębę i milczał.

Przybór, choć trochę zbyt niski, można było uznać za całkiem satysfakcjonujący. Woda spływała już z wyżej położonych obszarów i stary gospodarz, który kierował folwarkiem zatrudniającym dwudziestu robotników rolnych, kazał im wyciągać sochy i zaczynać orkę. Ziarno w ziemię wdeptywać będą woły.

Ośmioletni wnuczek pociągnął go za ramię.

— Dziadku, co to za ludzie na drodze koło wzgórza?

Mają włócznie.

— Wracaj do domu, mały.

Żołnierze podeszli pod folwark. Dowodził nimi jakiś brodacz z ogoloną czaszką. Minę miał groźną.

Robotnicy, trzęsąc się ze strachu, stanęli za gospodarzem.

— Czego chcecie?

— Jestem kapitanem, nazywam się Lamerskeni. Macie natychmiast przerwać robotę.

— Ale... to pora orki.

— Nie będzie ani orki, ani siejby, ani zniw w powiecie

Zająca, dopóki stać w niej będą wojska Północy. Tak rozkazuje faraon Pianchi.

— Zamierzacie zagłodzić ludzi z Północy, tak?

— Poddadzą się i będą mniej martwych.

— A my? Co będziemy jedli?

— Faraon przewidział to. Żywność dostaniecie z Teb.

Tylko nie próbuj mnie przechytrzyć. Każdy, kto naruszy ten zakaz, będzie natychmiast uwięziony.

— Jak długo jeszcze potrwa ta wojna? Libijczycy zajęli Hermopolis i grabią wszystko! W sąsiedniej wiosce spalili dwa gospodarstwa, a właściciele zapędzili do wioseł. Jeśli Czarny Faraon miłuje sprawiedliwość, niech przywróci pokój!

— Tym właśnie się zajmujemy, dziadku.

Przed świtem do wioski weszli żołnierze z Hermopolis.

Mieli za sobą całą noc marszu, prowadzili karawanę osłów i tragarzy. W grodzie boga Tota zaczynało brakować żywności. Wywoływało to skargi dostojników, którzy twierdzili, że ich uczyta stały się ostatnio za skromne.

Komendant miasta wysłał więc na polecenie Nemroda wiele takich konwojów po owoce i świeże warzywa. Chłopi będą stawiali opór, ale wystarczy kilku co krzykliwszych obić kijami, a reszta sama się uspokoi. Powiat Zająca musi uznać, że w czasie wojny trzeba ponieść pewne straty na rzecz swej stolicy.

Żołnierze Nemroda przeszli przed wielkimi stągwiemi z wodą na potrzeby wioski, minęli piec chlebowy i zatrzymali

się przed domem wójta, pobielonym wapnem i ozdobionym delikatnym deseniem bławatków.

Jeden z żołnierzy załomotał do drzwi.

— Otwierać! Natychmiast!

Na pobocze drogi umknął szary kot i schronił się w gęstej trawie. Żołnierz wciąż kołatał do drzwi.

Po kilku minutach otworzyły się ze skrzypieniem.

— Spałem jak zabity... Co się stało?

— Obudź chłopów. Rekwizycja produktów rolnych.

— Ach... Niemożliwe.

— Nie stawiaj się!

— Tutaj ja rozkazuję — odpowiedział Lamerskeni, rozwalając intruzowi głowę swym akacjowym przedramieniem.

Z chat powyskakiwali łucznicy i wybili żołnierzom z głowy wszelką ochotę do walki.

Ani jeden konwój wysłany przez wiarołomnego księcia po żywność nie wróci do Hermopolis.

— Idą! — rozległ się okrzyk z murów.

Dowódca twierdzy natychmiast przystąpił do wykonywania zarządzeń Tefnachta.

Mieszkańcom kazano pozamykać drzwi i okna i nie wychodzić z domów, a we wszystkich zakątkach miasta, którego mury były już częściowo zburzone, ukryli się piechurzy i łucznicy.

Opuszczone miasto będzie nieodparcie przyciągało nubijski korpus ekspedycyjny. Wystarczy tylko cierpliwie poczekać, aż jego główne siły wejdą w pułapkę i można będzie je wybić.

Po takiej klęsce Czarny Faraon nie podejmie już dalszych prób odbicia powiatu Zająca. Stanie się on wysuniętą bazą Tefnachta.

— Podchodzą?

— Tak — odpowiedziano z murów. — Jeździec na czele zatrzymuje się.

Puarma przyglądał się miastu.

Na pierwszy rzut oka mocno ucierpiało. Murów nie bronił ani jeden łucznik. Żołnierze Nemroda najwidoczniej wycofali się na północ.

Lamerskeni, który wolał raczej chodzić niż telepać się na grzbiecie jakiegoś czworonoga o nieprzewidywalnych reak-

cjach, był w złym humorze. Zgodnie z rozkazami

Pianchiego

nie wolno było ani atakować nocą, ani rzucać do walki

wszystkich sił. Zarazem jednak należało zniszczyć wojska

Tefnacha, a jego samego wziąć do niewoli. Inaczej mówiąc,

trzeba było deptać po świeżych owocach, nie rozgniatając

ich. Jak w takich warunkach prowadzić na poważnie wojnę?

Tym bardziej że ten Puarma — oficer karny i skrupulatny —

nie daje mu wolnej ręki. Zbliżył się do kolegi.

— Ładna zdobycz, co? — zagadnął Puarma. — Jak cię

znam, to myślisz tylko o jednym. Uderzyć i zdobyć

miasto szturmem.

— Źle mnie znasz, dzielny łuczniku! Węszę tu jakąś per-

fidną pułapkę. Takiego miasta nie zostawia się ot, tak

sobie. Tefnacht chce nas zaskoczyć i ukrył tam kilka

setek weteranów. Ale zrobili to za dobrze, bo na

murach nie zostawili choćby jednego łucznika.

— Mniejsza z tym. Masz rację czy nie, faraon kazał nam

ominać miasto z daleka i uderzyć na Herakleopolis.

— Tym lepiej dla nas.

Korpus ekspedycyjny ominął więc Hermopolis i przema-

szerował dalej na północ. Lamerskeni czuł, że coś go kłuje

w plecy. Nie miał wątpliwości — to setki par oczu wpat-

rywały się w oddalające się ofiary.

Zniszczone wioski, popalone domy, trupy psów, kotów i małych na uliczkach, samotne dzieci przywołujące matki, zmarli z głodu starcy, oparci plecami o resztki folwarcznego muru... Lamerskeni, choć oswojony z okropnościami wojny, nigdy nie widział czegoś równie potwornego. Puarma, nie mogąc tego znieść, odszedł na bok i rozplakał się. Nawet zahartowani w bojach żołnierze byli przybici.

Lamerskeni poklepał kapitana łuczników po ramieniu.

— Chodź, tu nie możemy zostawać. Trzeba pozbierać tych, co jeszcze żyją, i wysłać ich na południe.

— Przepraszam cię, ale...

— Nie musisz mnie przeproszać. Dobry żołnierz nie lubi takich jatek.

Puarma zacisnął pięści.

— Jeśli Tefnacht i jego sprzymierzeńcy są w Herakleopolis, wybijemy wszystkich! Faraon będzie z nas dumny.

Na drodze wiodącej do miasta obraz był równie przynębiający. Przy brzegu rzeki płonęły promy podpalone przez ludzi Tefnacha. Jakiś podróżny powiedział kapitanom, że wojska Północy stosują taktykę spalonej ziemi, tak żeby korpus ekspedycyjny miał kłopoty z wyżywieniem się i marszem.

— Nie pójdzie nam łatwo — stwierdził Lamerskeni. —

Jeśli przeciwnik ściągnął wszystkie siły do

Herakleopolis, nie damy rady.

— Pianchi postawił przed nami zadanie i zadanie to wykonamy!

Aż miło było patrzeć na animusz wojenny Puarmy.

— Jasna sprawa, łuczniku! Pozwól tylko, że ja się tym zajmę. Nie uśmiecha mi się ginąć.

Księżę Akanosz wyszedł z sali, gdzie skończyła się właśnie rada wojenna. Był zamyślony. Spodziewał się, że porażka skłoni Tefnachta do rezygnacji z dalszych podbojów, srodze się jednak pomylił.

Utrata oddziału szturmowego niespecjalnie osłabiła Tefnachta. Wzmocnił się, sprowadzając z Deltę rezerwy. Co-fając się na północ, stosował zręczną taktykę — chciał ściągnąć na siebie przeciwnika i zniszczyć go, gdyby jakimś cudem zdołał uniknąć pułapki w Hermopolis.

Tefnacht miał rację, Egipt trzeba było zjednoczyć. Nie w ten jednak sposób! Ludność, podbita siłą i udręczona, nie może kochać tyrana i wcześniej czy później powstanie przeciwko niemu. Niestety, Tefnacht słuchał tylko dwóch swoich doradców: Jegeba i Nartreba, ponieważ to dzięki nim zdołał przekupić wodzów libijskich, utworzyć koalicję i stanąć na jej czele.

Gdy Akanosz wchodził do swoich prywatnych pomieszczeń, jakiś starszy już człowiek o skórze spalonej od słońca i kędzierzawych włosach upuścił tuż obok niego pusty dzban,

który padając rozbił się na setki kawałków.

— Przepraszam cię, panie, omal cię nie zraniłem.

I nagle dodał po cichu.

— Mam ci coś do powiedzenia, panie. Każ mi przynieść świeżej wody.

Zaciekawiony Akanosz posłuchał.

Gdy człowiek wrócił, niosąc piękny dzban wymalowany w kwiaty lilii, księżę przyjął go w towarzystwie swej nubijskiej małżonki.

— Panie, chciałbym z tobą pomówić w cztery oczy.

— Przed żoną nie mam nic do ukrycia. Mów albo zmykaj!

— Czy ktoś może nas słyszeć?

Żona Akanosza sprawdziła, czy rozmowy nikt nie podsłuchuje.

— Jestem niby to nosiwodą — oznajmił człowiek — ale tak naprawdę wysłał mnie Pianchi. Jeśli podjąłem się tak niebezpiecznego zadania jak spotkanie z tobą, to dlatego że trzeba działać, i to szybko. Polecono mi, bym przy twojej pomocy, księżę, spalił arsenał, gdzie stoją wozy bojowe Tefnachta. Bez nich będzie tak słaby, że zaprzestanie walki i wycofa się do Sais.

^

•

— Nie jestem ani zdrajcą, ani sprzymierzeńcem Pianchiego!

— Wiem o tym, książę. Pragniesz jednak, tak samo jak faraon, nie dopuścić do rzezi. Jeszcze dziś w nocy przyjdę z dziesięcioma ludźmi pod arsenał. Jeśli postawisz na warcie żołnierzy ze swojego plemienia, będziemy mogli przedstawić ten pożar jako wypadek i w regionie na nowo zapanuje spokój. Działaj, błagam cię!

— Czy nie pochodzisz z plemienia Baksim, najbliższej spokrewnionego z rodziną faraona? — zapytała nubijska małżonka księcia.

— Istotnie... Cieszymy się zaufaniem Pianchiego i staramy się okazać godnymi tego zaufania. Muszę już iść...

Do zobaczenia tej nocy, książę.

Akanosz przyjrzał się łukom i sztyletom wytatuowanym na ramionach wychodzącego.

— Nie mogę nic nie robić — rzekł.

— Dziś w nocy — sprzeciwiła się żona — będziesz spał w moich objęciach.

— Nie. Będę...

— To pułapka, mój drogi. Ten człowiek to prowokator, stara się dowiedzieć, czy jesteś gotów zdradzić

Tefnachta.

— Skąd ta pewność?

— Bo plemię Baksim nie istnieje.

— Zawiedliśmy się — westchnął Jegeb, nacierając sobie opuchnięte kostki maścią sporządzoną z pszennej mąki, tłustego mięsa, wonnej cibory i miodu. — Czy jesteś pewien, że nasz człowiek wykazał dość sprytu?

— Na pewno — odpowiedział gniewnie Nartreb. — Wyczuł, że Akanosz gotów jest zdradzić. Niestety, w nocy nie przyszedł pod arsenał.

— Zrozumiał, że zastawiliśmy na niego pułapkę, więc jest teraz bezsilny. Wie, że szpiegujemy go dniem i nocą, w żaden zatem sposób nie będzie mógł porozumiewać się z przeciwnikiem. W gruncie rzeczy wynik jest całkiem niezły.

Do pokoju dwóch doradców wpadł wartownik.

— Nieprzyjaciel!... Nieprzyjaciel pod bramami miasta!

Lamerskeni zjadał już piątą surową cebulę, nie odrywając wzroku od twierdzy.

— Piękne gniazdko — stwierdził — ale za duże jak na nas.

— Pianchi wydał rozkaz i mamy je zająć — upierał się Puarma.

— Nie znał terenu... Na lewo kanał. W rękach przeciwnika. Na prawo rzeka. Bronią jej statki. W centrum cytadela, a na murach setki libijskich łuczników. A ile wojska jest w samym mieście? Jeśli jest tu i Tefnacht,

jego żołnierze będą się czuli niezwyknięci.

Herakleopolis leżało o osiemdziesiąt kilometrów na południe od Memfisu i było głównym miastem kwitnącego regionu. Na skraju pustyni teren między wzgórzami obniżał się, można więc było wykopać tu kanał łączący Nil z bogatą prowincją Fajum. W głównej świątyni, pozostającej pod opieką boga-barana, zachowała się sadzawka z prawodą, w której zrodziło się życie.

Sielski krajobraz i lekka bryza marszcząca wody Nilu zupełnie nie skłaniały do wojaczki.

— Czyżbyś już zatracił swoje słynne męstwo, Lamerskeni?

— Męstwo męstwem, a wolę żyć. I kiedy moja drewniana ręka świerzbi mnie, jakbym ją jeszcze miał, wiem, że wchodzę na złą drogę.

— Mimo wszystko nie cofniemy się.

— Nacierać można na wiele sposobów.

— Co masz na myśli?

— Tefnacht jest przeświadczony, że ruszymy do szturm na miasto, obsadził je więc swoimi najlepszymi ludźmi. Nie mamy dość statków, żeby przełamać blokadę od strony Nilu. Możemy natomiast opanować kanał.

— Najmniej ważny obiekt.

— Zgoda, ale ten niewielki sukces powinien wywołać

reakcję i właśnie tę reakcję mam zamiar wykorzystać.

Książę Peftau stał na szczycie centralnej wieży miasta, za drewnianą kratownicą, osłaniającą przed strzałami wroga, i uśmiechał się szeroko.

— Czyż moje miasto nie ma wspaniałych murów obronnych, generale?

— Dobrze się sprawiłeś — przyznał Tefnacht.

— Pianchi myślał, że nigdy nie zdołasz zająć tak ufortyfikowanego miasta. Dziś te umocnienia obracają się przeciwko niemu. Nubijczycy stoją bezradnie i ich nędzny korpus ekspedycyjny nie wie, co robić.

— Odchodzą — stwierdziła Jutrzenka, pełna surowej prawie godności w swej długiej, pozbawionej wszelkich ozdób sukni.

Usłyszała ostry, nerwowy śmiech księcia Peftau.

— Boją się. Sławni wojownicy nubijscy umierają ze strachu! Tę wiadomość trzeba rozpowszechnić na cały Egipt. Skończy się mit o niezwyciężoności Pianchiego i jego imię nikogo już nie przerazi.

— Spójrzcie — rzekła Jutrzenka. — Odchodzą na wschód.

— Ależ głupcy — zauważył Peftau. — Po co iść w stronę wzgórz?

— Sam jesteś głupi! — wybuchnął Tefnacht. — Zaata-

kują kanał.

— Mimo wszystko, panie... — wybełkotał sędziwy dostojnik — utrata kanału to nic strasznego.

Skoro Nubijczykom wystarczy taki nędzny sukces — pomyślał Tefnacht — nadszedł czas, żeby im zadać potężny cios.

— Zrobimy wycieczkę — postanowił.

Łucznicy Puarmy okazali się wyjątkowo skuteczni. Ponad połowa strzał trafiła w głowy lub w piersi przeciwników. Jedna salwa wystarczyła do rozproszenia straży libijskiej, złożonej z młodych, niedoświadczonych żółtodziobów. Natychmiast ogarnęła ich panika.

Puarma osobiście przeszył strzałą gardło libijskiego oficera, który usiłował na nowo zebrać uciekających bezładnie podwładnych.

Gdy piechota Lamerskeniego dobijała włóczniami ostatnich Libijczyków, a ich ciała wpadały do kanału, on sam stał nieporuszony, uznając za zbędne mieszanie się do takiej drobnej potyczki.

Nagle nadstawił uszu.

— No, proszę. Otworzyli właśnie wielką bramę miejską i próbują wycieczki, żeby nas rozwalić.

Puarma spojrzał w stronę miasta.

— Oj, chyba nie wzięli wozów bojowych... Sama pie-

chota.

— Twei łuczniczy na stanowiskach?

— W zaroślach po obu stronach równiny.

— Ja biorę na siebie atak czołowy. Gdy tylko zarządę odwrót, zaczynaj.

Ze swoimi trójdzielnymi fryzurami z dużym warkoczem pośrodku głowy, skręconym u dołu, i wpiętymi we włosy długimi piórami o wygiętych końcach, z tatuażami na piersiach, brzuchu, ramionach i rękach, pendentami przepasującymi piersi i fallicznymi pochwami — żołnierze libijscy mogli przerazić każdego przeciwnika, ale nie Lamerskeniego i jego nubijskich wojowników.

Kapitan-akacyjowa ręka, machając krótką i lekką obosieczną siekierką, ciął po szyjach i rękach z taką szybkością, że prawie sam zatrzymał rozpędzony oddział, który wyszedł z Herakleopolis. Broń Lamerskeniego, której ostrze trzema czopami wchodziło w mocno przewiązany trzonek, siała spustoszenie, a jednocześnie sztuczna ręka kapitana rozwalala czaszki.

Gdy minął efekt zaskoczenia, Libijczycy, dowodzeni przez wodza, który zanim doszło do ataku, spił się palmowym winem, przeszli do natarcia.

— Odwrót! — wrzasnął Lamerskeni.

Najpierw przez kilka minut osłaniał swoich ludzi, bieg-

nących ku wzniesieniom ograniczającym równinę, potem sam popędził za nimi.

Libijczycy rzucili się naprzód z okrzykiem tryumfu.

Dla łuczników Puarmy stanowili teraz doskonały cel.

Reszta korpusu ekspedycyjnego przełamała i przecięła na dwie części lewą flankę przeciwnika, a jednocześnie Lamerskeni obszedł błyskawicznie z najlepszymi swymi jednostkami kolumnę nieprzyjacielską i odciął jej drogę odwrotu.

Podjęta przez Libijczyków wycieczka zakończyła się ich dotkliwą porażką. Lamerskeni jednak ani myślał na tym poprzestać.

— Do Nilu! — wydał rozkaz.

Łucznicy i piechota rzucili się do szturmowania libijskich statków, a jednocześnie zaatakowała je flotylla nubijska.

Żołnierze Pianchiego, którzy mieli przewagę liczebną i których upoiło powodzenie, bez trudu zwyciężyli i spalili flotę Tefnachta.

— Teraz na Herakleopolis! — krzyknął Puarma.

— Nie! — sprzeciwił się Lamerskeni. — Patrz!

Mury były nie naruszone, a trochę dalej na północ gęsto było od łuczników i rżały konie, zaprzęzione do rydwanów

— główne siły Tefnachta były nietknięte.

— Zdołaliśmy ich ledwie drasnąć — stwierdził Lamerskeni.

Pianchi i jego małżonka Abilea siedzieli w altance wspartej na kolumnkach ze złożonego drewna, w pobliżu sadzawki, w której zanurzali się, gdy upał dokuczał za bardzo.

Grali w psa i szakala. W płaskim blacie sykomorowego stolika wycięto trzydzieści otworów. Przeciwnicy wkładali w nie ostro zakończone pałeczki, których górna część miała kształt głowy psa lub szakala.

Ani król, ani królowa nie mieli na sobie odzieży, ale ich ciała były natarte oliwą z moringi i pachnącym *kyfi*, arcydziełem ich córki. Teraz, po zmaganiach miłosnych w cudownej wodzie sadzawki, wzięli się do walki na serio.

Monarsze przyszedł do głowy wspaniały manewr i był już pewien, że jego szakale za chwilę pokonają psy Abilei.

Poruszony jednak pięknnością małżonki, miał coraz większe kłopoty z koncentracją. Czując, że wzrok męża ślizga się po niej na podobieństwo pieszczącej dłoni, wspaniała Nubijka zaczęła się leciutko kręcić, tak by jeszcze bardziej rozproszyc przeciwnika.

Powolutku wysunęła rękę do sykomorowego stolika, wzięła do ręki psa o cienkiej agresywnej mordzie i zbiła pięć szakali.

— Wygrałaś — przyznał Pianchi — ale szachrajstwem.

— Ja?... Szachrajstwo?

— Czarowałaś mnie.

— Czy reguły gry tego zakazują?

Czarny Faraon porwał małżonkę w ramiona, jakby po raz pierwszy w życiu chciał okazać, jak bardzo ją kocha.

— Jak każda królowa egipska, jesteś wielką czarodziejką.

Twój wzrok przenika tajemnice światów, których ja nie potrafię dostrzec

— Zbytek skromności, Wasza Królewska Wysokość...

Czyż nie w twoich rękach jest władza?

— Obym mógł dzięki niej ochronić Nubię przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

— Czego możemy się obawiać?

Wzrok Pianchiego spochmurniał.

— Za tym słońcem, tak szczodrym, kryją się jednak ciemności.

Małpka uciekła na szczyt palmy. Białorudy kot o puszystym brzuszku wśliznął się pod gęste hibiskusy. Ktoś się zbliżał.

— To ja, Wasza Królewska Wysokość — zaanonsował się sam Zimna Głowa, podchodząc z ciężką skrzynką z papirusami. — Mam raporty od Puarmy.

W obecności faraona oraz jego dostojnej królewskiej małżonki i na ich rozkaz Zimna Głowa zapoznał członków Wielkiej Rady z treścią raportów.

— Kapitanowie Puarma i Lamerskeni trafili w Środ-

kowym Egipcie na silny opór. Stosownie do rozkazów

Jego Królewskiej Wysokości obronili i obsadzili

Teby, nie zaatakowali Hermopolis, świętego miasta

boga Tota, gdzie księżę Nemrod zawiódł zaufanie

faraona i zdradził, próbowali jednak zająć

Herakleopolis, które to miasto w wyniku kapitulacji

księcia Peftau również znalazło się w rękach

przeciwnika. Miasto zamieniono w fortecę i, zdaniem

naszych specjalistów, jest ono teraz nie do zdobycia.

— Więc korpus ekspedycyjny nie wykonał zadania! —

zawołał Kapa zaskoczony.

— Sytuacja jest poważniejsza, niż przypuszczaliśmy —

przyznał pisarz. — Tefnacht to doskonały dowódca,

na

północ od Herakleopolis zgromadził wielkie siły, a murów

miasta bronią wyborowi łucznicy. Kapitanowie Lamerskeni

i Puarma mogą jedynie nękać przeciwnika i zagradzać mu

drogę na południe.

— Czy Tefnacht może mimo wszystko zaatakować Teby?

— Świętemu grodowi nic nie grozi. Nasze wojska ob-

sadziły południową granicę powiatu Zająca, a

garnizon grodu Amona jest w stałym pogotowiu

bojowym. W zasadzie Tefnacht nie może już iść dalej

na południe.

— My zaś — stwierdził z goryczą Kapa — nie możemy

iść dalej na północ. Cierpi na tym prestiż faraona,

który nie panuje już we własnym kraju.

— Dowództwo korpusu ekspedycyjnego nie zaprzestanie

wysiłków, pragnie jednak oszczędzać swoich ludzi,

nie oddalać się od baz i nie wystawiać na zbyt wielkie

ryzyko. Zdaniem kapitana Lamerskeniego, którego

odwagi i doświadczenia nie sposób kwestionować,

zniszczenie sił Tef-nachta jest niemożliwe.

Ciężkie milczenie zapadło po tych słowach. Przerwała je

dopiero królowa Abilea.

— Jak traktowana jest ludność Środkowego Egiptu?

Pisarz zmieszał się.

— Wasza Wysokość, ja nie...

— Mów prawdę, Zimna Głowo!

— Północ toczy wojnę i nie troszczy się o los ludności,

traktuje ją jak podbitą. Nasze wojska starają się

pomagać tym, co najbardziej ucierpieli, ale

zniszczono już wiele wiosek i wielu niewinnych ludzi

straciło życie.

— Egipt pogrąża się w anarchii — orzekł Kapa. — Nie

ma już ani sprawiedliwości, ani bezpieczeństwa, ani

poszanowania drugiego. Zło i ohydna przemoc

czołgają się jak wąż.

— Przestańmy niepotrzebnie narażać naszych żołnierzy

— rzekł grubas Otoku — i zbudujmy pas umocnień na północ od Teb. Środkowy Egipt już straciliśmy, więc pogódźmy się z tym. Trzeba przecież wyciągnąć z porażki jakieś wnioski.

— Pianchi jest faraonem i Górnego, i Dolnego Egiptu — zaprotestował stary Kapa. — Nie powinien oddawać przeszło połowy swego królestwa buntownikowi, który uciska lud pod jarzmem bezlitosnej tyranii.

— Bardzo szlachetny to pogląd, ale już za późno. Sam nad tym ubolewam — rzekł poważnie Otoku. — Wiek złoty minął i nikt go nie wskrzesi. Skończmy z marzeniami i spójrzmy na fakty. Pianchi rządzi królestwem obejmującym Nubię i Górny Egipt, na reszcie kraju łapę położył Tefnacht i nie popuści. Postawmy sobie tylko jeden cel: zachować nasze święte wartości, szczęśliwe życie i pokój. Przystąpmy więc do pertraktacji i uznajmy granicę, jaka ustaliła się w wyniku tych walk.

Pianchi wstał.

Po jego spojrzeniu i postawie Abilea poznała, że jest rozwścieczony niby podrażniona pantera. Głos monarchy wypełnił całą salę posłuchań.

— Nie godzę się na nieprawość i barbarzyńskie żądania tego, kto myśli, że jest silniejszy. Tefnacht pogwałcił prawo

bogini Maat i jeśli nie wkroczę, nadal będzie je gwałcił.

Wydając kapitanom rozkaz zniszczenia wojsk Północy, spodziewałem się, że szybko poradzą sobie z tą rewoltą. Jak zachowali się nasi żołnierze? Prawie nie tknęli przeciwnika i tylko zwiększyli jego determinację, by nam szkodzić! Tak jak prawdą jest, że żyję, że kocha mnie bóg Ra, że prowadzi mnie mój ojciec Amon, osobiście wyprawię się do Egiptu i położę kres zbrodniczym machinacjom Tefnacha. Zmuszę go, by raz na zawsze zapomniał o wojnie, a Północ poczuje ciężar mojej pięści!

Po królu nikt już nie odważył się zabrać głosu.

Abilea odprowadziła męża na pałacowy taras.

— Wiem, że nie zgadzasz się ze mną, Abileo, nie mam jednak prawa egoistycznie zażywać szczęścia, gdy cierpi cały Egipt. Istotnie, liczyłem, że dzięki Lamerskeniemu i Puarmie nie będę musiał opuszczać Napaty i osobiście ruszać na wojnę. Nie doceniłem przeciwnika i był to wielki błąd z mojej strony. Teraz sam jestem zły na siebie, bo byłem krótkowzroczny i zabrakło mi przezorności. Okazałem słabość i Tefnacht uznał, że jest w stanie zająć Oba Kraje. Sam muszę zdjąć z nich to jarzmo, bo czuję się za nie odpowiedzialny.

— Mylisz się, Pianchi. Tefnacht żyje tylko żądzą podbojów i niszczenia, pożąda jedynie osobistej władzy.

Nikt i nic nie zmusi go do cofnięcia się.

— Cofnie się, przysięgam ci.

— Pianchi...

— Nie, Abileo. Muszę wyruszyć, bo trzeba przywrócić
prawo bogini Maat. Jeśli faraon nie spełni swego
pierwszego obowiązku, szczęście zniknie z tego
świata.

— Nie proszę cię, byś został. Chcę wyruszyć razem z
tobą.

Dwa wojska uderzają na siebie ze straszliwą gwałtownością, już zbiły się w ciasny kłęb, na ziemi powalone setki młodych ludzi... Ta przerażająca wizja prześladowała nocami księcia Nemroda. Znalazł się w świecie, którego istnienia nawet nie podejrzewał, świecie rozpętanej przemocy, świecie, gdzie szaleją niekontrolowane instynkty. Jego wykształcenie wielmoży nie przygotowało go do zetknięcia się z takim światem.

Owładnęły nim dziwne uczucia — brakowało mu miasta.

On, co marzył o wyjeździe i przeniesieniu się do Memfisu, teraz bez hermopolitańskich pomników, uliczek i domów czuł się jak sierota. Był uwięziony w Herakleopolis, a swoich poddanych wydał na swawole żądnych krwi żołdaków, którzy jutro mogą zniszczyć starożytny gród boga Tota.

Zameldował się w głównej kwaterze Tefnachta. Droge zastąpił mu Jegeb.

— Przykro mi, ale generał jest bardzo zajęty i...

— Odsuń się!

— Zapewniam cię, że...

Nemrod z niezwykłą dla siebie stanowczością odepchnął

Semitę i wszedł do gabinetu Tefnachta. Naczelny wódz miał przed sobą rozpostartą mapę regionu i zaznaczał na czerwono miejscowości już zajęte, na czarno zaś te, które

wciąż były wierne Pianchiemu.

— Czy możesz mnie wysłuchać?

— Ach, książę Nemrod. Wejdz i zamknij za sobą drzwi.

Ta mapa to najcenniejsza moja tajemnica wojskowa.

— Dlatego nie mam prawa się jej przyjrzeć?

W czarnych oczach Tefnachta zabłysnął ognik
zdziwienia.

— Czyżbyś interesował się sztuką wojenną, Nemrodzie?

— Chciałbym osobiście bronić swojego miasta przeciwko

Pianchiemu. Któż lepiej ode mnie zna Hermopolis?

Nasza pułapka nie zadziałała, więc odbuduję zburzoną
część murów i wzmocnię je.

Tefnacht zrobił się podejrzliwy.

— Dziwne masz pomysły, Nemrodzie.

— Wplątałeś mnie w tę wojnę, generale, i krew ofiar
zaćmiewa mi wzrok. W tej zawierusze dotarła do mnie
jedna prawda: najwyższym dla mnie dobrem jest moje
miasto.

— Jeśli Pianchi przejdzie do przeciwnatarcia, znajdziesz
się na pierwszej linii.

— Czarnego Faraona znam dobrze. Nigdy nie opuści
swej stolicy. Jego żołnierze nadal będą dreptali w
miejscu i w końcu na południe od mojej prowincji
powstanie coś w rodzaju granicy.

— Przełamie ją — zapewnił Tefnacht.

— Możesz liczyć na moje miasto i na moją pomoc, generale.

— Ruszaj do Hermopolis, Nemrodzie, i zamień je w niezdobytą twierdzę.

Kapitan Lamerskeni nocował pod gołym niebem, w asyście dwóch płowych psów — w razie najmniejszego niebezpieczeństwa zbudzą go. Spał czujnie, jak śpi dzikie zwierzę, śniła mu się Nubia i długie, samotne wędrówki po sawannie.

Wyruszał tu, by walczyć po rycersku i na wesoło, i oto ugrzązł w okrutnej i nie kończącej się wojnie.

Korpus ekspedycyjny, nie wspomagany przez żadne posiłki z Teb — miasta nie należało ogołacać z wojska — mógł stosować tylko jedną taktykę: oszczędzać się i ograniczać ataki do drobnych napadów, które w niczym nie szkodziły głównym siłom Tefnacha. Nubijczycy zajmowali wioskę, w piętnaście dni później zdobywali ją po raz drugi, a potem wycofywali się, pozostawiając ludność na pastwę przeciwnika. Korpus musiał dreptać w miejscu, przez co duch bojowy Lamerskeniego bardzo podupadł. Wchodziło się tu w kloakę, w coś, co nie było ani wojną, ani pokojem, bez nadziei i bez perspektyw, gdzie najbiedniejsi stawali się jeszcze biedniejsi.

Po cóż walczyć, jeśli osiąga się takie wyniki? Lamerskeni

niał ochotę złożyć dymisję i oddać swój miecz Czarnemu Faraonowi. Niech zastąpią go młodszy i mający więcej zapamiętania, tacy, co jeszcze wierzą, że jutro wszędzie to samo słońce. Oba psy zaczęły warczeć jednocześnie. Lamerskeni zerwał się i chwycił za miecz.

— To ja, Puarma.

— Dlaczego budzisz mnie w środku nocy?

— Oddziały Tefnachta próbują sforsować przejście i przekroczyć granicę powiatu Zająca.

— I tylko to?

— Jeśli im się powiedzie, ruszą na Teby!

— "Następnym razem daj mi się wyspać. Te siły, które tam zostawiłem, nie przepuszczą ich.

— A jeśli się mylisz?

— Śpij spokojnie, Puarmo.

Nartreb aż poczerwieniał z gniewu.

—

To niedołęgi i tchórze! Musisz ich, panie, ukarać!

Oschła, koścista twarz Tefnachta nie zdradzała najmniejszych oznak gniewu.

— O jakiej karze mówisz? Do oddziału specjalnego sam wyznaczyłeś żołnierzy i wszyscy zginęli. Nie będą mieli ani uroczystego pogrzebu, ani grobowca. Jaką inną karę mógłbym im wymierzyć? Chciałeś sprawdzić skuteczność obrony

przeciwnika. Odechnęli nas. Granica powiatu Zająca jest nie do sforsowania.

Księżycową twarz Nartreba wykrzywił grymas wściekłości.

— Teraz przynajmniej wszystko jest jasne... Pianchi zrozumiał, że wszelki atak na ciebie byłby niecelowy, i przeszedł do defensywy.

— Jeśli wciąż ma się za faraona Górnego i Dolnego Egiptu, nie będzie długo tolerował sytuacji, która tak jaskrawo ogranicza jego zwierzchnictwo.

W małych oczkach Semity pojawiło się zaniepokojenie.

— Myślisz... że osobiście wkroczy do akcji?

— Czarny Faraon jest zbyt próżny, by opuszczać swą nubijską stolicę, gdzie dni upływają tak błogo, a pochlebstwa dworzan tak miło łechcą ucho.

— No to... o czym myślisz?

— Myślę, że wybuchnie gniewem i podejmie natarcie na Hermopolis.

Natreb zatarł pulchne dłonie.

— Jegeb nie za bardzo wierzy w wierność księcia Nemroda... A ja też.

— Czy masz mnie za głupka? Takie pojęcie jak wierność wymyślili moralisci, którzy nie wiedzą, co to jest działać pod presją sytuacji. Nemrod, tak jak każdy

inny, gotów jest do zdrady w trosce o własne interesy.

W postępowaniu kieruje się jednak miłością do swego miasta. A wie, że Pianchi nie wybaczy mu odstępstwa.

Ma więc tylko jedno wyjście: tak ufortyfikować miasto, żeby wytrzymało wszystkie szturmy, a bronić go będzie ze wszystkich sił. Chwiejny Nemrod to jeden z filarów mojej strategii.

— Czy życzysz sobie, panie, bym rozkazał nowemu oddziałowi specjalnemu przekroczyć granicę powiatu Zająca?

— Taka inicjatywa na siłę do niczego nie doprowadzi. Jutrzenka ma rację. Ty i Jegeb powinniście zająć się wyłącznie zarządem kontrolowanych przez nas obszarów.

Semita wyszedł, trzęsąc się z wściekłości. Kochanka wodza, bosa, podeszła do niego po cichutku i położyła mu na piersiach wypachnione ręce.

— Oddal od siebie tego człowieka i jego współnika Jegeba. Twój los wcale ich nie obchodzi, troszczą się tylko o to, żeby się wzbogacić.

Tefnacht ucałował smukłe dłonie kochanki.

— Czy sądzisz, że tego nie widzę? Każdemu przywódcy państwowemu potrzebna jest taka gnida, która popędza wahających się i niszczy opornych. Jegeb i Nartreb dla

zachowania swoich stanowisk nie cofną się ani przed przeprostwem, ani nawet przed morderstwem. Dlatego właśnie są najcenniejszymi moimi pomocnikami.

Odziany w skórę pantery kapłan był stanowczy.

— Niemożliwe, Wasza Królewska Wysokość.

— Przecież powinienem już ruszać.

— Niemożliwe, dopóki gwiazdy nie sprzyjają. Jeśli postąpisz wbrew woli, wyprawę czeka niepowodzenie.

Jesteśmy dziećmi gwiazd i trzeba szanować ich mowę.

— Jak długo będę musiał czekać?

— Kilka dni, Wasza Królewska Wysokość, do najbliższego nowiu. Gdy Księżyc, lewe oko Horusa, znajdzie się w harmonii z twoimi planami, Set-niszczyciel nie będzie już mógł roztrzaskać go na drobne kawałki i kosmiczna walka dwóch braci ustanie. Ich moc przejdzie na ciebie i twoja potęga będzie wzrastała tak, jak rosnać będzie Księżyc. Przypomnij sobie, Wasza Królewska Wysokość, że Księżyc w pełni to wizerunek szczęśliwego Egiptu, obejmującego wszystkie swoje prowincje.

Pianchi osobiście sprawdził ekwipunek wojska. Obejrzał fartuszki, sandały, pasy, pochwy i miecze, łuki, tarcze i strzały, odrzucił wszystko, co nie było najwyższej jakości. Potem przypilnował, by jego nubijskim żołnierzom nie zabrakło ulubionej ich potrawy, suszonej ryby, przechowy-

wanej w naczyniach w kształcie wielkich kiszek. Wyprawa do Egiptu miała trwać długo, a wojsko było liczne, toteż rybacy i przetwórcy ryb pracowali dniem i nocą.

Nie próżnowała również Abilea. Za zgodą małżonka gromadziła zapasy nieodzownych środków czystości, zwłaszcza mydła, które wyrabiano z kory i miąższu bogatego w saponinę drzewa balanitowego.

Cała stolica żyła przygotowaniami do wymarszu Pianchiego, a bliskość tego terminu odbierała Otoku apetyt.

Ośmielił się więc, gdy władca wchodził do warsztatu kołodzieja, podejść do niego.

— Wasza Królewska Wysokość... Rozwazałem...

Pianchi udał zdziwienie.

— Cóż to tak cię dręczy, przyjacielu?

— Ta wyprawa to szaleństwo! Jesteś potrzebny w Napacie.

— Miasto bogate i spokojne, czegoż może się lękać?

— Albo zginiesz z ręki Tefnachta i zajmie on potem

Nubię, albo żeby zapobiec nowemu buntowi na

Północy, osiędziesz w Tebach i stamtąd będziesz

rzadził Egiptem i Nubią. W obydwu przypadkach

osierocisz Napatę.

— Jesteś przewidujący, Otoku, ale mój los nie spoczywa

w moich rękach. Amon uczynił mnie faraonem i

obdarzył wielkim szczęściem. Czy dzisiaj, kiedy mój

kraj cierpi i grozi mu nawet zagłada, mam prawo

okazać się niewdzięcznikiem?

— Mógłbyś po prostu wysłać drugi korpus ekspedycyjny.

— Zaszargano dobre imię faraona. Takiej zniewagi ty też

byś nie zniósł i nie zniósłby jej najlichszy z moich pod-

danych.

— Jak Napata poradzi sobie bez ciebie?

— Powierzam stolicę człowiekowi tak odpowiedzialnemu

jak ty, Otoku. Kochasz ją i będziesz w stanie osłonić

przed każdym ciosem.

— Ależ, Wasza Królewska Wysokość...

— Będziesz tu znakomitym namiestnikiem, bylebyś tylko

porozumiewał się od czasu do czasu ze starym Kapą i

uwzględniał jego zdanie. Będę ci pisał, co masz robić,

bo przecież gońcy z Napaty do Teb i z Teb do Napaty

kursować będą bez przerwy. Czy jesteś już

spokojniejszy?

— Nie, panie.

, .

— To i dobrze, będziesz tym czujniejszy.

Pożegnawszy się z tłuściochem, Pianchi wszedł do warsz-

tatu, gdzie pracował wojskowy specjalista-kołodziej. Król

wiedział, że losy wojny zależeć mogą od jednego drobiazgu,

od wytrzymałości kół, które na polach bitewnych będą wystawione na bardzo ciężkie próby.

Kołodziej pracował sobie tylko znanymi sposobami i zazdrośnie strzegł ich tajemnicy. Szprychy rozmieszczał zaskakująco dokładnie, a jego koła były idealnie okrągłe.

Pianchi wielokrotnie już odbywał jazdy próbne w trudnym terenie i wozy zawsze okazywały się niezwykle wytrzymałe.

— Uporałeś się już z pracą?

— Jeszcze ze dwa, trzy dni, Wasza Królewska

Wysokość, i będziesz miał wszystkie potrzebne ci koła.

— Czy możesz ręczyć za ich jakość?

— Własnym życiem. Kamienie, piachy, grzęzawiska, zbocza górskie... zwyciężysz w każdym terenie.

Przysięgam ci, że koła wyrabiane na Północy rozlecą się szybciej niż nasze.

I kołodziej ze wzruszeniem spojrział na gotowe już wyroby.

— Piękna rzecz takie koło! Wydaje się czymś stałym, nieruchomym, a przecież kryje w sobie tajemnicę ruchu. Daje początek każdej drodze, a gdy staje, zatrzymuje w pamięci całą przebytą trasę. Wolałbym jednak, żeby się nigdy nie kręciło, bo przecież służy tylko na wojnie.

— Jeśli nie pobiję wojsk Północy, dotrą one aż do Napaty i zniszczą wszystko, cośmy zbudowali. Ale dzięki tobie nie dopuszczę do takiego nieszczęścia.

— Jesteś już gotowa, Szepeno? — zwrócił się Pianchi do córki, która kończyła właśnie w pracowni przygotowywanie olejku o świeżym jak wiosenny poranek zapachu.

— Chciałam zapomnieć, że kiedyś przyjdzie mi opuścić ojczystą ziemię, miasto i to miejsce, gdzie spędziłam tyle szczęśliwych chwil. Czy nie zmieniłeś decyzji, ojcze?

— Wiesz doskonale, że nie.

— Czyli że będę musiała pozostawać w Tebach aż do końca swoich dni?

— Boska Adoratorka ma taki obowiązek.

Szepena była bliska płaczu.

— Ranisz mi serce.

Pianchi przycisnął córkę czule do piersi.

— Wiem o tym, Szepeno, ale to twój własny geniusz skłonił mnie, żebym cię wyznaczył na przyszłą władczynię Teb. Będziesz sprawowała rządy w Karnaku, w tej świątyni nad świątynię, i strzegła świętego charakteru naszej cywilizacji.

— To zadanie jest... przerażające.

— Nie, córeczko, uwznioślające. Gdy przywdziejesz swe świątynne szaty Boskiej Adoratorki, wspierać cię będzie bezcenna mądrość twoich poprzedniczek.

Porzuć obawy, Szepeno, bo rozporządzasz siłą, której prawdziwej natury nie znasz. Ujawni ci się ona, gdy sprawować będziesz funkcję, do jakiej cię przeznaczono.

— Aż do wyjazdu będę rozmyślała tutaj, w świątyni.

Szepena ucałowała dłonie ojca.

Pianchi opuścił miasto, by popatrzeć na Czystą Górę i jej wierzchołek zalany światłem zachodzącego słońca.

Rzeźbiarze ukończyli już prace. Dżebel Barkal na zawsze wznosić się będzie w samym środku Nubii jako widomy znak władzy faraona.

Serce mu się ścisnęło. Czy ujrzy jeszcze kiedyś tę górę, w której cieniu stała świątynia Amona, dalekie echo świątyni w Karnaku? Zawsze miał nadzieję, że nigdy się stąd nie oddali i spokojnie zestarzeje pod jej osłoną.

Przeznaczenie przybrało jednak nieoczekiwanie inną twarz i postawiło przed Czarnym Faraonem zadania, od których nie mógł się uchylić. Jego osobiste szczęście, długi korowód spokojnych dni, wspaniałości pałacu... wszystko to nie miało znaczenia w obliczu tragedii, która pogrążyła lud egipski w beznadziejności.

W rosnących obok krzakach *coś* się poruszyło.

Wypełzła z nich czarnoszyja kobra, napastliwa i gotowa kasać.

Faraon nie miał czasu zareagować, bo na gada rzuciła się szybsza od niego mangusta * i wpiła mu zęby w szyję.

Ten mały drapieżnik o trójkątnym pyszczku i długim, zwinnym ogonku, z najeżoną z gniewu sierścią, potrafił tak walczyć, że unikał zębów żmii. Czyż ta mangusta nie była zesłana przez boga-stwórcę, Atuma? Mangusty dawały się niekiedy oswoić i wyłapywały wtedy gospodarzowi jaszczurki, szczury i myszy. Przez wdzięczność mumifikowano je, a ciało składano na wieczne czasy do odpowiednio małych grobowców.

Gwałtowna walka nie trwała długo i wkrótce mangusta, łapiąc oddech, trzymała już w zębach martwą kobrę.

Pianchi wziął zwierzątko na ręce. Nie próbowało uciekać.

— Dałaś mi przykład, więc zabiorę cię ze sobą.

* Ichneumon, zwany szczurem faraona.

Tydzień był niezły. Nubijski korpus ekspedycyjny utracił kontrolę nad dwiema wsiami i nie zaatakował żadnego patrolu libijskiego. Z Północy regularnie napływało obfite zaopatrzenie dla wojsk, a mury miasta Herakleopolis wciąż wzmacniano.

Tefnacht siedział na niskim stołeczku z nóżkami w kształcie lwich łap i wpatrywał się w Jutrzenkę, która układała sobie włosy przed nakryciem ich wspaniałą peruką.

— To wszystko trwa już za długo... Trzeba znaleźć jakiś sposób, by sprowokować nubijski korpus

ekspedycyjny do ataku na nas. Rozbijemy go, a na pomoc pośpieszy mu część oddziałów stacjonujących w Tebach. Wtedy droga stanie przed nami otworem.

— To najlepszy sposób, najdroższy.

— No, to do roboty! Spróbujmy zasugerować przeciwnikowi, że Herakleopolis to łatwa zdobycz.

— A dlaczego by nie oznajmić jasno i głośno, że wycofałeś się z miasta, a księżę Peftau znów przeszedł na służbę Pianchiego? Wojska nubijskie wobec sprzymierzeńca nie będą się miały na baczności i same wejdą w pułapkę.

Tefnacht ucałował Jutrzenkę w szyję.

— Sama jedna wystarczysz za całą radę wojenną.

— Chcę zwycięstwa... dla ciebie, dla Egiptu!

Adiutant zaanonsował Jegeba.

— Później!

— Twój doradca twierdzi, że sprawa jest pilna.

— Niech wejdzie!

W oczach Jegeba widać było przerażenie.

— Bardzo niedobra wiadomość, panie.

— Skąd nadeszła?

— Od naszych tebańskich wywiadowców. Pianchi ogłosił,

że wyrusza z Napaty i wkrótce przybędzie do grodu

Amona.

Jutrzenka okryła swe wspaniałe ciało białą chustą.

— Nigdy bym nie przypuszczał — przyznał Tefnacht.

— To zasadniczo zmienia sytuację — osądziła dziew-

czyna. — Wkrótce będziemy mieli do czynienia z

samym przywódcą Nubijczyków. Tefnacht z Pianchim

oko w oko. A gdy Czarny Faraon zginie, jego

stronnicy natychmiast złożą broń.

— Słusznie — rzekł świszczącym głosem Jegeb. — Dob-

rze byłoby, żeby Pianchi nigdy nie dotarł do

Środkowego Egiptu.

— Doskonała myśl — przyznał Tefnacht — tylko jak

zorganizować zasadzkę? Południe należy do niego.

— Wyprawa będzie długa i trudna... Spróbujmy prze-

rzucić kilku zdecydowanych na wszystko śmiałków przez Wschodnią Pustynię. Jeśli nic nie wskórają, to Pianchi dotrze do Teb, ale gród Amona stanie się jego grobowcem.

Dzięki młodej wieśniaczce, niezbyt płochliwej a pragnącej doskonalić się w sztuce kochania, noc upłynęła bardzo przyjemnie. Na kilka godzin kapitan Lamerskeni zapomniał o niepowodzeniach ostatnich tygodni. W jego sieci nie wpadł ani jeden podjazd libijski, nie wydarzyło się nic, co można by nazwać starciem zbrojnym, a na dobitkę to grzęźnicie w piachu — coraz głębsze.

Lamerskeni wielokrotnie już próbował przekonać Puarmę, że trzeba wezwać oddziały stojące w Tebach, nie po to, by uderzać na taką skałę jak Herakleopolis, ale żeby ostatecznie opanować szereg miejscowości powiatu Zająca i mocniej się w nim usadowić. Kapitan łuczników nie chciał jednak osłabiać sił broniących grodu Amona.

Tym razem klamka zapadła: Lamerskeni postanowił zgłosić dymisję i przekazać dowództwo Puarmie. Nie wiedział jeszcze, co będzie dalej robił. Człowiek-akcyjowa ręka znał się tylko na wojaczce i każde inne zajęcie było nie dla niego.

Takie ustępstwo wobec łuczniaka, który nigdy nie nauczył się prowadzić szerokiej ofensywy, martwiło Lamerskeniego, ale grzęźnicie w tej wojnie pozycyjnej było jeszcze bardziej

nieznośne. Marniał, pozbawiony oddechu wielkiej przygody.

Gdy Puarma podszedł do niego z szerokim uśmiechem, Lamerskeni zrozumiał, że przejrzał jego zamiary, i już się cieszył, że ma rozwiązane ręce. Zawodowy żołnierz, gotów iść na każde ustępstwo... oto czym jest ten miotacz strzał.

— Są wieści z Teb — oznajmił Puarma.

— Nowe rozkazy?

— Coś lepszego, Lamerskeni, znacznie lepszego.

Kapitan piechoty zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem...

— Pianchi nadciąga.

Po powrocie do Hermopolis księżę Nemrod odżył. Wrócił do swoich dawnych przyzwyczajęń, do dworzan i pałacu, do ulubionego swego kucharza. Większość czasu spędzał, przechadzając się po ulicach miasta, którego omal nie stracił.

Kobiety i uczyły były już dlań tylko ubocznymi rozrywkami. Jego stolica, Hermopolis, stała się jedyną jego kochanką, będzie ją upiększał rok po roku, aż uczyni z niej najwspanialsze miasto Egiptu. Marszałkowi dworu, który delikatnie napomknął mu, że wojna nadal szaleje, odpowiedział tylko, że ten stan rzeczy będzie trwał jeszcze przez dziesiątki lat, więc lepiej o wojnie zapomnieć. Tak, zapomnieć. Tak samo jak o zdradzie księcia.

Był właśnie w Dolinie Tamaryszków nieopodal wielkiej świątyni Tota, w cieniu obrośniętej powojnikami altany popijał chłodne białe wino i wsłuchiwał się w śpiew harfisty.

Dowódca miejscowej policji ośmielił się przerwać tę cudowną chwilę.

— Co, znowu jakieś kłopoty z zaopatrzeniem?

— Nie, książę. Przybył wysłannik i przyniósł list z pieczęcią Tefnachta.

Nemord złamał pieczęć i rozwinął papirus.

Raz, drugi i trzeci przeczytał kilka wierszy skreślonych osobiście przez generała i usiłował sobie wmówić, że to tylko zły sen. Nie, to niemożliwe, żeby Czarny Faraon wyruszył z Napaty na Teby. Nie, nie zaatakuje Hermopolis.

Zostawszy namiestnikiem Napaty, Otoku baczył, by w obecności ludzi niższego stanu nie dotykać stopą ziemi, toteż słudzy obnosili po mieście jego sto sześćdziesiąt kilogramów.

Był tak przejęty, że zdarzało mu się niekiedy skracać któryś ze swych pięciu codziennych posiłków. Zwierchnictwo nad plemieniem przekazał jednemu z krewnych — utnie mu głowę, jeśli sprzeniewierzy choćby kruszynę złota — sam zaś tymczasem wciągał się w arkana władzy centralnej.

Tłuscioch, gdy już się czegoś podejmował, sprawę trak-

tował poważnie. O pomyślność stolicy będzie dbał nawet kosztem własnego zdrowia. Musi ponadto wyrobić sobie autorytet wśród pisarzy i pokazać im, że nie jest słomianą kukłą.

Osiągnąć to można było tylko jednym sposobem: uzyskując bezwarunkowe poparcie Zimnej Głowy. To dlatego Otoku kazał się czym prędzej nieść do jego domu, pięknej, piętnastopokojowej willi, ukrytej w głębi bujnego ogrodu, nad którym wznosiły się palmy dum.

Żoną karła była piękna Nubijka o obfitych piersiach. Dała mężowi syna i córkę. Dzieci miały czternaście i dwanaście lat, szykowały się do kariery pisarza i uważnie słuchały nauk ojca.

Odźwierny nisko się skłonił wielmożnemu panu Otoku i tragarze weszli na piaszczystą alejkę wiodącą do głównych drzwi domu Zimnej Głowy.

Stojąca na progu żona Zimnej Głowy tonęła we łzach.

— Pani Zimna Głowo, nie chciałbym ci przeszkadzać, muszę jednak jak najszybciej porozmawiać z twoim mężem.

— Niestety, niemożliwe.

Potężnym cielskiem Otoku wstrząsnął dreszcz.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

— Nie, nie, panie... Zimna Głowa jak najbardziej żyje,

ale... zabrał go ze sobą Pianchi.

Cios był straszliwy. Otoku poradzi sobie jednak sam, a

Czarny Faraon będzie z niego dumny.

Gdy rozproszyła się zasłona porannej mgły, w krystalicznie czystym powietrzu tym lepiej widać było żółte wydmy pustyni. Żołnierze Pianchiego patrzyli jak urzeczeni na mijany przez flotyllę krajobraz. Płowe równiny, pomarszczone skały piaskowców, mnóstwo drzew palmowych, szeroki pas nawodnionej ziemi, mieniące się łany pszenicy i jęczmienia, wszystko to tworzyło obraz jeszcze miłszy dla oka niż ten przy czwartej katarakcie. Nil kierował swój bystry nurt prosto na północ, zwycięsko przebijając się przez mniej już surową pustynię, omijał wioski z białymi domkami, gdzie zgromadzeni wzdłuż brzegu mieszkańcy wznosili okrzyki na cześć królewskiej pary widocznej na dziobie okrętu flagowego.

Pianchi ścisnął rękę Abilei. Chłonał oczyma rozświetlone piękno nubijskiej ziemi, której ogień ożywił jego serce.

Śmiały się małpy siedzące na wierzchołkach palm, na błękitnym niebie jaskółki zataczały taneczne kręgi wokół majestatycznie lecących białych ibisów.

Zimna Głowa przyniósł dzbanki chłodnego soku z owoców drzewa świętojańskiego.

— Wasza Królewska Wysokość... Pozwól mi zauważyć, że za bardzo się narażasz. Tu, na dziobie, stanowisz idealny cel dla wprawnego łucznika.

— Nie bądź takim czarnowidzem, nie jesteśmy jeszcze

na obszarach zajętych przez Tefnacha.

— A jeśli już wie o twoim wyjeździe, jeśli wysłał morderców, by nie dopuścić cię do Teb?

— Niemożliwe.

— I ja tak sędzę, ale czy po takim przeciwniku jak Tefnacht nie należy spodziewać się najgorszego?

— Co powiedzieliby moi Nubijczycy, gdybym się zamknął w kabinie? Uznaliby, że faraon stchórzył, i straciliby doń zaufanie. Zgadzasz się ze mną, Abileo?

— Zimna Głowa ma rację, ale ty też.

Królewska para nie zeszła z dziobu. I król, i królowa patrzyli na północ, gdzie ich oczekiwały przemoc i śmierć.

— Wasza Królewska Wysokość — rzekł kapitan — dopływamy do wyspy Argo. Płynie się tu na pozór łatwo i szybko, boję się jednak tego miejsca. Wyspa ma trzydzieści kilometrów długości i musimy się zdecydować, z której strony ją opłyniemy. W razie pomyłki grozi nam przeciwny prąd.

— Czy groźny dla naszej floty?

— Dla statków towarowych na pewno tak.

Na dwudziestometrowej długości barkach wieziono zboże, dzbany z oliwą, wino, piwo, drób, bydło, warzywa, sól, sery, suszone mięso i ryby, niezbędny sprzęt bojowy, a także

konie, o które dbano jak najstarszanniej.

— Czym byś się kierował przy podejmowaniu decyzji?

— To sprawa przypadku.

— Pokaż mi mapę.

Mapę Pianchi czytał nie wzrokiem, lecz palcami. Dotyk to zmysł o wiele czulszy, niż się na ogół sądzi. Jeśli ktoś potrafi właściwie wyrobić sobie rękę, może nią widzieć, a nawet wykrywać to, co niewidzialne. Kiedyś Pianchi wybrał sobie konia, gładząc go ręką po pysku, ręką więc posłuży się teraz przy wyborze drogi.

— Opłyniemy wyspę z prawej.

Kapitan skierowałby się raczej na lewo, nie miał jednak żadnego poważnego argumentu, by przeciwstawić się królowi.

Długi sznur statków wpłynął w wąską odnogę rzeczną, gdzie zaatakowały go chmary muszek, uniemożliwiając pilotom porządne sondowanie rzeki za pomocą długich tyczek. Jeden z nich, próbując odpędzić owady, wpadł do wody. Dwaj marynarze natychmiast pośpieszyli mu z pomocą i rzucili sznur, po którym biedak zdołał wspiąć się na pokład.

— Tłuszcz z wilgi dla wszystkich załóg! — rozkazał

Pianchi.

Wszyscy natarli się tą cenną maścią i muszki zaprzestały

ataków. Król dostrzegł jednak inne niebezpieczeństwo — wiatr osłabł, a mimo to tafla wody wciąż się marszczyła.

Była to niezawodna oznaka, że tuż pod powierzchnią ciągnie się ławica piasku.

— Stopuj! — krzyknął pilot.

Dla czołowego i dla flagowego statku było już za późno.

Werznąły się w ławicę i ugrzęzły. Reszta eskadry zdołała ominąć przeszkodę.

Nie było wyjścia: oba statki należało ściągnąć z mielizny.

Pianchi wskoczył do wody i osobiście pokierował manewrami, a ciągnął za sznur tak potężnie, że udzięciokrotnieło to siły marynarzy.

Cieśnina koło wyspy Argo stała się wkrótce tylko przykrym wspomnieniem.

Trzecią kataraktę pokonano bez trudności. Flota nubijska przecisnęła się między zwałami granitu i porfiru, i oczom wszystkich ukazał się dziwny krajobraz — piasek był szary, a skały prawie czarne. Przebiegło kilka antylop, wdzięcznie przeskakując przez rozsiane z rzadka na pustej sawannie krzaki.

Potem znów pojawiły się rude łachy piasku, łagodna •zielen palm, brzegi pokryte czerwonym mułem, który skrywał w sobie sekret żyzności. Serce Pianchiego mocniej zabiło, gdy mijano miejsca, gdzie wznosiły się świątynie

Soleb i Sedeinga. Sławiły one miłość, jaką Amenhotep Trzeci żywił do swej małżonki Tiyi, oraz święty charakter królewskiego małżeństwa.

Król przycisnął do siebie Abileę.

— Amenhotep Trzeci kazał również wznieść świątynię luksorską, jeden z klejnotów Teb. W czasach gdy oba kraje były jeszcze zjednoczone, bogate i szczęśliwe.

— Jeśli uda się nam pokonać Tefnacha, to dlaczego nie mielibyśmy wskrzesić tych szczęśliwych czasów?

— Nigdy jeszcze, Abileo, nie prowadziliśmy tak wielkiej wojny. Czy sama odwaga Nubijczyków wystarczy?

— Ty nie należysz do wątpiących.

— Nie wątpię, bo nie mam wyboru. Iluż jednak ludzi zginie, nim będziemy mogli odłożyć broń? Tefnacht naruszył kruchą równowagę Północy i popełnił wielki błąd, ale wyrwał mnie z letargu. Myliłem się, Abileo, sądząc, że książęta libijscy pilnować będą każdy swojego ksiąstewka i poskromią swoje bezsensowne ambicje. Myliłem się... Ludziom żądnym władzy nigdy nie należy dowierzać. Tak samo niebezpieczni są również tchórze, tacy jak książęta Peftau i Nemrod, bo zdradzają przy pierwszej sposobności. Myliłem się, sądząc, że strachem da się utrzymać ich w ryzach.

Może powinnaś wrócić do Napaty, Abileo.

— Chcę być z tobą w tej próbie. A jeśli przyjdzie umrzeć w obronie naszej sprawy, będę u twego boku.

Mangusta wspięła się Pianchiemu na ramię, jakby chciała mu pokazać, że i ona gotowa jest walczyć.

Nagle ujrzeli Zimną Głowę, który pędził na złamanie karku przez pokład. Nie zapowiadało to niczego dobrego.

— Katastrofa, Wasza Królewska Wysokość! A wszystko przeze mnie!

— Jakież to błęd popełniłeś?

— Nie sprawdziłem wszystkich skrzyń z amuletami. A jedna z nich zawiera tylko ceramikę! Dla wielu marynarzy zabraknie magicznej osłony i nie będą chcieli dalej płynąć!

— Uspokój się — rzekła królowa Abilea. — Rozdam amulety moich panien służebnych, które zabrały ich ze sobą aż za wiele.

Amulety z fajansu, kwarcytu, krwawnika, czerwonego jaspisu i serpentynitu, wyrobione w kształt dłoni, słupa, Sfinksa, sokolego oka, głowy hipopotama... Zimna Głowa uspokoił się. Skoro każdy uczestnik wyprawy otrzyma osłonę przed wrogimi siłami, musi ona dotrzeć do celu.

Posłaniec, zajeżdżwszy po drodze kilka koni, dotarł wreszcie do pewnego plemienia na południu Libii. Tu, za dzieśnięć sztab srebra, olejki najwyższej jakości i sto osłów, zwerbował pięćdziesięciu młodych strzelców, gotowych przekroczyć po kryjomu granicę Egiptu i dokonać zamachu na Pianchiego w okolicach drugiej katarakty. Miejsce to znakomicie nadawało się na zasadzkę. Czarny Faraon, zbyt pewny siebie, nie będzie się spodziewał napaści na podległym sobie obszarze.

Ochotników, mimo sowego wynagrodzenia, nie było wielu. Pianchi uchodził za niezwyciężonego wojownika i ludzie doświadczeni woleli nie stawiać mu czoła. Ledwie kilku zawadiaków cieszących się żelaznym zdrowiem zgodziło się porwać na takie szaleństwo, w nadziei że wrócą do wioski z głową Czarnego Faraona. Rolę przywódcy wziął na siebie Kafi, młodszy syn wodza plemienia. Wiedział, że ma niewielkie szanse na objęcie rządów, gdyż starszy brat straszliwie go nienawidzi, i oto znalazł sposób, żeby wykazać, ile naprawdę jest wart.

Wyprawa zapowiadała się na niebezpieczną. W dzień żegluga będzie możliwa tylko na tych odcinkach Nilu, których nie strzegą żołnierze Pianchiego. W nocy mogli się nadziać na podwodną skałę. Nie było jednak czasu na myśli

o niepowodzeniu. Należało jak najszybciej ruszać, by

zaskoczyć Pianchiego w przewidzianym miejscu.

Król z podziwem spoglądał na prostokątny lniany żagiel

zaczepiony na wierzchołku podwójnego masztu i opadający

aż do drewnianego poszycia statku. Żeglując wykorzys-

tywano silny prąd rzeki, ale żeby nie marnować i siły wiatru,

marynarze królewscy wykonywali również inne skompliko-

wane manewry. Gdy nastawała cisza, owijali żagiel wokół

rei, rozbierali maszt i układali go na dwóch rozwidlonych

podstawkach.

Na okręcie flagowym, obok kabiny pary królewskiej,

zbudowano pod gołym niebem wygodną zagrodę dla kró-

lewskiego konia. Zwierzę miało do dyspozycji dwa boksy, a

monarcha regularnie zarządzał przerwy w podróży, żeby

koń mógł się wybiegać. Rumak, podobnie jak żołnierze,

zachowywał się wzorowo. On też był świadom, jak ważną

misję ma wypełnić.

Pianchi często wdawał się w rozmowy ze swoim koniem,

który odpowiadał mu spojrzeniami i rżeniem, wyrażając w

ten sposób aprobatę lub niezadowolenie. Król liczył się ze

zdaniem Śmiałka, troszczył się o jego codzienne potrzeby i

bardzo dbał o jego zdrowie. Śmiałek miał rzadką zaletę:

przeczuwał niebezpieczeństwa, a swoje obawy objawiał na-

padami gniewu.

Takiego właśnie napadu dostał, gdy dopływno do drugiej katarakty.

Żaden marynarz nie odważył się wejść do zagrody w obawie przed kopytami Śmiałka. Nikt zresztą, z wyjątkiem Pianchiego, nie miał prawa zbliżać się do niego.

— Spokojnie, spokojnie, przyjacielu — mówił król swym poważnym, statecznym głosem.

Śmiałek nie uspokajał się jednak.

Gdy Zimna Głowa ujrzał, że król wchodzi do boksu, przeraził się. Zwierzę było tak rozwścieczone, że nie zareagowało nawet na widok pana. Pianchi zdołał jednak wbić spojrzenie w oczy konia i zbliżył się do niego bez wahania.

Koń uspokoił się.

— Śmiałek ostrzega nas przed niebezpieczeństwem — rzekł Pianchi do żony spoczywającej na łożu z oparciem inkrustowanym kością słoniową i nogach w kształcie byczych.

W oczach Abolei pojawił się niezwykle niepokój.

— Miałam koszmarne sen. Z Nilu wyłaziły ogromne krokodyle, a z ruchomych piasków na skarpach wychodziły olbrzymie hipopotamy. Zaczęły szczyrzyć na siebie zęby i myślałam, że się wzajemnie rozszarpia. Stały jednak w miejscu i nawet zawarły w końcu coś jakby sojusz przeciwko potworowi, który

wyłonił się z pustyni i którego nie rozpoznałam.

Doszło do walki i obudziłam się.

— Sen to czy... wróżba?

— Nie mam pojęcia. Może jednak powinniśmy wziąć pod uwagę te ostrzeżenia?

Pianchi usiadł na brzegu łoża, żona przytuliła się do niego.

— Więc co? — rzekł. — Mamy wracać do Teb, zapomnieć o Tefnachcie i o wojnie?

— Przed tobą nie będę ukrywała. Boję się.

— Ten, kto twierdzi, że się nie boi, nie ma krzty odwagi.

Nie możemy się jednak cofnąć. Zaraz uprzedzę marynarzy i żołnierzy, że do walki dojdzie z pewnością prędzej, niż myśleliśmy.

Widomość wzbudziła niepokój. Jakież to niebezpieczeństwo mogło grozić wojskom nubijskim w ich własnym kraju, tak daleko od przeciwnika? Mimo to kapitanowie postawili załogi w stan gotowości bojowej, a łucznicy dniem i nocą pilnie wpatrywali się w brzegi.

Kafiemu i jego ludziom udało się.

Wszystkie przeszkody związane z żeglugą mieli już poza sobą. Przedzierając się bocznymi drózkami, gdzie na szczęście mogli znaleźć wodę, dotarli wreszcie w okolice drugiej katarakty.

Krajobraz był tu przerażający. Skalne zwaliska przegradzały bieg rzeki, której gniew przejawiał się w wirach, ostry prąd uderzał w granitowe wysepki, a nadbrzeżne urwiska zdawały się strzec przełomu, by tym skuteczniej zniechęcać intruzów. Niektórzy Libijczycy drżeli z trwogi, przeświadczeni, że okolica ta jest siedliskiem złych duchów.

Jeden spróbował nawet uciec, Kafi napiął jednak spokojnie łuk i zabił go strzałą w plecy.

— Tchórze nie zasługują na nic lepszego.

Kafi był groźniejszy niż złe duchy, toteż młodzi Libijczycy zdusili w sobie strach.

— To tutaj zabijemy Pianchiego. Gdy padnie przeszyty strzałami z naszych łuków, jego żołnierze rozproszą się jak spłoszone zwierzęta. Zabierzemy trupa, głowę zaniemiemy Tefnachtowi i zażądamy dwa razy większego wynagrodzenia. Będziecie wkrótce bogaci!

Ta perspektywa przywróciła zapał ich sercom.

— Te nadbrzeżne urwiska to nasi sprzymierzeńcy — ciągnął Kafi. — Nubijskie strzały nie doleczą tak wysoko, nasze zaś będą szły prosto w cel.

Libijskiemu oddziałowi pozostało już tylko przejść w bród na drugi brzeg Nilu, przeprawiając się z wysepki na wysepkę, a potem wdrapać się na skraj wysokiego urwiska. Tam słońce nie będzie im świeciło w oczy, a wiatr dmuchał w

twarz.

Kafi szedł przodem. Był już w połowie drogi, gdy usłyszał głośny krzyk. Odwrócił się.

Jeden z wystających nad wodę głazów uniósł się i człowiek, który oparł na nim stopę, runął do rzeki. Nie był to blok granitu, lecz olbrzymi, przeszło czterotonowy hipopotam, któremu żołnierz przerwał drzemkę. Kilkunastu jego współplemienców, równie wielkich, rozwarło szeroko ogromne paszcze i zaczęło straszliwie ryczeć.

Przerażony Libijczyk popełnił błąd i zagłębił swój nóż w miękką skórę rzeczno-konia. Oszałały z wściekłości i bólu hipopotam dźgnął płynącego swymi ostrymi, długimi kłami.

W ślad za nim poszły pozostałe zwierzęta. Libijczycy na próżno usiłowali umknąć przed ich kłami.

Kafi ujrzał na brzegu coś, co można było wziąć za wciśniętą w muł ruchomą kłodę. To coś miało długą głowę, łuski, gadzi ogon i nogi — krótkie, ale szybkie, ach, jak szybkie...

— Krokodyle! Jesteśmy uratowani, rzucą się na hipopotamy!

Między tymi dwoma gatunkami trwała bowiem odwieczna i bezlitosna wojna.

Krokodyl nilowy, choć waży tonę, jest niewiarygodnie zwinny. Jeden z Libijczyków zaczął w panice bić dzidą o

wodę, by wzburzyć falę i spłoszyć drapieżnika. Uzyskał efekt odwrotny do zamierzonego: ściągnął bestię na siebie.

Że zaś ofiara była dość duża, jaszczur wydał z siebie coś w rodzaju świstu, przywołując w ten sposób swych towarzyszy.

Kafi był zaskoczony. Żaden krokodyl nie zaatakował hipopotamów, żaden hipopotam nie zwracał uwagi na krokodyle. Jedne i drugie rozprawiały się z żołnierzami libijskimi.

Kafi nie zdążył wypuścić strzały w otwartą paszczę atakującego go samca, gdyż jego prawą nogę złapała w swoje szczęki samica i zacisnęła je tak mocno, że z jej ślepi obficie polały się łzy. Wszystkie krokodyle płakały z radości przy tak wspaniałej uczcie.

Znieruchomiła na ramieniu Pianchiego, z pyszczkiem pod wiatr, mangusta patrzyła w dal, podobnie jak król i jego małżonka. Byli w sercu drugiej katarakty, przez którą powoli i bardzo ostrożnie przedzierała się od niedawna flotylla, gdy dostrzegli kipiela i usłyszeli ochryple okrzyki. — To pewnie walka krokodyli z hipopotamami — domyślił się Pianchi. — Ach, widzę... Jaszczury chyba rejterują.

— Woda zabarwiła się na czerwono — zauważyła Abilea.

— Masz rację. Ale w takim razie...

— Wyśniło mi się. Czekwały tu na nas potwory, lecz nie były to ani hipopotamy, ani krokodyle.

Eskadra płynęła naprzód.

Jaszczury nie pogardziły ani kawałeczkiem ludzkiego mięsa, ale prąd był tu tak silny, że krew ofiar szybko rozpłynęła się w ciemnoniebieskiej wodzie.

Szepena po raz pierwszy od wypłynięcia z Napaty opuściła kabinę i podeszła do ojca.

— Modliłam się do Amona — rzekła — i wzywałam jego niewidzialną obecność, żeby jego oko stało się pilotem twojego statku. Czekają nas straszliwe przejścia, ale ja nie przestanę zanosić do niego modłów.

Mangusta usnęła na ramieniu Pianchiego, a flota bez przeszkód przedarła się przez kamienny brzuch drugiej katarakty.

Pedikiurzystka kończyła właśnie zajmować się cienkimi i delikatnymi stopami Jutrzenki. Po niej zjawiała się masażystka. Namaściła śniade ciało dziewczyny olejkiem z wonnej żywicy i aromatycznej trzciny. To zapewni skórze na cały dzień jędrność i miły zapach.

Poranna toaleta dobiegała końca; jeszcze tylko fryzjerka dobierze perukę. Jutrzenka rozpamiętywała tymczasem upojną noc, spędzoną z Tefnachtem. O ile naczelny wódz w życiu publicznym był człowiekiem chłodnym, oschłym i twardej mowy, o tyle przy niej stawał się najczulszym kochankiem i przejawiał nieoczekiwane inicjatywy. Ona zaś nawet w chwilach największej rozkoszy czuła się zafascynowana jego wielkimi planami. Jeżeli ją kochał, to nie dla jej urody i młodości, ale dlatego, że miała te same co on ambicje.

Fryzjerka płakała.

— Co się stało?

— Ach, pani, ten potwór Nartreb...

— Czyżby cię zgwałcił?

— Ja należę do twojej służby, więc nie odważyłby się, ale... mam młodszą siostrę, ma osiemnaście lat i jest piękna jak lilia. To ją zgwałcił!

Jutrzenka, zarzuciwszy na siebie przejrzysty lniany szal, z

rozpuszczonymi włosami i boszo wybiegła z komnaty,
minęła strażę porozstawianą w każdym załomie pałacowego
korytarza, odepchnęła marszałka dworu, który zginał się
przed nią w ukłonie, i jak trąba powietrzna wpadła do sali
narad, gdzie Tefnacht słuchał właśnie sprawozdania Jegeba
o sytuacji gospodarczej regionu.

— Twój doradca Nartreb to gwałciciel i przestępca!

— Skąd tyle wzburzenia, Jutrzenko?

— Bo zgwałcił siostrę mojej fryzjerki!

— Niemożliwe — zaproponował Jegeb. — Ręczę za niego.

— Niech przyjdzie i wytłumaczy się — zażądała dziewczyna.

Oblicze Jegeba ściągnęło się.

— Czy to nie generał wydaje rozkazy?

— Idź po przyjaciela — nakazał Jegebowi Tefnacht.

Semita skłonił się i wyszedł.

— Zwolnij ich obu — radziła Jutrzenka. — Przez nich
znienawidzi cię w końcu cała ludność. A według
naszych ustaw gwałt karze się śmiercią.

— Fachowość moich doradców jest nie do podważenia

— odrzekł Tefnacht. — Jeśli nawet ich metody mogą
niekiedy wydawać się brutalne, rezultaty są
znakomite, ponieważ dają im możliwość wzbogacenia
się. Dzięki nim lud boi się mnie i wie, że musi mnie

słuchać.

— Więc uniewinnisz gwałciciela?

— Wysłuchajmy najpierw jego wersji wydarzeń.

Gdy Nartreb stawiał się przed Tefnachtem, Jutrzenka ostro powtórzyła oskarżenie.

— Ależ to po prostu nieporozumienie. Przecież tę biedną dziewczynę napastował jakiś wieśniak, a ja tylko przyszedłem jej z pomocą. Od razu zrozumiałem, że ma za sobą jakieś straszliwe przejścia i kazałem, żeby się nią zajęto, na mój koszt.

— Zarzuty postawiono tobie, a nie jakiemuś wieśniakowi.

— Była bliska omdlenia, bredziła pod wpływem wstrząsu. W zupełności to rozumiem i wybaczam jej.

— Przed sądem jej zeznania zderzą się z twoimi — napierała Jutrzenka.

— Na pewno nie, bo mam trzech świadków. Towarzyszący mi milicjanci widzieli uciekającego wieśniaka. Ich świadectwo rozstrzygnie.

Jegeb uśmiechnął się.

— Sam więc widzisz, generale — wtrącił — że Nartreb jest poza wszelkimi podejrzeniami.

— Zamykam sprawę — oświadczył Tefnacht.

Nubijska małżonka księcia Akanosza, akompaniując so-

bie na lutni, śpiewała mu pełną zarazem słońca i melancholii pieśń z dalekiego Południa. Była w tej pieśni mowa o chłodnej wodzie, którą dzielili się rankiem nad rzeką złączeni miłością kochankowie, o młodości, która ucieka wraz z prądem rzeki i ginie w schodzących ku Nilowi łąkach rdzawego piasku.

Wzruszony do łez rządca odczekał do końca melodii i dopiero wtedy zwrócił się do pana. On jeden z całej służby miał dostęp do komnat książęcej pary; małżonka Akanosza bardzo szybko stwierdziła, że wszyscy inni są na żołdzie Jegeba i starają się skompromitować jej męża.

— Tefnacht jest wściekły — oznajmił rządca.

— Na mnie?

— Nie, książę. Dowiedział się właśnie, że Libijczycy, opłaceni, by zabić Pianchiego w czasie jego podróży, nic nie wskórali. Czarny Faraon minął drugą kataraktę i wkrótce powinien dopłynąć do wyspy Elefantyny.

— Pianchi w Egipcie... Czy taki szalony sen może się spełnić?

Mangusta przez większość czasu spała, Śmiałek był całkiem spokojny, żegluga przyjemna, Pianchi i Abilea przeżywali cudowne chwile. W Napacie obowiązki często pozbawiały ich tak upragnionej prywatności, tutaj zaś, w tej wielkiej i dobrze przewietrzanej kabinie, w każdej chwili

mogli kosztować szczęścia, z tym większą pasją, że ponura rzeczywistość zbliżała się nieuchronnie.

Abilea miała w sobie tajemniczy urok głębokiej wody i magicznie pociągające spojrzenie wielkiego kota. Jej zachowanie, nawet w chwilach najwyższych uniesień miłosnych, było pełne godności. Przygoda powtarzała się dzień w dzień; królowa wciąż fascynowała Pianchiego. Bez niej nie miałby żadnych szans na odniesienie zwycięstwa.

Mangusta obudziła się i wysunęła łebek w stronę drewnianych drzwi kabiny. W chwilę później zapukał do nich Zimna Głowa.

— Wejść.

Karzeł uchylił drzwi.

— Wasza Królewska Wysokość, kapitan się niepokoi. Od północy zerwał się wiatr, na rzece już pojawiły się fale, a wiatr dmie coraz bardziej. Dmie z taką siłą, że może być groźny. Należałoby jak najszybciej przycumować do brzegu. Inaczej wiatr powywraca statki.

— Dopływamy do pierwszej katarakty, prawda?

— Tak jest.

— Szybko, do biblioteki!

Zimna Głowa nie zapomniał o zabraniu pewnej liczby papirusów, a były wśród nich przede wszystkim księgi zaklęć

zwyczajnych i nadzwyczajnych, kalendarz świąt, spis świą-
tyń i ze sto innych podstawowych tekstów, bez których nie
mógł się obejść żaden faraon.

Pianchi rozwinął kilkanaście papirusów, nim znalazł to,
czego szukał. Natychmiast wezwał oficerów zaopatrzenia i
przeszedł na dziób okrętu flagowego, gdzie niezwłocznie
przyniesiono mu żądane przedmioty.

Włożywszy na głowę niebieską koronę, faraon złożył w
ofierze duchowi Nilu spódniczkę z królewskiego lnu, czysty
papirus najwyższego gatunku, trochę odświętnej oliwy,
dzban wina z pierwszego roku swego panowania, placek
miodowy i sztabkę złota. Królowa Abiiea, ubrana w długą
czerwoną suknię, machała dwoma złotymi sistrami *, aby

* Sistrum — instrument perkusyjny (rodzaj grzechotki) (przyp.
tłum.).

odegnać złe siły i przywrócić harmonię między rzeką a
ludźmi.

Północny wiatr powoli ucichł, wiry poznikały, a prąd
uspokoił się.

— Trzeba złożyć ofiarę — wyszeptał Pianchi — tak uczą
stare księgi. Tylko ona może odegnać zło i utorować drogę.

Nie zapominajmy o tym, Abileo, cały Egipt to ofiara dla
źródła stworzenia. Na niej właśnie opierać będę swoją
strategię.

Granitowy chaos pierwszej katarakty oszołomił Nubijczyków. Wielu zastanawiało się, jak można pokonać to, zwalisko skał, między którymi przedzierała się rzeka.

Pianchi, rozporządzając dokładnymi mapami, bez trudu znalazł kanał, przekopany jeszcze przez faraonów dwunastej dynastii. Nawet w porze bardzo niebezpiecznej kanał ten wolny był od raf podwodnych i nadawał się do żeglugi. Monarchowie z osiemnastej dynastii poszerzyli go, żeby ułatwić wymianę handlową z Nubią, tak że powstał tu doskonały szlak wodny, którym pływać mogły nawet statki towarowe.

Tędy właśnie wiodła droga do ukochanej ziemi bogów, do pierwszego powiatu Górnego Egiptu, głowy Dwóch Krajów, symbolizowanej przez słonia, którego imię oznaczało również rubież, gdyż biegła tu granica właściwego Egiptu.

Na murach twierdzy w Elefantynie, która niegdyś stanowiła przeszkodę nie do pokonania dla Nubijczyków, teraz zaś miała zatrzymać napastników idących z Północy, cała tam zgromadzona załoga wznosiła okrzyki na cześć Czarnego Faraona. Wszyscy liczyli, że Pianchi zatrzyma się w twierdzy i oba korpusy połączą się, on jednak miał do wypełnienia pilniejsze zadania.

Dopiero na przystani przy świątyni boga Chnuma król

wydał rozkaz, żeby zatrzymać okręt flagowy. Z pokładu zszedł sam, na oczach marynarzy swojej floty oraz żołnierzy pełniących służbę na lądzie, którzy z podziwem patrzyli na wspaniałą postać Czarnego Faraona.

Wkroczył w bramy pierwszego pylonu, gdzie powitał go arcykapłan Chnuma, boga-barana, który na swoim kole garncarskim wytaczał żywe istoty, a zdejmując swój sandał z powierzchni fal, wyzwał przybór rzeki. We wnętrzu wspaniałego gmachu o ścianach z piaskowca, progach i bramach z granitu, rozchodził się zapach kadzidła.

— Ta świątynia to twoja własność, Wasza Królewska Wysokość.

— Zaprowadź mnie do kaplicy mojego ojca.

Była to niewielka wnęka z wyrzeźbionymi na ścianach scenami, które przedstawiały ojca Pianchiego, Kasztę, składającego ofiarę Chnumowi. Napis na steli u stóp posągu założyciela dynastii nubijskiej przypominał, że odwiedził on kiedyś Elefantynę i hojnie wyposażył swoją główną świątynię.

Pianchi czytał kolumny hieroglifów. Mówiły o wiekuiszym zmartwychwstaniu duszy jego ojca, która żyje w wiecznej światłości wśród sprawiedliwych.

I ojciec mówił do niego za pośrednictwem tych znaków, które opierając się wiekom nie traciły nic ze swej siły prze-

kazu. Wryte trwale w kamieniu hieroglify zachowywały słowa bogów wypowiedziane w zaraniu życia.

Ojciec kazał mu kontynuować swoje dzieło, tak jak Ramzes kontynuował dzieło Setiego, tak jak każdy faraon w trosce o pomyślność Dwóch Krajów obowiązany był iść w ślady ojca.

Pianchi mógłby wyjaśnić ojcu, że sytuacja uległa zmianie, że ze względu na najazd Tefnacha powinien by raczej trzymać się Napaty, by tym lepiej bronić Nubii, że zjednoczenie Górnego i Dolnego Egiptu nie jest już możliwe.

Ale syn, przez szacunek, nie sprzeciwia się poleceniom ojca, który przeniósł się do wieczności.

Było ich trzech, dwóch wysokich i jeden niski. Niski dowodził. Rozkazy wydawał krótkie, ale ścisłe, bo teren znał doskonale. Przed najazdem Tefnacha mieszkał w wiosce leżącej na dalekim południu powiatu Zająca, na granicy wywalczonej przez korpus ekspedycyjny Pianchiego.

Gęsto i równo rozsiane obozy wojskowe czyniły z tej granicy linię nie do przebycia.

Nie do przebycia, ale nie dla trzech ludzi umiejących pęłzać jak węże. Trzeba było tylko znaleźć lukę w tej sieci, przedostać się do Teb, nawiązać łączność z libijską siatką szpiegowską i zorganizować zamach na Pianchiego.

Niski próbował już czterokrotnie i zawsze bez skutku,

gdyż czujność wartowników była większa, niż się spodziewał. Towarzysze doradzali mu powrót, niski miał jednak jeszcze jeden pomysł. Oto na styku pól uprawnych i pustyni rozciąga się opuszczony cmentarz. Egipcjanie są przesądni i w miejscu, gdzie mogą błąkać się duchy, nie stanie na warcie żaden żołnierz. Przemykając się między grobowcami cała trójka zdoła umknąć czujnemu oku wroga.

Ledwie znaleźli się na terenie cmentarza, niski wiedział, że znalazł lukę. Nie zmniejszył jednak czujności i to samo nakazał towarzyszom. Gdy opuszczą powiat Zająca, przeprawią się wpław przez kanał, ukradną łódź rybacką i popłyną aż do przedmieść Teb, gdzie czeka na nich szef libijskiej siatki szpiegowskiej.

Zorganizować zamach na Pianchiego nie będzie łatwo, ale jakaś sposobność na pewno się zdarzy. Przybycie Czarnego Faraona to wydarzenie tak wyjątkowe, że podczas uroczystości i oficjalnych przyjęć trudno zapewnić władcy stałą ochronę.

Minęli rozwalającą się kapliczkę, ostatnią na cmentarzu. Jeden z dwóch wysokich szedł przodem. Już się odwracał, by obwieścić triumfalnie, że przeszkoda została pokonana, gdy nagle drewniana ręka Lamerskeniego przetrąciła mu kark. Drugi wysoki zamachnął się krótkim mieczykiem, ale siekierka kapitana rozcięła mu gardło. Niski próbował ucie-

kać w głąb cmentarza, lecz jeden z żołnierzy przygwoździł go włócznią do ziemi.

— Byłem pewien, że spróbują takich głupot — rzekł

Lamerskeni do swoich ludzi. — Właśnie dlatego zostawiłem wolne jedno przejście. Ci głupcy myśleli pewnie, że się boję duchów. Wzięliście kogoś żywcem?

— Nie, kapitanie.

— Szkoda, można by go było wziąć na spytki. Ale i tak na pewno by łął.

Wróciwszy do obozu, Lamerskeni ugasił pragnienie mocnym piwem, a potem udał się do namiotu Puarmy.

— Zatrzymałem trzech Libijczyków, którzy próbowali wydostać się poza prowincję Zająca. Wiesz, co to znaczy?

— Dezerterzy?

— Na południe? Na pewno nie! Szli do Teb!

— Masz dowód?

— Wystarczy mi instynkt. A skoro szli do Teb, to musieli być pewni, że ich tam dobrze przyjmą.

— Co ty wygadujesz, Lamerskeni! Teby są wierne Pianchiemu.

— Myślisz, że Tefnacht nie ma tam zwolenników? No, może nie tak wielu, ale niektórzy Tebańczycy z pewnością stawiają na zwycięstwo Północy.

Kapitan łuczników zmieszał się.

— Jakże stąd wnioski?

— Że ci trzej spryciarze mieli swoim tebańskim sprzymierzeńcom coś do przekazania i to coś godziło w Czarnego Faraona.

— Zamach?

— Jeśli Pianchi zginie, wrócimy do Napaty, żeby bronić stolicy, a Tefnacht będzie miał wolne pole.

— Niestety, masz rację.

W nocy rozległ się tętent konia. Z siodła zeskoczył oficer łącznikowy i stanął przed kapitanami. Wręczył Puarmie dwie cienkie drewniane tabliczki. Jedna wysłana była z Teb, druga z Urwiska Wielkich Zwycięstw, miasteczka w powiecie Zająca.

Twarz Puarmy zajaśniała.

— Pianchi stanął właśnie na ziemi egipskiej! Udał się do świątyni Chnuma w Elefantynie, uczcił pamięć swego ojca i płynie do Teb.

— Pianchi w Egipcie — powtórzył oszołomiony Lamer-skeni. — Nie do wiary...

Radość Puarmy nie trwała długo.

— Druga wiadomość nie jest tak dobra. Wojska Północy pod dowództwem jednego z synów Tefnacha zdobyły przez zaskoczenie Urwisko Wielkich Zwycięstw.

Drogę do Her-mopolis mamy zamkniętą.

— Dość tego! — krzyknął Lamerskeni tak głośno, że Puarma aż podskoczył. — Odbijemy Urwisko i pokażemy Czarnemu Faraonowi, że jesteśmy jednak coś warci.

Na zwołanej przez Tefnachta radzie wojennej nie było zgody. Niektórzy byli za wycofaniem się na Północ, inni chcieli umacniać mury obronne Herakleopolis i Hermopolis, jeszcze inni pragnęli wydać Pianchiemu walną bitwę.

Głos zabrał książę Akanosz.

— Jestem tak jak wy wodzem plemienia i wojownikiem.

Nieraz już dowiodłem umiejętności i odwagi. Dziś powinniśmy zrobić bilans naszych działań i starannie rozważyć, co dalej. Nie zwycięży nikt, ani my, ani Pianchi, bo siły są w przybliżeniu równe. Dzięki energii Tefnachta, któremu przyrzekliśmy posłuszeństwo, zajęliśmy bogatą krainę.

Poprzestańmy na tym i obwołajmy Tefnachta faraonem tego rozległego obszaru, który ciągnie się od północnego krańca Deltę do południowej granicy powiatu Zająca.

— Zapominasz o Tebach — oburzyła się Jutrzenka. —

Bez miasta boga zwycięstwa, Amona, Egipt jest jak człowiek okaleczony, bez rąk czy nóg. A przecież już ten bilans, którego się domagasz, budzi nadzieję. Na zdobytych pozycjach trzymamy się mocno i udało nam się zwabić Pianchiego do Egiptu! Co znaczy ta jego wyprawa, której nikt się nie spodziewał? Oto

korpus ekspedycyjny wysłany przez Czarnego

Faraona poniósł porażkę, a on sam tak boi się

Tefnachta, że musi ruszyć do walki osobiście. To

pierwsza

oznaka słabości tego uzurpatora, który nie przerazi już

żadnego z naszych żołnierzy.

Elokwencja Jutrzenki tak podziałała na prymitywnych

libijskich wodzów, że nawet Akanosz nie odważył się opo-

nować.

— Odkąd Pianchi wstąpił na obszar Egiptu — dodał

Tefnacht — nie jest już bezpieczny. Wprawdzie Teby pozostają

jeszcze pod jarzmem wroga, ale i tam mamy stron-

ników, którzy nie cofną się przed walką o zwycięstwo.

Słowa te zaintrygowały księcia Peftau.

— Chcesz przez to powiedzieć, generale, że Pianchiego

da się... usunąć?

— Musimy zwyciężyć i wszystkie środki wiodące do tego

celu są dobre. Czarny Faraon jest w błędzie, wierząc

w nietykalność swojej osoby i sądząc, że skoro znalazł

się w świętym grodzie Amona, to jest niezwyciężony.

Nie wie, że jest przeszłością, a przyszłość należy do

mnie.

W Tebach szef libijskiej siatki szpiegowskiej z uczuciem

zawodu przyjął wiadomość o śmierci trzech żołnierzy,

których wysłał mu do pomocy Tefnacht. Ludzie ci, choć doświadczeni, nie zdołali się przedrzeć przez granicę prowincji Zająca.

Z nimi poszłoby łatwiej. Trzeba było jednak zapomnieć o niepowodzeniu i bez względu na ryzyko podjąć jakąś akcję, której celem miało być usunięcie Pianchiego. Szef siatki szpiegowskiej już od miesiący regularnie informował Tefnacha o sytuacji w mieście i o zbliżaniu się wojsk nubijskich. Ostatni jego raport zawierał ledwie kilka słów: „Jutro Pianchi wkracza do Karnaku”.

W opanowaniu Egiptu i narzuceniu krajowi swoich rządów Tefnachtowi przeszkadzał Czarny Faraon i tylko on.

Wśród Nubijczyków nie było nikogo, kto mógłby zająć jego miejsce. Gdy Pianchi zginie, jego wojska zawrócą do Napaty, a mury Elefantyny raz na zawsze zamkną im drogę na północ.

Nie należało jednak dzielić skóry na żywej jeszcze panterze.

A Pianchi był taką właśnie groźną panterą o niezawodnym instynkcie i należało go zaskoczyć w chwili, gdy nie będzie miał żadnego powodu do nieufności. Szef siatki czuł się na siłach to zrobić.

— Już dawno powinienem był ją udusić! — psioczył

Nartreb, masując sobie obolałe palce u stóp. — Ta Ju

trzenka to niebezpieczna baba. Podporządkowała sobie

tych głupich wodzów plemiennych, wpatrują się w nią jak w świętość i spijają słowa z jej ust.

Jegeb, zajęty akurat wypisywaniem cyfr na starej drewnianej tabliczce, podzielał zdanie współnika.

— Moglibyśmy bez trudu użyć trucizny, ale nagła śmierć dziewczyny odebrałaby Tefnachtowi całą jego energię, i to na wiele tygodni, a nawet miesięcy, a w chwili gdy zbliża się Pianchi, nie powinien tracić nic ze swej sprawności wodza.

— Więc co proponujesz?

— Trzeba ją skompromitować, niech Tefnacht się przekonają, że Jutrzenka to nie przyszła królowa Egiptu, lecz zwykła intrygantka, i że powinien się jej pozbyć.

— Jest coś nowego w sprawie księcia Akanosza?

— Nie — odparł Jegeb. — Mam go jednak pod ścisłym nadzorem. Zdradzi nas, jestem pewien. Chyba że okaże się zbyt wielkim tchórzem, nadal będzie trzymał się żony i nie wytykał nosa ze swoich apartamentów. Tak czy owak nie będzie nam przynajmniej przeszkadzał.

— Jak sądzisz, powiedzie się nam w Tebach ten spisek na życie Pianchiego?

— Gdyby to był zwykły spisek, nie. Ale ułożyliśmy to znacznie sprytniej i ukąszenie węża będzie tyleż nagłe

co nieoczekiwane. Dla Pianchiego nie ma ratunku.

— Dobra... To może zajęlibyśmy się Jutrzenką?

„Zwie się je kręgiem wszystkich ziem — głosił hymn —

bo ich kamienie węgielne są jak cztery słupy podtrzymujące niebo. Teby to bogini-królowa miast, oko twórczej zasady, wszystkie grody sławią ich imię. W dniu stworzenia świata z wody wyłoniło się piaszczyste wzgórze, na nim zrodziła się ziemia, na niej zbudowano Teby — oko światłości”.

Pianchi i Abilea płakali z radości, zwiedzając miasto o stu bramach i nieprzeliczonych świątyniach. Gród ten zdołał się oprzeć smutnemu upadkowi władzy faraonów i zachował tradycje, o których podbita przez libijskiego najeźdźcę Północ zdążyła już zapomnieć. Teby, święty gród Amona, ukrytego boga, który nie miał ojca ni matki; Teby, wielkie dzieło alchemii, stworzone przez boga, który upiekł je w płomieniach swego oka; Teby, gdzie niewidzialne objawiło swe posłanie i oświetliło tonące w ciemnościach Dwa Kraje; Teby, łączące ze sobą dwa krańce wieczności.

Wzrok Pianchiego otworzył się, jak gdyby faraon pojawił się w świecie, który kiedyś śnił mu się w najdrobniejszych szczegółach, ale którego wzniosłą rzeczywistość dopiero teraz odkrywał. Teby przemawiały doń słowami, jakie wypowiedziały od chwili swego powstania: to tu, i tylko tu, faraon zakłada na głowę koronę, gdyż to niebiańskie, a prze-

niesione na ziemię miasto powierza kraj faraonowi i obdarza go mocą zaprowadzania między ludźmi boskiej harmonii.

— Przybądź do faraona, Amonie — recytowała królowa — ty, co jesteś odważny jak pasterz, i pozwól mu osiągnąć zwycięstwo. Przybądź doń, Amonie, ty co ocalasz rozbitków, i pozwól mu dotrzeć do kraju szczęścia. Przybądź do niego, przewoźniku, i pozwól mu osiągnąć Zachód, krainę pokoju.

Królewska para zeszła z pokładu okrętu flagowego i prześiadła się na łódź, która powoli popłynęła kanałem łączącym Nil ze świątynią w Karnaku. „Czyści kapłani” o ogolonych czaszkach wiosłowali rytmicznie pod piekącym słońcem prześwitującym między wierzbami.

Faraon i jego małżonka liczyli, że mimo złego stanu zdrowia powita ich Boska Adorantka, starsza siostra Pianchiego. Pokłonił im się jednak jakiś starszy już kapłan.

— Niech Amon ma w opiece Waszą Królewską Wysockość. Pozwól, że w imieniu kapłanów i kapłanek złożę ci życzenia szczęśliwego pobytu.

— Dlaczego nie ma tu mojej siostry?

— Niestety, siostra Waszej Królewskiej Wysokości kona. Pianchi chciałby pójść do łóżka siostry, ale zgodnie z ceremoniałem pierwszym jego obowiązkiem po wejściu do świątyni Amona było złożenie ofiary bogu.

Kazał więc marynarzom przynieść dwudziestokilogramowe złote naczynia, srebrne stągwie, płytki złota, którymi okładano podstawy kolumn, granitowe i diorytowe stoły ofiarne ważące po czterysta, a nawet po sześćset kilogramów, oraz całe tony złota, z którego karnaccy złotnicy wyrabiali przedmioty kultu i którym pokrywali posągi boga.

I choć serce ścisnął mu niepokój, wszystkie myśli skierował na ten bogaty dar, ponieważ był to konkretny dowód ufności do Amona. Cóż warte byłyby wszystkie jego wysiłki, gdyby nie ramię ukrytego boga?

Macierzanka, asystentka Boskiej Adoratorki, położyła na czole władczyni Teb zmoczoną pachnącą chustę.

— Uściśnij mi rękę — poprosiła Adoratorka.

Macierzanka usiłowała ukryć niepokój.

— Wydajesz się mniej osłabiona....

— Nie kłam, wiem, że wkrótce umrę... Czy Pianchi wreszcie przybył?

— Z murów widać już jego flotę.

— Oby Amon dodał mi sił do czekania- Tak bardzo chciałabym jeszcze go ujrzeć.

— Ujrzysz, jestem pewna. Och, gdybym mogła odstąpić ci trochę swojej młodości.

— Pielęgnuj ją starannie, Macierzanko... Ja już dogorywam i dziękuję Amonowi, że dał mi przeżyć tyle szczęśliwych dni w tej świątyni, z dala od nieprawości tego świata. Podaj mi, proszę, coś do picia.

Macierzanka odeszła na bok, żeby się wypłakać.

Gdy nalewała chłodną wodę do kubka, do pokoju Boskiej Adoratorki wszedł jakiś potężnie zbudowany mężczyzna o skórze czarnej jak heban. Ubrany był w spódniczkę ze złotą lamówką, a towarzyszyła mu młoda Nubijka o delikatnych rysach.

— Kim jesteś?

— Czy moja siostra jeszcze żyje?

Macierzanka skłoniła się.

— Tak jest, Wasza Królewska Wysokość. Bardzo chciała cię ujrzeć.

Na widok Pianchiego Boska Adoratora zdołała się jakoś unieść i na kilka chwil przezwyciężyła osłabienie. Brat i siostra długo trzymali się w objęciach — słowa nie były im potrzebne.

Potem władczyni Karnaku skierowała wzrok na Szepenę.

— Twoja córka... Jaka piękna! Jak głębokie ma spojrzenie! To ją właśnie wyznaczyłeś na moją następczynię?

Nie pomyliłeś się... Zbliź się, Szepeno. Ostatnie słowa kieruję do ciebie. Przekażę ci wszystkie tajemnice tego stanowiska, tak żebyś mogła swe obowiązki Boskiej Adoratorce wykonywać bezbłędnie.

Tegoż wieczoru, w godzinę po śmierci siostry, której Pianchi kazał wyprawić iście królewski pogrzeb, Szepena została wyniesiona do godności Boskiej Adoratorce i zwierzchniczki wszystkich tebańskich świątyń. Gdy oczyściła się w sadzawce, wręczono jej poświęcane szaty. Przywdziała długą, obcisłą suknię i złote sandały. Na jej głowie czepek w kształcie sępa — nawiązanie do kosmicznej matki, bogini Mut, na czole kobra-samica, złoty ureus, na szyi szeroki, złoty naszyjnik, symbol duchowej płodności.

Tak jak wszystkie Boskie Adoratorki, jej poprzedniczki, złożyła zobowiązanie, że nie wyjdzie za mąż i że nie będzie miała dzieci. Jedynym jej małżonkiem będzie bóg Amon, w którego misteria wprowadziło ją „królewskie wstąpienie” do świątyni, na wzór faraonów.

Potem nowa Boska Adoratorka przebiła woskową figurkę wroga i rzuciła ją w płomienie, by oddalić od Teb złe siły i obezwładnić je. Na koniec jako ziemską namiestniczka bogini Tefnut, tajemniczego ognia tworzenia, złożyła w ofierze posążek bogini Maat, symbol wiecznej harmonii żyjącego świata.

W obecności świątynnych i świeckich dostojników grodu Amona Pianchi uznał córkę za Boską Adoratorkę, stojącą na czele prawdziwego rządu, który składał się z intendenta, zarządcy spichlerzy, pisarzy i kierowników warsztatów.

Mogła w obrębie murów Karnaku zbudować sobie kaplicę, gdzie po śmierci odbywać się będą obrzędy ku jej czci.

Wstawał świt.

Mijała noc rytuału, a Szepena wcale nie czuła się zmęczona. A przecież w ciągu tych kilku godzin rozstała się z młodością i z rodzinnymi stronami. Poza mury Karnaku wyjdzie dopiero wtedy, gdy uda się na zachodni brzeg, do świątyni w Medinet Habu. Spocznie tam obok innych Boskich Adatorek, w pobliżu kurhanu, gdzie śpią pierwotni

bogowie.

Patrzyła właśnie na święte jezioro, gdy podeszła do niej królowa Abilea, opromieniona pierwszymi blaskami dnia.

— Matko...

— To pierwszy dzień twego panowania nad tym świętym miejscem, Szepeno. Oddając codziennie cześć niewidzialnej obecności Amona, podtrzymujesz więź Egiptu z zaświatami. Jestem więc tak szczęśliwa i tak nieszczęśliwa zarazem, gdy pomyślę, że już nigdy nie wrócisz do Napaty. Wybacz te wyznania, i bez nich musi ci być ciężko... Potrzebna ci jest siła. Wierzę w ciebie.

Matka i córka rzuciły się sobie w ramiona.

— Okażę się godna zadania, które powierzył mi ojciec, jeśli nawet moje przeznaczenie przerasta mnie.

— Twój ojciec, ty, ja... żadne z nas nie należy do siebie.

Od czasu najazdu Tefnacha naszym zachowaniem kieruje dusza Egiptu, musimy z żarem jej słuchać, tak żeby i przyszłe pokolenia zaznały szczęścia, jakiego myśmy zaznali.

— Czy królowa Egiptu zgodzi się towarzyszyć Boskiej Adoratorce przy odprawianiu porannych modłów?

Matka i córka ruszyły zgodnym krokiem do sanktuarium świątyni Amona.

Teby wrzały.

Przybycie Czarnego Faraona odmłodziło stary gród i przywróciło mu nadzieję, która wydawała się już stracona.

Zaczęto nagle marzyć o powtórny zjednoczeniu Egiptu pod berłem monarchy, który pójdzie w ślady swoich przodków i nawet na Północy przywróci prawo Maat. Nikt się jednak nie łudził — droga do tej nieprawdopodobnej przyszłości wiedzie przez bezlitosną wojnę z Tefnach-tem, przez krwawą i długą walkę, w której zginą tysiące ludzi.

Dopóki Pianchi nie zacznie wielkiej ofensywy, będą się jeszcze bawić i urządzać przyjęcia, jak gdyby jutro miało być szczęśliwe. Każdy tebański dygnitarz zapraszał więc do siebie faraona na ucztę, w nadziei że czeka go niezapomniany wieczór. Król nie przyjmował jednak żadnych zaproszeń i wielmoże zrozumieli, że nie opuści on koszar, zajęty przeglądem oddziałów stacjonujących w Tebach od początku jego panowania.

W mieście robiło się więc z dnia na dzień coraz smutniej i wszyscy oczekiwali chwili, gdy Czarny Faraon da rozkaz wymarszu. Tym razem nie wyśle już do Środkowego Egiptu korpusu ekspedycyjnego, lecz poprowadzi do boju przeciw Tefnachtowi wszystkie swoje siły.

Gdy Pianchi kazał ważnym tebańskim osobistościom zgromadzić się pod gołym niebem na dziedzińcu świątyni w

Karnaku, nikt nie wątpił, że ogłosi datę generalnej ofensywy. Żołnierze nubijscy od wielu już dni przechodzili intensywne szkolenie i nie otrzymywali przepustek.

Tych, co nie znali faraona, zadziwiła jego magnetyczna moc. Wobec tak wielkiego wojownika wojska Północy miały do wyboru tylko jedno: ucieczkę lub klęskę. Gwałtownie odrodził się sen o zwycięstwie. Może ten Nubijczyk pochodzący z głębi dalekiego Południa ma odwagę ścigać wroga aż do końca?

— Wezwałem was tutaj, by ogłosić wam ważną nowinę.

Wszyscy wstrzymali oddech. Chodziło przecież o los kraju i jego świętego miasta.

— Zanim wyruszę do walki z Tefnachtem i Północą, pragnę przywrócić uroczystościom Nowego Roku i świętu Opet ich dawną świetność. Cóż bowiem jest ważniejsze niż obchody tych świętych chwil, dzięki którym od początków naszej cywilizacji możemy zachowywać więź z przodkami?

Zapanowało powszechne zdumienie.

Pianchi, zamiast podjąć natychmiastowy atak na Tefnachta, myślał o odrodzeniu tradycyjnego święta, do którego w tych okolicznościach nawet Tebańczycy przywiązywali coraz mniejszą wagę.

Czyżby Czarny Faraon stracił rozum?

Miasto Herakleopolis piało peany na cześć Tefnachta.

Któż by mógł wątpić w jego ostateczne zwycięstwo, skoro dotychczasowe plany zrealizował bez najmniejszego potknięcia!

Myśl, żeby wreszcie uderzyć i rozgromić Czarnego Faraona, wzbudzała w Jutrzence coraz większy entuzjazm. Zaczęła chodzić do koszar i dodawała ducha żołnierzom, zachwyconym, że mogą oglądać tak piękną kobietę, która dzięki ich męstwu zostanie wkrótce ich królową.

Popularność Tefnachta wciąż rosła. Wizytował właśnie ćwiczenia łuczników, gdy zjawił się Jegeb z wiadomościami z Teb.

— Skąd ta smutna mina, Jegebie?

— To nie do pojęcia, generale, choć list jest autentyczny.

Kod szefa naszej siatki szpiegowskiej.

— Nie jest w stanie usunąć Pianchiego?

— Nie, nie to, tylko Czarny Faraon zachowuje się, jakby oszalał. Zamiast szykować wojska do walki i ruszać na Środkowy Egipt, myśli tylko o jednym, a mianowicie o obchodach starego święta Opet. Wielu myśli, iż bogowie tebańscy tak go opętali, że stracił poczucie rzeczywistości.

— Pianchi nie jest szaleńcem — rzekł Tefnacht. — To

podstęp dla uspienia naszej czujności. Obchodami

zajmie

się Boska Adoratorka, a on sam zniecka zaatakuję w samym środku świąt. Trzeba zdwoić czujność i przygotowania.

Ośłupiały kapitan Lamerskeni upuścił kubek z mocnym piwem.

— Co, święto Opet?

— Faraon postanowił nadać mu wyjątkową oprawę — oświadczył spokojnie kapitan Puarma.

— Przestań grać komedię, łuczniku, bo jesteś tak samo zdziwiony jak ja. Jakże faraon może myśleć o uciechach, gdy w kraju mamy anarchię i wojnę?

— To święto, jak sam dobrze wiesz, to wcale nie uciechy, ale hołd, jaki winniśmy bogom.

— Ech, bogowie! To przecież nie oni chwytać będą za miecze i oszczepy.

— Jeśli wierzyć podaniom, to właśnie dzięki Amonowi Ramzes Wielki w bitwie pod Kadeszem pokonał w pojedynkę tysiące Hetytów. A Pianchi również cieszy się względami Amona.

— Lata, gdy wierzyłem w podania, mam już za sobą.

Twoi łucznicy gotowi?

— Nadal chcesz...

— Ja święta uczczę po swojemu.

Szef działającej w Tebach libijskich siatki szpiegowskiej zastanawiał się, co robić dalej. Początkowo sądził, że wystąpienie Pianchiego to bajeczka przeznaczona dla miejscowych kapłanów; trzeba było ich sobie pozyskać, a i wprowadzić w błąd Tefnacha. Potem zrozumiał, że Czarny Faraon rzeczywiście zamierza jak najuroczystej obchodzić święto Opet, wznawiając stare tradycje, które stopniowo szły już w zapomnienie. Pianchi sądzi, że więź z bogami i poszanowanie obrzędów to rzecz dla przyszłości kraju niezbędna.

Chmary dworzan, wiwatujący tłum, powszechne uniesienie... wymarzone warunki do przeprowadzenia zamachu.

Może to jednak tylko tak wygląda? Przecież nie tak łatwo zbliżyć się do Pianchiego. Strzeże go osobista ochrona, a jest jeszcze królowa, ta posągowa, czujna jak tygrysyca Nubijka, która sama potrafi udaremnić próbę zamachu.

Trzeba będzie działać przemyślniej... W głowie mordercy zakiełkowała pewna myśl.

Libijski dowódca, który zajął ufortyfikowaną wioskę Urwisko Wielkich Zwycięstw, miał to niesłychane szczęście, że wpadł mu tu w ręce nie byle jaki skarb. W piwnicach pod domem wójta znaleziono amfory z czerwonym winem z oaz.

Dziesięcioletnim, a nawet starszym! Co wieczór więc

organizowano bankiety z udziałem oficerów oraz kilku miejscowych piękności, których gruboskórność wojskowych bynajmniej nie odstraszała.

Według wiadomości dochodzących z głównej kwatery w Herakleopolis sytuacja ustabilizowała się i przez wiele tygodni, a nawet miesięcy nie ulegnie zmianie. Dowódca był nawet przekonany, że Pianchi zatrzyma się w Tebach i nie zdecyduje się na walkę, nie mając pewności co do jej wyniku.

Spał więc snem sprawiedliwego, gdy nagle spokój zakłócił mu wartownik.

— Szybko, poruczniku, szybko!

— Co się stało? Na pobudkę za wcześnie.

— Atak! Przebudzenie było

brutalne.

— Pianchi?

— Nie mam pojęcia... Nubijczycy... chyba niezbyt wielu.

— Aha, więc korpus ekspedycyjny.

Do uszu ich dotarł straszliwy łomot, od którego pękały bębny. To piechota Lamerskeniego rozbiła właśnie taranem główną bramę forteczki, a łucznicy Puarmy, strzelając z wierzchołka wieży oblężniczej, kładli pokotem stojących na murach obrońców.

Dowódca w pośpiechu wkładał kaftan, gdy do jego kwa-

tery wpadł syn Tefnachta, wysoki dryblas o niemiłej twarzy.

— Nubijczycy! To Nubijczycy! A ty twierdziłeś, że nas nie zaatakują!

— Zaraz zorganizuję ci ucieczkę.

— Oni... oni nie zajmą tej placówki?

— Jeśli tymi ludźmi dowodzi Lamerskeni, załatwią się z tym w kilka minut. Z takim diabłem nie mamy cienia szans.

— Musimy się trzymać! Tefnacht nie wybaczy nam tchórzostwa.

— Spiesz się, chłopcze, chodzi o twoje życie! Lamerskeni nie bierze jeńców.

Dowódca wyrzął przez okno i stwierdził, że sytuacja jest rozpaczliwa. Atak prowadzony przez nubijskiego kapitana był tak gwałtowny, że w ciągu godziny padła połowa libijskiej załogi. Nubijscy łucznicy, niezmordowani i dokładni, siali takie spustoszenie, że jakakolwiek zorganizowana obrona była już niemożliwa. Piechota Lamerskeniego, idąc ślepo za dowódcą, wdarła się do Urwiska Wielkich Zwycięstw z gwałtownością, która przerażała przeciwników. Kapitan obosieczną siekierką ciachał po karkach co odważniejszych, a akcyjową ręką, w której tkwiły dwie strzały, rozwalał łby błagającym o litość tchórzom.

Łucznicy Puarmy opanowali mury obronne i wystrzelali ostatnich Libijczyków, na tyle nierozważnych, że stawiali opór.

Dowódca i syn Tefnachta zdołaliby może uciec, ale wybuchła panika, krzyki śmiertelnie rannych żołnierzy spłoszyły konie. Rżąc i wierzgając rozbiegły się na wszystkie strony.

— Za mną, chłopcze! Wiejemy ile sił w nogach.

— Walczyć! Chcę walczyć!

Syn Tefnachta miał obłęd w oczach; słyszał już tylko rżenia konających i świst strzał. Dowódca złapał go za rękę, ale ostrze siekiery Lamerskeniego zagłębiło się w jego ramieniu, tak że musiał puścić chłopaka.

— Nie zabijaj go, to syn Tefnachta!

Sądząc, że Lamerskeni znalazł się w opałach, Puarma strzelił ostro i celnie. Chłopak z grotem w szyi zwalił się na martwe ciało dowódcy.

W tym krótkim i gwałtownym szturmie na Urwisko Wielkich Zwycięstw syn Tefnachta zginął jako ostatni.

— Święto zaczyna się dobrze — oświadczył Lamerskeni, niezbyt zziajany.

Wręczając Pianchemu raport sporządzony przez kapitana Puarmę, Zimna Głowa spodziewał się, że faraon wyrazi zadowolenie z działalności korpusu ekspedycyjnego. Tymczasem reakcja władcy zaskoczyła go.

— Kazałem im zniszczyć wojska tego buntownika Tefnachta i ująć niegodziwca. A oni odbierają mu jedną for-teczkę i myślą, że dokonali czegoś wielkiego.

— Wasza Królewska Wysokość... Zginął syn Tefnachta.

— Jeden z synów Tefnachta — sprostował Pianchi — i ta

śmierć bynajmniej nie skłoni Libijczyka do

zaprzestania walki. Nawet gdyby na jego oczach

ścięto mu wszystkie dzieci, będzie dalej śnił o

absolutnej władzy. To jego trzeba powalić, nikogo

innego. Tego, niestety, moi oficerowie nie potrafią.

— Co rozkażesz, panie?

— Niech Puarma i Lamerskeni trzymają zdobyte pozycje

i czekają. Teraz pora na wielkie święto i złożenie hołdu

bogom.

Kapłan-naczelny lektor, odpowiedzialny za prawidłowy

przebieg obchodów, nie wierzył własnym oczom. Dzięki

wysiłkom nowej Boskiej Adoratorki, której dzielnie poma-

gała Macierzanka, zdołano odgrzebać pewien bardzo stary

papirus z opisem obchodzonych w środku lata świąt No-

wego Roku i święta te wznowić. Czarny Faraon ofiarował świątyniom bezcenne skarby. Były wśród nich wazy z brązu z rysunkami koni i kęp papirusów oraz arcydzieła, jeszcze bardziej niezwykle, takie jak kielichy na stożkowych nóżkach z barwionego na niebiesko szkła, ozdobione postaciami Ozyrysa i tekstem zaproszenia na ucztę w zaświatach: „Pij, a będziesz żył”.

Faraon i Boska Adoratorka odegnali już demony, miazmaty, choroby i wszystkie inne zwiastuny śmierci, które w ciągu ostatnich pięciu dni kończącego się roku, w najgroźniejszym dla przyszłości kraju okresie, zsyłała na ziemię bogini-lwica Sechmet.

Skłonili ją siłą magii, by swój gniew przemieniła w łaskawość, składając ofiary pod umieszczonymi w świątyni Mut dwoma rzędami jej posągów — w każdym rzędzie trzysta sześćdziesiąt pięć posągów.

Gdy zadanie to zostało wykonane, dostojnicy zgromadzeni na wielkim odkrytym dziedzińcu karnackiej świątyni, pod prążącymi promieniami słońca, pokazali faraonowi podarki noworoczne: naszyjniki, skrzynie na odzież, krzesła, lektykę, wazy z pokrywami w kształcie baraniego łba, łuki, strzały i kołczany, a nawet posągi bóstw, które od tej pory przebywać będą w świątyni. Rzeźbiarze wykuli płaskorzeźbę, przedstawiającą Tota wypisującego imię Pianchiego na

„łodydze milionów lat”.

Królową Abileę ogarnęło uczucie najwyższej dumy. W tych szczęśliwych chwilach uświadomiła sobie, jakie są najważniejsze zadania faraona: ma sprawić, by Dwa Kraje żyły na podobieństwo niebios, i zmienić codzienność w święto ducha.

Przybycie faraona Nil uczcił użyźniającym wylewem. W każdej wiosce ustawiano stoły, które dzięki szczodrości króla ugiwały się pod ciężarem jada, i czczono jego wielkość poprzez wielkie i dobrze zakrapiane uczyty.

Monarcha i jego małżonka nabrali do waz — złotych, srebrnych i miedzianych — wody noworocznej, a słońce odbijało się w falach i zalewało cały kraj światłem.

Faraon w obecności ludu wychylił złoto-srebrną czarę napoju, mieszankę wina, piwa i kąkolu, a potem wygłosił starodawną formułkę: „Oto dla ciebie, ukryty Boże, tajemnicza łąka pełna wszelkich cnót. Wyrastają na niej włosy ziemi, pszenica i jęczmień, i dają życie, choć otacza je kąkol”.

Abilea zaniepokoiła się na chwilę. A może ręka mordercy domieszała do napoju trucizny? Zaraz jednak spokój powrócił do jej serca — przecież ten napój przygotowała ich rodzona córka, Boska Adoratorka. W Tebach Pianchiemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, znajduje się tu bowiem pod opieką Amona.

Nadeszła pora tajemnych rytuałów w głębi świątyni, w których uczestniczyć mogli tylko wtajemniczeni w misteria Amona i Ozyrysa. Sześćdziesięcioro kapłanów i kapłanek utworzyło procesję, a każdy niósł jakiś przedmiot konieczny przy odprawianiu codziennych modłów — ktoś kadzielnicę, ktoś inny wazę oczyszczalną, jeszcze ktoś inny konsekracyjne berło. Gdy wyczerpywała się energia symboli, królewska para miała obowiązek zregenerować ją, wystawiając na dachu świątyni na promienie potężnego noworocznego słońca.

W południe boskie światło wykonało swe zadanie.

Na krótko przed świtaniem Pianchi otworzył w naosie usta i oczy posągowi Amona, przybrał go w nowe szaty i namaścił, a także ofiarował mu *ka* jadła i napojów. Potem otworzył usta każdemu posągowi, każdej płaskorzeźbie i każdemu pomieszczeniu karnackiej świątyni, by przywrócić siły i moc tej ogromnej żywej istocie, w której zaczynała dzięki temu krążyć nowa energia ożywiająca sanktuarium.

W chwili gdy harfistki i fleciści składali muzyczną ofiarę Amonowi, Abilea dostrzegła, że Pianchi pogrąża się całkowicie w tym świętym uniwersum, któremu przywrócił właśnie pełnię jego sił. Jako królowa i posiadaczka starodawnego tytułu: „Ta, co widzi Horusa i Seta”, dwa nie dające się pogodzić oblicza rzeczywistości: siłę twórczą i siłę niszczytel-

ską, bez przerwy toczące ze sobą walkę we wszechświecie, a przedziwnie zharmonizowane w osobie faraona, uznała, że powinna interweniować.

— Czy zapomniałeś, Wasza Królewska Wysokość, o wojnie?

— Teby świętują, Abileo.

— Czy twoja myśl nie zabłąkała się w tych boskich miejscach tak dalece, że zapominasz o jutrze?

— Dlaczego ty, którą tak kocham, jesteś taka okrutna?

— Bo to mój obowiązek królowej. Egipt, którego jesteś małżonkiem tak jak wszyscy poprzedni faraonowie, ten Egipt cierpi i grozi mu zagłada, a ty myślisz o pozostaniu w Karnaku i zajęciu się tylko tym, co święte. Takie przecież masz plany, prawda?

Pianchi poczuł ucisk w sercu. Abilea czytała w jego myślach.

Tak, myślał o tym, by ukryć się gdzieś w posiadłościach Amona, sprawować codzienne obrzędy, żyć jak przypisany do świątyni kapłan, z dala od wymagań i ohydy otaczającego świata. Czyż w ten sposób nie stanie się rękojmą pokoju, względnego wprawdzie, niemniej rzeczywistego, a umacniać go będzie siłą hymnów i modlitw? Jeśli jednak wstąpi na tę drogę, układ sił w Egipcie przez wiele lat nie ulegnie żadnej zmianie.

Abilea spróbowała zdruzgotać marzenia męża, zmuszając go, by przyznał się przed sobą do egoizmu i przypomniał sobie o okrutnym losie wydanych na łup tyranii Tefnachta Egipcjan z Północy.

Kraj znowu zjednoczony, ziemia wyzwolona z toczącego ją zła, lud wolny wreszcie od wojny... Czyż jednak Czarny Faraon znajdzie w sobie dość sił, by odnieść tak doniosłe zwycięstwo? Żyć złudzeniami i przelewać krew — może lepiej ograniczyć się do upiększania Teb i rozmyślań o boskości?

Abilea milczała, czując, że mąż przeżywa straszliwe rozterki.

Od tego, co postanowi faraon, zależeć będzie los kraju i ludzi.

Kapitan Lamerskeni siedział oparty plecami o blok piaskowca. Broń odłożył, zjadał cebulę i nacierał sobie akcyjową rękę lnianym olejem. Swego czasu myślał o nacięciu na niej tylu kresek, ilu zabił nieprzyjaciół, ale liczba ta wzrastała zbyt szybko.

Dosiadł się do niego Puarma.

— To co, uderzamy na inną forteczkę? — zapytał Lamerskeni.

— Pianchi jest wściekły — mruknął kapitan łuczników.

— Dobrze sobie! Odbijamy Urwisko Wielkich

Zwycięstw, zabijamy jedną z latorośli Tefnachta,

udowadniamy, że przeciwnik nie może ani na krok się posunąć, a dowódca niezadowolony!

— Faraon każe nam utrzymać pozycje.

— A co innego robimy od miesiąca? Liczę przynajmniej na to, że Pianchi nadciągnie i pokaże nam, jak działać.

— Nic o tym nie wiem.

— Jak to nie wiesz? Przecież otrzymałeś nowe rozkazy!

— Tak, ale na ten temat nic w nich nie ma. Pianchi będzie właśnie obchodził święto Opet i...

— Święto, znowu święto! — krzyknął Lamerskeni, podnosząc z ziemi kamień i odrzucając go daleko. — Idę o zakład, że król postanowił zatrzymać się w Tebach i

dalej się nie posunie.

— Chcesz powiedzieć, że...

— Prawda jest taka, że Pianchi nie ma zamiaru

wszczynać totalnej wojny z Tefnachtem. A my

będziemy tu tkwić i pilnować tej przeklętej granicy do

końca naszych dni!

Jutrzenka chodziła na wszystkie ćwiczenia wyborowych

łuczników, a strzelali oni niekiedy zaskakująco celnie. Młody

porucznik wpakował właśnie trzy strzały w sam środek

ustawionego w odległości stu metrów celu, małą tarczę, w

którą nie potrafiło wcześniej trafić wielu weteranów.

Łucznik był bardzo postawny, a twarz miał jeszcze młode

dzieńcą. Strzelał z wrodzoną zręcznością, prawie od nie-

chcenia.

— Wspaniale! — stwierdziła Jutrzenka, a jej zielone

oczy zabłyśły z zachwytu.

— Tę trzecią strzałę poświęciłem w duchu tobie... Wy-

baczysz mi tę zuchwałość?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Traktuję to jako drobną uprzejmość... nawet jeśli to

tylko wyczyn wojenny.

— Jeszcze nie, księżniczko. Chwilowo to tylko zabawa.

Spodziewam się, że wkrótce na miejscu tej tarczy

pojawi się jakiś Nubijczyk, potem drugi i trzeci,

potem jeszcze inny...

Głębokie spojrzenie łucznika poruszyło Jutrzenkę.

— Tak bardzo pałasz chęcią walki z Pianchim?

— To moje najgorętsze pragnienie, ale zdobędę się na jeszcze trochę cierpliwości. Wszyscy wiemy, że ta wojna rozstrzygnie o wszystkim.

— A jeśli nie wybuchnie?

— To niemożliwe. Tefnacht czeka na swoją godzinę i jestem pewien, że będzie to godzina chwały.

Świeżość i entuzjazm młodego porucznika oczarowały Jutrzenkę. Był w jej wieku, wierzył, że świat może należeć do niego, i nie miał wątpliwości, po której stanąć stronie.

— Masz rację, nasz wódz odniesie wspaniałe zwycięstwo.

Odeszła, a porucznik do końca odprowadzał ją wzrokiem.

Święto bogini Opet, która przechowywała sekret duchowej płodności, było kulminacyjnym momentem pory wylewu. Trwał on przynajmniej dwadzieścia cztery dni — wkrótce wody Nilu zaczną opadać i pozostawią na polach warstwę żyznego mułu.

W tym uroczystym czasie odradzało się *ka* faraona. Dzięki temu mógł pełnić swe obowiązki z pełnią energii, która udzielała się z kolei ludowi i ziemi.

Pianchi odprowadził posąg Amona, przenoszony ze świątyni karnackiej do Luksoru, gdzie wypełniała się tajemnica

boskiego objawieniu. Widzialne łączyło się tu z niewidzialnym w chwili, gdy przed oczyma wiwatującego tłumu pojawiła się wielka cedrowa, obita złotem i ozdobiona drogimi kamieniami łódź Amona. Nigdy jednak nie uniesie się zasłona okrywająca wizerunek boga i nigdy ludzie nie ujrzą prawdziwej jego postaci.

Wzdłuż rzeki, a także po obydwu stronach drogi łączącej świątynie Kumaku i Luksoru pobudowano niewielkie drewniane kaplice, gdzie będzie się zatrzymywała procesja, a wraz z nią śpiewacy i śpiewaczki, muzykanci i tancerki.

Pospólstwo naje się do syta jadłem szczerze rozdawanym przez kapłanów. Czyż bogowie nie nakazują, by ludzie — czy to płynący rzeką, czy maszerujący lądem — mieli gdzie nabrać sił?

Składając hołd obecności boga-ojca Amona, jego małżonki królowej-matki Mut oraz ich syna Chonsu „niebiańskiego wędrownika”, Pianchi potwierdzał wszechmoc boskiej trójcy, dzięki której odradzać się będzie nowe słońce.

Pianchi rozumiał, że sekret rządzenia Egiptem tkwi w ścisłym przestrzeganiu kalendarza świąt, takiego, jaki istniał na początku. Realność Amona ujrzał, gdy nocą, rozjaśnioną niewidzialnym dla ludzkiego oka światłem, prznosił w ciszy jego posąg do naosu. Wprowadzając bóstwo do jego mieszkania i sadowiąc je na tronie, wywyższał stwórcy

świata i umieszczał wszystkie sprawy na właściwym miejscu.

Teby z trudem wracały do normalnego życia po kilku tygodniach uciech, którym Pianchi nadał niezwykle rozmach. O cóż chodziło Czarnemu Faraonowi, jeśli nie o to, by mocno utwierdzić swoją władzę nad Południowym Egip-tem? Dostojnicy byli przekonani, że widmo wojny się od- dała, że król przeniesie swą stolicę z Napaty do Teb, upięk- szy gród Amona i pokryje złotem jego świątynie.

Wszyscy wyczuwali, że święte miasto urzekło Pianchiego, który z zapalem sprawował tu codzienne obrzędy. Dzięki niemu niektórzy kapłani wrócili na drogę wiary, a psalmy śpiewane w świątyni Amona rozbrzmiewały pełniej niż w czasach Ramzesa.

Boska Adoratorka składała niebu dzięki, że może korzys- tać z cennej pomocy ojca. Bez niego Szepena czułaby się strasznie osamotniona i przygnieciona ciężarem i złożonoś- cią swoich nowych obowiązków. Dziewczynie, która do- tychczas zajmowała się wyłącznie komponowaniem zapa- chów, sprawne kierowanie zespołem świątyń karnackich wydawało się czymś ponad siły. Na szczęście rady poprzed- niej Boskiej Adoratorki, króla i królowej, a także pomoc Macierzanki i oddanego intendenta bardzo szybko pozwo- liły Szepenie wejść w swoje obowiązki i zapomnieć o oba-

wach. Tak jak większość tebańskich kapłanów miała nadzieję, że Pianchi wybierze ostatecznie Teby na swoją siedzibę i stąd rozprawi się z najeźdźcą.

Obudzony się, królowa Abilea poszukała wzrokiem męża, który w nocy brał ją tak zapalczywie jak zakochany młodzieniec wyruszający na poznanie czarodziejskiej a nieznanej krainy. Króla jednak nie było już w łóżku.

Abilea wyszła z pałacowego pokoju na taras i spojrzała na leżący w dole dziedziniec karnackiej świątyni. Była pewna, że mąż jest tam i wpatruje się w święty gmach Amona.

Podeszła doń i magicznym a opiekuńczym ruchem objęła go ramieniem. Taki właśnie gest oddawali rzeźbiarze, wykuwając w kamieniu szczęśliwe na wieczność pary.

— Czy faraon coś już postanowił?

— Dziś udamy się do świątyni Mut i odprawimy rytuał przekleństwa. Rzucimy klątwę na wszystkich widzialnych i niewidzialnych nieprzyjaciół. Jutro wyruszę na czele wojsk niszczyć zło i przywracać harmonię.

Jutrzenka poszarpała z wściekłością chustę z cieniutkiego lnu, którą dał jej Tefnacht, i ze złości wybuchła płaczem. Przez kilka minut do jej wyobraźni wdzierała się przeszłość niby władcza fala wzbierającego Nilu. Śmierć ojca, gwałt dokonany na jej osobie przez Nartreba, arogancja generała Tefnacha, zdrada, o którą niektórzy nie omieszkają jej oskarżyć... Wyjechać z Herakleopolis, uciec, zniknąć... to chyba najlepsze wyjście.

Nie, nie ucieknie, przecież spotkała już swoje przeznaczenie.

Jeśli nawet będzie zmuszona podeptać wspomnienia, pogodzić się z obleśnym spojrzeniem Nartreba i obłudą Jegeba, walczyć z tchórzostwem niektórych książąt libijskich, nie opuści Tefnacha i zrobi wszystko co można dla sprawy zjednoczenia Egiptu.

Do pokoju wszedł młody mężczyzna, niosąc na tacy winogrona, granaty i daktyle.

Poznała go natychmiast. Był to porucznik korpusu wyborowych łuczników.

— Wybacz mi, księżniczko, to nagłe wejście, ale pomyślałem, że miło ci będzie spróbować tych wybornych owoców.

— Kto pozwolił ci wejść?

— Wartownicy mnie znają... a tak bardzo chciałem zrobić ci niespodziankę.

Jutrzenka uświadomiła sobie, że jest prawie naga. Jej rozkwitłe kształty osłaniała tylko zwykła chusta, okrywająca ją do połowy ud.

— Zostaw tę tacę i wyjdź stąd.

— Aż do dzisiejszego dnia jedyną moją pasją było strzelanie z łuku. Czy pozwolisz, bym rzucił służbę wojskową i stał się twoim sługą?

Głos mu drżał. Wzruszona Jutrzenka odwróciła się do niego plecami.

— Nie rób głupstw. Jesteś wyborowym łucznikiem.

— Co mi z tego, jeśli nie mogę cię widywać, rozmawiać z tobą, wdychać twego zapachu, do... dotykać cię.

Położył nieśmiało dłoń na jej ramieniu. Powinna by się odsunąć, kazać mu wyjść, ale pieszczota była tak słodka...

— Kocham cię — szepnął, całując ją delikatnie w policzek.

Serce Jutrzenki zabiło żywiej, dziwne ciepło ogarnęło całe jej ciało.

— Nie... nie tutaj...

Porucznik, jakby nie słysząc tych słów, zaczął gładzić jej włosy.

Jeśli go teraz nie wypędzi, to potem w żaden sposób mu

się nie oprze.

—

Jak Tefnacht wejdzie tu znienacka, zginiemy i ty, i ja.

Odwróciła się twarzą do porucznika, którego oczy płonęły z pożądania.

— Kiedy... kiedy znowu cię ujrzę?

— Jutro, zaraz po południu, w sali, gdzie przechowuje się tkaniny. Tefnacht będzie w centralnych koszarach na przeglądzie sprzętu dla piechoty... Nie! To szaleństwo!

Pocałował ją w rękę.

— Kocham cię, Jutrzenko, kocham cię obłądnie! Zachowam wszystko w tajemnicy, przysięgam ci, bo to klucz do naszego szczęścia.

— Idź już... Idź szybko!

Ucałowała go. Była tak podniecona, że chciała go zatrzymać i mu się oddać, ale niebezpieczeństwo było zbyt wielkie. Gdy się oddalił, myślała jedynie o tym, by jak najprędzej mieć znowu przy sobie to pełne miłości ciało i dzielić z nim miłosne uniesienia.

Porucznik wyszedł z pałacu i ruszył uliczką wiodącą do koszar. Tu czekał na niego Jegeb.

— Rad jesteś, poruczniku?

— Już ci mówiłem, że nie oprze mi się żadna samiczka, a

Jutrzenka nie stanowi pod tym względem wyjątku.

— Pewien jesteś, że zawróciłeś jej w głowie?

— Znam kobiety, Jegebie. Przez pewien czas potrafią udawać, ale w tym przypadku... Jutrzenka jest szczerą.

Piękna klaczka zresztą! Gdybym jeszcze trochę

ponalegał, już dziś wieczorem byłibyśmy razem w łóżku.

— Za szybko... Trzeba zrobić to tak, żeby Tefnacht was przyłapał i przekonał się, że ta, w której widział przyszłą królową Egiptu, systematycznie go zdradza.

— Ona wiele ryzykuje...

— Nie twoje zmartwienie.

— Czy gwarantujesz mi całkowitą bezkarność?

— Powiem Tefnachtowi całą prawdę. To ja ci zapłaciłem, żebyś uwiódł tę dziwkę i wykazał wodzowi, że się mylił, darząc ją zaufaniem. Uzna cię za wiernego sługę i dostaniesz awans.

— Na razie wypłać, coś mi winien.

Jegeb wręczył mu skórzaną sakiewkę z ziarenkami złota.

Oficer sprawdził zawartość.

— Jesteś teraz majętnym człowiekiem.

— Normalna sprawa, Jegebie, narażam się, i to bardzo. A to dopiero pierwsza rata.

— Resztę dostaniesz, gdy tylko Tefnacht pozbędzie się

tej kłamliwej i rozpustnej dziewczuchy.

— Dlaczego tak strasznie jej nienawidzisz?

— Poruczniku, rób, co do ciebie należy, i nie zadawaj zbędnych pytań.

Ważąc w ręce swój majątek, oficer ruszył w stronę koszar.

Jegeb odzyska swoje złoto, gdy ten głupiec będzie trupem.

Przecież za obrazę naczelnego wodza i on, i ta cudzołożna kobieta stracą głowy.

Tefnacht zaś nigdy nie dowie się prawdy.

Gdy zapadała noc, karnaccy astrologowie wstępowali powoli na schody wiodące na dach świątyni. Każdy zajmował ściśle określone miejsce, śledził ruchy „niezmordowanych gwiazd”, planet, oraz bieg okrężny trzydziestu sześciu dekanów * — trzydziestu sześciu błyszczących świec niebieskiego firmamentu. Wciąż uściślali swą wiedzę o zjawiskach niebieskich i starali się wyczytywać z nich przesłanie bogów. Przed przystąpieniem do pracy naczelny astronom napełnił puchar czystą wodą i postawił go na płaskiej, gładkiej płycie. Powierzchnia wody tworzyła zwykle doskonale gładkie zwierciadło, symbol patronki gwiazd, Hathor, łącząc duchowo obserwatora z boginią.

Naczelny astronom nie wierzył własnym oczom. Coś takiego przy całkowitej ciszy w powietrzu! Popatrzył z bliska i musiał pogodzić się ze straszliwą rzeczywistością: woda

burzyła się!

Przerażony zbiegł pędem po kamiennych schodach i po-
gnał do pałacu królewskiego. Wejścia strzegli dwaj żołnierze
nubijscy. Zagrodzili mu drogę.

— Muszę rozmawiać z królem!... Zawiadomcie go!

Pianchi zgodził się przyjąć astronoma, który z trudem
ukrywał wzburzenie.

— Wasza Królewska Wysokość, byłem właśnie świad-
kiem poważnego wydarzenia. Woda, którą zabieramy
na dach świątyni, burzy się.

— Jak interpretujesz ten znak?

— Jako zapowiedź wielkiego nieszczęścia. Zjawisko tak

* Dekan — trzydziesta szоста część sfery niebieskiej przyp. tłum.

niepojęte zwiastuje bliską katastrofę, cios w samo serce
królestwa. Musiałem więc niezwłocznie cię powiadomić.

— Jakie środki ostrożności polecasz?

— Magowie powinni przez całą noc powtarzać zaklęcia
odpędzające śmierć, która już czyha na ofiarę.

— Czy możesz powiedzieć coś bliżej o swoich obawach?

Naczelny astronom zawahał się.

— Śmierć grozi... Waszej Królewskiej Wysokości.

Już sam widok zatroskanego oblicza Tefnachta starczył, aby członkowie jego rady wojennej zrozumieli, że sytuacja uległa gwałtownej zmianie i że generał, który przybył w towarzystwie Jutrzenki, ma im coś bardzo ważnego do powiedzenia.

— Pianchi wyrusza wkrótce z Teb — oznajmił.

— Wraca do Nubii? — zapytał księżę Akanosz.

— Nie, szykuje się do uderzenia na nas.

Tefnacht celowo przemilczał, że szefowi tebańskiej siatki szpiegowskiej nie udało się usunąć Czarnego Faraona i że to niepowodzenie wcale go nie martwi. Pozbawione dowódcy wojska nubijskie byłoby, oczywiście, łatwiej pokonać, ale konfrontacja niespecjalnie przerażała wodza Północy.

Pokonując przeciwnika w bezpośrednim starciu definitywnie wykaże swą wyższość.

— Czekamy na atak czy uderzamy pierwsi? — zapytał z niepokojem księżę Peftau.

— Nie ma żadnych powodów do zmiany taktyki. Niech najpierw Pianchi połamie sobie zęby na murach obronnych Herakleopolis. Gdy straci już dosyć ludzi, wykonamy szereg ataków, po czym zniszczymy go całkowicie i ostatecznie.

— Czy będziemy oszczędzali tych, co przeżyją?

— Nie — odparł Tefnacht. — Tę nubijską hołotę musimy zmiążyć. Bez cienia litości. Tego wymaga przyszłość kraju.

Pianchi zaczerpnął wody ze świętego jeziora należącego do świątyni Mut. Miało kształt księżycowego sierpa. Ta woda, przechowywana w dzbanach, służyć będzie jako magiczny środek ochrony wojskom Południa, które kończyły już przygotowania do wymarszu. Energia, pochodząca z zaświatów, a przenoszona za pośrednictwem niebiańskiej rzeki, obdarzy ruszających do boju niespożytymi siłami.

Królowa Abilea — dumnie wyprostowana w swej długiej, czerwonej, odsłaniającej piersi sukni — nadal nie mogła się uspokoić.

— Astronom stwierdził, że gwiazdy ci nie sprzyjają, prawda?

— Zwierciadło wody wzburzyło się — rzekł Pianchi. — Zapowiada śmierć. Może moją? Ale dlaczego nie sądzić, że chodzi o koniec pewnej epoki?

Abilea popatrzyła na męża.

— Pragnęłam tej wojny, potem przejmowała mnie ona zgrozą, potem odbierałam ją jako coś koniecznego dla naszego szczęścia i przestałam o niej myśleć. Teraz czuję się zagubiona. Wiem tyle tylko, że boję się o ciebie. Gdybyś zrezygnował i został tu, w świątyni, rozumiałabym cię bez

względu na głosy krytyki. Jesteś człowiekiem moich snów, moją miłością, a przecież jesteś całkowicie realny. Chcę mieć cię przy sobie.

Pianchi mocno przytulił Abileę do piersi.

— Być może cała ta historia skończy się śmiercią... Zwycięstwo jest jednak możliwe. Jeśli nie spełnię swojego obowiązku, jeśli nie postaram się wymusić poszanowania w całym kraju prawa bogini Maat, sąd Ozyrysa słusznie skaze mnie na drugą śmierć i unicestwienie. Nie mamy już wyboru, Abileo, i właśnie dlatego możemy działać swobodnie. Królowa, świadoma, że nie zdoła wpłynąć na decyzję męża, udała się z nim do świątyni straszliwej bogini Sechemet. Miano tu odprawić rytuały odbierające wrogom moc szkodzenia. Przez całą minioną noc kapłani recytowali zaklęcia, które miały chronić króla i sprawić, że zachłanna śmierć żadnym nowym podstępem nie zawładnie duszą Pianchiego.

Boska Adoratorka powita zgodnie ze zwyczajem narodziny nowego słońca, a monarsza para w asyście Macierzanki i kapłanek Selkit, bogini-skorpiona, wyda tymczasem pierwszą wielką bitwę na zaklęcia Tefnachtowi i jego sprzymierzeńcom, których symbolizowały pokracczne figurki z alabastru i wapienia.

Kilkadziesiąt lat temu — myślał Pianchi — wyklinano tak

Nubijczyków. Teraz jednak ci przybysze z Dalekiego

Południa będą walczyli i ginęli, żeby ratować kraj, stojący na straży podstawowych wartości cywilizacyjnych i duchowych. Doprawdy, dziwna odmiana losu! Wczorajsi przesładowcy, zapominając o krzywdach i słusznych urazach, stają się dziś oswobodzicielami.

Pod figurkami przedstawiającymi buntowników klęczących lub leżących na brzuchach ze związanymi w tył rękoma, widniał wypisany czerwonym tuszem tekst określający ich jako wichrzycieli, którzy potrafią tylko niszczyć, i jako wrogów bogini Maat.

Macierzanka podeszła do Pianchiego.

— Faraonie Górnego i Dolnego Egiptu, oby bogowie strzegli cię przed tymi, co wypowiadają złe słowa i rzucają złe uroki! Oby moc twoja była większa od ich mocy, obyś poraził ich swoją potęgą i zdeptał sandałami. Oby ci, co pragną zagrozić drodze słońcu, na zawsze zostali pozbawieni światła, oby wargi ich pozostały zapieczętowane i oby odcięto im ramiona.

Jedna z kapłanek zapieczętowała pieczęcią faraona figurkom usta i połamała im członki. Potem Macierzanka wrzuciła je w płomienie, a jęki, które wkrótce zaczęły się stamtąd dobywać, wywarły wielkie wrażenie na obecnych.

Niepokój zaczęła przejawiać nawet mangusta i przywarła

panu do stóp. Królowa Abilea poczuła, że ten staroegipski obrzęd rzucania klątwy to nie złuda, że istotnie powstają przy tym fale energii, które uderzając w faraona, uderzą zarazem w przeciwników bogini Maat. I zrozumiała, dlaczego od czasów pierwszej dynastii żaden wyruszający na wojnę król Egiptu nie zapominał o obowiązku dopełnienia tego obrzędu.

Trzaskały płomienie, a Macierzanka podała tymczasem Pianchiemu wspaniałą alabastrowy puchar z wyrytym na nim imieniem króla.

— Wasza Królewska Wysokość, zanim puchar ten trafi dla uwiecznienia twej chwały do świątynnego skarbcza, racz wypić to piwo, uwarzone przez boga Ra, by waleczność twoja promieniowała na wszystkie prowincje królestwa.

W chwili gdy faraon wyciągał ręce, by ująć puchar, mangusta wspięła się po jego tułowi, znieruchomiała na chwilę, skoczyła Macierzance na rękę i ugryzła ją aż do krwi.

Asystentka Boskiej Adoratorki z krzykiem bólu wypuściła z rąk naczynie, które upadło na posadzkę. Wylał się z niego żółtawy płyn, co wprawilo we wściekłość mangustę. Zjeżyła sierść, wojowniczo nastroszyła wąsy i jęła się kręcić, jakby miała przed sobą żmiję.

— Ona oszalała, zabijcie tę bestię! — krzyknęła Macie

rzanka.

Królowa Abilea, która przyglądała się zwierzęciu, pojęła wszystko natychmiast.

— Ty, Macierzanko, chciałaś otruć króla jadem żmii.

Dała ci go współniczka, jedna z kapłanek bogini Selkit.

Jesteś na żołdzie Tefnachta, przyznaj się.

Macierzanka, trzymając się lewą ręką za zakrwawioną dłoń, cofnęła się, niezdolna wytrzymać oskarżycielskiego spojrzenia królowej.

Była już gotowa zaprzeczyć wszystkiemu, ale w tejże chwili dwie przerażone kapłanki bogini Selkit rzuciły się nagle do ucieczki. Na próżno! Żołnierze Pianchiego brutalnie je zatrzymali.

— Czemuś to zrobiła, ty, coś tak wiernie służyła mojej zmarłej siostrze, Boskiej Adoratorce? — zapytał król głosem tak surowym, że Macierzanka zadrżała.

— Nowa Boska Adoratorka to Nubijka, tak samo jak poprzednia! Nie wystarczy ci już, że rządzisz w Tebach za jej pośrednictwem? Tefnacht walczy o słuszną sprawę!

Zwycięży i przywróci nam utraconą jedność.

Uklęka i wychłęptała śmiertelny napój.

— Ja ginę, ale Północ zwycięży!

Oczy jej zaszyły mgłą, zeszywniała, zaczęła wymiotować żółcią i padła, zaciskając sobie dłonie na gardle.

Z jej śmiercią i aresztowaniem wspólniczek rozpadła się
w Tebach siatka szpiegowska Tefnachta.

W szeregach Libijczyków entuzjazm mieszał się ze strachem. Żołnierze rwali się do boju, ale zarazem bali się zaciekłości Czarnego Faraona. Tefnacht potrafił jednak dodawać chwiejnym otuchy i podtrzymywać przygasający płomień. Zmuszając swoich ludzi do całodziennych ćwiczeń, nie zostawiał im czasu na bardziej lub mniej dręczące myśli.

Jedno było pewne: Pianchiemu nie uda się zdobyć Herakleopolis. Co jednak zrobi, pozostawało niewiadomą. Albo się zaprze i straci tysiące ludzi, albo nakaże odwrót. Tefnacht będzie musiał wyczuć właściwą chwilę i rozpocząć wielką ofensywę, która przetrąci grzbiet Nubijczykowi.

Dokonał przeglądu zapasów i uspokoił się. Broni było pod dostatkiem, i to w dobrym stanie, a zapasów żywności starczyłoby na długie oblężenie, zwłaszcza że transporty z Północy dochodziły bez trudności.

— Panie...

— Co tam, Jegebie?

— Dwie przykre wiadomości. Może jednak przychodzę nie w porę?

— Mów! — rozkazał Tefnacht.

— Macierzanka nie żyje, a członków siatki aresztowano.

Nie mamy już nikogo, kto by nas informował o

decyzjach Pianchiego.

— Nie takie to ważne, tego rodzaju informacji już nie potrzebujemy. Znamy siły Czarnego Faraona i taktyki już nie zmienimy. A druga zła wiadomość? Jegeb przybrał skruszoną minę.

— Delikatna sprawa, panie, bardzo delikatna...

— No to nie trzymaj mnie w niepewności.

— Chodzi o Jutrzenkę.

— Ktoś usiłował jej zaszkodzić?

— Prawdę mówiąc, panie, to raczej ona może ci poważnie zaszkodzić.

— Licz się ze słowami, Jegebie!

— Panie, błagam, wysłuchaj mnie. Całkiem przypadkowo, zdaje się, nasze służby bezpieczeństwa wykryły, że Jutrzenkę coś łączy z pewnym porucznikiem łuczników.

Czarne oczy Tefnachta spochmurniały.

— Czy masz jakieś dowody, że jest tak, jak twierdzisz?

— Niestety, mamy, zechciej tylko pójść ze mną...

Łucznik-kandydat na kochanka nadal wydawał się Jutrzence tak samo uroczy. W sali, gdzie przechowywano odzież, pachniało wonnościami i unosił się miły zapach czystej bielizny. Młody oficer zbliżał się, oszalały z pożądania.

— Przyszłaś... Toż to sen, cudowny sen!

Uśmiechnęła się.

— Nie, wcale nie jestem snem.

Zmrużył oczy.

— Pozwól, niech najpierw ujrzę cię w wyobraźni, a dopiero potem taką, jaka jesteś... Będiesz najwspanialszą moją zdobyczą.

— Tak wiele ich miałeś?

— W porównaniu z tobą nie liczy się żadna inna.

Powoli zsunął lewe ramiączko jej sukni, potem, jeszcze wolniej zsunął prawe, odsłaniając wspaniałe piersi Jutrzenki.

Drżąca spuściła oczy, on zaś tymczasem całował czubki jej piersi. W upojeniu wpatrzyła mu się w oczy.

To, co w nich ujrzała, zdjęło ją przerażeniem.

Zobaczyła tę samą pogardę, tę samą pychę i brutalność, co w oczach swego gwałciciela Nartreba. Porucznik nie kochał jej, chciał ją po prostu posiąść w najbardziej bestialski sposób.

W jednej chwili pojęła wszystko.

— Odwróć się — rzekła. — Zdejmę suknię.

— Nie myślałem, żeś taka wstydliva.

— Proszę cię...

Rozbawiony

posłuchał.

Jutrzenka wzięła rzemień do związywania odzieży i tą

prowizoryczną bronią zaczęła dusić łuczника.

Szamotał się, ale rzemień cisnął coraz mocniej, a Jutrzenka przybyło jeszcze sił, gdy spostrzegła, że scenie tej, skrzyżowawszy ręce, przygląda się Tefnacht.

Rzemień zmiażdżył krtań, łucznik przestał się opierać i padł martwy.

— Ten człowiek mi groził, zaciągnął mnie tutaj i chciał mnie zgwałcić. Poniżając mnie, chciał uderzyć w ciebie, bo przyznał mi się, zdrajca, że jest na żołdzie Pianchiego.

Jutrzenka splunęła na trupa, a potem z płaczem osunęła się w ramiona Tefnacha.

Jegeb owinał sobie głowę wilgotną chustą, a pierś nasmarował łagodzącą maścią. Cierpiał na atak wątroby, co wprawiało go w ponury nastrój.

— Ta zaraza Jutrzenka kazała mi się przeprosić, a Tefnacht powiedział, że zanim zacznę oczerniać przyszłą królową Egiptu, powinienem wszystko lepiej posprawdzać.

Boję się nawet, że popadnę w niełaskę.

Nartreb wzruszył ramionami i nadal rozcierał sobie bolące palce u nóg.

— Tefnacht nie może się bez nas obyć, bo robimy za niego całą brudną robotę... Ale jak ta dziewczka potrafiła wszystko wykręcić na swoją korzyść.

— Jutrzenka jest morderczynią.

— Czyżbyś się jej bał?

— Nie zwykłem przegrywać... Teraz Jutrzenka nas nie-
nawidzi.

— Cóż w tym nowego? Jeśli sądzi, że Tefnacht naprawdę
będzie się liczył z jej zdaniem, grubo się myli. Nasz wódz
ma tylko jedną kochankę, a mianowicie swoją ambicję. A
my po to stoimy przy jego boku, żeby ją zaspokajać. Zbliża
się wielkie starcie, Jegebie, i wyciągnijmy z niego jak
najwięcej korzyści.

Otoku schudł już przynajmniej o dwa kilogramy i po-
trawy nie smakowały mu tak jak dawniej. Stolicą Nubii
zarządzał sumiennie, ani na chwilę niczego nie tracąc z oka.

Dostojnicy i urzędnicy wzdychali za Pianchim, który mimo
całej swojej surowości był mniej wymagający niż Otoku.

Wieści z Teb nie przywrócą tłuściochowi dawnego apety-
tu, a odwiedziny starego Kapy nie dodadzą mu optymizmu.

Odstawił alabastrową tacę, z której zerkało na niego
pieczone udo gęsie.

— Jeśli przychodzisz z zarzutami przeciwko mnie, Kapo,
to źle wybrałeś porę. Tonę w nawale pracy.

— Skąd u namiestnika Napaty tyle nerwowości? I twoi
podwładni, i ja sam, wszyscy możemy być z ciebie
dumni. Przyszedłem, żeby złożyć ci po prostu
gratulacje.

Otoku nie wierzył własnym uszom. Czy to nie jakaś prowokacja? Starzec nie mówił jednak swym zwykłym ironicznym tonem. Nie, nie wyśmiewa się z nowego ojca miasta, a co więcej, sam jest tak samo jak on smutny.

— Czy ty, Kapo, też sądzisz, że Pianchi już nie wróci?

— Nie mamy co się łudzić. Albo przegra wojnę i zginie, albo będzie rządzić z Teb i już z nich nie wyjedzie.

— Już nigdy...

— Tak, Otoku, zostałeś namiestnikiem Napaty, i to dożywotnim! Pianchi miał szczęśliwą rękę, powierzając ci to stanowisko.

— Czy ten gród doczeka się jeszcze szczęśliwych dni?

Bez Czarnego Faraona to zwykła miejscina, zagubiona wśród drzew oazy.

— Rób tak jak ja, Otoku. Jak ci przybędzie lat, to się pogodzisz z tym, z czym się nie można pogodzić.

Z dziobu okrętu flagowego w kształcie węża z głową barana, pokrytą złotem i przypominającą kontur Czystej Góry, faraon i jego wielka królewska małżonka spoglądali na północ, w stronę Środkowego Egiptu i powiatu Zająca, gdzie mieli dobić za dziesięć dni.

Głowę króla zdobiła biała korona, symbol Górnego Egiptu, wciśnięta w koronę czerwoną, symbolizującą Egipt Dolny. U korony przymocowane dwa ureusy-kob-ry — ich gniew porażać będzie wrogów. Faraon ubrany był w lnianą spódniczkę i kaftan z piór na szelkach, które wiązały się na ramionach. Na nadgarstkach miał bransolety ze złota i szkliska z wizerunkiem bogini nieba Nut, ze złotego naszyjnika z miniaturowych ureusów zwisał dziesięciocentymetrowy amulet z błękitno-zielonego fajansu, przedstawiający łeb barana zwieńczony tarczą słoneczną — nawiązanie do sekretu boskości i jego świetlanego objawienia.

Królowa Abilea, przybrana w długą czerwoną suknię przewiązaną białym pasem z długimi wyłogami, siedziała po prawicy małżonka i z godnością trzymała go pod rękę. Z uszu zwisały jej złote zausznice w kształcie kluczy życia przypominające, że hieroglificzną nazwą uszu było słowo „żyjące”. Szyję zdobił jej kołnierzyk z paciorków ze szkła,

fajansu i krwawnika, między którymi były wstawione małe skarabeusze, ucieleśniające ideę przemiany, i kolumniki, znak niezmienności. Wisiorek królowej miał kształt lotosu wyrastającego między dwojgiem sokolich oczu, w których zawierały się wszystkie miary wszechświata.

— Amon przybywa wśród wiatru — odezwał się Pianchi — ale oko go nie widzi. Noc pełna jest jego obecności, wielbi go dzień. To, co w górze, jest jak to, co na dole i to on każe im się poruszać

— O, ty, wielka duszo Egiptu — modliła się królowa Abilea — obdarz tchnieniem wszystkich, którzy walczyć będą o zjednoczenie Dwóch Krajów.

Z pochwy z połączanego srebra Pianchi dobył sztylet. Na wiązaniu ostrza lew pożerał Nubijczyka! Ale broń ta pochodziła z czasów sławnej XVIII dynastii i pieczołowicie przechowywano ją w napackiej świątyni Amona.

Na długim i grubym ostrzu zaśniło słońce — znak, że trzeba wyruszać.

Złociły się łany jęczmienia, nad gąszczami papirusów krążyły czaple, sokoły szybowały z wiatrem, na brzegach panował spokój. Urok krajobrazu skłaniał do marzeń, żaden jednak żołnierz nubijski nie był w nastroju, żeby im się oddawać. Każdy myślał o zbliżającej się straszliwej bitwie, każdy wspominał żonę, matkę, ojca, dzieci, których być

może już nie ujrzy.

Przed zejściem na brzeg Pianchi długo rozmawiał ze swoim koniem, którego skrzące się inteligencją oczy zaciemniał niepokój. Faraon nie ukrywał prawdy i uprzedził rumaka, że mają przed sobą poważne niebezpieczeństwa.

Śmiałek uspokoił się i dumnie uniósł łeb. On też był gotów do walki.

Na brzegu, na południowej granicy powiatu Zająca kapitanowie Lamerskeni i Puarma mieli powody i do wzruszenia, i do niepokoju. Wzruszył ich widok Czarnego Faraona, który sam siodłał swego rumaka, a niepokoił się, bo musieli wysłuchać wymówek monarchy.

— Więc Tefnacht wciąż jest wolnym człowiekiem? —

Pianchi był wyraźnie zagniewany.

— Tak jest, Wasza Królewska Wysokość — odparł Puarma.

— Przecież otrzymaliście ode mnie zadanie i kazałem wam położyć koniec temu buntowi! Obdarzyłem was zaufaniem, w przeświadczeniu, że rozbijecie Północ! Grody Hermopolis i Herakleopolis są jednak nadal w rękach nieprzyjaciela, a przez wasze nie dość energiczne działania cierpi autorytet faraona.

Puarma zwiesił głowę, a Lamerskeni zaprotestował.

— Nie szczędziliśmy wysiłków, Wasza Królewska Wy-

sokość, ale Tefnacht to nie jest byle przywódca
plemienny, a jego wojsko to nie swawolna kupa
buntowników. Mamy przeciwko sobie prawdziwą
armię!

— Sądysz, że nie jestem tego świadom?

— Oblężenie Herakleopolis będzie długie i trudne — po-
wiedział kapitan piechoty. — Stracimy wielu ludzi,
myślę jednak, że znajdę jakiś sposób na zdobycie tego
zbuntowanego grodu. A gdy już znajdzie się w
naszych rękach, Tefnacht będzie musiał się poddać.

— Należy się więc liczyć z dużymi stratami...

— Niestety, Wasza Królewska Wysokość, Herakleopolis
ma grube mury, a libijscy łucznicy znają swój fach.

— Wyślij natychmiast zwiadowców. Działać mają tak,
żeby z murów można było ich zauważyć.

Lamerskeni zdziwił się.

— Panie, może lepiej by było...

— Następnego dnia ma się tam pojawić niewielki, ale
głośno zachowujący się oddział. W sporej odległości od
miasta.

— Niewielki oddział?... Zdobycie Herakleopolis wymaga
użycia wszystkich sił!

— Piechota niech rozbije bardzo dużo namiotów i niech
wytyczy taki obóz, jakby do szturmowania miały iść

wszystkie nasze siły.

— Więc... więc nie uderzymy?

— Ależ jak najbardziej, kapitanie Lamerskeni. Ale nie tam, gdzie nieprzyjaciel się spodziewa.

Nartreb, zdenerwowany i rozgniewany, chodził tam i z powrotem po murach miasta, gdy obserwator dostrzegł dwóch nubijskich zwiadowców ukrywających się niezręcznie za kępą ciernistych krzewów. Natychmiast zameldował o tym doradcy Tefnachta.

— Jest tam jeszcze dwóch innych... i jeszcze dwóch na skraju pól.

Nartreb zszedł z murów i pobiegł do centralnych koszar, gdzie Tefnacht i Jutrzenka zagrzewali żołnierzy do walki.

— Już są — zameldował. — Wielu zwiadowców... Czyli że wojska Pianchiego będą tu jutro lub w najbliższych dniach.

Jutrzenka uśmiechnęła się, a Tefnacht ukrył radość.

— Dziś wieczorem — rozkazał — dać wszystkim mięsa i wina. Oficerom i prostym żołnierzom. Pianchi wpadł w pułapkę. Przez próżność uderzy na tę niezdobytą twierdzę.

Wytniemy tysiące Nubijczyków i Północ zwycięży!

Jego słowa żołnierze przyjęli oklaskami. Tefnacht i Jutrzenka odeszli do swoich pomieszczeń. Oboje byli u szczytu podniecenia, a dziewczyna mimo upału drżała od stóp do

głów.

— Spełnia się twoje marzenie, Tefnachcie, to marzenie, które stało się i moim.

Rozebrała wodza, rozwiązała sobie ramiączka u sukni i namiętnie złączyła się z mężczyzną, który miał pokonać Pianchiego i zapanować nad całym, na powrót zjednoczonym Egiptem.

Jegeb wnosił ostatnie poprawki do ułożonego ściśle według życzeń Tefnachta programu jego rządów. Koronacja na faraona w Tebach i Memfisie, eliminacja wszystkich Nubijczyków, również cywilów, zburzenie Napaty, przejęcie kopalń złota, rozbudowa wojska i policji, stworzenie prężnego urzędu ewidencji ludności dla sprawnego poboru rekruta, skasowanie swobód osobistych i zniesienie prawa własności, cofnięcie przywilejów nadanych niegdyś zbyt wielu świątyniom i zamiana większości z nich na koszary, zakaz opuszczania Egiptu dla wszystkich oprócz wojskowych wykonujących polecenia Tefnachta, podwyższenie opłat i podatków w celu polepszenia bytu urzędników całkowicie oddanych królowi, zwiększenie produkcji broni zarówno zaczepnej jak obronnej, budowa twierdz i więzień, natychmiastowe karanie wszystkich protestujących.

Przeglądając ten program, Jegeb — przyszły minister gospodarki, oraz Nartreb — przyszły naczelnik służb bez-

pieczeństwa państwa, byli zadowoleni ze swojej pracy.

Jeden wszelako szczegół w dalszym ciągu niepokoił Jęgeba: trzeba będzie przywołać do porządku niektórych wodzów libijskich, którzy za bardzo chcieli być niezależni i sądzili naiwnie, że Tefnacht tę ich niezależność zamierza uszanować. Większość tych spraw załatwi silna władza nowego pana Egiptu, a co opomniejszym zatka się usta podarkami.

Pozostawał książę Akanosz, nie przekupiony, nieprzekupny i dość uparty, by otwarcie protestować przeciwko nowej polityce. Można by pomyśleć o jego nagłym zgonie, ale to wywoła niepotrzebne wzburzenie w chwili obejmowania tronu przez Tefnacha. Uda się może jednak wykryć jakąś skazę w otoczeniu księcia, która by go ostatecznie skompromitowała.

Nemrod, księżę Hermopolis, był w świetnym humorze.

Jakże słusznie postąpił, zdradzając Pianchiego i stawiając na Tefnachta! Zgodnie z przewidywaniami wodza Północy, Czarny Faraon połamie sobie teraz zęby na murach Herakleopolis i jedną rzecz wreszcie poniewczasie zrozumie: osłabił swoje wojska do tego stopnia, że w żaden sposób nie zdołają już odnieść zwycięstwa.

Księżę — bardziej uwodzicielski niż kiedykolwiek, z wypachnioną fryzurą i starannie wypielęgnowanymi dłońmi — tak był z siebie zadowolony, że przypominał sobie o istnieniu swej małżonki Nezety, którą dawno już zdążył puścić w niepamięć, zajęty czeredą kochanek, mniej lub bardziej biegłych w sztuce miłości.

Nezeta, choć przekroczyła już pięćdziesiątkę, zachowała i figurę, i czar, nie mogła jednak rywalizować z pięknymi dwudziestoletnimi intrygantkami, które daremnie starały się zdobyć władcę Hermopolis. Ubierała się skromnie, na głowę zakładała staromodną perukę i nie przejawiała żadnych oznak buntu.

— Po coś mnie wezwał, Nemrodzie?

— Tefnacht ukoronuje się wkrótce na faraona i da mi do wyboru jakieś stanowisko w swoim rządzie. Nie chciałbym gorszyć innych dworzan, będę więc musiał

pokazywać się w towarzystwie jakiejś żony, uległej i

dyskretnej. Czy podejmujesz się tej roli?

— A jeśli się nie zgodzę?

— Oddalę cię pod pierwszym lepszym pretekstem, choć

całkiem legalnie, i wezmę sobie inną. Utracisz

oczywiście swoje przywileje i będziesz musiała żyć

bez porównania skromniej.

— Co będzie należało do moich obowiązków?

— Będziesz po prostu występowała u mojego boku,

udawała szczęśliwą i rozmawiała wyłącznie o

głupstw-kach. Istnieją mniej przyjemne role, Nezeto.

Z tobą nie będę przynajmniej miał kłopotów i uniknę

nieporozumień, a do sprawowania urzędu potrzebny

mi będzie spokój. Zgadzasz się?

— Zgadzam.

— Doskonale.

Wszystko sprzyjało Nemrodowi. Dzięki swej intuicji przy-

łączył się do obozu Tefnacha, Hermopolis stanie się

jednym z najbogatszych miast Egiptu, on sam zaś jedną z

ważniejszych osobistości na dworze nowego faraona.

Całkowicie już odprężony szedł do pokoju ostatniej swo-

jej kochanki, syryjskiej lutnistki o niebywale zręcznych pal-

cach, gdy na drodze stanął mu dowódca warty.

— Książę Nemrodzie...

— Później, teraz się śpieszę.

— Książę Nemrodzie, jesteśmy oblężeni.

— Oblężeni?... Przez kogo?

— Przez Nubijczyków. Tysiące Nubijczyków.

— Co mi tu wygadujesz, przecież wojska Pianchiego idą na Herakleopolis!

— Nie, książę, Czarny Faraon jest tutaj z całym wojskiem.

Nemrod nie bacząc, że naraża się na zadyszkę, wbiegł na szczyt najwyższej baszty obronnej.

To co ujrział, przejęło go trwogą.

Na wspaniałym gniadym rumaku z płową grzywą, na czele swych wojsk jechał Czarny Faraon.

Twarze z bliznami po nacięciach, w uszach małe złote kolczyki, podgolone z tyłu głowy, kędzierzawe włosy, krótkie spódniczki, czerwone pasy... Czarnoskórzy wojownicy z Dalekiego Południa wydawali się odporni na wszelkie ciosy. Ludzie określani na Północy jako „trefione łby” i „usmalone gęby” szli bez pośpiechu na Hermopolis. Oficerów można było poznać po białych strojach, naszyjnikach z różnobarwnych pereł i czerwonych perukach.

—

Ale ich dużo, książę, ale ich dużo... —jęczał oficer.

Nemrod stał jak skamieniały i usiłował nie tracić pewno

ści siebie.

— Mury mamy mocne...

— Podobno Nubijczycy wyrywają ofiarom wnętrzności i rzucają je na żer krokodylom. Podobno każdy ich szturm kończy się rzezią... Podobno...

— Dość tego! Wszyscy na stanowiska i bronić miasta jak najwyższego dobra! Odeprzemy Południowców.

Pianchi tylko udawał, że spadnie jak sęp na Herakleopolis, by tym lepiej skoncentrować wszystkie siły i uderzyć na Hermopolis, gród boga Tota. Chciał zapewnić sobie względy tego boga. Jakże bowiem mógłby działać na przekór tradycji i poprowadzić natarcie bez pomocy patrona wiedzy?

Ani Tefnacht, ani Nemrod nie wzięli pod uwagę tej strony osobowości Nubijczyka. Traktując go jako po prostu zdobywcę, nie uwzględnili sakralnego wymiaru jego urzędu.

Nie pora była jednak na lamenty. Nemrod ma bronić miasta, więc będzie go bronił. Przecież mury jego grodu odstraszać będą wroga nie gorzej niż mury Herakleopolis.

Kapitan Lemerskeni ubrany był jeszcze gorzej niż jego podwładni, a jedyną ozdobę jego stroju stanowiła zgrzebna lniana chusta okręcona wokół akacjowego ramienia.

Od dobrych paru minut uważnie wpatrywał się w ten sam odcinek muru.

— Więc sądzisz, że powinniśmy skierować główne ude-

rzenie właśnie w to miejsce? — zapytał Pianchi.

— W żadnym wypadku, panie. Ten odcinek murów Nemrod zniszczył z własnej woli, by wciągnąć nasz korpus ekspedycyjny w pułapkę. Jestem przekonany, że skoro podstęp mu się nie powiódł, kazał to miejsce szczególnie umocnić.

— Cóż byś więc radził?

— Gdybym miał słuchać tylko siebie, uderzyłbym czołowo. Niestety, nie mamy przed sobą małej forteczki, takiej jak Urwisko Wielkich Zwycięstw. Spójrz, panie, jakie wysokie i jak szerokie są te mury! Czołowy szturm na nie musi zakończyć się klęską. Stracimy mnóstwo ludzi, a pewności, że uda nam się wdrzeć, nie ma żadnej. Szczerze mówiąc, Wasza Królewska Wysokość, gotów jestem walczyć, ale po co ginąć w takim ataku bohaterskim, ale bezsensownym?

— Nie masz innego pomysłu?

Lamerskeni bezradnie pokręcił przecząco głową. Puarma rad by wziąć nad nim górę i olśnić władcę, ale i jemu nic nie przychodziło do głowy. Wojska nubijskie, mimo przewagi liczebnej, nie miały żadnych szans na wzięcie Her-mopolis. Zadaliby pewnie obrońcom ciężkie straty, ale za jaką cenę!

— Kaźcie rozbijać namioty! — rozkazał Pianchi.

Lamerskeni osobiście nadzorował pracę oddziałów in-

żynieryjnych. Pylisty grunt zlano wodą, wytyczono uliczki i rozbito namioty. Były różnej wielkości — od ogromnego pomieszczenia dla pary królewskiej aż po malutkie namiotiki dla niższych oficerów. Nakarmiono konie, osły i woły, zmontowano wozy, które w częściach przyplłynęły tu na statkach, lekarze zajęli się chorymi, a żołnierze — wśród bezustannej gadaniny — oddali się grze w kości, byleby tylko zapomnieć o czekającej ich krwawej bitwie.

Królowa Abilea nie próżnowała. Poustawiała w królewskim namiocie fajansowe kubki, szklane ampułki z wonnościami, naczynia z pokrywkami w kształcie baraniego łba i malutkie, podobne do lotosów wachlarzyki. Nie zapomniała o puzderkach, w których mieściły się słoiki z kremami i maściami. Służba przyniosła niezbędne skrzynie na odzież oraz alabastrowe i złote naczynia.

Gdy Pianchi wszedł do przeznaczonego dla siebie namiotu, był olśniony.

— Odtworzyłaś tu nasz pałac napacki, Abileo!

— Tylko kilka izb, a i to bardzo niedoskonale. Toczemy teraz wprawdzie wojnę z nieprawością, ale nie wynika stąd,

że mamy żyć jak barbarzyńcy. Ale ty... Wyglądasz na tak zajętego... — Delikatnymi dłońmi pogładziła męża po policzkach. — Jak mogłabym ci pomóc?

— Hermopolis wydaje się nie do wzięcia. Nawet Lamer-
skeni gotów jest się cofnąć.

— Ty się nie cofniesz.

— Systematyczne szturmy dadzą tylko ten wynik, że
poniesiemy ciężkie straty. Jeśli chcemy wziąć
Hermopolis, trzeba znaleźć inny sposób.

— Gdy na drodze wyrasta przeszkoda nie do pokonania,
należy albo ją obejść, albo zmienić naturę tej
przeszkody.

— Trzeba więc zrobić tak, żeby mury przestały być mu-
rami... Masz rację, Abileo!

Cieśle nubijscy pracowali dniem i nocą, budując ogromne katapulty, piechurzy montowali wysokie platformy na kołach, a poganiacze popędzali osły, ciężko objuczone kosztami z ziemią.

Kapitan Lamerskeni stał oparty o pień palmy, żuł łądygę papirusu i z niedowierzaniem spoglądał na wszystkie te poczynania.

— Rozkaz wydał Pianchi — powiedział Puarma. — Zaufaj mu!

— Brać fortecę przy pomocy osłów! I ty naprawdę w to wierzysz?

— Zapominasz o katapultach.

— Nie znam się na tych machinach.

— Wśród oddziałów przybyłych z Napaty jest specjalna jednostka do ich obsługi.

— Piasek w oczy i nic więcej!

— A ty w kółko swoje, bo twoi ludzie nie idą tym razem w pierwszej linii.

Lamerskeni zaczął pomrukiwać jak niedźwiedź.

Z wysokości wieży strażniczej Nemrod przyglądał się przygotowaniom Nubijczyków i nic nie rozumiał. Dowódca twierdzy też nie wiedział, co myśleć.

— Dlaczego nie ruszają do szturmu?

— Zadziwiający. A przecież dobrze znamy zwyczaje nubijskich wojowników.

— Po co te dziwne maszyny?

— Nigdy nie widziałem niczego podobnego, książę. Moim zdaniem nie wiedzą, jak się do nas dobrać, i chcą nas przestraszyć.

Ogromny głaz wystrzelony z katapulty zniszczył na murach kilka blanek z nie wypalanej cegły, zabił dwóch łuczników libijskich i kilkunastu ranił. Obsługa tej nubijskiej katapulty już przy pierwszym strzale dobrze mierzyła.

Prawie jednocześnie zaczęło strzelać dwadzieścia katapult, powodując ciężkie straty wśród obrońców na murach.

Pianchi skinął na poganiaczy osłów, że pora ruszać. Za osłami poszły woły, ciągnąc wozy z tonami ziemi. Ten pochód i wyładunek osłaniałi łucznicy Puarmy. Stojąc na wysokich platformach, kładli pokotem Libijczyków, z których bardzo niewiele zdążyło wystrzelić. Strzały z łuków i pociski z katapult padały gęsto i celnie, zginęło wielu obrońców miasta, a saperzy formowali tymczasem nasyp, który miał opasać mury obronne i sięgnąć aż do trzech czwartych ich wysokości.

Mury Hermopolis nie były już przeszkodą.

Łucznicy Puarmy bez najmniejszych strat zdobyli pozycje obrońców na murach. Gdy dołączył do nich Pianchi,

stwierdził, że oporu miasta nie złamano jednak ostatecznie.

W pałacu, zbrojowni, w koszarach i spichrzach trzymały się jeszcze niedobitki. Ale nad uliczkami i placami, gdzie leżały sterty trupów, unosił się już odór zgnilizny. Wkrótce Hermopolis nie będzie miało czym oddychać.

Lamerskeni niecierpliwił się.

— Wasza Królewska Wysokość, teraz kolej na mnie.

Moi żołnierze szybko załatwią się z tymi tchórzami.

— Nie łudź się, kapitanie. Ci tchórze w obronie życia walczyć będą zajadle. Po co narażać naszych żołnierzy?

— Więc... więc co rozkażesz?

— Czekać na reakcję naszego byłego sprzymierzeńca, Nemroda.

— Wkrótce wszyscy zginiemy — przepowiadał dowódca twierdzy. — Miesiąc, może dwa będziemy w stanie się opierać, ale potem...

Pogląd zwierzchnika podzielali wszyscy oficerowie. Nobile zaczęli jęczeć, przewidując los, jaki zgotuje im Czarny Faraon.

Nemrod zmarszczył brwi.

— Musimy się opierać — rzekł. — Więcej, musimy uderzać. Pianchi myśli, że już zwyciężył, pokażemy mu, że się myli.

— Miasto jest otoczone — przypomniał dowódca. —

Straciliśmy połowę ludzi, a wojska Pianchiego nie poniosły żadnych strat. Jeśli zrobimy wycieczkę, zniszczą nas do reszty.

— Co proponujesz?

Dowódca zwiesił głowę.

— Pertraktacje, Książę Nemrodzie.

— Masz na myśli... kapitulację?

— Myślę, że to najlepsze wyjście.

— Czyś ty oszalał? Pianchi wszystkich nas wymorduje.

Głos zabrał jeden z dostojników.

— Byłeś jego sojusznikiem, Nemrodzie, i zdradziłeś go.

To ty odpowiesz przed Pianchim, a nie miasto. Czarny

Faraon nie ma żadnych powodów, żeby się mścić na mieszkańcach, jeśli kornie poddadzą się jego woli.

— Jestem waszym księciem i to mnie winniście posłuszeństwo!

— Dowódca ma rację! Trzeba pertraktować.

Najbogatsi dostojnicy Hermopolis — włosy zaplecione w warkoczyki, cienkie i postrzyżone w szpic bródki, kwieciste szaty — wyszli z bramy pałacu Nemroda.

Nubijscy łucznicy na murach napięli łuki.

— Nie strzelać! — rozkazał Puarma. — Nie mają broni.

Wysłannicy, trzymając w rękach skrzynki pełne złota,

szlachetnych kamieni i drogich tkanin, minęli plac zasłany trupami poległych Libijczyków i stanęli przed furcą w murze miasta, gdzie czekał na nich Lamerskeni. Najstarszy zwrócił się do kapitana.

— Czy pozwolisz łaskawie, byśmy złożyli te dary u stóp faraona?

— Najpierw was obszukam.

Tę ponizającą procedurę notable znieśli bez szemrania.

Potem Lamerskeni zaprowadził ich w głąb obozu.

Pianchi siedział na tronie z połączanego drewna, a słudzy wachlowali go dla ochłody.

Rzecznik delegacji skłonił się przed nim.

— Zechciej, Wasza Królewska Wysokość, przyjąć te dary od miasta Hermopolis. Zebraliśmy te bogactwa, by ci je ofiarować. Nasze miasto pada przed tobą na twarz, czcząc twoją wielkość i błagając cię o łaskę.

— Przysłał was Nem rod?

— Samiśmy tak postanowili, on tylko wyraził zgodę.

— Dlaczego nie przyszedł tu z wami?

— Lęka się twego gniewu i...

— I słusznie — przerwał Pianchi. — Kiedy wreszcie otworzy przede mną bramy tego miasta, które jest moje, a on mi je ukradł?

— Wasza Królewska Wysokość, zechciej zrozumieć oba-

wy Nemroda.

— Twój książę jest zwykłym buntownikiem, a co gorsza zdrajcą! Jakiż król okazałby tyle słabości, by udzielić przebaczenia komuś, kto nie zasługuje na nie?

Rzecznik drżał z przerażenia, próbował jednak bronić sprawy miasta.

— Nemrod ciężko zawinił i ubolewamy nad tym. Czy jednak Hermopolis powinno ponosić skutki twego słusznego gniewu? Jego mury obronne leżą w gruzach, zginęła połowa załogi. Dziś nasze rodziny żyją w trwodze i nikt nie wie, co czeka go jutro.

Czarny Faraon wstał.

— Nemrod i Hermopolis pogwałcili prawo bogini Maat, zapomnieli o złożonej mi przysiędze wierności. Czyż taka zbrodnia nie zasługuje na jak najsurowszą karę?

Kochanka Nemroda nacierała mu plecy rzadką i drogą oliwą z moringi, nie była jednak w stanie go ukoić. Czułe pieczyoty okazały się równie nieskuteczne i dziewczynie zrobiło się przykro, gdy Nemrod szorstko ją odepchnął.

Na progu stała jego prawowita żona, Nezeta.

— Po coś tu przyszła?

— Jeśli przeszkadzam ci w miłostkach, przyjdę później.

— Zmykaj! — rzucił Nemrod kochance.

Odeszła urażona.

— Wszyscy zginiemy — rzekł książę do Nezety. — Pian-

chi nie będzie miał cienia litości ani dla mnie, ani dla

mieszkańców naszego grodu. Przykro mi, moja droga.

Nigdy nie będziesz wielką damą na dworze Tefnachta.

— Skoro nie ma nadziei na uniknięcie gniewu Czarnego

Faraona, pozwól mi podjąć ostatnią próbę pertraktacji.

Nemrod zdziwił się.

— A to jak?

— Jestem twoją małżonką, więc poprowadzę orszak ko-

biet i dzieci. Będziemy błagały Pianchiego o litość.

— Nie macie żadnych szans na sukces.

— Niech przynajmniej spróbuję.

Lamerskeni spoglądał podejrzliwie na mijający go dziwny pochód, na którego czele z dumnie podniesionym czołem

kroczyła skromnie ubrana kobieta. Nie odważył się jej
obszukać, doradził jednak Puarmie, by był w pogotowiu i w
razie zagrożenia przebił ją jedną strzałą. Za Nezeta
postępowało kilkadziesiąt kobiet z dziećmi — jedne były
wystraszone, inne prawie rozbawione widokiem groźnie
wyglądających wojowników nubijskich. Jakaś dziewczynka
dotknęła tarczy żołnierza, a on wziął ją na ręce i poszedł
razem z pochodem, opowiadając małej bajkę z dalekiej
Nubii.

To niezwykle poselstwo przyjęła królowa Abilea.

Nezeta uklękła.

— Jestem małżonką Nemroda i przyszedłam tu błagać cię o
darowanie nam życia.

— Wstań.

— Nie wcześniej, aż dasz mi słowo faraona.

— Sądysz, że gotów będzie okazać łaskę?

— Czy król Egiptu jest władcą bez serca?

— Chodź za mną!

Królowa Abilea wprowadziła Nezeta do namiotu, gdzie
na sykomorowym krześle z nogami w kształcie byczych
kopyt siedział Pianchi i gasił pragnienie, popijając z kubka
chłodne mleko.

Szlachetna postawa przybyłej wywarła na nim wrażenie.

— Wasza Królewska Wysokość, nazywam się Nezeta.

Na swoje nieszczęście zostałam żoną Nemroda, bo go kochałam. Unieszczęśliwił mnie tak bardzo, że straciłam całą radość życia. Dziś chciałabym się stać orędowniczką mojego miasta i jego mieszkańców.

Wtłoczono ich w jarzmo zdrajcy i zmuszono do posłuchu. Karać tych ludzi to byłaby niesprawiedliwość. To Nemrod, i tylko on, winien odpowiadać za swoje czyny.

— W takim razie — osądził Pianchi — niech stawi się przede mną.

Nemrod z uwagą wysłuchał słów żony, nie ośmielając się jej przerywać. Co mu proponowała? Wyrok śmierci! Stawić się przed Pianchim? Toż to byłoby samobójstwo! Nezeta z najwyższą powagą wzywała męża do okazania odwagi, gdyż tylko dzięki temu tysiące ludzi ocali życie, miastu oszczędzone zostaną straszliwe cierpienia, a on sam okaże się władcą, któremu los poddanych leży na sercu.

Żadna dotychczas kobieta tak sobie z niego nie zadrwiła, nigdy nikt tak go nie poniżył, i to nawet nie podnosząc głosu.

Nezeta oddaliła się, pozostawiając Nemroda samego w obliczu odpowiedzialności.

Nemrod kochał swoje miasto, ale nie aż tak jak siebie samego. Pozostawało mu więc tylko jedno wyjście: podjąć próbę ucieczki i dotrzeć do Tefnachta.

Wartownicy zmieniali się zaraz po świcie. Przez kilka minut dostęp do dolnej bramy będzie wolny. W chłopskim przebraniu pójdzie obok spichlerzy, minie plac ćwiczeń, przekroczy zewnętrzny mur i prześliznie się przez linie nieprzyjaciół. Ryzykowne przedsięwzięcie, ale przecież nie ma nic do stracenia.

Otworzył drzwi komnaty.

Tu czekała na niego żona, a przy niej kilku wartowników.

— Radni miejscy, oficerowie i lud, wszyscy są zgodni — odezwała się Nezeta. — Książę Hermopolis powinien stawić się przed swym monarchą.

Strach.

Ohydny strach, od którego skóra lepi się do książęcych szat i pokrywa ostrym potem, strach, wobec którego wola Nemroda jest bezsilna. Gdyby przynajmniej zemdlał i pogrzył się w niebycie! Wciąż jednak szedł przed siebie niby pijany, który na swoje nieszczęście zachowuje pełną świadomość. Wreszcie, pod nienawistnymi spojrzeniami tysięcy wojowników, wkroczył do obozu nubijskiego.

Gdyby Lamerskeni nie miał rozkazu doprowadzić przed oblicze faraona Nemroda całego i zdrowego, chętnie zgromadziłby mu głowę swą akacyjową ręką. Kapitan jednak sądził, że Pianchi zechce osobiście nasycić swój gniew...

Może da wojsku wspaniałą pokaz tortur, przypominając w

ten sposób Nemrodowi, że dane słowo to rzecz święta.

Puarma uniósł skraj królewskiego namiotu i wpuścił księcia, który stanął na progu i zastygł w bezruchu.

— Wchodź! — Lamerskeni szturchnął jeńca w plecy.

Nemrod zamknął oczy, w nadziei że koszmar zniknie.

Gdy znów je otworzył, ujrzał naprzeciwko siebie atletyczną postać Czarnego Faraona.

— Jesteś, Nemrodzie, jak zwykle elegancki. Reputacja nie pozbawiona podstaw...

— Wasza Królewska Wysokość... Czyż nie przyznasz, że serce ludzkie to ster, który niekiedy pogrąża swego właściciela, gdyż jest w rękach Boga? To Bóg rozstrzyga o naszych losach i czyni z nas to, czym jesteśmy. Serce zaprowadziło mnie na manowce i wciągnęło na złą drogę. Dzięki tobie pojąłem własne błędy i przychodzę błagać cię o wybaczenie.

Pianchi dobył sztylet z pochwy i jął przyglądać się ostrzu.

— Masz rację, Nemrodzie. Serce pojmuje, myśli, wydaje rozkazy członkom, kieruje językiem i daje zdolność poznawania. „Służ swemu sercu przez cały czas żywota”, pisał mędrzec Ptahhotep. „Nie rób więcej nad to, co ci polecono, i nie pomniejszaj czasu służby swojemu sercu: dusza bowiem brzydzi się, jeśli odejmujesz mu nawet jedną chwilę” *. Ten, czyje

serce jest mocne i stałe, kto nie jest niewolnikiem
swych żądź i swego brzucha, ten tylko może liczyć, że
boskość mu się objawi i doń przemówi. Czy dotyczy
to i ciebie, Nemrodzie?

— Nie, Wasza Królewska Wysokość.

— Starzy mędracy twierdzą, że czterej nasi wrogowie to
chciwość, głuchota, niedbałość i upór. Czy ci
wrogowie nie pokonywali cię kolejno?

— Dzisiaj jedynym zwycięzcą jesteś ty i pragnę znów
stać się twoim sługą.

— Życie porównać można do szachownicy złożonej z
białych i czarnych pól. Jedne są dla nas pomyślne,
inne nie. A potem przychodzi śmierć. To nie ona jest
ważna,

* *Rylcem i trzcina* — przekład T. Andrzejewski, A. Szczudłowska.

ważny jest stan ducha, w jakim nas zastaje. Czy gotów jesteś
umierać, Nemrodzie?

Księżę Hermopolis przyklęknął, nie odrywając oczu od
ostrza sztyletu.

— Nie, Wasza Królewska Wysokość, nie jestem gotów.

Śmierć przeraża mnie i nawet starość nie odbierze mi
umiłowania życia.

— Co może zaofiarować mi zdrajca?

— Wszystkie skarby Hermopolis należą do ciebie. Złoto,

srebro, lapis-lazuli, turkus, brąz... Podatki otrzymywać
będziesz regularnie i wszyscy będą ci ślepo posłuszni,
a ja pierwszy.

— Znalazłem już twojego następcę, Nemrodzie.

Księżę powoli wstał, wciąż nie mogąc oderwać wzroku
od ostrza sztyletu. Chciał przynajmniej umrzeć stojąc.

Mimo przerażenia zadał pytanie, które paliło mu wargi.

— Kto... kto nim jest, o panie?

— Ty sam, Nemrodzie. Któż inny potrafiłby tak roz-
tropnie rządzić tym miastem?

Zimna Głowa pisał sprawozdanie do królewskich archiwów i kręcił nosem.

— Co ci się nie podoba? — zapytał Pianchi.

— Nie zmuszaj mnie, Wasza Królewska Wysokość, do krytykowania twoich decyzji. Zawsze wiernie ci służyłem i nadal będę służył.

— Pozwól, Zimna Głowo, niech trochę pozgaduję.

Chciałeś, żebym kazał torturować Nemroda przed całym wojskiem, prawda?

— Nie lubuję się w okrucieństwie... Zrozum jednak, panie, że zatwierdzenie zdrajcy na stanowisku może urazić wielu porządnych ludzi.

— Mojej rzeczywistej decyzji nikt jeszcze właściwie nie ocenił. Czy królowa gotowa?

— Czeka na Waszą Królewską Wysokość.

Pianchi i Abilea zasiedli na tronie. Zbliżyli się książę Hermopolis Nemrod i jego małżonka Nezeta, która trzymała w prawej ręce sistrum ze złota, a w lewej drugie, z lapis-lazuli. Metalowe pręty instrumentów delikatnie potrząsane drgały, wydając dźwięki odpędzające złe moce.

Za żołnierzami nubijskimi cisnęła się ludność miasta, zaciekawiona, co powie Czarny Faraon.

— Hermopolis — oświadczył Pianchi — wskutek po-

stawy Nemroda doznało ciężkich ran. On zatem powinien je opatrzyć, a pokój, który właśnie przywróciłem, wykorzystać dla zapewnienia miastu pomyślności. Każdy, kto uzna swoje błędy, będzie mógł się poprawić, byleby tylko nie schodził więcej z drogi bogini Maat. Czy zobowiązujesz się wreszcie, Nemrodzie, dobrze wypełniać swoje obowiązki?

— Na imię faraona i na moje własne życie zobowiązuję się.

— Zważywszy na ciężkie błędy, jakich się dopuściłeś, nie byłoby dobrze, gdybyś władzę sprawować miał sam. Dlatego to twoja małżonka zostaje moją specjalną przedstawicielką przy tobie i będzie zdawać mi sprawę z twoich poczynań i zachowania. W przypadkach spornych decyzja należy do niej.

Małżonka twoja przewodniczyć będzie radzie starszych, zarządzać majątkiem miasta i dbać o dobro jego mieszkańców, które ma być jedynym celem i dla ciebie.

Na szlachetnej twarzy Nezety nie znać było żadnego wzruszenia, natomiast Nemrod zachwiał się jak uderzony berłem faraona.

— Panuj nad sobą — szepnęła mu żona. — Nie zapomnij, że ksiązę Hermopolis powinien dawać przykład. Z piersi mieszczan dobył się śpiew: „Jak wspaniałe są

twoje czyny, o Pianchi, Synu Światłości. Ty, co niesiesz nam pokój, osłaniaj powiat Zająca i nasze miasto i pozwól świętować".

Kapłan-ofiarnik z zachowaniem rytuału i pod okiem Zimnej Głowy ubił wołu, którego weterynarz uznał wcześniej za zwierzę czyste. Odciął mu prawą tylną nogę, symbol siły, potem umaczał sobie rękę we krwi zwierzęcia i wyciągnął ją w stronę kapłana bogini Sechmet. Ten obwąchał rękę i natychmiast wydał orzeczenie: energia zwierzęcia jest zdrowa i doda *ka* wszystkim tym, co jeść będą mięso.

Hermopolis, uspokojone, swobodne i szczęśliwe, otwarło na oścież swe wielkie bramy przed Czarnym Faraonem, który przeszedł wysadzaną tamaryszkami aleją i wstąpił do świątyni Amona. U wejścia przed pylonem stały dwa olbrzymie posągi Ramzesa Wielkiego. Oddawszy cześć ukrytemu bogu, Pianchi udał się do wielkiej świątyni Tota. Tu, u stóp wielkiego, pięciometrowego kamiennego pawiana, powitał faraona arcykapłan, uśmiechnięty staruszek, który już jako osiemnastoletni chłopiec wprowadzony został w misteria boga wszechwiedzy. Ujrzał, że cień boga osłania faraona, a jego działaniem kieruje niebiańskie *ka*.

Pianchi, zachwycony, zwiedził park, gdzie znajdowały się sadzawka lotosów, miejsce narodzin pierwszego słońca,

Wyspa Płomieni i Jezioro Dwóch Noży, miejsca zwycięskiej walki boga z ciemnościami, a także świątynia prajaja, w którym mieściły się wszystkie pierwiastki tworzenia.

Nemrod rozmyślał.

Został wprawdzie poniżony w oczach mieszkańców miasta, ale jego życiu nic nie grozi. Ma również pewne przywileje, i to nie byle jakie. Będzie oczywiście musiał podporządkować się żonie, ale tytuł księcia Hermopolis zachowuje. A może uda mu się jeszcze przekonać Pianchiego, że tak jak w przeszłości, tak i teraz tylko on, Nemrod nadaje się tu na namiestnika, Nezeta zaś nie ma ani dość sił, ani kompetencji, by zarządzać tak wielkim miastem?

Trzeba było tylko poczekać, aż Czarny Faraon wyjdzie wreszcie ze świątyni Tota, gdzie od wielu już dni studiował stare teksty mitologiczne i spędzał długie godziny na rozmowach z kapłanami, rozkoszując się ich rozległą wiedzą. Król wyszedł wreszcie ze świątyni i zgodził się zajrzeć do pałacu.

— Wasza Królewska Wysokość — Nemrod był pełen entuzjazmu — pokażę ci cuda! Czy jeśli zdołam cię olśnić, pozwolisz mi, bym lepiej bronił swojej sprawy?

Oblicze Pianchiego pozostało nieprzeniknione.

Wciąż podrygując, Nemrod prowadził faraona przez sto pięćdziesiąt komnat pałacu. Wszystkie skropione były won-

nościami i wszystkie tonęły w kwiatach. W sali posłuchań, w salonach przyjęć i w pokojach mieszkalnych stały otwarte skrzynie pełne złota, klejnotów, tkanin i pachnideł.

Pianchi nie zdradzał jednak żadnych oznak podziwu.

Szedł obojętnie, jak gdyby wszystkie te wspaniałości w ogóle go nie interesowały.

Nemrod, choć zawiedziony, bynajmniej się nie zniechęcał.

A może monarcha ukrywa swoje prawdziwe oblicze? Zresztą... Jest jeszcze ostatni skarbiec, który oczaruje najsurowszego nawet człowieka.

Księżę Hermopolis demonstracyjnie odsunął zasłonę.

— Wasza Królewska Wysokość, oto moje najkosztowniejsze skarby... Należą do ciebie.

Na kolorowych poduszkach spoczywało dziesięć wspaniałych stworzeń, nagich i starannie umalowanych dziewcząt. Jedne czytały poematy, inne grały słodkie melodie na lutniach lub małych harfach.

— Zaprowadź mnie do stajni, Nemrodzie.

— Do stajni?... Jeśli chcesz konia, natychmiast każę ci go podstawić.

— Nie lubię powtarzać rozkazów.

— Tak, tak...

Do tego śmierzącego i przeznaczonego tylko dla komuchów miejsca Nemrod nie zaglądał jeszcze nigdy. Pianchi z

pewnością wystawia go na próbę. Prowadził go więc ku stajniom, wesół i rozmowny.

Pianchi zatrzymał się przed składem paszy. Wziął garść ziarna i upuścił je na posadzkę.

— Lepi się — stwierdził.

— Czy to... czy to takie ważne?

— Gdyby to ziarno było wysuszone jak należy, odbijałoby się od posadzki. Ta pasza niewiele jest warta.

— Zajmę się tym, Wasza Królewska Wysokość.

Pianchi podszedł do konia, który miał obrzęk na oku, łeb i nogi pokrywały mu ciemne plamy. Zwierzę, zrazu przestraszone, potem dało się pogłaskać.

— Ma gorączkę... Dlaczego nie jest leczony?

— Będzie, przyrzekam ci.

Król wszedł do jednej z przegród. Stojący **tu koń miał** zwichnięte biodro i nadwreżone mięśnie.

— Podać mi tu maść!

Osobiście natarł zwierzę, którego grzbiet był tak zwiotczały, że strach byłoby ich dosiąść. Wdzięczne oczy pacjenta poruszyły Pianchiego.

— Konie masz poranione, zagłodzone i zaniedbane. Tak jak prawdą jest, że żyję i że bóg Amon mnie kocha, tak widok tych sponiewieranych zwierząt boli mnie bardziej niż wszystkie twoje zbrodnie. Twoje skarby, Nemrodzie,

każę przenieść do świątyni w Karnaku. A ty, wyrodny

książę, bądź szczęśliwy, że jestem tak łaskawy.

Nubijczycy świętowali do późna w nocy, opychając się swoimi ulubionymi potrawami: jajkami, zsiadłym mlekiem i koźlęcina. Lamerskeni, choć nieźle pijany, zachował jednak dość sprawności umysłu, by pokrzykiwać na swoich drzemiących żołnierzy i obiecywać im wspaniałą walkę przy zdobywaniu Herakleopolis. Tym razem pokażą, ile są warci, i dokonają czynów, o których pamiętać będą przyszłe pokolenia.

Z tarasu pałacu w Hermopolis Pianchi przyglądał się świętującemu miastu. Abilea delikatnie ujęła go za lewe ramię.

— Nie dopuściłeś do rzezi, Pianchi.

— Opatrzono również konie... Mieliśmy jednak dużo szczęścia. Nemrod tak bardzo kocha sam siebie i tak uwielbia kompromisy, że nie odważył się narazić miasta na zniszczenie. Z Tefnachtem nie pójdzie tak gładko. On ma przed sobą jasno wytknięty cel i prędzej poświęci wszystkich swoich ludzi, niż ustąpi.

— Dużo myślałam o Nemrodzie...

— Czyżbyś miała do mnie pretensje, że nie dość surowo go ukarałam?

— Ten człowiek ma ogromny talent do zrad. Jak myślisz, może dałoby się to spożytkować do celów

pokojowych?

— Co masz na myśli, Abileo?

W miarę jak królowa przedstawiała swój plan, Pianchi coraz goręcej dziękował bogom, że dali mu za żonę tak wyjątkową kobietę.

Tefnacht szalał.

— Dzięki mnie — krzyczał do Nartreba i Jegeba — uzyskaliście bogactwa i wpływy. Majątek nadal powiększacie sposobami, o których wolę nic nie wiedzieć. Żądam jednak w zamian informacji o ruchach wojsk Pianchiego.

— Panie — odezwał się przymilnym głosem Jegeb — nie mamy prawa cię zwodzić. Niczego nie wiemy na pewno, tak sprzeczne docierają do nas informacje.

Według jednych Czarny Faraon zawrócił już do Nubii, według innych od szeregu dni oblega Hermopolis.

— Nie ścierpię takiej niepewności! Radźcie sobie, jak chcecie, ale muszę wszystko wiedzieć!

Do gabinetu generała weszła z rozpromienioną twarzą Jutrzenka.

— Czy zamiast tracić tu czas na czczą gadaninę nie wolałbyś, mój drogi, dowiedzieć się czegoś o tym, co w Her mopolis?

Nartreb wykrzywił się gniewnie.

— Za pozwoleniem, rozmawiamy tu o sprawach poważnych i...

— Księżę Nemrod prosi o posłuchanie... Nie sądzisz, że to coś poważnego?

Wiadomość z szybkością pędzącego szakala obiegła miasto. Tefnacht uznał więc, że trzeba wezwać do pałacu cały dwór. W wielkiej sali kolumnowej stawił się wkrótce Nemrod, elegancki i swobodny, a jego postawa uspokoiła obecnych.

— Ogromnie się cieszę, że znowu cię widzę, Tefnachcie.

— Bardzo cieszy nas twoje przybycie, Nemrodzie. Czy oznacza ono, że Hermopolis jest wolne, a Pianchi zwinął oblężenie?

— Czarny Faraon urządził wielką demonstrację siły.

Jego wojska ruszyły do szturm na mury miasta i musiały się sromotnie wycofać. Wobec ogromu strat Nubijczyk nakazał odwrót. Teraz trzeba będzie wykurzyć go z Teb.

Wojownicze wystąpienie księcia Hermopolis zostało przyjęte burzliwymi oklaskami. Tefnacht podszedł do niego, złożył mu gratulacje i zaprosił na wspólną ucztę.

Herakleopolis świętowało. Pod rozbawionym okiem biesiadników, którzy osuszali jeden po drugim kolejne dzbany szczerze rozdzielanego piwa, przybrani w girlandy kwiatów chłopcy i dziewczęta bawili się w ganiego, to łapiąc

się, to znów uciekając.

Podczas gdy Tefnacht i Jutrzenka, oboje tryumfujący, odprawiali jednego po drugim niezliczonych petentów, Nemrod siedział pod wielką palmą i zażywał chłodu w towarzystwie Akanosza i księcia Herakleopolis, Peftau.

Ten ostatni trochę przytył, a na jego rumianej twarzy gościł wyraz prawdziwej satysfakcji.

— Cóż za wspaniały wieczór, przyjaciele — mówił. —

Jakże słusznie postąpiliśmy, idąc za Tefnachtem, który poprowadził nas do tak wspaniałego zwycięstwa.

Teraz przyjdą dalsze, wiele dalszych. Dziś jestem pewien, że wkrótce wkroczymy do Teb i przywitają nas tam jako wyzwoliciele.

— Ta wojna nuży mnie — stwierdził Akanosz. — Chętnie wróciłbym do siebie do Delty i zapomniał o całym tym konflikcie.

— Nie mów tak — skarcił go Peaftau. — Nikomu z nas nie wolno opuszczać Tefnachta w chwili, gdy nasze wojska szykują się do ostatecznego rozgromienia Czarnego Faraona!

— Niech cię tak nie ponosi — doradził Nemrod.

— Dziwi cię mój entuzjazm, zdaje się, ale bardzo się bałem, że mury obronne Hermopolis nie okażą się dość mocne, by powstrzymać żołnierzy Pianchiego.

Teraz jestem już spokojny i...

— ...nie masz racji — dokończył Nemrod.

Księżciu Peaftau krew napłynęła do twarzy.

— Nie rozumiem cię.

— Posłuchaj mnie uważnie, Peftau, a ty też, Akanoszu.

Najcenniejszym waszym dobrem jest życie,

nieprawdaż?

— Oczywiście, Nemrodzie, ale skąd to pytanie?

— Bo bardzo szybko je straciecie, jeśli podejmiecie niewłaściwą decyzję.

— Od decydowania jest Tefnacht — zauważył Akanosz

— a nie my.

— Tak, ale nie w tych okolicznościach.

— Czy mógłbyś nam wreszcie wyjaśnić, o co chodzi?

— Kłamałem.

Akanosz i Peftau spojrzeli na siebie, niczego nie rozumiejąc.

— Kłamałeś?... Kiedy?

— Czarny Faraon zajął Hermopolis.

— Kpisz sobie z nas, Nemrodzie!

— Próbowałem stawiać opór, ale Pianchi rozporządza

sprzętem, wobec którego wszystkie nasze mury są na

nic. Ma katapulty, które miotają ogromne gązdy,

rozwalają mur i zabijają obrońców. Ma w dodatku

oddziały inżynieryjne i łuczników.

— Wynikałoby stąd, że Pianchiemu nie oprze się żadna twierdza? — zaniepokoił się książę Peftau.

— Taka jak Hermopolis na pewno nie. Mury twojego miasta, Peftau, nie okażą się mocniejsze od moich.

— A co... co się stanie, gdy Czarny Faraon na nas uderzy?

— Zginą tysiące Libijczyków, ale i mieszkańców twojej prowincji. Herakleopolis dozna ciężkich zniszczeń i wpadnie w ręce Pianchiego.

— Nie możemy dopuścić do takiej katastrofy.

— To jest właśnie powód, dla którego przybyłem tu i przekazuję wam prawdę, o której Tefnacht nie ma prawa się dowiedzieć. Dziś w nocy wracam do siebie złożyć sprawozdanie z tej wizyty faraonowi, który jest jedynym władcą Egiptu.

Książę Peftau był całkowicie zbity z tropu.

— A my?... Co my mamy robić?

— Sam powiedziałaś. Nie dopuścić do katastrofy.

Po miłosnej nocy, w czasie której Jutrzenka grała na wszystkich rejestrach pożądania kochanka, Tefnacht podjął wreszcie decyzję. Zaatakuje Teby głównymi siłami, do których dołączą załogi Herakleopolis i Hermopolis. Pianchi w odwrocie nie będzie się spodziewał tak gwałtownego i tak potężnego uderzenia. Albo nadal będzie się cofał i odda pole wojskom Północy, albo stawi opór i poniesie ogromne straty. Tak czy owak czeka go klęska, pod warunkiem że natarcie wyjdzie z Memfisu.

— Jadę z tobą — rzekła Jutrzenka. — Na miejscu zajmę się przygotowaniem do koronacji.

Naczelnny wódz pogłaskał ją po piersi.

— Czy naprawdę chcesz być królową Egiptu?

— Rób ze mną, co chcesz, bylebyś wygrał tę wojnę.

— Jesteś ode mnie znacznie młodsza, Jutrzenko... Co będzie, jeśli się zakochasz w kimś innym?

Zielone oczy Jutrzenki zabłyśły gniewem.

— Czy sądzisz, że królowa Egiptu może być aż tak głupia, żeby stać się niewolnicą swoich zmysłów? Będzie myślała tylko o odbudowie tego kraju, a na to całe jej długie życie może okazać się za krótkie.

Tefnacht odsunął się i wpatrzył się w nią.

— Wiem, co chcę z tobą zrobić, Jutrzenko, i wiem również, że będziesz nosiła swoją godność lepiej niż jakakolwiek

inna kobieta.

Nartreb i Jegeb mieli dwóch głównych wrogów, z którymi szczególnie trudno było im walczyć: kobiety i upał. Wskutek tego ostatniego puchły im nogi w kostkach i palce u nóg, a nawet mózgi działały wolniej. Powrót na Północ, choćby na kilka dni, wydawał im się uśmiechem losu, choć nie zdołali jeszcze pozbyć się Jutrzenki, której wpływ na Tef-nachta nadal sprawiał im kłopoty.

Pakowali właśnie do drewnianej skrzyni garnuszki z odświeżającą maścią, gdy jakiś człowiek o szczurzej twarzy przybył ze swoim sprawozdaniem.

— Masz wreszcie coś, co mogłoby skompromitować księcia Akanosza? — zapytał zdenerwowany Nartreb.

— Niestety, nie, ale...

— Za godzinę wyjeżdżamy i nie mamy czasu na dyskusje.

Rób swoje i oby z lepszym skutkiem.

Agent nie ustępował.

— Wydaje się, że życiorys księcia Akanosza jest bez skazy, ale intryguje mnie jeden drobiazg.

— Jaki? — zainteresował się Jegeb.

— Chodzi o żonę księcia... Nikt nie umie mi powiedzieć, co robiła przed wyjściem za mąż.

— Nieważne — stwierdził Nartreb.

— A może ważne — wtrącił Jegeb. — Załóżmy, że żona

Akanosza ma coś do ukrycia... Węsz dalej — zwrócił się do człowieka o szczurzej twarzy. — Gdy wrócimy, postaraj się już mieć coś istotnego, jeśli zależy ci na dobrej zapłacie.

Tefnacht i jego dwór, do którego należał również Akanosz, wyruszyli z Herakleopolis o pierwszej godzinie dnia.

Towarzyszyła im eskorta wozów bojowych i łuczników.

Potężna armia libijska miała niebawem opuścić bazę na tyłach, przejść przez Środkowy Egipt i zająć Południe.

Pianchi zostawił w Hermopolis ledwie stu żołnierzy piechoty pod dowództwem żony Nemroda, która od chwili objęcia funkcji okazała się i kompetentna, i konsekwentna.

Mąż znaczył dla niej tyle co pióro w ręku pisarza, nawet jeśli pozostawał arbitrem elegancji.

Nemrod wrócił do miasta i ogarnęły go wątpliwości. To prawda, wykonał zadanie, oszukał Tefnacha, wyjawiał prawdę Akanoszowi i księciu Peftau, ale co zrobi ten ostatni? Przecież wciąż pozostaje pod urokiem Tefnacha i wierzy w ostateczne zwycięstwo Północy. Według Nemroda generał uda, że opuszcza miasto, by tym lepiej przygotować pułapkę.

Kapitan Lamerskeni mimo pogardy, jaką darzył księcia Hermopolis, podzielał to zdanie. Peftau to też zdrajca i z pewnością uprzedził Tefnacha, który pozwolił Nemrodowi

swobodnie wyjść z miasta po to tylko, by wpoić w niego przekonanie o sukcesie jego misji.

Nubijczycy obiegną Herakleopolis, ustawią katapulty i wysokie platformy, a wtedy wozy bojowe Tefnacha uderzą na nich z flanki i spróbują zniszczyć maszyny oblężnicze.

Lamerskeni myślał, jak temu zaradzić.

Abilea nie chciała zostać w Hermopolis i Pianchi nie starał się jej przekonać. Raz jeszcze małżonka potwierdziła, że przez cały czas tej niebezpiecznej wyprawy pragnie być przy boku męża. Czarny Faraon wiedział, że magia wielkiej królewskiej małżonki to najskuteczniejsza jego broń.

Zimna Głowa wykorzystał pobyt w Hermopolis na napisanie dziennika kampanii i szeregu sprawozdań. Bez porządnie prowadzonych archiwów żadne państwo nie może długo istnieć. Niestety, trzeba już było wyruszać na Herakleopolis i dopilnować mnóstwa technicznych drobiazgów, do których wojsko niesłusznie nie przywiązywało żadnej wagi. Zimna Głowa tęsknił za pozostawioną w Napacie rodziną. Ileż to dni upłynie, zanim będzie mógł wreszcie uścisnąć żonę i dzieci?

Pianchi dosiadał często Śmiałka i ulubiony gniadosz króla był szczęśliwy, że może przemierzać wielkie przestrzenie. Jego wesoły pysk i skrzące się oczy wyrażały radość życia, która udzielała się wszystkim. Kto ujrzał lśniąca grzywę

pędzącego konia, nabierał nowej energii.

Herakleopolis było już widać.

Mury miasta nie wydawały się słabsze niż w Hermopolis, ale na żołnierzach Pianchiego nie robiło to żadnego wrażenia. Przecież sprzęt użyty przy poprzednim oblężeniu i teraz musi okazać się skuteczny! Wszyscy byli spokojni, wiedząc, faraon będzie oszczędzał życie swoich ludzi. Wojska Południa całkowicie ufały swemu dowódcy.

— Nie posuwajmy się dalej, Wasza Królewska Wysokość — doradzał kapitan Lamerskeni. — Najpierw musimy zapewnić sobie panowanie nad kanałem i nad równiną, potem przegrodzić drogę wozom bojowym, które mogą nadciągnąć tylko od zachodu. Dopiero wtedy ustawimy na pozycjach katapulty i ruchome platformy.

Pianchi z podziwem spoglądał na Herakleopolis, „gród dziecka królewskiego”, wzniesiony w kwitnącym regionie, obejmującym rozległe połacie pól uprawnych i tysiące mniejszych i większych ogródków, które od wielu pokoleń dawały utrzymanie drobnym właścicielom. Monarcha lubił ten sieliski krajobraz, który wkrótce miał się stać polem bitwy.

— Moi ludzie gotowi — zameldował kapitan Puarma.

— Moi też — Lamerskeni nie chciał być gorszy.

— Rozbić namioty i przygotować obozowisko.

Lamerskeniemu nie podobała się ta strata czasu. Natych-

miastowe oczyszczenie wzgórz, wśród których powinny ukrywać się wozy bojowe Tefnachta, byłoby znakomitą przygrywką do wzięcia miasta. Król pragnął jednak dać żołnierzom trochę wytchnienia.

— Wasza Królewska Wysokość — zawołał w osłupieniu Puarma. — Właśnie otworzyła się wielka brama miasta! Królowa Abilea uśmiechnęła się. Była pewna, że jej plan się powiedzie i miasto podda się Pianchiemu bez przelewu krwi.

Księżę Peftau, którego imię znaczyło tyle co „Wietrzny”, poczuł, że wiatr wieje z innej strony. Pierwszy wyszedł więc z miasta, prowadząc dostojników i nie uzbrojonych żołnierzy, którzy nieśli całe naręczą złota, srebra i drogich kamieni. Towarzyszyło im dziesięć pysznych koni, młodych i w pełni zdrowych.

— A może to podstęp? — powiedział nieufnie Lamer-skeni.

Śmiałek równym i pełnym szlachetności krokiem wstąpił na plac przed miastem i stanął nieruchomo na dwa metry przed księciem Peftau, który padł na twarz.

— Bądź pozdrowiony, potężny władco — rzekł tak głośno, jak tylko pozwalał mu na to jego zduszony i drżący głos. — Ciemności owładnęły moim sercem, ogarnął mnie mrok, zrozumiałem jednak swój błąd. Oby blask twego

oblicza przywrócił mi jasność, której tak potrzebuję! Od tej pory będę twym wiernym sługą, jesteś bowiem dalekim bogiem, władcą niezniszczalnych gwiazd.

Czarny Faraon nawet nie spojrzął na podarki. Wjechał do odzyskanego miasta, którego mieszkańcy usłali mu drogę irysami.

Załoga Herakleopolis zbratała się już z Nubijczykami.

Podczas uczty, w której wzięli udział wszyscy miejscowi dostojnicy odziani w tuniki z rozszerzonymi rękawami oraz ich urocze małżonki z kwiatami lotosu we włosach, Peftau nie przestawał pisać pochwał na cześć Pianchiego. Najedzona mangusta faraona spała jednak bardzo płytko.

Gdy Pianchi i Abilea znaleźli się wreszcie sami w najwspanialszym, a przeznaczonym dla nich na stałe pokoju pałacowym, faraon położył się na pozłacanym łożu o nogach w kształcie lwich łap. Czyż to nie dwa lwy, Wczoraj i Jutro, czuwają nad snem śpiącego, by kazać mu umrzeć dla wczoraj i odrodzić się na jutro?

Abilea usiadła u bioder męża i zaczęła łagodnie gładzić go po piersiach. Im więcej upływało lat, tym wyraźniej widziała w nim wcielenie potęgi spokoju, o którą rozbiło się właśnie nieszczęście.

— Czemuś taki zatroskany? — zapytała. — Odzyska-
liśmy właśnie Hermopolis i Herakleopolis. Od tej
pory, dzięki krokom, jakie podjąłeś, te dwa miasta
będą ci już wierne i Środkowy Egipt znów stanie się
zaporą przeciwko najazdom z Północy.

— Nieprawda, że cały Środkowy Egipt, Abileo.

— Chcesz powiedzieć... że myślisz o dalszym marszu na

północ?

Pianchi nie odpowiedział i Abolea podniosła głos.

— Odzyskałiśmy nasze pozycje, Tefnacht nie zagraża już

Tebom... Po co dalej toczyć tę wojnę?

— Bo byłem egoistą i tchórzem. Mój ojciec Amon chciał,

bym został faraonem Górnego i Dolnego Egiptu, ja

zaś spokojnie zażywając szczęścia, zapomniałem o

połowie mojego kraju. Dlatego to właśnie demon

wynurzył się z ciemności. Tefnacht brutalnie

przypomina nam o obowiązkach, Aboleo.

Na pięknej twarzy królowej pojawił się smutek.

— Miałam nadzieję, że zamieszkamy w Tebach, przy

naszej córce, Boskiej Adoratorce, i reszta życia

upłynie nam na oddawaniu czci bogom.

— Jeśli nie poskromimy Tefnacha tak jak węża Apofisa,

który stara się zakłócić bieg łodzi słonecznej, odzyska

on siły i znowu narobi zamieszania w całym kraju, a

nawet i w Nubii. Nie jest to zwykły bunt, jak zrazu

sądziłem, ale prawdziwa wojna. Wojska Tefnacha

wciąż są nie naruszone i stoją na północ od nas.

— Myślisz ó... Memfisie?

— Tak, o Memfisie, tej założonej przez Dżosera stolicy

złotego wieku, mieście o białych murach, pełnym

światła grodzie pochodzącym z czasów piramid i

nazywanym Wagą Dwóch Krajów, punkcie
równowagi i połączenia Deltę z doliną Nilu.

Abilea poczuła ucisk w gardle.

— Między Memfisem i nami jest jeszcze wiele twierdz,
wszystkie w rękach Północy... W dodatku każdy wie,
że Memfis jest twierdzą nie do zdobycia. Nasz ród już
dawno z niego zrezygnował.

— Zbyt dawno, Abileo.

— Pianchi...

— Czyżbyś się bała, królowo Egiptu?

Przytuliła się do niego.

— Tak, boję się... Boję się, że zginiesz w walce, boję się
cierpień, na jakie wystawione będą nasze wojska i
nasz lud, boję się straszliwych następstw porażki.

— Ja też boję się zadania, które przewyższa nasze moż-
liwości, bo brak nam i ludzi, i sprzętu, nie mogę
jednak brać pod uwagę tego strachu.

— Dlaczego, kochany?

— Dlatego że zdradzimy boginię Maat, jeśli nie pójdzie-
my do końca drogi, jaką wyznacza. A ten koniec to
unicestwienie Tefnacha i powrót Dolnego Egiptu oraz
całej Północy do harmonii zjednoczonego kraju.

Z policzkiem na policzku męża, z ręką na jego piersi,
wspaniała Nubijka zaprzestała walki.

— Nawet ja nie jestem w stanie nakłonić cię do zmiany zdania.

— Nie, bo przecież zgadzasz się z moją decyzją. Ty, co posiadałaś magiczną sztukę Izydy, wiesz, że brak stanowczości prowadzi do zawodów i nieszczęść. W walce tej użyjemy wszystkich sił, Abileo. A jeśli mamy umrzeć, umrzemy razem, dziękując bogom, że dali nam tę łaskę.

Człowiek o twarzy szczura nie zdążył zebrać informacji o zonie Akanosza, na przeszkodzie stanęły mu bowiem znacznie pilniejsze sprawy. Musiał jak najszybciej wydostać się z Herakleopolis, dotrzeć do Jegeba i powiadomić go o tragicznych wydarzeniach ostatnich dni. Zadanie było trudne, udało mu się jednak przejść przez linię frontu, pod pozorem, że udaje się do rodziny mieszkającej w wiosce odległej o niespełna kilometr na północ od miasta i najprawdopodobniej znajdującej się już pod władzą Pianchiego. Oficer uznał cynicznie, że najłatwiej będzie to sprawdzić przepuszczając podróznego. Jeśli go zabiją, trzeba będzie obejść wioskę z daleka. Pokonawszy w ten sposób pierwszą przeszkodę, człowiek o twarzy szczura minął pola uprawne, ukradł trochę cebuli i kilka fig i dotarł wreszcie do Nilu w miejscu, do którego jeszcze nie doszły wojska Południa. Żeglarze opowiadali sobie trwożne wieści. Podobno ci nubijscy zbóje będą wkrót-

ce puszczali z dymem wioski, gwałcili kobiety i wyrzynali mieszkańców. Zbiegowi udało się przekonać jednego z nich, by jak najprędzej zawiózł go do Memfisu, trzeba bowiem zaalarmować generała Tefnachta i poprosić go o natychmiastową pomoc.

Statek wielokrotnie zatrzymywała policja rzeczna i człowiek o twarzy szczura musiał się tłumaczyć, niekiedy przez wiele godzin. Tracił w ten sposób cenny czas, który Czarny Faraon z pewnością wykorzysta na dalszy marsz przez Środkowy Egipt. Przeciągająca się podróż nie skończyła się nawet u bram Memfisu, gdyż tu poddano go przesłuchaniu, a potem uwięziono na piętnaście dni.

Wywiadowcę przyjął w końcu jakiś oficer, który jego relację potraktował poważnie i zaprowadził go do biura Jegeba, niedaleko świątyni Ptaha.

— Dlaczego nie czekałeś, aż ja sam wrócę do Herakleopolis? Mam nadzieję, że przynosisz dobre nowiny.

— Och nie, panie. Książę Peftau otworzył Pianchiemu bramy miasta. A Hermopolis Czarny Faraon zajął jeszcze wcześniej.

— Co ty wygadujesz? Książę Nemrod...

— Nemrod kłamał. Znowu jest poddanym Pianchiego, tak jak książę Peftau.

Jegeb poczuł, że puchną mu kostki i zbiera mu się na

wymioty. Chwila była jednak tak poważna, że nie miał czasu zająć się sobą. Zaalarmował czym prędzej Nartreba, który upijał się właśnie w jakimś szynku, i zaprowadził wywiadowcę do kwatery głównej Tefnachta.

Naczelnny wódz uważnie wysłuchał człowieka o twarzy szczura.

— Zapłacić mu — rozkazał — i przydzielić mieszkanie w mieście.

— To było bardzo ryzykowne — oświadczył Jegeb, gdy ślepo oddany mu zwiadowca wyszedł — ale dzięki temu masz dokładne wiadomości.

— Jesteś tego pewien?

— Wodzu, jestem przekonany, że ten człowiek mówi prawdę.

— Ja też, ale co teraz zamierza robić Pianchi?

— Odzyskał dwa miasta, które uważał za swoje, i przywrócił starą granicę. Teraz jest pewny, że nie uda ci się jej przekroczyć.

— Jeśli zna moją stanowczość, wie, że nigdy nie zadowolę się tym, co mam, i że wznowię ataki.

— Pianchi miałby posuwać się dalej na północ? Ależ to by było szaleństwo!

— Ten Nubijczyk ma się za władcę obydwu krain, a więc nie tylko Górnego, ale i Dolnego Egiptu.

— Spali kilka wiosek — odparł Nartreb — a potem uda się do swojego drogiego miasta Teb i będzie się modlił. Gdy uzna, że sytuacja się uspokoiła, sprawimy mu niespodziankę.

Tefnacht ujrzał w wyobraźni Pianchiego, jak zajmuje Środkowy Egipt, a potem kieruje wzrok na Memfis. Sam na jego miejscu postępowałby tak samo. On jednak, Tefnacht, jest urodzonym wodzem, a Pianchi to człowiek Południa, ceniący pokój i przywiązany do tradycji i świętości.

Flota Pianchiego, płynąc w dół rzeki, dotarła do miasta Illahun, położonego na granicy bogatej prowincji Fajum. Atmosfera na pokładach była radosna i tylko kapitan Lamerskeni żałował, że Herakleopolis tak żałośnie się poddało i jego żołnierze nie mogli popisać się swą walecznością.

Robił jednak dobrą minę do złej gry i zasiadł z Puarmą do warcabów, przy czym zawsze wygrywał.

Prestiż Pianchiego wciąż wzrastał. Nie dość że kroczył on od zwycięstwa do zwycięstwa, ale oszczędzał życie żołnierzy. Lamerskeni podsyczał entuzjazm, zapowiadając ciężkie walki. Tacy skruszeni zdrajcy jak Nemrod w Hermopolis i Peftau w Herakleopolis stawiali bardzo słabiutki opór, ale z książątkami innych miast Środkowego Egiptu nie pójdzie tak łatwo! Zawsze wiernie służyli oni Libijczykom i mają teraz powody, by obawiać się wojsk faraona. Będą więc zązaracie bronili swych pozycji.

Pianchi podzielał to zdanie. Żołnierzy nie zamierzał uspokajać, zapowiadał im wręcz, że najgorsze dopiero przed nimi. Czyż nie zawędrowali w dalekie strony, gdzie od dziesiątków lat nie pojawił się żaden Nubijczyk? To poważne ostrzeżenie miało jednak ten tylko skutek, że wzmocniło w żołnierzach wolę walki. Będą się bili za wolność i radość Dwóch Krajów, choćby za cenę własnego życia. Służba pod

rozkazami Czarnego Faraona to zaszczyt, którego przyszłe pokolenia będą im zazdrościły.

Jednakże na widok twierdzy Illahun na pokładach zaległo ciężkie milczenie. Wszyscy wiedzieli, że miasto jest ufortyfikowane, a liczna piechota libijska będzie się biła na śmierć i życie.

Mury były tu wyższe niż w Hermopolis, nie było więc pewności, czy katapulty okażą się równie skuteczne. Pozostawała nadzieja, że Czarny Faraon znajdzie sposób na zwycięstwo.

— *Co byś mi radził, kapitanie Lamerskeni?* — zapytał król.

— Spróbujmy użyć machin... ale na cud bym nie liczył.

— Zgadzam się z tobą. Co jeszcze?

— Strzały naszych łuczników nie spowodują wielkich strat... Spójrz, Wasza Królewska Wysokość, na osłonę korony.

— Zauważyłem, Lamerskeni.

— Trzeba by przystąpić do oblężenia, a to może potrwać, czyli że Tefnacht lekko zdąży wysłać posiłki.

— Niech saperzy usypią rampy pod murami — doradzał Puarma — i nasze kłopoty będą rozwiązane.

— Saperów wystrzelają libijscy łucznicy — sprzeciwił się Lamerskeni. — Zapominasz, że tym razem nie dostaną żadnej osłony.

— Zostawcie mnie samego — uciął dyskusję Pianchi. —

Muszę się zastanowić.

Illahun... Niedaleko stąd faraon Amenemhat Trzeci kazał zbudować słynny labirynt, ogromny pałac o setkach komnat.

Z jego też inicjatywy Fajum zamieniło się w ogromny ogród, gdzie ziemia była tak żyzna, że przeszło to prawie do legendy. Tereny myśliwskie i pełne ryb zbiorniki wodne znajdowały się tu pod opieką Sobka, boga-krokodyła, który wyciągał z prądziora odrodzone słońce i umieszczał je na szczycie kopuły niebieskiej. Czyż nie dlatego nazywano je „Pięknym Obliczem”?

Czarny Faraon niedługo rozmyślał. Gdy wyszedł z namiotu, gdzie odbywała się narada, zatrzymała go Abilea.

— Co zamierzasz?

— I tak się ze mną nie zgodzisz.

— Pianchi... Jesteś królem, dowódcą tych wojsk, nie masz prawa narażać życia.

— Niech chroni mnie twoja magia, Abileo.

Wskoczył na swego gniadosza, który niby rozszalała burza na oczach osłupiałych żołnierzy, szybki jak czerwono-uchy szakal, pognął samotnie w stronę Illahun. Upojony pędem Śmiałek rozwinął całą moc swych długich, potężnie umięśnionych nóg.

Przed główną bramą miasta Pianchi poklepał go lekko po pysku i koń się zatrzymał.

Rozstawieni na murach łucznicy poznali Czarnego Faraona w okazałym, barczystym jeźdźcu w złoconej kolczudze i wspaniałej królewskiej szacie. Onieśmieleni, nie odważyli się strzelać.

Potężny głos Pianchiego doszedł do uszu obrońców miasta Illahun.

— Wy, bezwiednie martwi za życia, nieszczęśni i zagnębieni, słuchajcie mnie, słuchajcie swego króla! Jeśli za minutę brama ta wciąż jeszcze będzie zamknięta, a wy nie złożycie mi przysięgi na wierność, wszyscy zginiecie. Nie zamykajcie przed sobą drzwi życia i nie kładźcie głowy na katowski pień! Jeśli uszanujecie prawo bogini Maat i oddacie miasto faraonowi Górnego i Dolnego Egiptu, żaden z was nie zginie, nikt nie zostanie obrabowany i zapanuje pokój. Czekam na waszą odpowiedź, póki jeszcze nie wyczerpała się moja cierpliwość.

Na murach zaczęto biegać bezładnie. Oficerowie i dostojnicy popędzili do pałacu i przekazali słowa Pianchiego księciu Illahun, Osorkonowi, potomkowi starego rodu libijskiego.

— Przybył tu... i to przybył sam!

— Możemy go łatwo ustrzelić — odezwał się dowódca twierdzy. — Po jego śmierci Nubijczycy rozpierzchną się w popłochu.

— Ty głupcze! Czyś nigdy nie słyszał o nadprzyrodzonej potędze, która mieszka w faraonie i dzięki której potrafi on w pojedynkę pokonywać całe wojska? Ta właśnie potęga pozwoliła Ramzesowi Wielkiemu pokonać Hetytów pod Kadeszem, a Pianchi staje przed nami sam, bo też ma ją w sobie. Nie dosięgnie go żadna strzała, żadna włócznia nie przebije jego pancerza, bo podobny jest do wszechogarniającego płomienia, którego żaden śmiertelnik nie jest w stanie ugasić.

— Więc... cóż postanawiasz?

Księżę Osorkon wyszedł z pałacu, kazał otworzyć wielką bramę forteczną i padł na twarz przed Czarnym Faraonem.

— Ciebie boga cię osłania — przemówił — niebo daje ci potęgę, a to, co postanowi twoje serce, natychmiast obleka się w kształty. Tylko dlatego, że ty tak każesz, potrafimy dostrzegać rzeczywistość taką, jaka jest. Ta twierdza, to miasto, jego skarby i mieszkańcy... wszystko to należy do ciebie. Wejdz w pokój, Wasza Królewska Wysokość.

Śmiałek pomknął galopem na górujące nad miastem wzgórze i Pianchi z jego wysokości patrzył na miasto, którego główne ulice, starannie wytyczone, przecinały się pod kątem prostym. Wielkie wille o siedemdziesięciu pokojach sąsiadowały ze skromnymi domkami o powierzchni stu

metrów kwadratowych. Mieszkańcy, dotychczas sparaliżo-
wani strachem, wyzbywali się obaw i oklaskiwali swego
wyzwoliciela, a miejscowi żołnierze, trzymając w rękach już
nie broń, lecz palmowe gałązki, ściskali się z Nubijczykami.

W niespełna godzinę później świętowało już całe miasto.

Z piwnic pałacowych wyciągnięto setki gąsiorów z winem i
z piwem, na niskich stołach porozkładano plastry mięsa i
suszonej ryby, figi, daktyle i winogrona. Rozległy się pieśni
o szczęśliwym życiu pod panowaniem Pianchiego.

— Co ci jest? — zapytał Puarma Lamerskeniego. —

Można by pomyśleć, żeś pijany, a przecież jeszcze nie
piłeś.

— Jesteś skończonym głupcem, łuczniku. Ciebie nic nie
zadziwi. Takiego jak ten człowieka nie widziałem
nigdy w życiu.

— Sam jesteś słaby na umyśle, Lamerskeni. Ile lat bę-
dziesz potrzebował, żeby zrozumieć, że Pianchi to
jednak faraon.

— Illahun padło — rzekł Tefnacht do Jutrzenki.

— Nie wyglądasz na specjalnie zmartwionego.

— Księżę Osorkon to człowiek sterany, drży o przyszłość. Myślę, że Pianchi bez trudu nakłonił go do otwarcia bram miasta.

— Ten przeklęty Nubijczyk zajął już Fajum.

— Tylko częściowo... Jeśli zechce pójść dalej, stanie mu na drodze twierdza Meidum. Zostawiłem tam jednego z moich najbardziej doświadczonych oficerów.

Codziennie osobiście prowadzi ćwiczenia i własną ręką zabił już wielu rekrutów, uznawszy, że są do niczego. Meidum nie powstrzyma Pianchiego, ale unieruchomi go na wiele tygodni i zada jego wojskom ciężkie straty.

— Dlaczego nie posłać tam posiłków?

— Wydaje mi się, że Nubijczykowi przyszedł do głowy obłądny pomysł. Chce zdobyć Memfis.

— Pianchi jeszcze nie oszalał — zaprotestowała dziewczyna. — Dobrze wie, że to niemożliwe.

— Upoił się swoimi mizernymi zwycięstwami... Niech najpierw strwoni siły na mniejszych obiektach i nadal wierzy w swoją niezwyciężoność. Tu, w Memfisie, trafi na mury nie do wzięcia i na załogę wypoczętą, a

w dodatku lepiej uzbrojoną niż jego wojska. Ta stara stolica stanie się jego grobem.

Czerwony dowodził załogą Meidum od pięciu lat. Niewiele go obchodziło, że to starożytne miasto jest siedzibą boga Atuma, głównego stwórcy. Interesowały go tylko koszary, gdzie przygotowywał właśnie żołnierzy do czekającego ich wkrótce starcia. Nie przejmował się tym, że padnie jedna piąta żołnierzy, szkolił przecież prawdziwych bojowników, gotowych na wszystko zabijaków. Od objęcia stanowiska nigdy nie pomyślał nawet, by wybrać się w miejsce, gdzie wznosiła się pierwsza piramida o gładkich ścianach, wspinała budowla, na której wzorował się budowniczy piramidy Cheopsa. Czerwony marzył tylko o krwawych walkach, a wyglądało na to, że tym razem będzie okazja po temu.

Od chwili gdy posterunki dały mu znać, że nadejście wojsk Pianchiego jest bliskie, dowódca twierdzy Meidum nie mógł usiedzieć na miejscu. Biegał od jednej blanki do drugiej, sprawdzał wyposażenie żołnierzy i wykrzykiwał rozkazy, zachęcając każdego z osobna, by okazał się czujniejszy niż jego sąsiad.

Najpierw myślał, że się myli. Potem jednak zauważył to samo zjawisko u prawie wszystkich obrońców: drżeli.

Czerwony chętnie pozabijałby bojaźliwych, by reszcie wybić z głowy strach, wszyscy jednak byli mu potrzebni.

Tłumaczył, że twierdza nie musi się bać ani katapult, ani nubijskich strzał, ale czuł, że nikt go nie słucha.

Gdy Pianchi podjechał na swym gniadoszu pod główną bramę, jeden z łuczników libijskich padł na kolana. Na oczach przerażonych towarzyszy Czerwony rozpruł mu gardło.

— Macie przed sobą dwie drogi — zagrzmiął Czarny Faraon.

— Albo otworzycie bramy Meidum i ocalicie życie, , albo uparcie będziecie je trzymali zamknięte i zginiecie. Jako król Górnego i Dolnego Egiptu nie zniosę, by jakiegol-, wiek miasto odmawiało mi prawa wstępu. . Czerwony napiął łuk zabitego żołnierza. Celował w Pianchiego.

Strzelić nie zdążył. Rzuciło się nań trzech łuczników, zatłukli go, a trupa wyrzucili za mury.

Zaraz potem piechurzy otworzyli główną bramę twierdzy i wpuścili faraona, którego koń rżał z radości.

— Meidum padło bez walki — stwierdził żalonym głosem Jegeb, któremu jak cień towarzyszył coraz bardziej nerwowo Nartreb.

— Co się stało? — spytał z wściekłością generał.

— Czerwonego odstąpili jego własni żołnierze. Złękli się Pianchiego. O tym czarnym olbrzymie opowiada się niesamowite rzeczy. Mówią, że jego ramieniem kieruje bóg Amon, że czyta w myślach przeciwników,

że...

— Dość tych bredni! Na drodze Pianchiego do Memfis
stoi już tylko jedna przeszkoda: Liszt.,

— Nie łudźmy się, generale.

Słowa te uraziły Jutrzenkę.

" — Czy aby nie jesteś defetystą?

— Tylko realistą. Cytadela w Liszcie nie jest tak potężna
jak w Meidum i...

— Ale za to załoga może okazać się dzielniejsza.

— Miejmy nadzieję, Jutrzenko, miejmy nadzieję...

— Nie mów mi po imieniu, Jegebie. Nie jesteś mi nikim
bliskim. Mam tytuł Jej Wysokości.

Jegeb przełknął ślinę.

— Tak jest, Wasza Wysokość. Nadal jednak twierdzę, że
Liszt nie jest w stanie długo się opierać Czarnemu Fa-
raonowi.

— Czy nie sądzisz, że taki brak optymizmu może obniżyć
morale naszych żołnierzy? Czasami zastanawiam się,
czy ty i Nartreb nie działacie na rzecz naszych
wrogów.

— Wasza Wysokość, takie słowa...

— Dość tego — uciął Tefnacht. — Nie kłóćmy się, gdy
potrzebna jest jedność. Wy, moi doradcy, macie dbać
o pomyślność kraju. To ja zajmuję się sprawami

wojny.

Jegeb i Nartreb wycofali się ręka w rękę. -i

Tefnacht ujął Jutrzenkę za ramiona.

— Nie rób tego nigdy! Od krytykowania moich doradców jestem ja.

— Ci dwaj cię zdradzą!

— Są do mnie przywiązani jak psy do swojego pana.

Beze mnie nie istnieliby.

Dziewczyna wysunęła się z jego ramion.

— Przyjdzie dzień, że będziesz musiał wybierać. Albo ja, albo oni. Ja cię kocham, a dla nich jesteś tylko narzędziem.

— Myślisz, że o tym nie wiem? Władzy nie można sprawować bez sprzymierzeńców, a ci potrafią sprawnie działać.

Miasto Liszt „Biorące we władanie Obydwa Kraje”, było stolicą Amenemhata Pierwszego, faraona z XII dynastii. W pobliżu miasta kazał on wybudować sobie piramidę. To samo uczynił Sezostris Pierwszy, władca, który odcisnął swoje piętno na wieku klasycznym Średniego Państwa, kiedy to powstało mnóstwo arcydzieł literatury, a wśród nich słynne „Przygody Sinuheta”. Utraciwszy rangę stolicy, Liszt stał się zwykłym punktem etapowym między Fajum i Memfisem. Teraz był mięściną coraz bardziej żyjącą wspomnie-

niami.

Cytadelę miał jednak potężną. Lamerskeni patrzył na nią łakomym wzrokiem.

— Zostawisz mi ją, Wasza Królewska Wysokość? Kilka pocisków z katapulty, a resztą już się zajmę!

— Nie, Lamerskeni. Po co zmieniać taktykę, która już się sprawdziła?

— Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Wysokości, nie należy zbytnio kusić losu. Bez ciebie bylibyśmy bezradni.

— Dlaczego dowódca tej twierdzy miałby okazać się głupszy niż dowódcy z Illahun i Meidum?

Brama cytadeli w Liszcie rozwarła się, zanim faraon zdążył dosiąść konia. Wszedł z niej dowódca na czele żołnierzy i sporej liczby mieszkańców i poddał miasto Pianchiemu.

— Oba Kraje należą do ciebie — oświadczył. — Twoje są Południe i Północ oraz wszystkie ich bogactwa, cała ziemia składa ci pokłon.

Czarny Faraon wszedł do miasta, natychmiast złożył bogom ofiarę dziękczynną i oddał hołd Amonowi.

Poddał mu się już cały Środkowy Egipt. Droga do Memfisu była wolna.

Zwiadowca wpadł galopem na dziedziniec koszarowy, zatrzymał rydwan przed budynkiem kwatery głównej i zeskoczył na ziemię.

— Mam list do kapitana Lamerskeniego — powiedział wartownikowi.

— Kapitan Lamerskeni odpoczywa. Ale jest tutaj kapitan Puarma.

— Doskonale.

Puarma pomstował na Lamerskeniego, który zamiast zająć się sprawami administracyjnymi, do czego był teoretycznie zobowiązany, używał życia z pensjonariuszkami domu piwa nieopodal koszar. A on, Puarma, nie miał nawet czasu na zalecanki do córki wójta pobliskiej wsi, choć dziewczyna omdlewała na sam widok jego wspaniałej postury.

— Oto najświeższe i szczegółowe wieści — rzekł zwiadowca, podając Puarmie zapieczętowany gruby plik papierusów.

—

No, nareszcie, czekaliśmy na nie od wielu tygodni.

Z cennym dokumentem w ręku kapitan łuczników pobiegł do pałacu.

Abilea kąpała się nago. Pływała bez wysiłku, z tym nie-

porównywalnym wdziękiem kobiet z Dalekiego Południa, które od dzieciństwa uczą się kołysać w prądach wody. Gdy upał stawał się nie do wytrzymania, królowa wchodziła do pałacowej sadzawki i zapominała o swych troskach.

Pianchi także zapominał o swoich, patrząc na szlachetną postać swej nubijskiej małżonki, której dusza i ciało były wyrazem niezniszczalnego piękna.

Od początku wojny między Południem a Północą upłynął już prawie rok. Czarny Faraon, zajmując Środkowy Egipt, obsadził wszystkie stanowiska państwowe ludźmi, którzy wywodzili się ze starych miejscowych rodów i takim książętom jak Peftau i jemu podobni nigdy nie pozwoliliby zejść z drogi bogini Maat. Skończyły się czasy demoralizacji, nieograniczonej władzy jednostek i wyzysku biedoty. Dostojnicy ze Środkowego Egiptu mogli się przekonać naocznie, że faraon przejmuje pełnię władzy, a rządzić będzie twardo, nie licząc się z klanami troszczącymi się wyłącznie o własne interesy. W tym okresie odbudowy państwa wojska nubijskie korzystały z wszelkich wygod, nie zaniedbując wszakże codziennych ćwiczeń. Podczas gdy ranni i chorzy powoli wracali do zdrowia, ich koledzy, nie przerywając służby, używali wszystkich miejscowych przyjemności.

Pianchi po zajęciu fortec Środkowego Egiptu nie uderzył natychmiast na Memfis, chciał bowiem mieć pewność, że

kraj jest już całkiem spokojny. Teraz stało się to faktem i monarcha mógł myśleć o najniebezpieczniejszym etapie swojej wyprawy: o bitwie o Memfis.

Należało jeszcze zdobyć wiarygodne informacje o umocnieniach i zasobach obronnych tego największego miasta w kraju. Doniesienia zwiadowców były sprzeczne, raportom brakowało dokładności, więc król nie zdecydował się na tak niebezpieczne przedsięwzięcie, póki nie zapozna się szczegółowo ze wszystkimi trudnościami.

— Wasza Królewska Wysokość — rzekł Zimna Głowa

— kapitan Puarma pilnie prosi cię o posłuchanie.

— Niech wejdzie.

Pisarz był w świetnym humorze, gdyż Pianchi pozwolił mu tymczasem odwiedzić Napatę i Zimna Głowa mógł spędzić kilka jakże krótkich dni w towarzystwie żony i dzieci. Przyjmowano go jak bohatera, on zaś nie kazał się prosić i opowiadał o bohaterskich czynach Czarnego Faraona. Nie skrywał, że największe trudności dopiero przed nim i że ze względu na ostatnie wydarzenia Napata jest już dla Pianchiego tylko stolicą odległej prowincji. Otok w ramach walki z przygnębieniem wziął udział w jakimś wystawnym przyjęciu i znowu przybyło mu kilka kilogramów, ale miastem wciąż zarządzał tak sprawnie, że stary Kapa mógł sobie gratulować.

Puarma wbiegł w stanie najwyższego podniecenia.

— Wasza Królewska Wysokość, nadszedł wreszcie raport, którego nie mogliśmy się doczekać!

— Siadaj i wypij kubek chłodnego piwa.

Karzeł znowu stanął w drzwiach.

— Wasza Królewska Wysokość, kapitan Lamerskeni też chciałby się z tobą widzieć.

Człowiek-akacja — twarz zmięta, źle ogolony, na biodrach przekrzywiona stara skórzana spódniczka — stąpał krokiem dość chwiejnym.

— Miałem sen, Puarmo... Szedłeś do króla i pod moją nieobecność pokazywałeś mu plan murów Memfisu, chociaż te bezcenne informacje zdobyli z narażeniem życia moi zwiadowcy i według moich wskazówek.

— Natychmiast siadaj — przerwał mu Pianchi — bo inaczej gotów jesteś się przewrócić.

— Rozkaz, Wasza Królewska Wysokość — zameldował Lamerskeni, osuwając się na trzciny fotel z zaokrąglonym oparciem.

— Może powinieneś się wykapać? — zatroskała się królowa, wychodząc z sadzawki i okrywając się chustą z przezroczystego lnu.

— Woda źle działa na moje reumatyzmy. W przeddzień wymarszu na pole bitwy dowódca królewskiej

piechoty nie ma prawa na nic się narażać.

— Mam wrażenie, że dość już wypiliśmy.

— Mylisz się, Najjaśniejsza Pani. Przy tych coraz większych upałach należy cały czas walczyć z odwodnieniem, tą podstępną chorobą, która czyha na nas bez przerwy.

— Obejrzyjmy ten dokument — rzekł Pianchi.

Puarma złamał pieczęć z zaschniętego błota i rozwinął papirus.

— Plan Memfisu — powiedział łakomie Lamerskeni.

— Ogromne miasto — zauważyła królowa, prawie przezerażona wielkością pierwszej stolicy faraonów, która wciąż pozostawała ośrodkiem życia gospodarczego Dwóch Krajów.

Puarma, również będący pod wrażeniem, odczytał legendę wypisaną hieroglificzną kursywą.

— Od południa mamy linię umocnień... zagradza dostęp do składów Peru-Nefer, Portu Dobrej Podróży od strony lądu. Od zachodu kanał oddziela przedmieście od pustyni.

— Słaby punkt — zauważył Lamerskeni.

— Tylko na pozór, bo tuż obok stoi wojsko. Ten kanał łączy się z kanalikiem biegnącym przez południową dzielnicę, ale blokują go statki towarowe, których bez

przerwy pilnują łucznicy. Atak tędy niemożliwy.

Człowiek-akacja ręka skrzywił się.

— O ile dobrze rozumiem, pozostaje nam tylko Nil od wschodu.

— Wychodzą stąd trzy kanały. Pierwszy prowadzi do doków, drugi do pałacu, trzeci do dzielnicy północnej, pod starą cytadelę o białych murach. Memfici zbudowali tu jednak takie umocnienia, że wszelki atak od strony rzeki jest niemożliwy.

— No to obejdziemy miasto przez Wschodnią Pustynię, okrążając nekropolię w Sakkarze i uderzymy na Memfis od północy, gdzie nikt się nas nie spodziewa.

— Mylisz się, Lamerskeni. Po pierwsze, będziemy musieli przeprować się przez kanał pod strzałami nieprzyjaciela. A po drugie, fortyfikacje północne są wprawdzie starsze od południowych, ale nie mniej solidne.

Lamerskeni wychylił nerwowo kubek piwa.

— Więc nie ma żadnego sposobu?

— Z tego planu to by właśnie wynikało.

Lamerskeni rad by zaprzeczyć i powiedzieć, że Memfis to taka sama twierdza jak inne, ale siedział cicho.

Tym razem trzeba było pogodzić się z rzeczywistością.

Tej przeszkody wojska Południa nie pokonają.

— Oczekujemy na rozkazy Waszej Królewskiej Wysokości — rzekł z rezygnacją Puarma.

Kapitanowie wyszli, a Pianchi długo jeszcze siedział pochylony nad planem Memfisu.

— Puarma i Lamerskeni nie zawahaliby się oddać życia, gdyby były jakieś widoki na sukces — rzekła Abilea.

— Pokój i sprawiedliwość nie zapanują w Egipcie, dopóki Memfis będzie w rękach Tefnachta. Dzięki bogactwu tego miasta, ma za co zbroić i żywić swoje wojska.

— Cofać się nie zamierzasz... Jaką więc drogę wybierzesz?

— Skoro jej nie ma, muszę ją sobie utorować, Abileo.

Był wieczór i Nartreb z Jegebem podliczali dochody dnia.

Mieli powody do zadowolenia: ich fortuna rosła z dnia na

dzień, odkąd znaleźli się w Memfisie. Zdążyli już wymyślić

nowy podatek oraz powszechną kontrybucję na potrzeby

wojenne, wyznaczaną całkiem dowolnie i bez ograniczeń,

dzięki czemu całkowicie legalnie mogli łupić bogatych i bied-

nych. Dostojnikom memfickim i kupcom zależało na wzglę-

dach i zaufaniu Tefnachta, jedyne go człowieka, który mógł

ich obronić przed najazdem Nubijczyków, musieli więc

spełniać żądania jego dwóch doradców. Chwalili przy tym

ich sumienność i kompetencje.

— Jak długo jeszcze mamy znosić obecność tej Jutrzen-

ki? — martwił się Nartreb, nacierając sobie

opuchnięte palce drogą maścią, której dostarczyli mu

kapłani ze świątyni Plaha.

— Dziewucha jest twardsza, niż sądziłem — przyznał

Jegeb — ale wódz przywołał ją do porządku.

— Jutro będzie królową.

— Słusznie się niepokoisz... Nie ma co liczyć na to, żeby

jakiś nowy wielbiciel złapał ją w pułapkę... Będzie się

strzegła.

— Nie możemy akceptować tej sytuacji — wybuchnął

Nartreb z twarzą nabrzmiałą od gniewu. — Ta

dziewczyna nas nienawidzi i będzie się starała nas wykończyć.

— Bądź pewien, że nie lekceważę tego niebezpieczeństwa.

Człowiek o twarzy szczura zastukał do drzwi pokoju dwóch doradców, którzy czym prędzej zwinęli papirus zawierający szczegółowy spis ich dobytku.

Nartreb otworzył drzwi.

— Ach, to ty... Czego chcesz?

Przybysz odsłonił malutkie i ostre zęby w chytrym grymasie.

— Jak mi dobrze zapłacicie, powiem wam coś ciekawego.

Nartreb złapał informatora za kołnierz tuniki i wciągnął go jak zwykły tłumok do środka. Mężczyzna podniósł się.

Czoło miał zakrwawione.

— Będiesz mówił, i to natychmiast! Sami potem określimy wysokość ewentualnego wynagrodzenia. Zapamiętaj sobie, że ktokolwiek próbuje coś na nas wymusić, nie dożywa chwili, kiedy mógłby się tym pochwalić.

Przybysz, ciężko wystraszony, cofnął się w kąt pokoju.

— Tak więc, panie, tak więc... Pewien wynajemca osłów dowiedział się, że zbieram informacje o przeszłości żony Akanosza, i skontaktował się ze mną. Miałem wydatki i...

— Mów!

— Tak jest, już mówię... Ten wynajemca znał jej rodziców... oboje zmarli, gdy jeszcze była dzieckiem.

Bardzo dobre to było stadło.

— I to wszystko, czego się dowiedziałeś?

— O, nie, panie. Żona Akanosza ma cerę śniadą jak ty i ja, ale jej ojciec był z pochodzenia Nubijczykiem.

— Jej ojciec Nubijczykiem? — zdziwił się Jegeb. — Jesteś tego pewien?

— Ten człowiek może zaświadczyć... a znaleźliby się i inni.

— Zapłać mu! — rzekł Jegeb do Nartreba. — Chyba znaleźliśmy rozwiązanie wszystkich naszych kłopotów.

Ręka Tefnachta pieszcząca plecy Jutrzenki posunęła się wyżej, wczepiła we włosy dziewczyny i zmusiła ją do odwrócenia się.

— Jesteś dzikusiem! — zawołała rozbawiona i przywarła do kochanka, którego zapal podniecał ją.

Generał szalał za Jutrzenką. Każde miłosne z nią starcie było inne. Za każdym razem musiał ją zdobywać i ta wojna go odmładzała.

— Co robi Pianchi? — spytała, gdy spokojnie leżeli już obok siebie w jednej z wielkich komnat pałacu Totmesa, z oknami wychodzącymi na Nil.

— Popada w marazm. Zrozumiał, że jego wojska nie są w

stanie zdobyć Memfis. Ale przepelnia go pycha i nie-
prędko przyzna się do porażki.

— A może zadowolili się zajęciem Środkowego Egiptu?

— Przejściowy sukces, Jutrzenko. Nie utrzyma się tam i
wróci do Teb. Przejdę wtedy do kontrataku i zdrajcy
znowu zdradzą, tym razem na moją korzyść. Ja jednak
nie powtórzę błędów tego godnego pożałowania stratega
i wszystkich każe stracić. Wprowadzimy potem taki
system rządów, jaki opracowali moi doradcy.

Ucałował ją w piersi podobne do dojrzałych w pełnym
słońcu jabłek.

— Nie znasz Sais. To moje rodzinne miasto. Uczynię
z niego stolicę Egiptu. Jutro wyruszymy tam razem.

Jutrzenka zdziwiła się.

— To twoja obecność tutaj nie jest konieczna?

— Tę podróż planowałem już od dawna, ma ona cel
polityczny.

— A jeśli Pianchi uderzy?

— Bądź spokojna! Albo już zrezygnował, albo oszalał, i
atak zakończy się dla niego klęską.

— Ujrzyć Deltę i Sais... Nigdy nie wyobrażałam sobie...

— Cudowna kraina, stokroć piękniejsza od doliny Nilu.

A na miejscu przedstawię poddanym królową.

— Chcesz powiedzieć, że...

— Tak, Jutrzenko. W Sais weźmiemy ślub.

Pianchi spędzał długie godziny na pustyni, galopując na koniu, z którym rozmawiał i pozwalał mu wybierać drogę.

Śmiałek nic sobie nie robił z wydm, omijał łąchy ruchomych piasków, wydawał się skakać prosto w niebo i pędził przez bezkresne przestrzenie, gdzie w doskonale przejrzystym powietrzu głos bogów mówił o nieskończoności.

Już dziesiątki, setki razy Pianchi rozwijał plan Memfisu, naradzając się z Lamerskenim i Puarmą. Kapitanowie bardzo by chcieli ruszyć na miasto, ale nie umieli zaproponować żadnego planu szturmu.

Abilea milczała. Ona też, choć obdarzona magicznymi umiejętnościami, nie potrafiła znaleźć nic, co dawałoby nadzieję na zwycięstwo. Nastrój w obozie nubijskim stawał się coraz bardziej posępny. Czy trzeba tkwić na stanowiskach jeszcze przez wiele miesięcy, a może i lat? Każdy czekał na wystąpienie Czarnego Faraona, ze świadomością, że odwrót będzie równał się klęsce. Tryumfalny przemarsz przez Środkowy Egipt wydawał się już ułudą, skoro wojska Północy pod niezłomnym dowództwem Tefnacha wciąż stały nietknięte.

Bilans był w zasadzie ujemny. Wprawdzie Teby były wolne i odzyskano Środkowy Egipt, czyż jednak uderzenie wojsk Północy nie zniweczy tych sukcesów? Tefnacht panuje

w Memfisie, ma więc w rękach klucz Dwóch Krajów, biegun bogactwa i równowagi, bez którego panowanie nad Egiptem jest niemożliwe.

Nie pytając nikogo o zdanie, Pianchi ruszył na północ, w stronę Memfisu. Śmiałek, nie popędzany, kłusował niezbyt szybko, toteż czterdziestokilometrową odległość pokonał bez wysiłku.

Memfis! Królowa Starego Państwa, piękne i władcze miasto, otoczone gajem palmowym, który łagodził surowość jego murów, niedosiężnych dla katapult i łuczników. Biały Mur, zbudowany jeszcze za czasów Dżosera Wspaniałego, osłaniający szacowne świątynie, gdzie Pianchi tak bardzo pragnąłby pokłonić się bogom swoich przodków, wznosił się przed nim jak przeszkoda nie do przebycia.

Podjechał do pierwszego posterunku.

Pełniący wartę żołnierze, przerażeni i pewni, że dwa wystające faraonowi z czoła ureusy pożrą ich wszystkich, wezwali oficera, a ten kazał posłać po dowódcę twierdzy, ambitnego pisarza, który karierę wolał robić przy wojsku.

Dowódca opuścił swą kwaterę i udał się na mury. Pod nieobecność Tefnachta to on miał prawo podejmować decyzję.

Na widok Czarnego Faraona osłupiał.

— Jestem twoim królem, Memfisie, i winieneś mi po-

słuszeństwo — przemówił Pianchi. — Słuchaj mnie! Nie zamykaj się, nie prowadź walki, o siedzibę światła pradawnych czasów. Niech wejdzie, kto pragnie wejść. Niech wyjdzie, kto pragnie wyjść. Niech nikt nie ogranicza swobody tego, kto chce wjeżdżać i wyjeżdżać. Przybywam tu tylko po to, by złożyć ofiarę bogu tego miasta, Ptahowi, i wszystkim bogom mającym tu siedzibę. W powiatach na Południu nikt nie został zabity oprócz tych, co powstali przeciwko bogini Maat. Niech rozewrą się bramy!

Pisarz ochłonął z osłupienia. Wydał rozkaz i bramy warowni rzeczywiście się rozwarły, ale tylko po to, by przepuścić zastęp konnych gotowych ująć Czarnego Faraona.

Było ich pięćdziesięciu, zdecydowanych dokonać wyczynu nie lada: powalić nubijskiego mocarza, który niewzruszony rzucał im wyzwanie.

Pianchi powoli wyciągnął z pochwy swój sztylet i błyskawicznym, precyzyjnym ruchem przebił gardło pierwszemu napastnikowi. Drugiemu już-już wydawało się, że dosięgnął faraona końcem włóczni, ten jednak w ostatniej chwili zrobił unik i zarąbał go, a potem przebił sztyletem i trzeciego Libijczyka.

Pianchi wiedział, że choć jest zwinny i konia ma zwinnego, ulegnie w końcu przeważającej sile, jeśli nie dopomoże mu jego ojciec, Amon. Bóg zjawił się pod dwiema dziwnymi postaciami: kapitana Lamerskeniego, prowadzącego oddział wyborowej piechoty, której proce zdziesiątkowały wroga, i kapitana Puarmy, którego wyborowi łucznicy wystrzelali resztę memfickiej jazdy.

Gdy z murów miasta gradem posypały się strzały, Nubijczycy cofnęli się poza ich zasięg.

— Wasza Królewska Wysokość nie wydał nam żadnych rozkazów — wyjaśnił Lamerskeni — samiśmy więc uznali, że trzeba iść za tobą. Z pewnością nie potrzebowalbyś naszej pomocy i sam byś wytlukł te szczury, ale po co miałbyś się niepotrzebnie trudzić?

Pianchi uśmiechnął się, choć w sercu czuł smutek, że

Memfis nie chce pokoju.

Szał radości ogarnął całą Deltę. Tefnacht kazał się obwołać przyszłym władcą Egiptu i zapowiedział, że za małżonkę bierze sobie Jutrzenkę, której wspaniała postać olśniewała libijskich wodzów.

Generał z zapalem zwycięzcy głosił bezwzględną wojnę z Pianchim. Czarny Faraon nie jest w stanie zająć Memfisu i teraz wystarczy tylko zwiększyć liczbę żołnierzy w mieście, a całkowicie odejdzie mu ochota do walki. Argumenty Tefnacha przekonały wątpiących, toteż bez trudu utworzył armię rezerwową. Jutrzenka tymczasem z zachwytem poznawała miasto Sais, w którym bogini Neith siedmioma słowami stworzyła świat. Gromada oddanych sług spełniała najdrobniejsze życzenia przyszłej królowej.

Tefnacht znalazł ją w pałacowej sali posłuchań, gdzie Jutrzenka kazała zmienić wystrój. Zamiast tradycyjnych fryzów z papirusami i wędrownym ptactwem chciała widzieć wizerunki męża, jak stoi na rydwaniu i tratuje uciekających żołnierzy nubijskich.

— Czy te sceny nie są zanadto... wojenne? — zagadnął ironicznie Tefnacht.

— Ufność ożywi ramię każdego naszego żołnierza, a wychodzić winna właśnie stąd, z naszego pałacu.

— Jak chcesz... Jutro ruszam do Memfisu.

— I zostawiasz mnie tu samą?

— Jesteś przyszlą królową Egiptu, tak czy nie? Będiesz pod moją nieobecność zarządzała stolicą.

Jutrzenka nie ugięła się pod spojrzeniem kochanka.

— Daj mi instrukcje, a ja już dopilnuję ich przestrzeżenia.

Pisarz dowodzący załogą Memfisu próbował przedstawić sprawę zdecydowanie optymistycznie.

— Generale, bez najmniejszych trudności odparliśmy pierwszy atak Czarnego Faraona.

— Ilu wysłał ludzi? Pisarz podrapał się po szyi.

— Prawdę mówiąc... niewielu.

— Wyrażaj się dokładniej.

— A więc... najpierw był sam, ale potem...

— Pianchi odważył się osobiście zjawić u bram Memfisu?

— Głupia buta, generale!

— Jak zareagowałeś?

— Kazał mi otworzyć bramy, więc otworzyłem, ale tylko po to, żeby przepuścić naszych jeźdźców. Gdyby nie wyratowali go Nubijczycy, już byśmy go mieli.

Weszliśmy jednak do akcji tak nagle i stanowczo, że uciekli i już nie wrócą.

— Ostrożności nigdy nie za wiele. Dostaniesz posiłki, osiem tysięcy ludzi. Wobec takiej koncentracji sił Pianchi nie zdecyduje się na atak, bo taki atak musiałby się skończyć jego klęską.

— Czy mam rozumieć, że powinniśmy go o tym jakoś... powiadomić?

— Oczywiście. Niech obwieszczą ludności miasta, ile mamy wojska, i niech ze dwie, trzy karawany zapuszczą się na południe. Nubijczycy z pewnością je zatrzymają i wezmą kupców na spytki. Dowiedzą się prawdy, która ich przerazi.

Rozległe pola uprawne, wielkie gaje palmowe i niezliczone kanały Sais zachwyciły Jutrzenkę. W otoczeniu dziewcząt służebnych całymi godzinami przechadzała się po uroczej okolicy, gdzie co krok można było znaleźć schronienie przed słonecznym żarem. Potem obchodziła sale pałacowe i ponaglała rzemieślników. Tynkarze i malarze odnawiali stare komnaty, murarze i kamieniarze poszerzali świątynię bogini Neith.

O zmroku przed wieczerzą Jutrzenka brała prysznic, rozkoszując się spływającą po jej bursztynowym ciele ciepłą wodą. Zapraszała do swojego stołu dostojników, którzy byli pod jej urokiem, i wychwalała mądrą politykę Tef-nachta. Ustalała właśnie jadłospis, gdy w przedpokoju, ku jej

oburzeniu, pojawił się niejaki Jegeb z dwuznacznym uśmiechem na ustach.

— Wyjdź stąd natychmiast!

— Wasza Wysokość, powinnaś mnie wysłuchać.

— Wracaj do swego przyjaciela Nartreba, pewnie się nudzi.

— Wasza Wysokość, sprawa dotyczy bezpośrednio ciebie.

— Ach, tak?... W jaki sposób?

— Przyznaję, że Nartreb odwodził mnie od tego kroku.

Ja jednak nie życzę ci nic złego, więc pomyślałem, że

lepiej będzie cię uprzedzić: grozi ci wielkie

niebezpieczeństwo. Z marzeniami lepiej zerwać,

zanim nastąpi katastrofa.

— O jakie niebezpieczeństwo chodzi?

— Nie jesteś stworzona na królową. Rzuć Tefnacha i zniknij.

— Oszalałaś!

— Posłuchaj mojej rady, bo inaczej pożałujesz.

Widząc, że Jutrzenka chwyciła ciężką srebrną wazę, Jegeb umknął. Z góry wiedział, że dziewczyna całkowicie zlekceważy jego groźby, choć nie jest już w stanie przeszkodzić mu w realizacji planów. Ale to była nie lada przyjemność: móc przed ostatecznym tryumfem trochę ją

podręczyć.

Zbliżał się koniec roku i przyszły jeszcze większe upały.

Woda w Nilu osiągnęła najniższy swój poziom, na położonych wyżej polach ziemia zaczęła pękać.

Lamerskeni, choć zwiększył spożycie piwa, bezustannie odczuwał pragnienie. Nawet zatrzymanie i przesłuchanie wędrownego kupca z Memfisu nie poprawiło mu nastroju.

— Wasza Królewska Wysokość — zameldował Pianchiemu — załoga Memfisu otrzymała właśnie posiłki w sile ośmiu tysięcy ludzi, sami Libijczycy z Delt, dobrze zaprawieni w bojach.

— Czy to pewne?

— Obawiam się, że tak. Jest i druga wiadomość. Spichrze miejskie są pełne pszenicy, jęczmienia i orkiszu, w oborach mnóstwo wołów, a w arsenalach pełno broni.

— A zatem oblężenie, nawet długotrwałe, nic nam nie da.

— Nie zdołamy ani zagłodzić miasta, ani pozbawić go środków obrony.

Czarny Faraon wpatrzył się w Nil.

— Jeśli faraon nie widzi żadnego sposobu rozwiązania trudności, to dlaczego miałby nie ściągnąć nieba na ziemię?

Wjeżdżając do Sais, Tefnacht rozmyślał o swoim związku z Jutrzenką. Wesele będzie wspaniałe, w uroczystościach wezmą udział tysiące gości, a pamięć o wydarzeniu przetrwa wieki. Do dziewczyny ciągnęło go bardzo mocno, nie kierował się jednak wyłącznie pożądaniem. Wiedział, że Jutrzenka jest równie jak on ambitna, że pozyska sobie serca Egipcjan, jemu zaś da dziedzica.

On zaraz po uroczystościach wróci do Memflsu, przemówi do żołnierzy i obieca im zwycięstwa, jego zdaniem całkiem już pewne. Pianchi nie podejmie żadnych działań, gdyż Memfis jest twierdzą nie do wzięcia. Już teraz wojska Czarnego Faraona ogarnia zwątpienie i zmęczeni żołnierze tracą ducha. W odwrocie ich zdolności bojowe zmniejszą się jeszcze bardziej.

On, Tefnacht, choć ożywiony wolą walki, potrafił wyka-
zać cierpliwość i wykorzystać czas na swoją korzyść. Wkrót-
ce jego przenikliwość zostanie nagrodzona.

Oblężenie Memfisu będzie się ciągnąć, dopóki Pianchi nie przestanie wierzyć w możliwość zdobycia miasta, księżę Akanosz i jego małżonka postanowili więc wyjechać na kilka dni do swojej prowincji Sebennytos. Dla nich widmo wojny oddalało się. Gdy Czarny Faraon rozgoryczony, podąży własnym śladem na Południe, Akanosz nie weźmie

udziału w dalszej wojnie i pozostanie w Delcie. Stary żoł-
nierz stracił już ostatecznie chęć do wojaczki i pragnął tylko
żyć w spokoju, z dala od wszelkiego konfliktu.

Służba kończyła właśnie pakowanie bagaży, gdy do apar-
tamentów księcia wtargnął Nartreb na czele dwudziestu
uzbrojonych w kije policjantów.

— Czyś postradał rozum? Wyjdź stąd natychmiast!

— Mamy wojnę, księżę, i wszystkich nas obowiązuje
bezwzględna wierność wobec naszego wodza

Tefnachta.

— Śmiesz zarzucać mi niewierność?

— Tobie nie... Twoja żona jednak... Księżę

Akanosz uderzył Nartreba w twarz.

— Wynoś się stąd, parszywy szczurze!

Grube wargi doradcy Tefnachta nabrzmiały z gniewu.

— Mam dowody, że twoja żona jest Nubijką, a więc
sprzyja Pianchiemu. Z rozkazu generała ma
natychmiast stawić się przed nim.

— Odmawiam!

Na twarzy Nartreba pojawił się okrutny uśmiech.

— Jeśli będziesz stawiał opór, użyję siły.

— Jakim prawem?

— Rozkaz Tefnachta.

Jutrzenka mimo straszliwych wspomnień, które nie da-

wały jej spać po nocach, była szczęśliwa. Jutro zostanie żoną Tefnachta i będzie mu pomagać w zjednoczeniu Egiptu. W wojnie tej ucierpi zapewne wielu ludzi, inaczej jednak Czarnego Faraona nie da się usunąć. Pianchi nawet w obliczu nieuchronnej klęski walczyć będzie do upadłego, z przerażającą pychą obalonego władcy. Gdy przyjdzie pora go dobić, Jutrzenka będzie potrzebna Tefnachtowi, by nie osłabło mu ramię.

Fryzjerka poprawiała jej na głowie wspaniałą, bardzo cenną perukę z warkoczykami, sporządzoną z kobiecych jasnych włosów. W takiej peruce dziewczyna wyglądała jak wielka dama, a jej twarz nabierała jeszcze większej słodyczy. ; — Czy jesteś, Wasza Wysokość, gotowa do przymiarki?

Tkaczki z Sais, słynne na cały Egipt, utkały już suknię z królewskiego lnu, idealnie dopasowaną do figury Jutrzenki. Będzie w niej wyglądać olśniewająco.

— Przymiarka poczeka — rozległ się słodziutki głos Jegeba.

Jutrzenka zerwała się, jakby ukąsił ją owad.

— Czy przestaniesz mnie wreszcie nachodzić?

— Generał Tefnacht chce cię widzieć. Natychmiast.

— Nie skończyłam się ubierać.

— Wyraźnie powiedział: natychmiast.

— Wydarzyło się coś poważnego?

— Tego nie wiem, Wasza Wysokość.

Jutrzenka zaniepokoiła się. Czyżby Pianchi zdecydował się na samobójczy atak na Memfis? Rozdygotana, mając na sobie tylko koszulę i krótką spódniczkę, ruszyła spiesznie do sali posłuchań. Drepczący z tyłu Jegeb z trudem za nią nadążał.

Ledwie weszła do sali, gdzie ze względu na grube zasłony na oknach było dość ciemno, zdała sobie sprawę, że atmosfera jest tu napięta.

Tefnacht chodził nerwowo tam i z powrotem, Nartreb siedział w kucki, nie spuszczać wzroku z Akanosza, który stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma.

— No, wreszcie przyszedłeś.

— Byłam zajęta... Co się stało? Tefnacht wskazał palcem na Akanosza.

— Znasz tego człowieka?

— Tak, oczywiście...

— Czy jesteś tego pewna, droga Jutrzenko?

— Nie rozumiem.

— Mnie też się wydawało, że go znam. Myślałem nawet, że to mój wierny sojusznik i że nigdy mnie nie zdradzi.

Dziewczyna była przybita.

— Książę Akanoszu, przecież ty nigdy...

— Och nie, nie on — przerwał Tefnacht. — Nie on, ale jego żona. Ma żonę Nubijkę! Słyszysz? Nubijkę! W moim własnym pałacu mieszka sojuszniczka Pianchiego!

— Ja i tylko ja mam obowiązek bronić żony przed tymi skandalicznymi zarzutami — zaprotestował Akanosz.

— Jest z pochodzenia Nubijką, ale z tego nie wynika, że dopuściła się zdrady. Czyż jej i moje słowo nie znaczy tyle samo co zapewnienia dwóch doradców, łajdaków, którzy myślą tylko o tym, jak zbić majątek?

— Na nieszczęście dla twojej żony — rzekł z ubolewaniem Jegeb — mamy dowód jej winy.

Księżę Akanosz zacisnął pięści.

— Kłamiesz!

— Nasze służby bezpieczeństwa przejęły list. Wyraźnie oskarża on twoją żonę... Z jego treści wynika, że była łączniczką, oczywiście bez twojej wiedzy.

— Łączniczką? — zdziwiła się Jutrzenka. — Z kim?

Tefnacht przeszył ją wzrokiem.

— Nie sądzisz, że należałoby skończyć z tą komedią?

— Komedią? Co masz na myśli? Tefnacht

ścisnął Jutrzenkę za rękę aż do bólu.

— To ty napisałaś ten list! Zdradziłaś mnie, bo mnie nienawidzisz! Chciałaś mnie zabić i z zemsty

chwyciłaś się takiego środka!

— Mylisz się... Przysięgam, że się mylisz.

— Poznałem twoje pismo, Jutrzenko.

Odsunął się, pogroził dziewczynie i przytknął ostrze sztyletu do jej gardła, na którym pojawiła się kropla krwi.

— Powinienem cię zabić, ty dziwko! Ale powolna śmierć w lochu będzie właściwszą karą. Godzina po godzinie będziesz tam tracić młodość i urodę.

Przez sekundę Jutrzenka była już gotowa rzucić się Tefnachtowi do stóp i błagać o litość. Stała jednak wyprostowana.

— Gdybyś mnie kochał, wiedziałbyś, gdzie jest prawda.

— Zabrać ją — rozkazał Tefnacht doradcom, którzy złapali upadłą Jej Wysokość za ręce i przekazali ją strażnikom, nie bez przyjemności.

Gdy Tefnacht i Akanosz znowu zostali sami, wzburzony generał zmienił ton.

— Ciebie też oszukano — rzekł pojednawczo — tak samo jak mnie. Oddal żonę, i to szybko!

— Mam do niej zaufanie i wiem, że nie zdradziła.

— Pogódź się z rzeczywistością, Akanoszu, jeśli nawet sprawia ci to ból. Z przejętego listu wynika, że Jutrzenka przy pomocy tej twojej Nubijki poleciła dowódcom twierdz otworzyć bramy przed Pianchim.

Działaj szybko, jeśli ci życie miłe.

Zimna Głowa nie mógł usiedzieć na miejscu. Po dziesięć razy dziennie pytał podwładnych, czy nie przybył wreszcie goniec z Południa. Pianchi wciąż wpatrywał się w rzekę, tak pogrążony w swoich myślach, że zapomniał o Memfisie, którego białe mury lśniły w słońcu.

Goniec wreszcie przybył. Przywiózł pismo, wypisane przez specjalistów z Asuanu na drewnianej tabliczce.

Pianchi przestudiował listy, w którym było pełno cyfr.

— No i co, Wasza Królewska Wysokość?

— Doskonale, Zimna Głowo, Amon odpowiedział mi na moje pytania.

— Jak długo będziemy musieli cierpliwie czekać?

— Kilka dni.

Ten krótki okres wystarczy. Pianchi wezwie Lamerskeniego, Puarmę oraz oficerów wojsk inżynieryjnych i wyda im rozkazy. Mają zbudować platformy, poustawiać maszty i skonfiskować wszystkie statki, od malutkich po największe, sporządzając przy tym listę właścicieli, tak aby można było wypłacić im odszkodowanie.

Ku wielkiej radości Czarnego Faraona rzeka wezbrała i z noworoczną gwałtownością zaczęła szturmować brzegi.

Specjaliści na podstawie wskazań asuańskiego nilometru zapowiedzieli ogromny przybór, który zamieni Egipt w jed-

no wielkie jezioro i zostawi po sobie warstwę żyznego
mułu.

Woda wzniesie się na niebywałą wysokość dwudziestu
dwóch łokci *.

Ziemia łąpczywie chłoneła wilgoć. Woda napełniała
kanały, przy brzegach tworzyły się wiry. Oczyszczająca fala
topiła robactwo, a skorpiony i węże uciekały na pustynię.

Wkrótce ponad powierzchnię wód wystawać będą tylko
wysepki i wzgórza z wioskami. Hapi, bóg Nilu, radośnie
dokonywał swego dzieła, ponieważ gwiazda Sotis wzeszła
już nad horyzont, obwieszczając, że Izyda wskrzesiła

Ozyrysa.

Pianchi poprosił małżonkę, aby pokierowała obrzędem
złożenia ofiar Nilowi, gdyż inaczej rzeka nie okaże się
łaskawa.

— Ostatni raz — zapowiedział — spróbuję nie dopuścić
do zagłady tysięcy ludzi.

— I twoi kapitanowie, i ja sama jesteśmy temu przeciwni.

Pianchi wziął żonę w ramiona.

— Ludzie odstępują niekiedy od swoich szaleństw. Ja
muszę spróbować, sama wiesz.

Ogromna postać Czarnego Faraona budziła podziw tak
samo jak szlachetność jego konia. Człowiek i zwierze wpat-
rywali się w mury miasta, na których pojawił się właśnie

pisarz-dowódca twierdzy.

— Otwórz natychmiast bramy tego miasta, bo jest ono moim miastem, a oszczędzę jego mieszkańców. Kiedy żołnierze przysięgną mi wierność, zapomnę o ich nieposłuszeństwie.

— Odejdź, Nubijczyku! Mam więcej wojska niż ty, a naszych murów nie zdołasz nawet zadrapać.

Strzała z łuku musnęła głowę Pianchiego. Rozwścieczony krzyknął z takim gniewem, że załoga twierdzy stanęła jak skamieniała.

— Zgodnie z rozkazem mojego ojca, Amona, zdobędę to miasto tak jak trąba wodna!

* 11,44 metra.

Czarny Faraon zawrócił.

Gdy żołnierze Północy oprzytomnieli i zaczęli szyc z łuków, był już poza zasięgiem strzał.

Kiedy zajaśniała ziemia zwiastując nowy dzień, olbrzymie pontony, zmontowane z wszelkiej wielkości statków ruszyły z prądem aż pod Memfis. Wody Nilu podniosły się tymczasem tak bardzo, że mury miejskie, wznoszące się ledwie na kilka metrów ponad głowy nubijskich wojowników, nie stanowiły już dla nich wielkiej przeszkody. Do korony potężnych murów, która jeszcze wystawała nad wodę, saperzy przystawiali maszty,

drewniane bale i drabiny, a jednocześnie zaczęła się walka na łuki.

Łucznicy Puarmy okazali się szybsi i skuteczniejsi od przeciwników. Wypuszczali strzałę za strzałą i kładli wrogów jednego po drugim. Pomocnicy uzupełniali bez przerwy zapasy strzał w kołczanach.

— Dalej, naprzód! — rzucił rozkaz Pianchi, którego zapal udzielił się całemu wojsku. — Nil zdobył już te mury, teraz na nas kolej i żaden wróg nas nie powstrzyma.

Piechota Lamerskeniego, uderzając fala za falą na podobieństwo zapowiedzianej przez Pianchiego trąby wodnej, wdarła się na mury, a tymczasem flota nubijska pod osobistym dowództwem Czarnego Faraona zaatakowała port.

Przeciążeni obrońcy daremnie usiłowali odeprzeć Nubijczyków. Żołnierze Pianchiego zarzucali już dziobowe liny na nadrzeczne domy, których progi ledwie wystawały nad wodę.

Lamerskeni walczył tak zapamiętale, że ledwie poczuł ból w nodze, gdy go zraniono. Odpoczął jednak chwilę, a sanitariusz przyłożył mu tymczasem na ranę okład z miodu.

— To najpiękniejszy dzień w moim życiu, łapiduchu!

Któż by uwierzył, że pewnego dnia uda nam się zdobyć miasto Memfis?

— Nie ruszaj się, kapitanie... opatrunek nie będzie się

trzymał.

— Pośpiesz się! Chcę pierwszy wdrzeć się na biały mur.

Takiego zaszczytu mimo wszystko nie oddam Puarmie!

Niezmordowani łucznicy nubijscy szyli z łuków, póki nie ustał wszelki opór przeciwnika. Lamerskeni musiał w duchu przyznać, że Puarma dowodził swymi ludźmi bardzo sprawnie.

Kapitanowie przekazali sobie znak rękoma i z wysokości zasłanych trupami murów obserwowali Memfis. Widzieli, jak Pianchi przybija do brzegu i wdziera się do miasta przez podwójną wielką bramę, za którą ciągnęła się aleja wiodąca do świątyni Ptaha. Przerażeni mieszkańcy biegali na wszystkie strony i przeszkadzali żołnierzom, którzy nie wiedzieli, czyich rozkazów słuchać.

Uznawszy, że już dość odpoczynku, Lamerskeni pchnął swoją piechotę w to kłębowisko, by utorować drogę Czarnemu Faraonowi. Z baszt, z korony murów, z dachów potężnych bram i wież spłynął tłum nubijskich wojowników — wszyscy krzyczeli z radości, że miasto jest już w ich rękach. Runęli na koszary i urzędy, na magazyny papirusów i na gmach dowództwa. Każdy, kto próbował stanąć im na drodze, ginął od siekiery, maczugi lub miecza.

Lamerskeni zbyt późno zauważył celującego weń łuczника i nie zdążył w porę odskoczyć. Strzała wbiła mu się

w udo, musiał się zatrzymać. Natychmiast otoczyli go żołnierze.

— Mirry! — rozkazał.

Sam naciął sobie sztyletem skórę, wyciągnął strzałę, przemył ranę letnią wodą, którą przyniósł któryś żołnierz, przyłożył na ranę korzeń gorzkiej cykorii, a potem warstwę mirry. Ból zelżał, rana szybko się zagoi.

Z zadowoleniem zerknął na łucznika, zabitego przez Puarmę, i kazał wznowić natarcie.

— Starzejesz się, Lamerskeni. Następnym razem...

— Następnym razem też zwyciężymy, tak samo jak dzisiaj. Czegóż możemy się obawiać pod rozkazami króla, który nawet z rzeki potrafi zrobić swego sprzymierzeńca?

Ludność miasta w obawie przed rzezią zmusiła resztki Libijczyków do poddania się.

Gdy Pianchi w asyście obydwu kapitanów zatrzymał się przed ostatnim ośrodkiem oporu, starą cytadelą o białych ścianach, stanął przed nim pisarz dowodzący obroną miasta.

— Czy poddajesz mi się wreszcie?

— Tak jest, Wasza Królewska Wysokość. Pozwól, że złożę ci pokłon.

Zbliżył się do króla. Gnąc się do ziemi w pokłonie, wyciągnął z rękawa obosieczny sztylet i zamachnął się, godząc

prosto w pierś Pianchiego.

Ostrze wbiło się jednak w akacjowe ramię, którym Lamerskeni zasłonił faraona.

Przerażony pisarz nawet nie drgnął, by uchronić się przed potężnym ciosem tegoż ramienia.

— Czy rzeczywiście sądzisz, że jestem za stary, żeby bronić życia faraona? — zwrócił się Lamerskeni do Puarmy.

Wśród ulic i uliczek zerwały się pojedyncze okrzyki, które szybko przeszły w jeden potężny okrzyk na cześć Pianchiego, nowego władcy Mamfisu.

Książę Akanosz przyjął Jegeba w swoich prywatnych apartamentach pałacu w Sais. Doradca Tefnachta, człowiek o bardzo pociągłej twarzy i przeraźliwie długich rękach, chciał się dowiedzieć, jaki to sposób wymyślił Libij-czyk, by pozbyć się swojej ukochanej żony. Przesądzający o sprawie list Jegeb napisał własnoręcznie, pismo Jutrzenki podrobił znakomicie, mógł więc teraz odczuwać nie lada dumę, że za jednym zamachem powalił wielu przeciwników.

— Pragnąłeś, książę, mnie widzieć?

— Chciałem ci podziękować, że otworzyłeś mi oczy.

Pochodzenie mojej żony znałem, postanowiłem jednak o nim zapomnieć. To był błąd. Ta wojna to próba prawdy i miałeś rację, dobywając ją na światło dzienne.

Jegeb skłonił się.

— Spełniłem tylko swój obowiązek.

— Żonę naprawdę bardzo kochałem, Jegebie, i dzisiaj nie wiem, co robić. Czy nie mógłbyś mi pomóc?

— W jaki sposób?

— Nie potrafię sam jej oddalić, jak sobie tego życzy

Tefnacht. Czy nie podjąłbyś się tego zadania? Za sowitym wynagrodzeniem oczywiście.

— Co proponujesz, książę?

— Worek złota i willę w moich dobrach.

Jegeb zastanowił się.

— Powiedzmy... dwa worki złota, willa i pewien procent od zbiorów.

— Dużo byś chciał.

— Czyż to nie jest tego warte?

— Chodź, Jegebie.

— Życzysz więc sobie, bym działał... natychmiast?

— Nie traćmy czasu.

Książę ruszył przodem i otworzył drzwi do komnaty, gdzie z rezygnacją czekała Nubijka.

Jegeb podjął tymczasem decyzję. Udusi ją. Będzie to śmierć powolna i bolesna.

Zbliżał się do ofiary, gdy nagle coś gwałtownie pociągnęło go do tyłu i w miękką skórę gardła wpił mu się rzemień.

— Jakże jestem szczęśliwy, że cię zabijam — mruknął książę Akanosz. — Dzięki przyborowi rzeki ginie robactwo.

Dzięki mnie Tefnacht uwolni się od pluskwy.

Obrzmiały język wysunął się Jegebowi z ust, w zdławionym gardle coś zabulgotało i Jegeb padł martwy.

— Panie, to straszne, potworne...

— Coś taki wzburzony? — zapytał Tefnacht Nartreba.

— Jegeb...

— Mów wreszcie.

— Nie żyje, panie. Znaleziono właśnie jego ciało na ulicy koło pałacu. Ktoś go udusił.

— Ryzyko zawodu — stwierdził generał. — Jegeb miał wielu wrogów.

— Trzeba jak najszybciej aresztować winnego!

— Kogo podejrzewasz?

— Księcia Akanosza. Dziś rano wyjechał do swoich dóbr koło Sebennytos. Zabrał ze sobą żonę.

— Doskonale zrobił. Nubijka, zamknięta w pałacu, nie będzie już mogła nam szkodzić. Wśród libijskich wodzów Akanosz cieszy się wielkim mirem, nie zamierzam więc go skazywać, dam mu raczej jakieś odpowiedzialne stanowisko w rządzie. Porządnych ludzi nie spotyka się co krok.

— Ależ... ależ to przestępca!

— Zajmij się własnymi sprawami, Nartrebie, i pozwól, że o sprawach moich poddanych ja sam będę rozstrzygał.

Tefnacht nigdy już nie weźmie sobie na kark wielkiej królewskiej małżonki. Wbrew tradycji panować będzie sam, a do zaspokojenia pożądań wystarczą mu nałożnice. Zdrada Jutrzenki ostatecznie otworzyła mu oczy — od tej pory nikomu już nie zaufa. Prawdziwa władza jest niepodzielna. Odejście Jegeba było mu na rękę. Razem z Nartrebem

tworzyli bardzo groźną parę i wcześniej czy później zaczęli-
by przeciwko niemu spiskować. Nartreb to człowiek cał-
kowicie amoralny i gwałtowny, manipulowanie nim nie
będzie trudne. Tefnacht będzie się nim wyręczał w brudnych
sprawach. W stosownej chwili zamieni go na kogoś jeszcze
bardziej chciwego.

— Panie...

— Co jeszcze, Nartrebie? Już ci powiedziałem, że Aka-
nosz to cenny sojusznik. Nie trać czasu i nie staraj się
go skompromitować.

— Panie... Memfis padł.

Mimo odbierającego dech letniego upału Tefnacht po-
czuł, że robi mu się zimno.

— Pianchi wziął miasto szturmem?

— Nie, nie szturmem, ale je zajął.

— A załoga, mury obronne, oddziały posiłkowe...

— Mury wziął wykorzystując przybór rzeki. Poległo ty-
siące naszych żołnierzy, a ci, co ocaleli, poddali się i
wcielono ich do wojsk nubijskich.

— Memfis... Memfis był nie do wzięcia!

— Ale nie wtedy, gdy sprzymierzeńcem Pianchiego staje
się rzeka.

— Poniósł z pewnością wielkie straty?

— Nie, panie. Oblężenie było łatwe, a zwycięstwo przy-

szło szybko.

— Ludność miasta powstanie!

— Wyrżnięto by ją. Ale i tak jeszcześmy nie przegrali.

Mamy silną i liczną armię, żołnierze chcą się bić.

Delta nie podda się nigdy.

— Masz rację, Nartrebie, musimy dalej walczyć.

Ziemia zajaśniała, zwiastując naprawdę nowy dzień. Rządzący z woli Amona faraon panował wreszcie nad Memfisem, Wagą Dwóch Krajów, miastem, które znów stawało się biegunem równowagi. Mimo to niejeden memfita obawiał się zemsty Czarnego Faraona. Dwukrotnie odmówili mu otwarcia bram, mogli się więc spodziewać straszliwego odwetu.

Wielu dostojników prosiło już Abileę o łaskę, królowa jednak niczego im nie przyrzekała. Pianchi zatrzymał się w pałacu Totmesa Trzeciego, w pobliżu cytadeli o białych ścianach, i zastanawiał się, jaką linię postępowania przyjąć wobec mieszkańców. Wojska nubijskie, zachowując stan gotowości bojowej, obsadzały miasto.

Lamerskeni, już prawie wylizawszy się z ran, brał po kolei na spytki Libijczyków, którzy przeszli pod sztandary Czarnego Faraona. Tym, którzy wydali mu się podejrzani, odbierano broń i kierowano do oddziałów pracujących przy naprawie tam. Żołnierze zwycięskiej piechoty rozlokowali

się w wygodnych koszarach memfickich i chwalili sobie wikt, którego dostarczali mieszkańcy miasta dla udobruchania zwycięzców.

Świt oznaczał tryumf światła nad ciemnością i Pianchi obwieścił swą decyzję.

— Trzeba oczyścić Memfis.

Królowa Abilea, Lamerskeni, Puarma i Zimna Głowa zadrżeli. Po co takie okrucieństwo, skoro ludność nigdy się nie buntowała?

— Wasza Królewska Wysokość, czy to naprawdę potrzebne? — zaniepokoił się Puarma.

— Konieczne — uciął sprawę Pianchi. — Ten konflikt

pokalał miasto Ptaha. Oczyszczę się więc w jego

świątyni, w „domu poranka”, złożę mu w ofierze

woły, nierogaciznę

i ptactwo, dokonam oczyszczenia wodą przed zgromadze-

niem bogów, a wreszcie oczyszczę zespół świątynny na-

tronem i kadzidłem. Potem i dopiero potem przejdziemy do

spraw materialnych.

W świątyni Ptaha Pianchi poddał się obrzędowi korona-

cji. W oczach wszystkich mieszkańców Dwóch Krajów czy-

niło to zeń władcę Górnego i Dolnego Egiptu. Faraon i jego

małżonka, gorąco oklaskiwani przez najwyższych

dostojników, przeszli do przylegającego do świątyni pałacu

i ukazali się w „oknie pojawień”. Miasto, widząc, że nadchodzą czasy pomyślności, szalało ze szczęścia.

Zimna Głowa, obdarowany podobnie jak Lamerskeni i Puarma wieloma złotymi naszyjnikami, otrzymał raport, którego treść natychmiast przekazał władcy.

— Wasza Królewska Wysokość, wszystkie załogi z prowincji memfickiej opuściły swoje kwatery i uciekły.

Nowina chyba nie ucieszyła Pianchiego.

— Myślisz o opanowaniu Delty, prawda? — zapytała

Abilea.

— Drogę do zachodniej Delty zagradza twierdza Babilon

*. Czekają nas ciężkie boje.

* Babilon to późna nazwa starej twierdzy Cher-Aha.

Wojska libijskie powoli dochodziły do siebie po upadku Memfis. To prawda, porażka była dotkliwa, Tefnacht zwołał jednak wiernych sobie wodzów z Deltę i zdołał pokrzepić ich na duchu. Ze strony Pianchiego oczekiwać mogli tylko kary za podniesienie buntu, Tefnacht dawał im wolę zwycięstwa i nadzieję na odebranie utraconych obszarów. Skoro Memfis nie okazał się niezdobytą twierdzą, dlaczego nie pójść za przykładem Czarnego Faraona? Przyjdzie czas, że wielkie miasto znów dostanie się Libijczykom. Generał mówił z takim przejęciem, że sojusznicy wodzowie uspokoili się.

— Mimo niepowodzeń — oświadczył — wciąż jeszcze rozporządzamy znacznymi siłami, które w zupełności starczą, aby zamknąć Czarnemu Faraonowi drogę do Deltę.

Proponuję następujący plan: marsz wojsk nubijskich powstrzymujemy w dwóch etapach, ustalamy punkt oporu i przeprowadzamy niespodziewane przeciwuderzenie. Pierwszym etapem będzie Babilon. To jedna ze starszych i najsilniejszych naszych twierdz. Stoi na wzgórzu, więc przybór rzeki nie pomoże oblegającym.

Pan miasta Athribis, mężczyzna sześćdziesięcioletni, bogaty i dość otyły, zabrał głos:

— Ten Pianchi został faraonem i nikt nie kwestionuje, że Amon ma go w swej opiece. Czy nie zdobędzie tej twier

dzy, tak jak zdobył już tyle innych?

— Prawdę mówiąc — odparł Tefnacht — myślę, że mu się to uda. Jednakże to nowe zwycięstwo osłabi go, bo oblężenie będzie długie i trudne.

— To pewne... A drugi etap?

— Oblężenie jeszcze trudniejsze.

— Jakie, generale?

— Po zdobyciu Babilonu Pianchi będzie chciał opanować Athribis. Jest to duże miasto i leży bardzo blisko. Tak więc twoja rola, Petisisie, będzie tu bardzo istotna.

— Będę się trzymał, jak długo się da, ale...

— A ja tymczasem wkroczę do akcji ze wszystkim siłami.

Łuczników, piechotę i flotę już teraz przierzucam do Mos-taju, o sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od mojej stolicy Sais. Uderzymy na obóz Pianchiego z szybkością sokoła i rozniesiemy w puch jego unieruchomione pod twierdzą wojska.

— Zręczny plan i powinien się udać — przyznał książę Petisis. Poparli go również pozostali wodzowie libijscy.

Pianchi podał Śmiałkowi sól. W czasie wielkich upałów koń obficie się pocił i potrzebował tej dodatkowej karmy. Żeby uchronić rumaka przed kłopotami z żołądkiem, dawano mu po pięćdziesiąt litrów wody dziennie, dobrze

wysuszony owies oraz różne warzywa i owoce. Wieczorami Pianchi nacierał go wiązka świeżej trawy, wchłaniającej wilgoć i pot, i prowadził z nim rozmowę na podsumowanie dnia. Dotychczas oczy zwierzęcia zawsze lśniły radością, tego jednak wieczoru jego spojrzenie wydało się prawie posępne.

— Niepokoi się czymś? — zapytała Abilea.

— Nie, ale boi się Delty tak jak my wszyscy. Tych stron nie zna nikt w naszym wojsku i na pewno pełno tu zasadzek.

— Czyżbyś się wahał i myślał o odstąpieniu?

— Nie ma mowy o żadnym wahaniu, Abileo. Dolny Egipt wchodzi w skład królestwa, które powierzył mi Amon, i nie może pozostać w rękach buntowników.

Ale czeka nas ciężka próba. Wojnę z Tefnachtem będziemy prowadzili na jego własnym terytorium, a oblężenie Babilonu opłacimy śmiercią wielu ludzi.

— Ci ludzie pójdą za tobą wszędzie. Wiedzą, żeś jest synem światła, bratem rzeki i sługą bogini Maat.

Pianchi lekko pogładził Abileę po twarzy.

— Czy jakiegokolwiek przedsięwzięcie mogłoby mi się po wieść bez ciebie?

Nartreb szybko doszedł do siebie po śmierci Jegeba i prze-

rwał śledztwo. Ostatecznie poradzi sobie i bez współnika, który jako człowiek bardziej wykształcony odnosił się do niego z pewnym lekceważeniem. Znajomość matematyki pozwalała mu dokładnie wyliczać wartość zdobytego majątku, ale ten majątek należał dziś do Nartreba. Że zaś Nartreb czuł w sobie duszę skarbnika, nie uroni ze swego dobytku ani kruszynki.

Sais było największym i najbogatszym miastem Deltą i Nartrebowi nic tu nie groziło. Czarny Faraon nie będzie w stanie zapuścić się aż tutaj, zwłaszcza po ciężkich stratach, jakie Tefnacht zada skoncentrowanym pod Athribis wojskom nubijskim. Plan naczelnego wodza był rzeczywiście znakomity, a zgromadzone w Mostaju oddziały libijskie pałały żądzą odwetu.

W dodatku Jegeb starzał się i brakowało mu ambicji. Przyglądałby się swoim bogactwom i to by mu wystarczało.

On zaś, Nartreb, czuje w sobie powołanie do polityki.

Wojna potrwa jeszcze długo, bo przecież Tefnacht po zwycięstwie pod Athribis spróbuje odzyskać wszystkie utracone pozycje.

Będzie wtedy potrzebował pierwszego ministra, który stojąc z tyłu, zajmie się wyłącznie zarządzaniem. Program swojego rządu Nartreb już przygotował, ma więc prawo do tego stanowiska.

— Uwięziona chce się z tobą zobaczyć — zameldował dowódca straży więziennej.

— Jutrzenka? Ależ to więzienie jest brudne i śmierdzi!

— Otóż to! Jeśli więc wyrazisz zgodę na to spotkanie, przeniosę ją do jakiegoś godniejszego ciebie pomieszczenia.

— Hmm... Wymyjdzie ją i namaśćcie wonnymi olejkami.

— Według rozkazu.

Nieoczekiwana rozrywka... Gdy poprzednio Nartreb próbował zgwałcić Jutrzenkę, broniła się. Teraz będzie na jego łasce. Tylko co ona chce mu powiedzieć?

Jutrzenka mimo widocznych na twarzy śladów udręczenia wciąż była pełna czaru. Miała na sobie krótką, bla-dożółtą i odsłaniającą ramiona sukienkę, była bosa i wyglądała na małą dziewczynkę, która dopiero co przestała być dzieckiem.

Nartreb poczuł, że gwałtownie wzbiera w nim pożądanie.

Jego grube wargi nabrzmiały, szyja zgrubiała, a pulchne paluszki zaczęły zwijać się jak węże.

— Co mi chciałaś powiedzieć, malutka?

Jutrzenka odwróciła głowę, by nie widzieć pożądliwego wzroku Nartreba.

— Ty i Jegeb mieliście rację... Chciałam pomścić ojca, tak jak przyrzekałam.

— Dobrze, dobrze... Tylko że ta skrucha przychodzi

trochę za późno, nie sądzisz?

— Zostałam okrutnie ukarana. Nie wytrzymuję już tego lochu, tych brudów i wilgoci. Zechciej mi przebaczyć, Nar-trebie.

— To niemożliwe, malutka. Wyrok wydał Tefnacht i ja nie mogę go zmienić.

— Błagam cię... zamknij mnie w innej celi, zdrowej i bez robactwa.

— Co możesz dać mi w zamian za taką łaskę? Jutrzenka zsunęła sukienkę ze swego dziewczęcego ciała.

Nartreb przełknął ślinę.

— Będziesz musiała zgadzać się na wszystko, co zechcę.

— Zgadzam się.

— Będziesz musiała również uczestniczyć... Nie znoszę dziewuch, co zachowują się jak kłody.

— Postaram się jak najlepiej.

Nartreb ani myślał przenosić Jutrzenkę do innego więzienia.

Tefnacht wściekłby się na niego, gdyby się o tym dowiedział.

Jednym z jego talentów była umiejętność kłamania, oczekiwał więc pięknych chwil rozkoszy.

— Chodź, kochanie, i uściśnij mnie — rozkazał.

Jutrzenka rzuciła się naprzód z szybkością węża i zębami wpiła się w gardło Nartreba, aż trysnęła krew.

Oszalały z bólu, odepchnął ją kułakami i kolanem. Padła ogłuszona i nie poczuła nawet, jak umiera. Nartreb deptał po niej z wściekłością graniczącą z szaleństwem.

— Jaki jest stan Nartreba? — zapytał Tefnacht.

— Wdało się w to zakażenie i trudno będzie je zwalczyć

— odparł chirurg. — Będę potrzebował bardzo wielu rzadkich i drogich leków.

— Nie marnuj ich, przydadzą się wojsku.

— Mam rozumieć, że...

— Daj mu umrzeć i nie podawaj niczego na uśmierzenie cierpień. Człowiek, który osiągnął taki stopień upodlenia i barbarzyństwa, od dawna już nie miał duszy.

Tefnacht widział sponiewierane zwłoki Jutrzenki. W imię miłości, którą niegdyś wspólnie przeżyli, winien jej był tę ostatnią zemstę.

Podjeżdżając pod Babilon, Pianchi gładził konia po pysku i myślał o świętym mieście Heliopolis, do którego dostępu broniła ta twierdza.

Heliopolis, gród boga Ra, boskiej światłości, gdzie zrodziła się kiedyś duchowość egipska, gdzie ułożono i spisano „Teksty Piramid”, poświęcone ustawicznym przemianom królewskiej duszy w zaświatach... To z tego właśnie miejsca po raz pierwszy rozległ się na całą ziemię egipską głos bogów. Serce Czarnego Faraona ścisnęło się, jakby nadchodziła przełomowa chwila jego życia. Jakże on, syn dalekiej Nubii mógł się spodziewać, że pewnego dnia znajdzie się tak blisko źródła cywilizacji, która była dla niego wzorem i sensem istnienia.

Ogarniającego go smutku nie potrafił od siebie odegnąć.

Ilu jeszcze żołnierzy musi zginąć, nim dojdzie do Heliopolis?

Abilea ujęła męża łagodnie za rękę.

— Miej ufność — szepnęła.

— Idą! — zameldował żołnierz oficerowi odpowiedzialnemu za warty na murach Babilonu.

Oficer pobiegł czym prędzej do dowódcy twierdzy, czterdziestoletniego Libijczyka o bardzo delikatnej skórze i arystokratycznej postawie. Potomek zamożnego rodu z Delty, ojciec trojga dzieci, stanowisko zdobył bez kłopotów i bez wysiłku.

— Ilu ich jest?

— Moim zdaniem to cała nubijska armia.

— Czarny Faraon?

— Jedzie na czele.

— Nasi żołnierze gotowi?

— Będą walczyć do ostatniej kropli krwi, wodzu, i zabiją wielu Nubijczyków, zanim przyjdą posiłki z Sais i rozgromią wroga.

— Nie przyjdą żadne posiłki.

— Nie przyjdą, ale...

— Mamy rozkaz trzymać się jak najdłużej i zadać przeciwnikowi jak największe straty. Liczyć jednak możemy tylko na siebie.

— Zrozumiałem, wodzu. Żywności i wody mamy na wiele miesięcy.

— Co sądzisz o skuteczności nubijskich katapult?

— Bardzo groźne.

— A o uzbrojeniu przeciwnika?

— Pierwszorzędne.

— Duch w naszej załodze?

Oficer zawahał się.

— Chcę znać prawdę.

— Niezbyt tęgi... Żołnierze znają odwagę nubijskich wojowników i zawziętość Czarnego Faraona. Mówi się,

że niebo ma go w swej opiece, a dzięki magii żony

zawsze potrafi znaleźć drogę do zwycięstwa.

— Wszyscy na stanowiska, nie tracić ducha i oby bogowie spojrzeli na nas łaskawie.

— Piękna zdobycz! — zawołał Lamerskeni, przyglądając się twierdzy. — Z Memfitem poszło nam zbyt łatwo... Tym razem będziemy mieli bój na całego.

Puarma skrzywił się.

— Nie przystawimy jeszcze drabiny, a już stracimy z pięćdziesięciu ludzi. Łucznicy Babilonu zajmują idealne pozycje, moi mogą mieć kłopoty z celnym strzelaniem.

— Kiedyż wreszcie wyzbędziesz się tego pesymizmu?

Zapominasz, że oblężeniem dowodzi Pianchi.

Puarma spoglądał na wysokie mury Babilonu i nie mógł się uspokoić.

— Saperzy budujący nasyp przy murach zetkną się z takimi trudnościami, że mogą sobie nie poradzić. Grożą nam poważne straty. Jeśli nawet założyc, że wyłamiemy w końcu ten rygiel, to ile zostanie nam wojska na zaatakowanie Delty?

— Pianchi znajdzie jakieś wyjście.

Kapitan łuczników rozeźlił się.

— Gdzie podział się twój sceptycyzm, Lamerskeni?

— Gdybyś to ty był moim zwierzchnikiem, nie miał bym żadnej nadziei. Rządzi jednak faraon i jutro wstanie słońce.

Poranek był prześliczny, lekka bryza łagodziła skwar słoneczny. Tysiące Nubijczyków szykowało się oddać życie, żeby utorować drogę do Deltę i do bogatych prowincji Dolnego Egiptu, które wciąż były w rękach Libijczyków.

Łucznicy Puarmy postarają się dać osłonę saperom i piechocie Lamerskeniego. Pianchi wiedział jednak, że wielu jego towarzyszy broni zginie na przedmurzach twierdzy Babilon.

W szeregach nubijskich panowało głuche milczenie.

Wszyscy czekali na chwilę, gdy faraon da znak do natarcia.

Śmiałek zarżał, stanął dęba, potem sam z siebie się uspokoił i wpił wzrok w wielką bramę forteczną, która powoli, jak we śnie zaczęła się otwierać. Libijski dowódca wyszedł na brukowany dziedziniec, rzucił przed siebie miecz i łuk, podszedł do Pianchiego i padł przed nim na twarz.

— Faraon został koronowany w Memfisie — rzekł. —

Bóg kazał mu rządzić Egiptem i dbać o pomyślność kraju.

Po cóż miałbym siać śmierć i cierpienie, skoro dla uniknięcia zła wystarczy mi być posłusznym? Przyjmij, Wasza Królewska Wysokość, kapitulację twierdzy Babilon.

Na kilka chwil zapadła cisza, jak gdyby wszystkim woj-
skom nubijskim zapało dech w piersiach. Potem strach
dokądś uleciał, ogromna radość ożywiła serca i wśród
nieopisanego entuzjazmu żołnierze z Babilonu i żołnierze
Pianchiego rzucili się ku sobie, by powinszować jedni
drugim.

Czarny Faraon minął umocnione wzgórze Babilonu i
oczyścił się w jeziorze Kebeh. Tu boskie światło obmyło mu
twarz wodą dobywającą się z praenergii. Tak odrodzony
skierował się na piaszczyste wzgórze Heliopolis, gdzie ongiś
po raz pierwszy ukazało się życie. Przed wejściem do świą-
tyni boga Atuma, powitany oklaskami kapłanów, w obliczu
wschodzącego słońca złożył twórczej zasadzie w ofierze
białe woły, mleko, mirrę, kadzidło i wonności. Kapłani
uznali go za faraona i stwierdzili, że jest on członkiem
bractwa dziewięciu bóstw, które bez ustanku stwarzają
świat.

Król wypowiedział rytualną formułę odpędzającą
widzialnych i niewidzialnych wrogów, w domu poranka
włożył na siebie oczyszczone szaty, na głowie zawiązał
szarfę, dzięki której mógł ujrzeć świat bogów, wstąpił na
schody wiodące na piętro świątyni i ujrzał stamtąd
granitowy obelisk — pra-kamień, w który wcieliło się
kiedyś światło prapoczątku.

Pozostawała mu już tylko jedna czynność: wejść samotnie do tajnego sanktuarium Atuma, które to imię oznaczało Byt i Niebyt zarazem. Zerwał pieczęcie do naosu, otworzył złote drzwi i stanął przed tajemnicą stworzenia, wiecznym ruchem, który w nieustannej swej podróży wcielał się w łódź — to poranną, to wieczorną.

I wtedy pojął, dlaczego podjął tę długą i niebezpieczną wyprawę, dlaczego narażał życie swoje i swoich ludzi, dlaczego Dwa Kraje muszą się zjednoczyć i dlaczego rządzić nimi trzeba miłością.

W uroczym Heliopolis, mieście tajemnicy, pełnym cienistych akacji i tamaryszków, para królewska odprawiła modły w świątyniach Ramzesa Drugiego i Ramzesa Trzeciego, przybrała kwiatami siedziby wieczności Starego Państwa i oddała hołd bykowi Mnewisowi, ziemskiemu wcieleniu potęgi światła.

Pianchi szczególnie polubił pawilon „Atuma pod Sykomorą” i kapliczkę świętego drzewa, na którego liściach kapłan w masce Tota na twarzy zapisał koronacyjne imię Czarnego Faraona. Laski, sady, gaje oliwne i sadzawki czyniły z Heliopolis miejsce, gdzie żyło się przyjemnie, a obecność bogów wyczuwało się na każdym kroku.

Tylko kapitan Lamerskeni był w kwaśnym humorze.

— Tracimy czas — skarżył się Puarmie. — Popatrz no tylko na naszych żołnierzy. Chodzą w tunikach z szerokimi rękawami, spódniczki mają plisowane, a na spódniczkach zobaczysz i dzwoneczki, i wyhaftowane gazele skaczące po sawannie. Zadurzone panienki przez cały dzień nacierają ich wonnościami. Miejscowi dygnitarze, od naczelnego pisarza aż do tego, co nosi przed faraonem koronę, bez przerwy pieją na cześć Pianchiego. Usypiają nas nasze złote naszyjniki i wojna zaczyna się nam nie podobać. W ten sposób nie zdobędziemy Athribis.

Puarma uśmiechnął się.

— Miej ufność, kapitanie. Faraon na pewno znajdzie jakieś wyjście.

Athribis, miasto, którego symbolem był czarny byk, było grodem bogatym i potężnym, a ksiązę Petisis, które to imię oznacza „dar Izydy”, był dumny ze swoich rządów. Mimo gospodarczego rozprzężenia, spowodowanego libijską okupacją, mógł się pochwalić, że wszystkich mieszkańców stolicy swojej prowincji jakoś wyżywił, a żołnierze wciąż dochowywali mu wierności.

Rano, po przyjemnym ciepłym prysznicu, ksiązę Petisis siadał zwykle za dobrze zastawionym stołem i przystępował do śniadania, które Egipcjanie nazywali „przemyciem ust”, przed jedzeniem bowiem wypadało oczyścić je sobie natronem. Przepadał za kozim serem i suszoną rybą.

Jednakże wiadomość, którą przyniósł mu właśnie osobisty sekretarz, odebrała księciu apetyt.

— Twierdza Babilon poddała się bez walki? Ależ to niemożliwe!

— Jej dowódca uznał zwierzchnictwo Czarnego Faraona.

Nie widział żadnego powodu, by poświęcać załogę.

— Tefnacht kazał mu stawić opór, a on znał cenę waleczności. Gdzie jest teraz Pianchi?

— Zatrzymał się w Heliopolis.

— Z pewnością uderzy wkrótce i na nas... Wezwij tu wszystkich oficerów.

— Właśnie przybył z Sebennytos książę Akanosz i chce z tobą rozmawiać.

— Niech wejdzie!

Dwaj mężczyźni złożyli sobie wzajemnie powinszowania.

Od dawna się lubili.

— Jechałeś tu nocami, Akanoszu?

— Wyruszyłem na wiadomość o upadku Babilonu. Czy masz potwierdzenie tej wiadomości?

— Dowódca twierdzy otworzył bramy Czarnemu Faraonowi. Pianchi nie musiał nawet przypuszczać szturm i nie stracił ani jednego żołnierza.

— Pierwszy etap planu Tefnachta skończył się więc dotkliwą porażką.

— I wojska Pianchiego staną nienaruszone pod murami mojego miasta...

— Trzeba raz wreszcie skończyć z tą wojną — zawyro-
kował Akanosz.

— Chcesz powiedzieć, że powinienem...

— Powinieneś i ty otworzyć bramy miasta i podporząd-
kować się prawowitemu monarsze.

— Czy zdajesz sobie w pełni sprawę z następstw takiej zdrady?

— To nie jest zdrada, Petisisie. Pod dowództwem Tefnacha próbowaliśmy pobić Pianchiego i sami zostaliśmy-pobici. Dziś Pianchi jest faraonem i winniśmy mu posłuszeństwo. Dlaczego nasze prowincje mają bez potrzeby cierpieć?

Akanosz postawił wszystko na jedną kartę. Petisis mógł go aresztować i odstawić do Sais, gdzie księcia czekała śmierć.

— Chciałbym ci wyznać pewien sekret. Nie jestem Libijczykiem, lecz Egipcjaninem. Niechże Athribis wraca na łono autentycznego faraona, osłodzi mi to starość.

— Wspaniale wyglądasz — rzekł kapitan Puarma do: kapitana Lamerskeniego. — W tej koszulce z krótkimi i szerokimi rękawami bardzo ci do twarzy.

— Dość tego, łuczniku! Nie znoszę takiej pompy.

— To nie byle jaka pompa. Księżę Athribis przekazujący swoje miasto Pianchiemu to nie jest codzienny widok.

— Jesteśmy żołnierzami, a nie dworakami. Wolałbym zdobyć tę twierdzę mieczem.

— Zachowaj siły na Sais... Tefnacht nie podda się, tego możesz być pewien.

Do portu w Athribis Pianchi i Abilea wpłynęli na pokładzie okrętu flagowego. Księżę Petisis kazał zbudować altanę ze złoconego drewna, by przyjąć królewską parę w miejscu osłoniętym przed prażącymi promieniami słońca.

— Zechciej, Wasza Królewska Wysokość, wejść do swojej siedziby. Czeka ją na ciebie jej bogactwa.

Znajdziesz tu sztabki złota ode mnie, stos turkusów, naszyjniki, amulety, złote naczynia, szaty z królewskiego lnu, łoża obite cienkim lnem, olejek olibanowy, naczynia pełne wonności, a także wiele koni z mojej stajni.

— Oddajesz mi najlepsze?

— Ktokolwiek kryłby przed tobą najwspanialsze swoje konie, niech natychmiast umrze.

— Wstań, Petisisie!

— Wasza Królewska Wysokość, jako Egipcjanin wdzięczny ci jestem, że przywracasz wolność mojemu miastu.

Jeśli chodzi o Libijczyków synów Libijczyków, to też poddają się dzisiaj twojej władzy.

Jako pierwszy wystąpił książę Akanosz, któremu towarzyszyła małżonka. Pianchi docenił ich szlachetność wolną od wszelkiej skazy.

— Jesteśmy pokonani. Od tej pory prowincja Sebennytos należy do faraona Egiptu. Oby zechciał okazać się łaskawy wobec moich poddanych i mojej żony, z pochodzenia Nu-bijki, wiernej swemu plemieniu.

— Chwała ci za twoją mądrość — odparł Pianchi. —

Służ wiernie temu krajowi i jego królowi i nadal

sprawuj urząd namiestnika Sebennytos.

— Ufasz mi, Wasza Królewska Wysokość? Mnie, Li bij
-czykowi?

— Ufam człowiekowi, który troszczy się o swoją prowincję i o jej mieszkańców. Przedkładasz ich sprawy ponad swoje, będziesz więc umiał ich uszczęśliwić.

Naczelnicy miast, zarządcy, sędziowie i oficerowie — jedni rdzenni Egipcjanie, inni Libijczycy — wszyscy składali kolejno Czarnemu Faraonowi przysięgę na wierność. W ich ślady poszedł i książę bogatego miasta Letopolis.

Pianchi każdemu wyznaczał rolę, jaką ma spełniać, stojąc na straży jedności Dwóch Krajów, w poszanowaniu prawa bogini Maat, które jest gwarantem tej jedności. Świątować zaczęto dopiero późnym wieczorem, gdy stanowiska w większej części Deltę zostały już obsadzone.

Lamerskeni, ogryzając udo pieczonej kaczki i popijając je łagodnym białym winem, nie mógł się powstrzymać od głośnego wyrażenia swoich myśli.

— Jeszcze tylko Sais, stolica Tefnachta... Ostatnia bitwa i najwspanialsza!

Na akacyjową rękę kapitana wskoczyła mangusta Pianchiego.

— O, jesteś! Będziesz chroniła nas aż do końca, prawda?

Mały drapieżnik wlaźł bohaterowi na ramię i polizał go

po policzku.

— Faraon ma rację. Trzeba sprawę doprowadzić do końca. Żal byłoby umrzeć tuż przed metą.

W saickim pałacu zebrali się ostatni wierni Tefnachtowi.

Nieprzejednani byli za totalną wojną z Pianchim.

— Athribis zdradziło nas — oznajmił Tefnacht — a wię-

kszość libijskich wodzów podporządkowała się

Pianchiemu.

— Co tam! — zawołał stary oficer. — Nie będziemy

żałowali takich tchórzy! Wiemy przynajmniej, na

kogo możemy liczyć. Przybądź, generale, do Mostaju,

gdzie zebrały się nasze wojska, a zobaczysz, że

jesteśmy gotowi do walki.

— Bądźcie pewni, że nigdy się nie poddam. Nasze wojska

są jeszcze dość silne, żeby nie wpuścić Pianchiego do

Sais, a on tylko marzy, żeby zalać je morzem ognia i

krwi!

Jeden z młodych oficerów gwałtownie zaprotestował.

— Mylisz się, generale! Pianchi nie zabił ani jednego

cywila, a wszyscy, którzy uznali jego zwierzchnictwo,

nie mają powodu się skarżyć.

— To ty się mylisz. Ten Nubijczyk ma przed sobą tylko

jeden cel. Chce mnie zniszczyć, a wszystkich

Libijczyków zlikwidować razem ze mną. Do tej pory

chyttrze udawał łaskawcę. Jutro okaże swoje

prawdziwe oblicze bezlitosnego okrutnika.

— Twoje słowa nie brzmią przekonywająco, generale.

Fakty są faktami.

— Chcesz wystąpić z mojego wojska?

— Pogódźmy się z klęską, generale. Pianchi nam wybacz.

Stary oficer pchnął młodego sztyletem w pierś. Ten z osłupieniem w oczach zwałił się na ziemię.

— Będziemy walczyli i zwyciężymy — oświadczył twardo morderca.

Na mapie Deltę pozostawała już tylko jedna niepokorna prowincja: Sais, gdzie rządził Tefnacht.

— Ostatni etap — rzekł Lamerskeni.

— Tefnacht zatrzymał przy sobie swoich najlepszych żołnierzy — stwierdził Puarma. — Dotychczas potrafiłeś, Wasza Królewska Wysokość, oszczędzić wiele istnień ludzkich, ale tym razem starcie będzie bardzo krwawe.

Pianchi o czymś rozmyślał. Na jego ramieniu przysiadła mangusta.

— Gdybyście byli na miejscu Tefnacha, co byście zrobili?

Lamerskeni podrapał się po akacyjowej ręce.

— Nie oparła się nam żadna twierdza... Sais też nie będzie wyjątkiem od tej reguły. Jeśli Tefnacht

zamknie się za murami, nie będzie miał żadnych

szans.

— A zatem — uzupełnił Puarma — skoncentrował wojska gdzie indziej, najprawdopodobniej na którejś z dróg wiodących do Sais.

— Mogę ci nawet dokładnie wskazać, gdzie na nas czeka.

Pod Mostajem.

— Skąd Wasza Królewska Wysokość...

— Mam tę wiadomość od książąt libijskich. Chciałem tylko sprawdzić wasze zdolności wnioskowania.

Lamerskeni nie zgodził się z Puarma.

— Wie, że sprzymierzeńcy od niego odeszli, więc wie również, że ci opowiedzieli o Mostaju. A więc pułapkę z całą pewnością przygotował gdzie indziej.

— To nie takie pewne. Musi znaleźć teren odpowiedni dla manewrów rydwanów, a przerzucanie i piechoty, i statków nie jest takie proste.

— Pozwól, Wasza Królewska Wysokość, że sam to zbadam — poprosił Lamerskeni.

Zimna Głowa miał powody do radości, ale i do smutku zarazem. Cieszył się, widząc tryumfy Czarnego Faraona, a smutno mu było, że już zawsze żyć będzie z dala od Napaty i Nubii. Że zaś Pianchi zamierzał powierzyć mu ważne stanowisko państwowe, pisarz myślał już o sprowadzeniu z

Napaty rodziny.

Gdzie jednak rezydować będzie królewska para? W Tebach czy w Memfisie? Niewątpliwie na Północy latem i na Południu zimą, faraon zechce bowiem pokazać, że nie zaniedbuje ani Dolnego, ani Górnego Egiptu. W dodatku trzeba jeszcze przeciąć saicki wrzód, ostatni na wielkim ciele ukochanej przez bogów ziemi.

Nastrój w Athribis był wesoły i swobodny, Zimna Głowa czuł jednak, że Pianchiego coś gnębi. Istotnie, król się obawiał ze strony Tefnachta, choć już bardzo osłabionego, jakiejś gwałtownej, nieprzewidzianej akcji, jakiegoś aktu rozpacz, w wyniku którego cała Północ spłynie krwią.

Monarcha niepokoił się również o Lamerskeniego — jego zwiadowczy wypad trwał dłużej, niż się spodziewano.

A Puarma kipiał z niecierpliwości. Gdyby nie żołnierskie posłuszeństwo, chętnie postąpiłby wbrew rozkazom Pianchiego i pognął do kolegi, który musiał znaleźć się w opałach.

Lamerskeni za bardzo zaryzykował i pewnie już nie wróci.

Wrócił pokryty kurzem, zmęczony, spragniony i wściekły, ale żywy.

Nie chciał nic mówić, dopóki nie wypił gąsiora chłodnego piwa i nie oczyścił sobie akacyjowej ręki, w której tkwiło mnóstwo cierni.

— Musiałem przedzierać się przez chaszczę — wyjaśnił

— uważać na węże i skorpiony, potem koło Mostaju

wpakowałem się w bagna. Ale widziałem ich. Na

kanale stoją statki, piechota obozuje obok.

— Duże siły? — zapytał Pianchi.

— Nie wytrzymają. Proponuję uderzyć jednocześnie na

kanał i na obóz. Nasze statki z łatwością przełamią

blokadę,

łucznicy zniszczą obie wysunięte strażnice, a wozy bojowe

pojadą szlakiem północnym i zdziesiątkują piechotę.

Puarma zgodził się z nim.

— Chętnie wypocząłbym dzień albo i dwa — dodał La-

merskeni — ale tu trzeba działać szybko.

Pianchi mógłby co prawda zażądać wsparcia od poko-

nanych wodzów libijskich, postanowił jednak stoczyć tę

bitwę własnymi wojskami, które od wyruszenia z Napaty

służyły mu z bezwzględną wiernością.

Kapitan Puarma ośmielił się wysunąć zastrzeżenie, które

zaniepokoiło faraona.

— Wasza Królewska Wysokość... Jeśli ta bitwa skończy

się dla nas niepomyślnie, wszystko to, czegoś dokonał,

legnie w gruzach i znowu zapanuje anarchia.

Lamerskeni uniósł się.

— To ja widziałem pozycje i wojsko przeciwnika, a nie

któryś z twoich łuczników. Nie grozi nam żadna

pułapka.

— No, a libijskie rezerwy, wozy bojowe...

— Nie ma żadnych rezerw, Puarmo. To już ostatnie siły Tefnachta i zmiażdżymy je.

Pianchi i Abilea płynęli łodzią po jeziorze koło pałacu w Athribis; król wiosłował osobiście. Królowa, ubrana w ażurową koszulkę, która tyleż zakrywała, co odsłaniała, schowała się przed słońcem pod przenośną parasolkę.

— To już ostatni etap, prawda?

— Istotnie. Sądzę, że Lamerskeni ma rację.

— A jednak twoi oficerowie nie są spokojni.

— To prawda, Abileo. Można by przysiąc, że gnębi ich widmo porażki.

— Złe oko... To ono chce wśliznąć się w nasze szeregi.

Trzeba je zakląć. Jeszcze przed atakiem.

— Co proponujesz?

— Odprawimy najstarszy z naszych obrzędów. Będziemy tłukli czerwone naczynia.

W nocy przed wymarszem wojsk nubijskich na Mostaj królowa Abilea, działając w imieniu bogini Sechmet, porozbijała o posadzkę świątyni mnóstwo czerwonych naczyń z wypisanym imieniem Tefnachta. Odbierała w ten sposób Libijczykowi siły i gwałtowność boga Seta, wyrażone przez

kolor czerwony.

Wkrótce po zakończeniu obrzędu kapitan Puarma poczuł, że ucisk, który od kilku dni utrudniał mu normalne oddychanie, nagle przeszedł. Wielu żołnierzy również odczuło wyraźną ulgę.

Magia królowej Aibilei była skuteczniejsza niż magia Tefnachta. Na zdobycie ostatniego bastionu Północy wojska nubijskie wymaszerowały ze śpiewem.

Tefnacht nie znosił bezruchu, postanowił więc uderzyć na stojące w Athribis wojska Pianchiego. Wykorzystując efekt zaskoczenia, zada im ciężkie straty, potem cofnie się, będzie prowadził wojnę podjazdową i przygotuje dalsze napady.

Pendent przez pierś, włosy splecione w warkoczyki, cienka, postrzyżona w szpic bródka, ramiona, piersi i brzuch pokryte wojennymi tatuażami — jeszcze tylko wetknąć dwa pióra we włosy, a żołnierze libijscy będą gotowi. Na tyłach nie chcieli zostawać ani chorzy, ani weterani i nawet stary porucznik wozów bojowych, siedemdziesięcioletni Pisap wrócił do służby czynnej, by wziąć udział w walce, która miała przywrócić wojskom Tefnacha wiarę w siebie.

Generał nie mógł usnąć. Noc spędził niespokojnie, w wyobraźni widział Nubijczyków zalewających go jak rozszalałe fale Nilu. Chodził po uśpionym obozie skąpanym w świetle księżycy w pełni i po raz pierwszy w życiu ogarniały go wątpliwości.

Wątpił w siebie samego. Dlaczego walczy i o co walczy?

Niebo i bogowie dali wiele znaków, by otworzyć mu oczy.

Pianchi, zesłany przez Amona i uznany faraonem, kroczył dotychczas drogą sprawiedliwych, niósł radość i pokój. On zaś, buntownik i wichrzyciel, stoi samotnie na skraju przepaści.

Wstawał świt, ale ptaki nie śpiewały. Przeraził je głuchy, daleki odgłos narastający z minuty na minutę. Czyżby wozy bojowe Pianchiego?

Generał rozkazał trąbić na alarm. Wyrwana nagle ze snu piechota pośpiesznie chwyciła za broń, a załogi rydwanów zaprzęgały konie.

Tymczasem łucznicy Puarmy zdążyli już wystrzelać wartowników, a eskadra Pianchiego atakowała statki Tefnachta. Ich przerażone załogi stawiały dość słaby opór.

Tefnacht błyskawicznie zrozumiał, że aby odeprzeć atak wojsk nubijskich, trzeba zniszczyć ich wozy bojowe. Miał tylko jedno wyjście: stanąć na czele swych wyborowych oddziałów i uderzyć czołowo.

— Naprzód! — krzyknął.

Stojący przy nim stary Pisap mocno przywiązał się do pudła wozu rzemieniem i pewną ręką trzymał lejce.

— Gdzie mój giermek?

— Wymiotuje. Boi się śmierci. Nie obawiaj się, generale, ja potrafię poprowadzić twój zaprzęg. Ty zabij jak najwięcej nieprzyjaciół.

Libijczykom nie zbywało ani na odwadze, ani na zręczności, ale nierówny teren szybko dał im się we znaki. W wielu wozach popękały koła, choć koła rydwanów Pianchiego wytrzymywały i prędkość, i nierówności drogi, tak jak to

zapowiadał napacki kołodziej.

Libijscy łucznicy i oszczepnicy rzadko trafiali z chybotających wozów, natomiast pociski nubijskie prawie wszystkie szły w cel. A potem zdarzył się cud: w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów od Tefnacha, w zasięgu strzału pojawił się na gniadym koniu Pianchi, nieświadom grożącemu mu niebezpieczeństwa.

Tefnacht napiął łuk, wycelował i strzelił.

Śmiałek uskoczył ostro w bok, by nie wpaść na bojowy wóz libijski, który właśnie się wywrócił, i strzała musnęła tylko kark Czarnego Faraona.

— Generale! — krzyknął rozpaczliwie Pisap. — Trzeba uciekać!

Tefnacht obejrzał się. Jego wozy bojowe były już niezdolne do walki.

— Pędź w stronę kanału!

Pisap, przekonany, że generał planuje kontratak, rozpędził się, by sobie utorować przejazd.

Tefnacht zeskoczył z rydwanu, podbiegł do pierwszego zacumowanego okrętu, złapał pochodnię i przytknął ją do żagla. Poranny wiatr rozdmuchał płomienie, zajęła się rufa i ogień przeniósł się na sąsiedni statek.

Zdumienie Pisapa nie miało granic.

— Generale, dlaczego?

— Pianchi nie dostanie moich okrętów! A teraz umrzemy. Zawracaj!

— Nie! Uciekajmy!

— Niemożliwe.

— Wjedźmy na dróżkę wzdłuż kanału, przejedziemy przez pole zboża na północ. Na bagnach Delty będziemy bezpieczni. Znam tam takie kryjówki, że żołnierze Pian-chiego nigdy ich nie odkryją.

— Wóz za szeroki!

— Naprzód, maluśkie! — krzyknął Pisap. — Naprzód!

Konie ruszyły ostro.

Z całej libijskiej armii niewielu ocalało żołnierzy, a i ci byli w większości śmiertelnie ranni. Wyborowe oddziały Tefnachta przestały istnieć. Pianchi kazał lekarzom opatrzyć nieszczęśników, potem stanął przed wiwatującymi na jego cześć żołnierzami.

— Biliście się nie dla chwały jednego człowieka — przemówił — ale za Egipt i jego faraona, który reprezentuje na ziemi boskie prawo bogini Maat. Ta wojna już się skończyła i od dziś stajecie się budowniczymi pokoju. Wstrzymajcie się od wszelkich rozbojów, osłaniajcie biednych i zapewniajcie ludowi bezpieczeństwo. To będzie najwspanialsze wasze zwycięstwo.

Potem w asyście Lamerskeniego i Puarmy objechał pole

bitwy, szukając trupa Tefnachta. Żeby określić straty wroga, Nubijczycy obcinali każdemu zabitemu prawą rękę, a pisarze notowali na tabliczkach ich liczbę.

Puarmie dwukrotnie wydało się, że rozpoznaje Tefnachta, którego mu opisał pewien ranny w ramię libijski woźnica.

Ten jednak, obejrzawszy zwłoki, za każdym razem wypro- wadzał kapitana łuczników z błędu.

Lamerskeni przepytał wielu ludzi i doszedł do wniosku, że Tefnacht umknął dokądś na północ. Zwiadowcy znaleźli nawet dróżkę, na której zostały odciski kół.

Pianchi nie ukrywał zawodu.

— Wynika stąd, że Tefnacht nadal żyje.

— Wyprawie podjazdy, niech go szukają — postanowił

Puarma.

Zwinięta w kłębek mangusta drzemała na kolanach

Pianchiego, który siedział na połączonym tronie z drewna sykomorowego w mrocznej sali posłuchań saickiego pałacu, skąd jeszcze niedawno rozkazy wydawał Tefnacht.

Zdobyte przez Czarnego Faraona miasto bogini Neith spało spokojnie, całkowicie pewne, że Pianchi oszczędzi jego mieszkańców. Czarny Faraon nie mógł usnąć, przyszedł więc porozmyślać w miejscu, gdzie jego przeciwnik snuł swoje szaleńcze plany.

W ciszy opuszczonego pałacu myślał Pianchi o wrogu

pobitym i nie mającym już żadnego oparcia. Tefnacht do kresu sił gonił za swymi urojeniami, z przekonaniem, którym kolejne porażki bynajmniej nie zachwiały. Pomylił się jednak i co do swojego losu, i co do losów Egiptu. Królowa Abilea weszła do mrocznej komnaty, siadła u stóp tronu i przytuliła głowę do nóg męża.

— No i co dały poszukiwania?

— Nic — odparł Pianchi. — Tefnacht dobrze zna bagna i wyspy Delty, będzie się przemieszczał z jednej kryjówki do drugiej.

— A nie można by go zostawić w tej jego samotni?

— Nie można, bo on sam w niej długo nie wytrzyma.

Zbierze bandę flisaków i rybaków, będzie napadał na wioski i zagrażał całemu pograniczu. A tego nie mogę tolerować.

Tefnacht nie był aż tak samotny, jak sądził Pianchi. Jadąc w głąb Delt, do tego dziwnego i groźnego świata bagien, myślał o drobnych społecznościach rybackich, które potrafi zjednoczyć do wspólnej walki z Nubijczykami. Stary Pisap miał wśród przewoźników pływających po kanałach na północ od Sais trochę krewnych, którzy z pewnością przyjdą generałowi z pomocą.

Dwaj Libijczycy porzucili niepotrzebny już wóz bojowy i dalszą drogę odbywali łodzią z papirusu, płynąc między dwiema ścianami trzciny. W tej plątaninie, którą trzeba było świetnie znać, by dotrzeć do wysepek, gdzie stały lepianki rybaków, nie znajdzie ich żaden Nubijczyk.

Płynęli właśnie ku jednej z takich wysepek, dość dużej, ukrytej w gąszczu papirusów, gdzie gnieździły się dziesiątki ptaków. Niegdyś wyrównano ją i wzniesiono na niej kamienną świątynię bogini-wężowi Wadzet, tej co przywraca życie i energię.

Skarbnik armii libijskiej ukrył tu kiedyś trochę złota i drogich kamieni, gdy przybywał w te strony na polowania. Dzięki tym niewielkim zasobom Tefnacht będzie miał czym opłacić najemników i prowadzić nieustanną wojnę partyzacką z Pianchim.

Zjedli kawałek pieczonej ryby i położyli się spać.

W środku nocy Tefnacht usłyszał podejrzane odgłosy,
podobne do łopotu ptasich skrzydeł. Chwycił za miecz i
wyszedł z lepianki.

Chmury przesłaniały księżyc, ale widno było jak w dzień.
Z wierzchołka wysokiego na sześć metrów papirusu oskar-
życielskim wzrokiem wpatrywała się w Tefnacha jaskółka
z ludzką głową.

Podania mówiły więc prawdę. Pod działaniem światła
przychodzący z zaświatów przodkowie przybierają rzeczy-
wiście postać ptaków z ludzkimi twarzami.

Rysy jaskółki się zmieniały i Tefnachtowi wydało się, że
widzi kolejno twarze Totmesa, Amenhotepa i Ramzesa
Wielkiego. Wszyscy ci faraonowie patrzyli na niego z wy-
rzutem.

Zerwał się gwałtowny wicher, ciemności pochłonęły
światło, a jaskółka odleciała, pozostawiając za sobą sznur
turkusów.

— Powierzam ci ważne zadanie, Pisapie. Zawieziesz ten
list do Pianchiego.

Staruszek podrapał się w ucho.

— Chyba się przesłyszałem, generale.

— Doskonale mnie zrozumiałeś.

— Ty, Tefnacht... chcesz się poddać?

— Nie, chcę pertraktować. Jako wysłannik prowincji Sais

nie masz się czego obawiać.

— Więc... rezygnujesz z walki?

— Tak, Pisapie. Dziś w nocy ukazali mi się moi przodkowie i przekonali mnie, że jestem na złej drodze.

Mamy teraz prawowitego króla, koronowanego w Heliopolis, Mem-fisie i Tebach, i to jemu wszyscy winniśmy posłuszeństwo. Myślałem o zjednoczeniu Egiptu, a to on zjednoczył kraj. Miałem bielmo na oczach, teraz przejrzałem. W Egipcie nastał wreszcie pokój, po cóż więc miałbym nadal wicherzyć?

— Będziesz czy nie będziesz pertraktował, i tak wiesz, co cię czeka.

— Jako buntownik zostanę skazany na śmierć. Faraon musi tak orzec. Na jego miejscu postąpiłbym tak samo. Chcę jednak umrzeć stojąc i parząc w twarz swoim sędziom, nie zaś zginąć jako zbieg, od strzały w plecy. Poddając się, chcę również przekonać ostatnich buntowników, by porzucili myśl o dalszej wojnie. Chcę wreszcie, by faraon mi przebaczył, bo dzięki temu będę mógł bronić swojej sprawy przed sądem Ozyrysa.

— Śpiesz się, Lamerskeni, spóźnimy się! Powinieneś już być umyty, ogolony i ubrany!

— Spać mi się chce, Puarmo... Idź sam,

Puarma delikatnie wyciągnął z łóżka przyczynę zmęczenia Lamerskeniego, młodą osóbkę o pięknych piersiach i kształtnych biodrach. Uśmiechnęła się przymilnie do kapitana łuczników, on jednak nie miał, niestety, czasu na składanie hołdów jej urokom.

Ponieważ Lamerskeni obrócił się na drugi bok i zamierzał znów pogрузić się w błogostanie, Puarma przewrócił łóżko.

Lamerskeni upadł na posadzkę i na pół się obudził.

— Nienawidzę tych wojskowych uroczystości — mamrotał rozcierając sobie biodra.

— Jak obleję cię zimną wodą, wstaniesz?

— Och nie, tylko nie to!

— No to pośpiesz się!

— Wyobrażasz sobie, jakie gromy na nas spadną, że nie potrafiliśmy dotąd złapać tego przekłętego Tefnachta?

— Tak czy owak rozkazu musimy słuchać i trzeba pójść na tę uroczystość. Rzucam ci w miarę przyzwoitą tunikę, żebyś okrył grzbiet, i idziesz za mną bez dyskusji!

Z głową pełną snu Lamerskeni wyszedł z izby.

Stał w tłumie dworzan i spał na stojąco, kiedy Pianchi zaczął rozdzielać złote muchy, dekorując żołnierzy, którzy wyróżnili się odwagą i zawziętością w atakowaniu wroga.

— Nadszedł czas, bym uhonorował naszych wyższych

oficerów — oświadczył faraon. — Mam na myśli przede wszystkim tego, co nie lękał się narażać wielokrotnie życia, by powstrzymać w marszu przeciwnika, zanim go pokonałiśmy. Za zasługi bojowe jego samego i jego łuczników awansuję kapitana Puarmę do stopnia generała.

Lamerskeni z osłupieniem wytrzeszczył oczy. Zobaczył, jak Puarma wychodzi z szeregu i staje przed królem. Puarma generałem! Łucznik, który nie ma pojęcia o prowadzeniu wojny, który nigdy nie wykaże się choćby odrobiną inicjatywy!

A właściwie dlaczego nie? Puarma jest młody i odważny. Generałem będzie oczywiście lichym, ale nikogo lepszego nie ma.

— Te same pochwały i ten sam stopień należą się kapitanowi Lamerskeniemu — ciągnął Pianchi.

Człowiek-akacja myślał, że się przesłyszał. Stał skamieniały i nie był w stanie zrobić kroku. Puarma podszedł do niego i poprowadził przed monarchę, który odznaczył go złotą muchą.

— Jestem z was dumny, generałowie. Będziecie wspólnie dowodzili armią egipską, w której służą teraz ramię w ramię Nubijczycy, Libijczycy i Egipcjanie. Postaracie się zapewnić spójność naszym wojskom.

— Generale Lamerskeni — rzekł wyraźnie przejęty Zim-

na Głowa — wysłannik Tefnachta pragnie widzieć się z Jego Królewską Wysokością.

— Jestem teraz na oficjalnym przyjęciu — wymamrotał bełkotliwie Lamerskeni.

— Generale, sprawa jest poważna.

Świeżo upieczony generał dla uczczenia awansu podejmował właśnie swoich żołnierzy mocnym, nie rozcieńczonym winem z oaz i zdążył już dać im należyty przykład, nie waląc się z nóg.

— Ten człowiek nazywa się Pisap — ciągnął Zimna Głowa — i ma list z pieczęcią Tefnachta.

Drugi cud tego samego dnia... Lamerskeni wylał sobie na głowę cały garnek wody, ale zjawa nie zniknęła. Skryba istniał całkiem namacalnie.

Starając się zachować z właściwą generałowi godnością, Lamerskeni wysłuchał wyjaśnień starego Pisapa i zgodził się zaprowadzić go do króla, który czyścił właśnie konia.

Na widok potężnej postaci Czarnego Faraona stary Libijczyk tak się zląkł, że nie mógł wykrztusić z siebie słowa.

— Czy ten wysłannik rzeczywiście przyjechał do mnie z prośbą?

Lamerskeni wyjął Pisapowi z rąk papirus, złamał pieczęć z błota, rozwinął list i głośno go odczytał.

— „Od generała Tefnachta do Faraona Górnego i Dol

nego Egiptu, oby żył wiecznie w szczęściu i dobrym zdrowiu.

Niechaj pokój będzie z tobą. Nie śmiem spojrzeć ci w twarz

w dni twego gniewu, ponieważ nie mogę znieść twego ognia:

drzę z powodu trwogi, jaką budzisz. Bowiem tyś jest bykiem

o mocarnych ramionach... Czyż serce Waszej Wysokości

nie powinno się uspokoić po tym, coś mi uczynił? Zaprawdę

jestem nędzarzem, lecz ty nie zadasz mi ciosu... Surowo

osądź me postępkami, lecz nie ścinaj drzewa aż do korzeni...

Strach przed tobą przepełnia me wnętrze, a trwoga

przenika me kości. Nie zasiadam w piwiarni ani słucham

grania harfy, lecz jem chleb człowieka głodnego i piję wodę

ginącego z pragnienia... Kości me przenika ból, głowa ma

odkryta, a szaty w strzępach, dopóki Neith mi nie wybaczy.

Długo mnie ścigasz... Oczyść swego sługę z jego błędów.

Niechaj me dobra i najlepsze konie trafią do twego skarbcza.

Spiesznie wyślij do mnie posłańca, aby usunął trwogę z me

go serca" *.

Pianchi przez cały czas przyglądał się manguście, która

najpierw długo obwąchiwała starego Pisapa, a potem za-

snęła. Pisap nie był więc niebezpieczny.

— Czy masz jeszcze jakieś inne zlecenie? — zapytał posła,

który wciąż trząsał się ze strachu.

— Tak jest, tak jest, Wasza Królewska Wysokość... Tef-

nacht chciałby spotkać się z tobą w cztery oczy w

świątyni bogini Neith.

* Tekst egipski listu Tefnacha ze steli Pianchiego.

Thusty Otoku i zgryźliwy Kapa siedzieli obok siebie na pniu zwalonej palmy. Starzec opierał sękatę dłoń na gałce swej laski. Obaj wpatrywali się w pustynię.

— Wiadomości są świetne — odezwał się Otoku. — Północ i Południe, Wschód i Zachód są już pod władzą Pian-chiego. Poddały mu się wszystkie prowincje i wszystkie miasta składają hołdy władcy Dwóch Krajów.

— Dobrze, dobrze. Ja jednak chętnie bym uciął głowę i księciu Peftau, i Nemrodowi. Zbyt skorzy do zdrady.

— Peftau choruje i wkrótce przestanie się liczyć. Nemrod zaś zrobił się najżarliwszym stronnikiem Pianchiego, a w dodatku... on nie ma żadnej swobody działania.

— Gdzie faraon się osiedli na stałe?

— W Memfisie, żeby zawsze mieć oko na Deltę.

— Mądra decyzja.

— To tak daleko... Memfis.

— Pogódź się z losem, Otoku. Nadal będziesz dobrym namiestnikiem, razem spokojnie się zestarzejemy w naszej starej, poczciwej Napacie. Po Pianchim zostało nam tyle dobrych wspomnień, że będziemy mieli co rozpamiętywać. Teraz stoi przed nim zadanie wielkie jak cały Egipt.

— Masz rację, Pianchi tryumfuje, ale przez ten jego tryumf nigdy już nie będziemy mieli u siebie króla ani królowej.

— Ich losu nie można porównać z naszym, bo przecież nie należą do siebie. Ich pragnienia nie liczą się. Szczęście i pomyślność Egiptu i jego ludu są ważniejsze.

Otoku ze ściśniętym sercem zjadł kilka nadzianych na patyk ciepłych podpłomyków. Dlaczego ostatnie słowo zawsze należy do tego starca?

Generał Lamerskeni przy całkowitym poparciu swego kolegi, Puarmy, wyraził sprzeciw.

— To zbyt niebezpieczne, Wasza Królewska Wysokość.

Ani przez chwilę nie wierzę w skruchę Tefnachta.

Kłamał, bo chciał wzbudzić w tobie litość, a teraz zastawia na ciebie ostatnią pułapkę. Prosi o spotkanie w cztery oczy tylko po to, żeby cię zabić.

— Czy sądzisz, że nie potrafię się bronić?

— Dlaczego bez potrzeby wystawiać się na niebezpieczeństwo, w chwili gdy jesteś tak bardzo potrzebny krajowi?

— Pozwól, niech go przynajmniej obszukam — poprosił Puarma.

— Nadjeżdża — zameldował wartownik.

Powozony przez starego Pisapa rydwan generała wyglą-

dał żałości. Dyszel pęknięty, pudło chwiejne, koła ledwie się trzymały. Pianchi patrzył tylko na konie: były zmordowane i zabiedzone.

Stajenni, z góry wiedząc, co każe faraon, natychmiast odprowadzili zwierzęta do pałacowych stajni i zajęli się nimi. Lamerskeni wziął starego Pisapa za ramiona.

— Czarny Faraon zabije Tefnacha, prawda? — zapytał Pisap.

— Jesteś weteranem, znasz prawa wojny. Napij się, żeby zapomnieć o tym, co się wydarzy.

Tefnacht był zarośnięty, nie ogolony, w łachmanach.

Pobyt na bagnach zrobił z niego nędzarza, zachowywał jednak dumne spojrzenie.

Upadły generał przeszedł między dwoma szeregami oszomionych żołnierzy i stanął na progu świątyni. Tu poczekał na Puarma, który go obszukał. Tefnacht nie miał przy sobie żadnej broni.

Mangusta siedziała na głowie posągu lwa, ustawionego tu dla odstraszenia niewtajemniczonych, i nie manifestowała żadnej wrogości.

— Faraon czeka na ciebie w świątyni — rzekł Puarma.

Tefnacht minął wspaniały portal, przeszedł przez wielki, otwarty dziedziniec i wstąpił do pierwszej wielkiej sali kolumnowej, której drzwi zostawiono uchylone.

Faraon siedział nieruchomo w smudze światła. Ubrany był w białą spódniczkę i także sandały, na głowie miał podwójną koronę symbolizującą Górny i Dolny Egipt. Z szyi zwieszał mu się złoty naszyjnik.

Przyglądając się władcy z bliska, Tefnacht zrozumiał, dlaczego nigdy nie byłby w stanie go pokonać. Faraon był nie tylko mocarnym atletą — miał nieujarzmioną duszę, zdolną zapuszczać się na nieznane szlaki i bez trwogi porywać na niemożliwe. Pianchi nie myślał o tryumfach, kroczył po prostu przed siebie, nie zważając na przeszkody, a zwycięstwo było mu ofiarowane jakby na dodatek.

— Jestem w twoich rękach — oświadczył Tefnacht.

Pianchi dobył sztylet ze srebrnozłotej pochwy ozdobionej wizerunkiem boga Amona z głową barana.

Tefnacht zadrzał, ale nie cofnął się. Tak jak sobie tego życzył, stał twarzą w twarz ze śmiercią.

— Żądam przysięgi na wierność — rzekł władca.

Tefnacht, przygnieciony nieprzepartą siłą, po raz pierwszy w życiu padł na twarz.

— Nie będę naruszał prawa bogini Maat — przyrzekł. — Będę słuchał rozkazów faraona i wykonywał jego rozporządzenia, nie zaatakuję jego sprzymierzeńców i będę działać zgodnie z jego wolą.

Wstał i sztylet wrócił do pochwy.

— Książę Tefnachie, powierzam ci namiestnictwo miasta Sais. Znasz je lepiej niż ktokolwiek inny. Ucz się uszczęśliwiać mieszkańców swej prowincji w ścisłej zgodzie ze wskazówkami, jakich ci będę udzielał. Codziennie dla oczyszczenia się przychodzić będziesz do świątyni. Raz w miesiącu spędzisz tam trzy dni z dala od trosk i spraw tego świata, by wysłuchać wskazań bogów i stłumić w sobie wszelką chęć buntu przeciw bogini Maat. Czy przyrzekasz mi na życie swoje i na życie faraona, że będziesz się wywiązywał z tych zadań?

— Przyrzekam, Wasza Królewska Wysokość.

Gdy flota nubijska zbliżyła się do Napaty, Otoku myślał o tym, jak ciężka czeka go praca. Pianchi zgodnie z przyrzeczeniem nadesłał już złoto, srebro, miedź, kosztowne tkaniny i rzadkie olejki dla świątyni boga Amona. Wszystkie te bogactwa trzeba będzie spisać pod czujnym nadzorem Kapy, a grubas wiedział, że senior Wielkiej Rady nie ścierpi najmniejszego niedopatrzenia. Żeby tak tymi formalnościami mógł się zająć Zimna Głowa!... Otoku nie dowierzał żadnemu innemu skrybie i dotychczas wolał robić wszystko sam.

Cała ludność Napaty zebrała się na wybrzeżu, witając żołnierzy, którym się poszczęściło i mogli wrócić do Nubii.

Wielu ich towarzyszy zostanie w Egipcie, czy to w Memfisie, czy w Tebach, pod rozkazami generałów Puarmy i Lamer-skeniego.

Były śpiewy, uściski, wiwaly na cześć Pianchiego, a marynarzy, którzy przed zejściem na brzeg złożyli ofiarę łagodnemu wiatrowi północnemu, obsypano gałązkami palmowymi.

— Kapo...

— Co się stało. Otoku? — zapiszczał staruszek, który bardzo nie lubił taki ch hałaśliwych obchodów.

— To... to Zimna Głowa!

— Ja już niedowid/ę... Jesteś pewien?

- Schodzi po kładce... biegnie.

Tłum rozstępował się przed karzełkiem, którego już znano jako wysoko postawioną osobistość.

Otoku powinien by się cieszyć, ale z osłupienia zaparło mu dech w piersiach.

— Patrz, Kapo, patrz uważnie!

— Już ci mówiłem, że niedowidzę.

— Na dziobie okrętu flagowego... Pianchi. Pianchi i królowa Abilea.

— Co ty wygadujesz, Otoku!

— Faraon wrócił!

Stusześcdziesięciokilowa bryła tłuszczu drgnęła i ze zwinnością słonia popędziła w stronę kładki. Otoku chciał jako

pierwszy pokłonić się królewskiej parze; nie obyło się bez podeptania nóg temu i owemu.

— Wasza Królewska Wysokość... To ty?... To ty?

— Tak bardzo się zmieniłem?

— Więc... więc nie zostałeś w Memfisie?

— Zadanie wykonałem, Otoku. Egipt znów zjednoczony,

w Dwóch Krajach panuje pokój, prowincje mają swo-

ich namiestników i wszystkie słuchają faraona. Moje

miejsce jest tu, w Napacie, przy moim ojcu, Amonie.

To on mną kierował, to on się mną opiekował i do

niego powinienem wrócić. Teraz i Delta, i cała dolina

Nilu przestrzegają prawa bogini Maat, a dni płyną

szczęśliwie w rytmie świąt i obchodów. Jeśli lud

Egiptu potrzebować będzie mego ramienia, by

odepchnęło nieszczęścia i nieprawości, znowu

wyjadę.

Trwały przygotowania do uroczystości, a tymczasem

Pianchi i jego małżonka ruszyli na świętą górę. Słońce

złociło piasek pustynny i oświetlało bramy wielkiej świątyni.

— Tylko ty znasz mój sekret — rzekł król do Abi-lei. —

Tylko ty wiesz, że władza nie jest celem mojego

życia, a jedyna podróż, jaką chciałbym odbyć, wiedzie

przez tę świątynię po śladach bogów i przodków. Nie

uszczęśliwi mnie ani szczęk broni, ani chór

pochlebstw dworaków.

— Dokonałeś iście alchemicznego dzieła, otwierając serca, by ukazać im prawdziwe ich obowiązki i przywracając każdemu właściwe miejsce. Nie zmieniłeś naszego świata, ale nadałeś mu sens. Codziennie składać będziemy ofiary bogom i będziemy się modlić, by pozwolili nam stawić czoło wrogom czekającym na nas na drodze starości.

— Tę walkę też wygramy — zapewnił władca.

— Tak, Pianchi, albowiem za sprawą bogini miłości radośnie tańczą gwiazdy na niebie, naszym prawdziwym kraju.

Faraon i jego wielka królewska małżonka przekroczyli wspaniałą bramę świątyni, „niebo na ziemi”, gdzie ciemności przemieniały się w światło.

Pianchi był jednym z faraonów XXV dynastii, panował nieco ponad trzydzieści lat (747—715 p.n.e.). Trudno określić, kiedy dokładnie zjednoczył Egipt. Około 730 r. p.n.e. czy pod koniec panowania?

Jego wspaniałe czyny zostały spisane na wielkiej steli (1,80 m wysokości, 1,84 m szerokości) przechowywanej w Muzeum Kairskim (Księga wpływów 48862 wraz z fragmentami KW 47086—47089). Znalazł ją w 1862 r. na stanowisku Dzebel Barkal (Czystej Górze) Mariette i wystawił

w swoim muzeum w Boulaq. Stelę przekazano potem do
dzisiejszego Muzeum Kairskiego.

Napis na steli doczekał się wielu przekładów i opracowań,
dotyczących zarówno całości jak i fragmentów. Spośród
najważniejszych należy wymienić:

E. de Rougé, „Inscription historique du roi Pianchi-
-Meriamoun" w *Revue archéologique*, tom VIII, 1863, str.
94 i nast.; *Chrestomathie égyptienne*, zeszyt IV, 1876.

F. J. Lauth, „Die Pianchi-Stele", w *Abhandlungen der
Königlichen Akademie der Wissenschaften*, XII (1871), str.
241—314.

H. Schäfer, „Urkunden der älteren Aethiopenkönige", I
(Urkunden, III), 1905, str. 1—56.

J. H. Breasted, „Ancient Records of Egypt", t. IV, 1906,
str. 406—444.

N.-C. Grimai, „La Stèle triomphale de Pi(ankh)y au
musée du Caire", Kair, 1981.

M. Lichtheim, „Ancient Egyptian Literature" t. III, 1980,
str. 66—84.

C. Lalouette, „Textes sacrés et textes profanes de l'an-
cienne Egypte", t. I, 1984, str. 124 i nast.

Niektórzy egiptolodzy są zdania, że imię tego faraona
należy czytać „Pei" (nie zaś Pianchi), zgodnie z dialektem
nubijskim. Znaczenie jednak pozostaje to samo: „Żyjący".